

# PATRICK LYNCH

Powieści Patricka Lyncha  
w Wydawnictwie Amber

Omesa  
Ósemka  
Polisa  
Zwiastowanie

Z7  
Ósemka

Przekład  
Marek Mastalerz

AMBER

Los Angeles, 24 listopada 1993

**W**e wtorek w nocy Stacey wyszła z łazienki z ociekającą pianą maszynką do golenia i z nieprzytomnym, nieobecnym wyrazem twarzy. Na podbrzuszu, tam gdzie do tej pory był ciemny klin włosów, teraz jaśniał równy, gładki trójkąt. Uznała, że to wszystko uprości, że w ten sposób uniknie się brudu. I tak to się zaczęło.

O trzeciej nad ranem w środę zwinęli dywan w jej sypialni i zmyli podłogę chloroksem. Bez sensu. Nie sposób przecież było wysterylizować pokój, a poza tym nie było to potrzebne. To te nerwy i ciężar przybijających wydarzeń.

Zwlekli pościel z łóżka. Wrzucili satynowe poduszki, markową kołdrę i puchate zabawki do pudła, które powędrowało do garażu razem z koszem na brudną bieliznę. Postawili nogi łóżka na owiniętych w polietylen ceglach. On chciał nawet zmyć ściany, ale Stacey nie pozwoliła ruszać plakatów.

- Musi na to patrzeć - powiedziała, celując palcem w twarz na suficie. - Chcę, żeby to widział.

Teraz była w łóżku, w pozycji nazywanej przez lekarzy kolankową. Stopy oparte miała na przystawionym do nóg łóżka fotelu, niemal dotykając udami brzucha, tak że srom był całkowicie odsłonięty. Koszulka z krótkimi rękawami podwinęła się do góry, odsłaniając blade, pokryte żyłkami piersi. Stacey zaciągnęła się głęboko świeżo zwiniętym skrzem, zadrzała, postukała jarzącym się końcem w popielniczkę i powiedziała coś, czego on nie dosłyszał. Była na coraz większym haju - wlatywała w przestworza pod wpływem diazepamu i dobiegającej z salonu muzyki Jimiego Hendriksa.

On wolałby, żeby Stacey kompletnie straciła świadomość. Zadał sobie wiele trudu i wydał mnóstwo pieniędzy, by zdobyć nebulizator i zbiorniki

do podawania halotanu, dziewczyna jednak wzbierała się przed głębokim uspieniem. Bała się myśli, że poddają narkozie. Przecież nie miał do tego kwalifikacji, a poza tym ludzie w znieczuleniu ogólnym czasami umierali. Zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że nie wolno jej otwarcie kwestionować jego medycznych kompetencji, powtarzała więc tylko, że chce być przy tym obecna. Tłumaczył jej, że istnieje ryzyko skurczów, wyjaśniał, jakie to może wyrządzić szkody - ale nie zdołał zmienić ani na jotę jej stanowiska. Uparła się, że inaczej nie podda się zabiegowi, więc musiał się dostosować. W końcu przeprowadzili parę prób generalnych, stosując tabletki diazepamu i ulubioną trawkę Stacey. Skurcze na szczęście nie wystąpiły.

- W porządku? - zapytał.

Przekręciła głowę, porośniętą krótkimi, nastroszonymi włosami, i spróbowała skupić na nim wzrok.

- Jestem *bhanda* - powiedziała i zaśmiała się jak szalona.

- Banda?

- To znaczy naczynie... zbiornik, pojemnik. - Uśmiech znikł z jej twarzy. - Jego naczynie.

Zaczynała wygadywać swoje hinduistyczne androny. Zwykle była to u niej oznaka najwyższego odprężenia. Wyjął jej skręta spomiędzy palców, wyniósł go z pokoju i wrócił ze sterylnymi serwetami, którymi okrył jej nogi. Otworzył stojącą na podłodze czarną, skórzaną torbę i wyjął z niej stalowe narzędzie, przypominające ptasi dziób.

- Wkładam wziernik - uprzedził.

Ale Stacey już go nie słuchała. Utkwiła wzrok w uśmiechniętej twarzy aktora na suficie i poruszała ustami, powtarzając ledwie słyszalną mantrę. Przetarł stalowy dziób solą fizjologiczną i włożył wziernik do pochwy dziewczyny. Wstrzymała na chwilę oddech, ale zaraz się rozluźniła. Zaczął kręcić śrubą, rozwierając dwie połówki wziernika, by uzyskać swobodny dostęp do szyjki macicy.

- Z-zimny - wymamrotała półprzytomnie Stacey.

- Zaraz się rozgrzeje. - Potarł śluzówkę wokół wziernika wacikiem, zmoczonym w soli fizjologicznej. Upewniwszy się, że wszystko jest gotowe do zabiegu, wyprostował się. - Wyłączam światła.

- *Bhaga* - powiedziała sennie. - Łono, wagina, dobry los, szczęście, dos-ko-na-łość.

Przez chwilę widział tylko ciemność. Po chwili, kiedy oczy przywykły do mroku, dostrzegł przenikający pokój stłumiony, purpurowy blask. Był to pomysł Stacey - zarzuciła apaszkę na nocną lampkę.

- Idę do łazienki - powiedział. - Powinnaś się odprężyć.

Jimi Hendrix zaczął grać *AU Along the Watchtower*.

Łazienka spełniała funkcję sali przedoperacyjnej. Wyczytał gdzieś, że na desce klozetowej jest mniej bakterii niż na przeciętnym zlewie kuchennym. Poza tym była tu glazura, a więc nigdzie w domu nie znalazłby czystsze miejsca. Zasłonkę od prysznicza wyniósł wcześniej razem z pluszowymi zwierzakami. Wszystko inne zmył chloroksem, a potem przetarł gładkie powierzchnie płótnem nasyconym alkoholem.

Zasłaniając dłonią oczy, wyłączył światło. Przez chwilę stał nieruchomo, oddychając głęboko, świadom narastającego napięcia w karku i ramionach. Zdawał sobie sprawę, że będzie ciężko. Przekraczali barierę. Teraz mieli do czynienia z życiem, a z tym wiązały się potężne emocje. Martwił się, że przedobrzył z amfetaminą. Gdyby zaczął się trząść w nieodpowiednim momencie, mogłoby to mieć katastrofalne skutki. Przymknął oczy i powiedział sobie, że zabieg jest prosty i łatwy. W niektórych klinikach wykonywały go pielęgniarki, nawet nie lekarze. Musiał tylko pokonać niecałe pięć centymetrów ciemności, by doprowadzić do zetknięcia końcówki cewnika z wyczekującą ścianą krwi.

Włożył maseczkę chirurgiczną na usta i nos. Popatrzył w swoje oczy w lustrze.

- Nic trudnego - powiedział. - Najprostsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłeś.

Zaczerpnął głęboko tchu i zdjął nakrywki z szalek.

Po pięciu minutach wyszedł z łazienki. Trzymał w dłoni strzykawkę z dołączonym giętkim cewnikiem.

- Chcę już zejść - powiedziała Stacey. - Ściągnij mnie stąd.

Odleciała, ale wciąż była upierdliwa. Z wystawionymi w górę nogami wyglądała jak indyk na Święto Dziękczynienia.

- Zaraz będzie po wszystkim.

- Nie! - Podniosła na niego wzrok i zobaczył, że płacze. - Nie chcę tego robić!

Opadła na łóżko. Ugięte uda zakołysały się. Była zbyt nawalona, żeby chociaż przewrócić się na bok.

- Zwariowałaś? - powiedział. - Przecież się zgodziłaś, Stacey.

- Nie chcę.

- Nie możemy czekać. Teraz albo nigdy, wiesz przecież.

Nie odpowiedziała, chociaż drżały jej ramiona.

Przykląkł u stóp łóżka. Stalowy wziernik wyglądał jak część ciała kobiety. Skojarzył mu się z metalowymi znaczkami w krowich uszach.

- Wprowadzam cewnik - zapowiedział. - Poczujesz go, ale musisz leżeć bez ruchu.

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła powoli głową z boku na bok.

Ginekolog twierdził, że jama jej nieco pochylonej do przodu macicy ma niecałe pięć centymetrów długości. Podczas prób generalnych nie natknęli

się na żadne przeszkody. Dosunął cewnik do szyjki i bardzo delikatnie przeprowadził go przez cieśń. Brzeg wziernika służył mu jako punkt orientacyjny; obserwował, jak przesuwasz się nad nim oznaczenia na teflonowej kryzie. Było bardzo ważne, żeby kraniec kryzy pozostał poza jamą macicy. Inaczej mógłby spowodować obfite krwawienie.

- Maleństwo, maleństwo, maleństwo... - powtarzała miarowo Stacey.

Nie podnosił głowy. I tak nie mówiła do niego; pewnie przestała sobie nawet zdawać sprawę z jego obecności. Zrobiło mu się jej żal. Zmarszczył czoło, zmuszając się do skupienia uwagi na strzykawce w dłoniach. Elastyczny cewnik zgiął się, dotykając ścianki kryzy. Zdołał wprowadzić go do macicy, dalej musiał jednak poruszać się na oślep. Musiał wepchnąć go po sam kres ciemnej jamy, aż po dno - pomiędzy odchodzące od macicy jajowody. Zmrużył oczy, wyciskając z nich pot. Obserwował, jak cewnik zagłębia się milimetr po milimetrze w szyjce. Przez moment stanął mu przed oczami obraz rozwijającego się dziecka, jego malutkiego, bijącego serca. Jego oczu. Chłopiec czy dziewczynka?

Zadrżały mu ręce. Co za znaczenie miało, jakiej jest płci? To była idea, marzenie...

- Weź się w garść.

- Co...

Głowa Stacey osunęła się na bok.

Osiągnął wreszcie cel. Końcówka cewnika znalazła się najwyżej pięć milimetrów od dna macicy. Dalej nie ważył się go posunąć. Przymknął oczy.

- Chyba się udało.

Znowu usłyszał dobiegającą z drugiego pokoju muzykę. Stacey cicho płakała. Powoli wyciągnął cewnik i popatrzył na jego czubek. Dopiero teraz zorientował się, że przeprowadził cały zabieg przy zgaszonych światłach. Musiał przejść do łazienki, by obejrzeć cewnik i upewnić się, że wszystko przebiegło jak należy.

Stacey uniosła się z trudem na łokciach.

- Nie wolno ci wstawać.

- Będzie dobrze? - zapytała sennym od leków głosem.

Musnął stalowy dziób, wciąż tkwiący między jej nogami.

- Zaufaj mi - powiedział.

Część pierwsza

## Morfologia seksualna kobiety

# 1

Sześć lat później, sobota, 17 lipca

**B**rentwood. Kręta ulica, odchodząca od Mandeville Canyon Road. Detektyw Larry Hagmeier popatrzył przez gęsto rosnące kaktusy na trzykondygnacyjny budynek w stylu rezydencji na plantacji Południa, wznoszący się wśród bugenwilli i palm. Rzeźbione kolumny podtrzymywały taras, biegnący dookoła pierwszego piętra.

- Służąca mówi, że nie możemy wyłączyć zraszaczy.

Hagmeier odwrócił się i zobaczył, że Matt Kronin opiera masywną nogę na wzniesieniu świeżo wykopanej ziemi. Otarł twarz chusteczką.

- Mają zegar sterujący - stwierdził. - Lada chwila powinny wyłączyć się same. - Obydwaj spojrzeli w stronę czarnego worka na śmieci, którym przykryli dziurę. - No dobra, co jest grane? - zapytał Hagmeier.

Kronin wskazał kciukiem altanę przy basenie. Hagmeier wszedł za nim do środka.

Minęło kilka sekund, zanim ich oczy przywykły do ciemności. Dostrzegli tekowe leżaki, elegancki grill z polerowanej stali na grubych kółkach, parasol plażowy i leżącą w kącie parę łyżworolek. Wnętrze pachniało wilgotnym tynkiem i chlorem. Farba na jednej ze ścian łuszczyła się wielkimi płatami. Kronin odłamał jej kawałek i rozkruszył między palcem wskazującym a kciukiem.

- Pani Cusak ma kłopoty z pompami. Woda przesiąka w grunt. Firma budowlana nie wykonała porządnego odwodnienia, i stąd ten cały bajzel.

- Ładnie.

- Robotnicy przyjechali wczoraj po południu i zaczęli kopać. Zeszłej nocy, tak przynajmniej sądzi służąca, musiał tu wleźć pies sąsiadów i pokopał trochę głębiej.

- Słyszała to?

- Mówi, że tak jej się wydaje. Sąsiad miał dosyć ludzi starających się sfotografować panią Cusak, więc kupił psa. Dobermana.

- Ludzi?

- Paparazzich. Pismaków, rozumiesz.

- Nie sądziłem, że wciąż jest dla nich warta zachodu.

- Też tak myślałem, ale niedawno rozwiodła się z Douglasem Gormanem.

- No tak, wszystko jasne. Pewnie dostała dom w ramach podziału majątku.

Wyszli na zewnątrz. Z sąsiedniej posesji niosła się woń smażonego boczku. Hagmeier zdał sobie sprawę, że jest głodny. Rozejrzał się za funkcjonariuszem, który zgłosił się na wezwanie. Chciał wysłać go po pączki, ciasto, cokolwiek, ale policjanta nie było nigdzie widać. Pewnie starał się zapuścić żurawia do sypialni gospodyni. Lada chwila należało się spodziewać techników z laboratorium kryminalistycznego i ludzi Serratosy z urzędu koronera. Hagmeier miał nadzieję, że przyniosą ze sobą jakieś jedzenie.

- Zawiadomienie złożyła służąca? - zapytał nieuważnie.

- Zgadza się. Pani Dominguez. Tuż po siódmej. Pani Cusak wyjechała wcześniej, na jakip wywiad czy coś w tym rodzaju.

- Nic jej nie jest?

- Komu?

- Tej Dominguez.

- Trochę nią wstrząsnęło.

Zraszacze się wyłączyły.

Hagmeier wszedł do dołu, starając się nie obsypywać ziemi. Zdjął worek na śmieci i utkwiał wzrok w pęku wysuszonych włosów, wciąż sterczących z tego, co niegdyś było skronią.

Dom. Ciężki zapach przenikający pokój, stały, ulotny poszum, przypominający dźwięk deszczu na dachu. Telewizor ustawiony na stercie pod ręczników, by można go oglądać w łóżku.

„Czy państwo to pamiętają?” - pyta kobiety głos.

Ellen Cusak, wspinająca się na podium przed dekoracją złotym medalem na mistrzostwach świata.

„A to?”

Ekran wypełnia obraz Ellen Cusak - zawieszona w powietrzu, zniżającej się nad taflą w zwolnionym tempie po potrójnym lutzu, obracającej

się zbyt szybko, ciężko padającej na lód z otwartymi ustami i uginającymi się kolanami. Łyżwiarka podnosi się i sunie dalej z ukrytą w dłoniach twarzą.

Na ekran wraca prowadząca program. Wielkie okulary. Nastroszone włosy. Rhoda jakaś tam.

„Tego pamiętnego wieczoru w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku nastąpił upadek Ellen Cusak. Zeszła z lodowiska i znikła z życia milionów adorujących ją wielbicieli. Był to koniec jednego z najkrótszych, lecz najbardziej olśniewających rozdziałów w historii łyżwiarstwa. I oto... - prowadząca program uśmiecha się, odwraca twarz od kamery i spogląda na kogoś na planie - ... legenda jest znów wśród nas. Przybyła do nas opowiedzieć o swoim życiu, miłości i powrocie na lód. Proszę państwa, Ellen Cusak. Wspaniale cię widzieć, Ellen...”.

Promieniejąca twarz. Reflektory w studiu przydają jasnym, prawie białym włosom metalicznego blasku. Straciła nieco na wadze. Wygląda na to, że waży jeszcze mniej niż podczas startów w zawodach - mniej niż czterdzieści cztery kilogramy. Jelena.

- Ziemia jest tutaj sucha. Prawie pustynia - powiedział Serratos, zmiotając pył z poczerńiałej, zmumifikowanej głowy. - Płyny ustrojowe są szybko wchłaniane, wskutek czego zostaje... - Zamilkł na chwilę i wskazał coś dłonią. Policyjny fotograf przesunął się do przodu i zaczął robić zbliżenia. Gdy skończył, Serratos podniósł z ziemi parę szkieł i popatrzył na Hagmeiera. - Kobiece okulary.

- Jej?

- Tak... Tak sądzę. - Serratos wskazał bok głowy. Sucha skóra zmarszczyła się w niewielką fałdę tam, gdzie było ucho. Ciemna, cienka kreska biegła poziomo nad nią w stronę oczodołu. - Ten ślad sugeruje, że nosiła szkła... że miała je na sobie, gdy ciało ulegało mumifikacji. Prawdopodobnie pies je stracił. Jeśli mam rację, na oprawce znajdują się resztki tkanek.

- Myśli pan, że to kobieta? - spytał Kronin.

- Na to wskazuje wygląd czaszki, no i włosy. - Serratos roztarł suche, rudawe kosmyki między palcami w gumowej rękawiczce. - Wyglądają na farbowane. Oczywiście to nic pewnego. Będziemy wiedzieli ostatecznie, gdy zbadamy miednicę.

- Jeżeli tu jest - rzekł Kronin.

Lekarz, zastępca koronera, podniósł wzrok na policjanta i osłonił oczy lewą dłonią. Patolog był niskim, prawie zawsze uśmiechniętym mężczyzną o ciemnej karnacji. Uśmiechał się i teraz, ukazując przebarwione od kawy zęby.

- Słuszna uwaga, detektywie.

Wciąż uśmiechnięty Serratos wrócił do oględzin szczątków. Częściowo znumifikowany szkielet został odkopany do obojczyków. Napięte jak powłoka bębna płaty tkanek przypominały wyprawioną brązową skórę.

- Co ma na szyi? - zapytał Hagmeier. - Apaszkę?

- Chyba resztki swetra. Golf. Niebieski, wełniany. - Patolog wsunął palce w rękawicze pod potylicę i wyciągnął nylonową metkę. - Firma Gap. Powinniście sprawdzić, kiedy wprowadzili na rynek ten wzór. Może dzięki temu uda się ustalić dokładniej datę jej zniknięcia.

- Domyśla się pan, doktorze, kiedy to mogło być?

- Sądząc po wyglądzie kości, jakieś trzy lata temu, ale czegoś więcej dowiemy się później.

Hagmeier obejrzał się na Kronina.

- Kiedy postawiono ten dom, Mart?

Kronin wzruszył ramionami i zanotował sobie to pytanie.

- Zaprojektował go George Stanford Brown. Doug Gorman wybudował go bodajże w dziewięćdziesiątym szóstym.

Trzej mężczyźni obejrżeli się, żeby zobaczyć, kto to mówi. Okazało się, że jeden z funkcjonariuszy. Przenosił teraz ciężar ciała z nogi na nogę i zerkał na wszystkie strony, pełen satysfakcji.

- Skąd to wiesz, do diabła? - zapytał Hagmeier.

- Z gżet - odparł policjant, wzruszając ramionami.

Hagmeier pokręcił głową i dalej przyglądał się czynnościom Serratosy. Patolog wrócił do odgrzebywania zwłok, przez cały czas mówiąc niskim głosem. Potrzaskiwanie policyjnych odbiorników i dobiegające z oddali ujadanie psa sprawiało, że trudno go było zrozumieć.

- Ma też na sobie... kurtkę, chyba narciarską. Najprawdopodobniej z goreteksu. Na razie możemy więc przyjąć, że zginęła podczas chłodniejszych miesięcy. Nie ubiegłej zimy, może poprzedniej.

- Dość ciepło ubrana jak na te strony, doktorze - zmarszczył brwi Hagmeier. - Nawet jak na zimę.

- Może - odpowiedział bez przekonania Serratos. - Mojej żonie jest zwykle zimno przez całą zimę. Przynajmniej w nocy.

- Może nie została zamordowana tutaj - podsunął Kronin. - Może zabito ją w jakiejś zimniejszej okolicy, na przykład w górach.

- Tak, pewnie. - Hagmeier obejrzał się z dezaprobatą na swojego partnera. - Zabito ją na jakimś zadupiu i przewieziono ciało w miejsce, gdzie można było liczyć na świadków. - Odwrócił się ponownie ku Serratosie. - Jak pan sądzi, doktorze, jaka była przyczyna zgonu?

Serratos zmarszczył brwi. Najwyraźniej nie lubił, by go poganiano.

- Nie widzę... - Zaczął energiczniej rozgarniać ziemię. Pojawił się lewy bark. Przez rozdarcie w czerwonej kurtce można było dostrzec obojczyk i pierwsze żebra. - Nie widzę blizny po zadziergnięciu ani ran głowy. To może znaczyć... Słuchajcie, może panienkę przejechano i tu porzucono ciało? Znajduje się, moim zdaniem, w niezwyklej pozycji. Niemal pionowej. Może tu był dół i ktokolwiek ją zabił, po prostu wrzucił tu ciało. Jeżeli dotrzemy do rąk, może zdołamy...

Patolog zamilkł na chwilę, po czym mruknął coś do siebie po hiszpańsku. Hagmeier wychylił się do przodu. Obsunęła się mu stopa, rozkruszona ziemia posypała się do dołu.

- O co chodzi, doktorze?

Rhoda chce od razu usłyszeć złe wiadomości. Najpierw o śmierci ojca Ellen, następnie o jej rozwodzie. O karierze, a potem o jej porzuceniu. Gdy porusza temat małżeństwa, zaczyna kiwać głową, starając się wyrazić współczucie. Chce wiedzieć, kiedy Ellen zorientowała się, że małżeństwo przeżywa kryzys.

„Na pewno ciężko ci o tym mówić” - stwierdza.

Ellen chwyta poręczę obitego niebieskim aksamitem masywnego fotela.

„Było... Cóż, dość wcześnie stało się jasne, że... hmm, nie rozumiemy się z Dougiem w pewnych kwestiach. Nie patrzmy tak samo na rozmaite sprawy”.

„Chodzi ci o twoją karierę, Ellen?”.

„Nie, nie o to. Po mistrzostwach świata w dziewięćdziesiątym trzecim...”.

„Po twoim upadku?”.

„Właśnie. Wtedy postanowiłam, że nie będę dłużej występować. Wydawało się, że to najlepsze, co mogę zrobić dla naszego małżeństwa. W grę wchodziły jednak... inne rzeczy”.

Rhoda pochyla się do przodu, przekrzywia głowę i pyta zniżonym głosem:

„Chodziło... o inne kobiety?”.

Przez sekundę wydaje się, że Ellen zamierza odpowiedzieć, ale po chwili zaciska usta w wąską kreskę i potrząsa głową. Producent reaguje na to jak rekin na krew w wodzie. Kamera wykonuje najazd.

„Przykro mi, ale... chyba nie potrafię jeszcze o tym mówić”.

Na twarzy Rhody pojawia się wyraz zawodu. Po chwili dostaje jakąś instrukcję przez głośniczek w uchu i podejmuje konwersację na nowo:

„Jesteś zatem dwudziestosiedmioletnią rozwódką... - Zawiesza głos, czekając na reakcję, ale Ellen wpatruje się w nią bez słowa. - Na pewno wydaje się to długą drogą od mistrzowskiego podium”.

„Byłam wtedy inna - odpowiada wreszcie Ellen. - Czułam się, jakbym miała cały świat u stóp”.

„Nastąpiło to zbyt szybko?” - pyta Rhoda, z góry przytakując.

„Czasami tak mi się wydaje. Kiedy indziej nie jestem jednak pewna, czy mogłam zwolnić. Powstrzymać sławę”.

„Odnosiłaś błyskawiczny sukces, od łachmanów do bogactwa”.

„Tak było - wzrusza ramionami Ellen. - To jak skok ze spadochronem. Człowiek pracuje nad tym całym miesiącami, nic jednak nie może przygotować go na rzeczywistość, gdy staje się przed tłumem, w blasku reflektorów, przy dźwiękach muzyki. Nagle jest się w powietrzu i leci w stronę ziemi z szybkością miliona kilometrów na godzinę”.

„A spadochron czasami się nie otwiera” - dopowiada Rhoda ze śmiertelną powagą.

„Tak - wzrusza ramionami Ellen. - Czasami się upada”.

„Ale ty się podniosłaś”.

Rhoda jest bardzo z siebie zadowolona. Ellen również się uśmiecha. Ma idealny uśmiech. Ten sławny uśmiech był wart milion rocznie za prawa do jego reprodukcji, gdy jeszcze z powodzeniem wykonywała skomplikowane kombinacje.

„Bardzo pomogły mi w tym dzieci” - mówi.

„Chodzi ci o dzieci z Instytutu Francka?”.

„Owszem”.

„Opowiedz nam o nich”.

„Cóż, instytut prowadzi program dla dzieci z trudnościami w nauce, obejmujący muzykę i ruch. Pomagałam w jego opracowaniu. Widzę, jak dzieci się cieszą, gdy zabieramy je na lód i... mnie samej bardzo wiele to daje. Zaczęłam dzięki temu poważnie zastanawiać się nad powrotem na taflę”.

Rhoda przytakuje z fascynacją i zachwytem.

„A następny krok?”.

„Tournee z *Dziadkiem do orzechów*. Gram Klarę. Zapowiada się doskonale”.

„Z tego, co wiem, program trasy jest bardzo napięty”.

„Och, tak. - Ellen patrzy prosto w kamerę. - Tylko w listopadzie objeżdżamy dwadzieścia miast. Przeważnie występujemy w nich tylko po jednym razie. Oczekuję tego z niecierpliwością. Organizatorzy dobrali świetny zespół, w skład którego wejdzie Todd, Brian i Nicole. Będę występowała z przyjaciółmi”.

„I rywalami? - pyta Rhoda. - Czy możemy także oczekiwać twojego powrotu do startów w zawodach? Czy zamierzasz pójść śladem Elaine Zayak?”.

„Nie sądzę”.

„Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś za stara?” - śmieje się Rhoda.

„Cóż, mając dwadzieścia siedem lat, istotnie jestem nieco za stara” - odpowiada Ellen.

„Poważnie?”.

„Niestety. Aby radzić sobie z potrójnymi skokami, trzeba ważyć poniżej czterdziestu kilogramów. Kiedy zaczniesz się...”.

„Nabierać kształtów?”.

„Właśnie, przybierać na wadze... Wtedy ma się pod górkę. Trzeba walczyć z innymi dziewczynami, z sędziami, a na dodatek z grawitacją. To najtrudniejsze wyzwanie dla młodej łyżwiarki. Wszystkie przez to przechodzimy. W miarę stawania się kobietą skakanie diabli biorą”.

„Mówisz, jakbyś wolała pozostać małą dziewczynką”.

W niebieskich oczach Ellen pojawia się przelotny błysk emocji.

„Nie - mówi. - Nie mam nic przeciwko byciu kobietą”.

Serratoso wylazł z dołu. Wyglądał mizernie, jakby był bardzo zmęczony. Wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł czoło. Za jego plecami mimo jaskrawego światła słońca widać było błyski flesza.

- To nie wypadek drogowy - powiedział patolog. - Morderstwo. Moim zdaniem wygląda na atak z zaskoczenia. Na lewej dłoni znalazłem rany obronne. Kiedy obejrzymy kości pod mikroskopem, będziemy mogli powiedzieć coś więcej o narzędziu zbrodni, ale uważam, że to był nóż. Duży. Drobną kość lewego nadgarstka i śródrezcza są porozsuwane, jakby rozepchnięte... jak przy ukrzyżowaniu. Ofiara usiłowała zasłonić się przed napastnikiem, a ten w nią uderzał. Miał pewnie nóż do oprawiania mięsa... Podobne obrażenia są na klatce piersiowej. Jest ich wiele, wszystkie po lewej stronie. Mostek nosi ślady licznych urazów, dwa żebra są złamane. - Serratoso dotknął palcem w rękawiczce własnej piersi, wskazując okolice, o którą mu chodziło. - Bezpośrednio nad sercem.

Kronin obejrzał się w stronę domu.

- Doktorze, jest pan pewien, że napastnik był mężczyzną?

Serratoso popatrzył na zwłoki.

- Moim zdaniem tak. Najprawdopodobniej silnym mężczyzną. I praworęcznym.

- Prawdopodobnie.

- Owszem. Bardzo chciał pozbawić ją życia, zupełnie jakby miał ochotę wydrzeć jej serce. A później... - Serratoso uniósł dłonie w wyrażającym zdziwienie geście - ...włożył jej czyste ubranie.

- Ubrał ją?

Serratoso odwrócił się i popatrzył na zdeorientowanego Hagmeiera.



- Tak. O ile zdołałem ustalić, na ubraniu nie ma krwi. Sam materiał jest przetarty i gdzieś porozdzierany, ale moim zdaniem to robota owadów. Uważam, że ktokolwiek to zrobił, po morderstwie ubrał ofiarę. Myślę, że gdy ją zabijał, była naga. Wydaje się to najbardziej... najbardziej prawdopodobne.

Hagmeier zastanowił się przez sekundę, po czym pokręcił głową.

- Taa, ale po co zakładał jej okulary, doktorze?

## 2

Wtorek, 27 lipca

Tam, gdzie przed chwilą było oko Karen Bonner, żarzył się popiół. Pete Golding przesunął powoli zapalonym papierosem wzdłuż linii policzka i przekrzywił głowę na bok. Zastanowił się, gdzie przenieść papierosa, wreszcie wcisnął go w środek górnej wargi, tuż pod perfekcyjnym, skorygowanym chirurgicznie nosem gwiazdy oper mydlanych. Papier poczerlniał, pokrył się pęcherzami i popękał.

- Wiem, jak to jest, Raymond. - Golding zakreślił kółeczko papierosem, aż powstało małe, gorejące „O”. - Pisziesz miły list. Żeby wiedziała, że uwielbiasz jej grę. Pisziesz, ile dla ciebie znaczy. I co dostajesz w zamian? Dwuwierszowy liścik z inicjałami jakiegoś popychadła. Pisziesz więc znowu. Przecież gdyby nie ludzie tacy jak ty, nie znalazłaby się na topie i nie zarabiała mnóstwa szmalu. Byłaby nikim, prawda?

Raymond Lubett, otyły, czterdziestotrzyletni facet, siedział cicho jak trusia i wpatrywał się przez grube soczewki w nadpalony plakat. W kuchni było gorąco. Śmierdziało odpadkami i zwęglonym tłuszczem.

- Ona... ona sama go podpisała - powiedział, wskazując nieśmiałym gestem zdjęcie.

Golding zaciągnął się papierosem i przytrzymał plakat na odległość wyciągniętego ramienia, podziwiając swoje dzieło. Twarz Karen Bonner przestała być twarzą - zamieniła się w teatralną maskę bez oczu i ust. Golding zmiotł okrusz popiołu z jej dekoltu.

- Pisziesz następny list i tym razem w ogóle nikt ci nie odpowiada - ciągnął. - Zero. Pisziesz więc znowu. I jeszcze raz. I jeszcze. Każdego cholernego dnia, ponieważ należy ci się odpowiedź, prawda? No i co się dzieje, do diabła? Jakiś pieprzony prawnik zawiadamia cię wreszcie, że to nękanie. Sam powiedz, czy to uczciwe?

Lubett przełknął. Golding nie był zbyt wysoki ani mocno zbudowany. Miał wyraziste rysy, niebieskie oczy i jasnobrązowe włosy. Przeciętny mężczyzna, nie wyglądający na swoje trzydzieści pięć lat.

Jego spojrzenie cechowała jednak osobliwa kruchość, zagubienie wytrącające z równowagi, tym bardziej że nie pasowało do reszty. Czuło się, że w każdej chwili mógł wpaść w gniew, a wtedy nie odpowiadałby za swoje postępowanie.

- Musisz więc wybrać się do niej, prawda? Przecież nie zostawili ci wyboru, prawda? Musisz z nią porozmawiać. Musisz sprawić, by zrozumiała... prawda, Raymond?

Zwinął plakat w ciasny rulon zadrukowaną stroną na zewnątrz. Po skroiniach Lubetta ściekał pot, przesiąkając baczki i długi, rzadki kucyk.

- Chciałem tylko... chciałem...

- Chciałeś wszystko wyjaśnić. Ona ma kupę forsy, a sługusi wciskają jej skończone brednie. Wbili jej do głowy, że jest za dobra dla zwyczajnych ludzi. - Golding odwrócił się i zwiniętym plakatem dotknął końca nosa Lubetta. - Gdy jednak dzień się kończy, okazuje się, że ona jest kobietą, a ty mężczyzną. Trzeba jej tylko delikatnie przypomnieć, na czym stoi.

- Nigdy nie chciałem... - Lubett spróbował odzyskać oddech. - Nie mógłbym jej skrzywdzić. Nie...

- Zamknij się, Raymond. - Odwrócił się w stronę kuchenki i przekręcił kurek. - Ej, powiedz, jak to się zapala?

- Ten facet wciąż dla ciebie pracuje, Tom? Wiesz, o którego mi chodzi: Goldberg, Gold... jakoś tak.

Tom Reynolds, założyciel i szef agencji ochrony Alpha Global Protection, podniósł głowę znad stosu listów na biurku, ale szybko opuścił wzrok.

- Pete Golding? Pewnie. Jest na naszej liście prywatnych detektywów. Nie sądzę jednak, żeby...

- Podziwiam sposób, w jaki załatwił się z tym sukinsynem... z facetem, który chodził za Maddy Olsen. Moglibyśmy skorzystać z jego usług. Potrzeba nam chyba zdecydowanego działania.

Reynolds uniósł dłoń. Znał od dawna Lenny'ego Mayota i uważał go za potencjalnie przydatnego. Był to niski, czterdziestotrzyletni człowieczek z łysiną na czubku głowy. Jego twarz miała anielski wyraz, gdy się uśmiechał, a wojowniczy przez resztę czasu. Rozpoczął karierę jako adwokat, zajmujący się sprawami karnymi - bronił pijanych kierowców i sprawców drobnych bójek. Należało to jednak do przeszłości. Teraz kierował karierami mniej więcej tuzina sław, łącznie z wschodzącą prezenterką wiadomości telewizyjnych, kucharzem z własną audycją w telewizji i garstką dawnych

sportowców - w tym łyżwiarką Ellen Cusak. Nie był to zestaw najbardziej imponujący w Los Angeles, lecz Lenny dzielnie krzątał się wokół nawiązywania kontaktów i promowania swoich pupili. Wszyscy znali jego nazwisko. Alpha Global powinna chuchać na takiego klienta, bowiem agencja specjalizowała się w ochronie znakomitości, skarżących się na nękanie przez wielbicieli, a czasami na rzeczy o wiele gorsze. Kłopot z Lennym Mayotem polegał jednak na tym, że jeśli uczeplił się jakiegoś pomysłu, to nie umiał popuścić.

- No dobrze, ci faceci mają nierówno pod sufitem - powiedział. - Potrafię to zrozumieć. Mogę ich nawet pożałować, ale trzeba być naprawdę porządnie szurniętym, żeby nie zrozumieć, co znaczy, gdy ktoś mierzy do ciebie z pistoletu. Rozumie pan, o co mi chodzi? Wymierzony w głowę pistolet to oczywiście uogólnienie.

Reynolds podążył za spojrzeniem Mayota ku wiszącym na ścianie pałatkom z pracy w Wydziale Policji Los Angeles: odznaka, para pozłaczanych kajdanek i lśniący rewolwer kaliber trzydzieści osiem.

- Panie Mayot, w gruncie rzeczy stosujemy zupełnie inne metody...
- Pistolet i facet, który wie, jak go używać. Tak jak ten Golding.

Reynolds wyszczerzył zęby w przekonującej, miał nadzieję, imitacji uśmiechu.

- Mam na myśli, że sprawa Olsen była jedna na milion. McGinley przecież pierwszy otworzył ogień z dubeltówki, prawic? Pete strzelił w zwykłej samoobronie. Nasza praca nie polega na zabijaniu ludzi.

- Wiem, wiem - Lenny Mayot uniósł dłoń. - Mówię tylko, że miło jest wiedzieć, że w razie potrzeby można polegać na takim gościu. Przecież uratował jej życie, prawda? Nie może pan temu zaprzeczyć.

- Oczywiście, że nie. Nie chciałem tylko, żeby pan...

- Na pewno wpłynęło to korzystnie na pańskie interesy, prawda? Dla mnie tak właśnie powinna wyglądać globalna ochrona.

Przez chwilę Reynolds nie wiedział, co odpowiedzieć. Mayot miał bez wątpienia rację: zakończenie sprawy Maddy Olsen okazało się korzystne dla firmy. Agencja działała zaledwie od miesiąca, gdy aktorka się do niej zgłosiła. Nie uważano jej jeszcze za gwiazdę - wystąpiła w paru odcinkach seriali telewizyjnych i reklamie soku owocowego - ale Alpha Global wzięła tę sprawę, bo nie miała żadnej innej. Dziesięć tygodni później Arthur McGinley, który zobaczył Madeleine Olsen po raz pierwszy dwa lata wcześniej, gdy pracował jako recepcjonista, pojawił się pod jej domem w Pasadenie z naładowaną dubeltówką Ithaca Mag 19 Roadblocker, pistoletem automatycznym Brenten kaliber czterdzieści pięć i nożem myśliwskim. W nagrywanym przez siebie na wideo pamiętniku zostawił wiadomość, że zamierza zastrzelić ją i siebie. Nie wyjaśniło się, po co był mu nóż myśliwski. Na szczęście dla aktorki pod jej domem znajdował się w tym czasie również Pete Golding.

McGinley skonał po kilku sekundach z trzema kulami w piersiach. Strzelani- na odbiła się szerokim echem w całym kraju. Po kilku dniach Reynolds mógł robić coś zupełnie nowego - przebierać w klientach. Na szczęście do wiadomości publicznej nie dotarły przyczyny, dla których Maddy Olsen zrezygnowała z usług agencji na pewien czas przed incydentem.

Od tej pory Reynolds zdążył przyjąć do pracy nowych ludzi i przenieść siedzibę agencji do eleganckiego nowego biura w Century City, z którego roztaczał się widok na Beverly Hills i Aleję Gwiazd. Mimo to szef agencji miał opory.

Przeszedł do sektora prywatnego po dwudziestu latach pracy w Wydziale Policji Los Angeles. Pomagał w zorganizowaniu Grupy Neutralizowania Grózb - pierwszej policyjnej jednostki, zajmującej się uporczywymi pogroźkami i przypadkami nękania. Przez wszystkie te lata - a większość z nich przepracował w wydziale zabójstw - ani razu nie strzelał do człowieka. Alpha Global z założenia miała zapewniać usługi analityczne: oceniać poziom zagrożenia i doradzać, jakie zastosować metody zabezpieczające i środki bezpieczeństwa. Agencja miała pomagać ludziom unikać konfrontacji, a nie rozstrzygać je za nich. Poza tym miała ściśle przestrzegać zasad prawa. Reynolds czasami się zastanawiał, czy Golding istotnie to rozumie.

- No cóż - powiedział wreszcie. - Pete właśnie pracuje nad pewną sprawą.

Zrolowany plakat zajął się ogniem dopiero po dłuższej chwili. Golding mamrotał coś pod nosem, trzymając go nad palnikiem. Co parę sekund unosił go i sprawdzał, czy nie gaśnie.

- Nie można być zbyt ostrożnym, gotując na gazie - powiedział. - Zwłaszcza w takim miejscu. Wszędzie pełno tłuszczu i innego bzdiewia. Powinieneś od czasu do czasu tu posprzątać. Na pewno taki tłuszcioch jak ty nie chce usmażyć się na śmierć. Paliłbyś się pewnie jak jakaś kurewska świeca. I to całymi dniami.

Lubett rzucił spojrzenie na drzwi, najwyraźniej zastanawiając się, czy zdąży do nich dotrzeć.

- Niech pan posłucha... nie miałem na myśli nic złego. Byłem rozgniewany, tak jak pan powiedział, i...

- Wszedłeś do budynku, w którym mieszka panna Bonner, Lubett. Do stałeś się do środka, używając fałszywej odznaki policyjnej. - Sięgnął do kieszeni po tanią imitację i wyciągnął przed siebie, prezentując bezsporny dowód. - Panna Bonner miała chyba szczęście, że nie było jej w domu, prawda?

- Nie, nie! Nawet nie zamierzałem jej tknąć! Nie...  
- Sam mówiłeś, że chcesz dać jej nauczkę. Nagraliśmy twój telefon. Powiedziałeś, że masz zamiar... jak to określiłeś?... „Dać jej posmakować swojego bólu”. Co przez to właściwie rozumiesz?

Plakat zdążył zająć się ogniem. Golding odwrócił się i podszedł o krok bliżej, trzymając płonąca rolę przed sobą. Popatrzył krytycznie, zastanawiając się, w jaki twórczy sposób ją wykorzystać.

- Proszę!!!  
- Ten sam rodzaj bólu, jaki sprawiałeś swojej żonie? To znaczy byłej żonie?

Pomarańczowe płomienie lizały powietrze kilka centymetrów od twarzy Lubetta.

- Kłamała! Kłamała!!! - Głos grubasa zamienił się w falset. - Nigdy jej nie tknąłem.

- Raz złamałeś jej ramię. Trafiła przez ciebie do szpitala. Czy to samo chciałeś zrobić Karen?

- Upadła! Przysięgam, że tego nie chciałem!

- A może chodziło ci o coś trwalszego?

- Nie! Nie, ja...

Rozległo się kłaśnięcie jak z pistoletu startowego i odgłos pękającego drewna. Lubett runął w tył, wywijając nogami w powietrzu. Ugadł na podłogę i charczał bezradnie wśród kawałków roztrzaskanego krzesła. Golding wrzucił niedopałek papierosa do zlewu i stanął nad Lubettem.

- Sam się prosiłeś o wypadek - powiedział. - Tłusty facet, tanie meble. Ramiona Lubetta tańczyły groteskowo, jakby starał się ochronić całego siebie naraz. - Już wiem! - stwierdził pogodnie Golding. - Powinieneś przejść na dietę. Wypocić z siebie trochę gówna. - Popatrzył na rulon w dłoni i pomachał nim, aż zagaszył płomienie. - Proszę, trochę węgla na niestrawność, Raymond.

Wepchnął plakat Lubettowi w usta.

- Oczywiście, otrzymywanie takich listów zawsze jest denerwujące - powiedział Reynolds. - Wyobrażam sobie, co czuje pani Cusak. Musi pan jednak pamiętać, że w większości przypadków te listy są specjalnie tak pisane, by wytrącać z równowagi. Możemy uznać to za pocięchę.

- Pocięchę? - spytał Mayot, wskazując na listy. - Facet pisze, że odetnie jej twarz. Odetnie jej śliczną buzię i wsadzi do zamrażarki.

- Tak, widziałem. Chodzi mi jednak o to, że w podobnych przypadkach przemoc zwykle znajduje ujście w listach i nigdzie poza nimi. Facet chce odegrać się z sobie tylko wiadomych powodów na pani Cusak, dlatego

stara się ją przestraszyć. I to mu wystarcza. Gdyby rzeczywiście chciał zrobić jej krzywdę, w to właśnie włożyłby wysiłek, a nie w pisanie listów.

- Twierdzi pan zatem, że nie mamy się czym przejmować? - zapytał Mayot, marszcząc brwi.

- Prawdopodobnie nie.

- Prawdopodobnie?

Reynolds odchylił się na oparcie fotela, balansując długopisem pomiędzy palcami.

- Mój kolega doktor Romero przeprowadził interesujące badania w tej kwestii. Wiele zależy od natury związku między prześladowcą a ofiarą.

- Związku? - Lenny uniósł dłoń. - Nie ma żadnego związku.

- Cóż, to dopiero będziemy musieli ustalić - odparł Reynolds, kiwając z namysłem głową. - Proszę zrozumieć: jeśli pani Cusak kiedykolwiek spotkała się twarzą w twarz z tym człowiekiem... choćby był to przelotny kontakt, którego sobie teraz nawet nie przypomina, na przykład kłótnia o miejsce na parkingu czy jakieś nieporozumienie w sprawach zawodowych... wywołało to w tym mężczyźnie rozdrażnienie, gniew, poczucie braku bezpieczeństwa, najrozmaitsze negatywne emocje, ale prawdopodobnie nie jest groźny. Jeżeli jednak ten związek istnieje tylko w jego umyśle, natomiast nigdy nie miał miejsca w rzeczywistości, mamy do czynienia z kimś cierpiącym na poważne problemy natury psychiatrycznej: paranoję, schizofrenię, a może nawet erotomanie prawdziwą.

Mayot wsunął palec pod kołnierzyk i potarł podrażnione miejsce. Podteksty toczącej się właśnie rozmowy budziły w nim niepokój. Czuł się jak w szpitalu: miał wrażenie, że znalazł się niebezpiecznie blisko wszechświata cierpienia.

- Erotomanie? To lepiej czy gorzej?

Reynoldsa rozbawiła naiwność pytania.

- Moim zdaniem, w ostatecznym rozrachunku potencjalnie gorzej. Mówimy o zaburzeniach urojeniowych. O kimś, kto wyobraził sobie, że łączy go więź z panią Cusak, i czuje teraz gniew lub zazdrość, że ona nie reaguje na jego próby kontaktu. Musimy przebadać listy bardziej szczegółowo, by znaleźć oznaki takiego nastawienia. Statystyki wskazują jednak, że na erotomanie cierpią przede wszystkim kobiety, upatrując sobie męskie obiekty uczuć. Byłbym zaskoczony, gdybyśmy znaleźli wiele jednoznacznych dowodów urojeń. Trafniejsza byłaby zapewne diagnoza zaburzeń obsesyjnych.

- No dobrze. A zatem... - Mayot popatrzył na masywny zegarek do nurkowania. Za piętnaście minut był umówiony na obiad. - Przejdźmy do konkretów, Tom. Twoim zdaniem mamy kłopot czy nie?

Reynolds milczał przez chwilę, analizując w myślach pytanie. Nie znośił, gdy go poganiano. Podczas pracy w Grupie Neutralizowania Gróźb zawsze

mógł mówić tak długo, jak miał ochotę, ponieważ ludzie wiedzieli, że ma odpowiednie doświadczenie i wiedzę, a przede wszystkim rangę. W sektorze prywatnym klienci chcieli przede wszystkim, by ich problemy znikły. Nie interesowało ich, skąd się brały ani jak należało je rozwiązać. Reynolds wciąż nie potrafił do tego przywyknąć. Jedną z dość istotnych przyczyn tego stanu rzeczy był fakt, że gdy się miało do czynienia z szaleńcami, nie zawsze dawało się zrealizować wolę klienta. Szef agencji odchrząknął wreszcie.

- Mówię tylko, że samymi listami nie ma co się zanadto przejmować. Istnieją jednak pewne odmiany zaburzeń obsesyjnych, na które nie zawsze zwracają uwagę władze i przedstawiciele medycyny. Możemy mieć z nimi do czynienia w tym właśnie przypadku. Dla pewności zajmiemy się sprawą dokładniej, ale najprawdopodobniej pana klientce nie grozi niebezpieczeństwo.

- Dobrze. Przyślecie kogoś, prawda?

- Nie ma sensu ryzykować - przytaknął Reynolds.

- Pewnie. Widzi pan, chcę tylko być kryty na wszystkie strony. Nie chcę też, żeby Ellen nie mogła nadal przez to spać. Chcę, żeby czuła, iż wszystkim się zajęliśmy. Nie ma pan pojęcia, ile czasu potrzebowałam, by namówić ją do wyjścia z jej skorupy. Jest bardzo czuła na punkcie prywatności.

- Wiem o tym - zgodził się znowu Reynolds.

- Nie, na pewno pan nie wie - uśmiechnął się Mayot, kręcąc głową. - Bo niby skąd? Przez ostatnie cztery lata nikt o niej nie słyszał. Wycofała się całkowicie. Odrzucała wszystkie propozycje. Wie pan, dlaczego? Ponieważ uważała to za zakłócanie jej spokoju. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Tak...

- Dlaczego więc nie chce pan przydzielić do sprawy Goldinga? Nie przychodzi mi do głowy nikt, w kim mógłbym pokładać większe zaufanie, jeśli jakimś cudem sprawy przybiorą zły obrót... - Mayot podsumował zdanie wzruszeniem ramion.

Reynolds zamilkł, by nadażyć za tokiem jego rozumowania. Na tym właśnie polegał problem w rozmowach z agentami i prawnikami - mieli własne cele i nie chcieli zrozumieć, na czym polegają najlepsze interesy klientów. Trzeba było się z tym pogodzić i dostosować, chociaż o wiele łatwiej było pracować, gdy ludzie mówili sami za siebie.

- Lenny... Hmm, naprawdę nie sądzę, żeby Golding był odpowiednim człowiekiem. Mówiąc między nami... - Reynolds pochylił się nad biurkiem i zniżył głos - ...Pete czasami ma kłopoty z angażowaniem się w sprawę.

- O co panu chodzi? - Mayot zmarszczył brwi, nie przekonany. - Jest leniwy?

Reynolds zacisnął usta.

- Chodzi mi o to, że potrafi zaangażować się aż za bardzo. Niektórzy ludzie uważają, że czasem... posuwa się za daleko.

Lubett siedział oparty o lodówkę. Wciąż wypluwał strzępy zwęglonego papieru. Usta i podbródek miał wymazane śliną i popiołem.

Golding sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej złożoną na trzy części kartkę sztywnego papieru.

- Oto tymczasowy nakaz, wydany przez sędziego Irvinga. - Mówił powoli, jakby tłumaczył coś dziecku. Rozłożył arkusz i przybliżył go do przekrwionych oczu Lubetta. - Napisano tu, że nie wolno ci dzwonić do panny Bonner. Nie wolno ci pisać do panny Bonner. Na mocy orzeczenia Sądu Najwyższego nie wolno ci zbliżyć się do panny Bonner na odległość mniejszą niż trzysta metrów... aż do posiedzenia sądu w przyszłym miesiącu. Zamierzamy wtedy uzyskać stały nakaz o takiej samej treści. - Złożył arkusz i sięgnął do wycięcia w przepoconej niebieskiej koszulce tenisowej Lubetta. Ten spróbował się uchylić i rąbnął potylicą o drzwi lodówki. - Możesz z tym zrobić, co ci się podoba - ciągnął Golding. - Możesz spalić nakaz, spuścić go z wodą w klopie, zjeść go, jeśli masz ochotę. Wszystko mi jedno. - Ujął połę koszuli Lubetta w dwa palce i starannie włożył za nią złożoną kartkę. - Jeżeli jednak chociaż raz spróbujesz nękać Karen Bonner, wrócę tutaj, i to naprawdę wkurzony. Nie chcesz tego, prawda, Raymond?

- Nie chcę... - Lubett potrząsnął przecząco głową. - Nie chcę żadnych kłopotów.

- Wiem, że nie, Raymond. - Golding wyprostował się i wytarł dłonie w chusteczkę. - I wiesz co? Myślę, że w głębi duszy Karen Bonner też to wie.

### 3

Golding wszedł do siedziby agencji, niosąc jedzenie na wynos z restauracji China Joe. Przechodził właśnie do niewielkiej, podzielonej przegródkami części biura, którą zajmował z dwoma innymi detektywami, Denisonem i Rossem, gdy usłyszał:

- Pan Reynolds powiedział, żeby wpadł pan do niego natychmiast po powrocie.

Powiedziała to Andrea Craig, trzydziestoletnia kierowniczka administracyjna, w tej chwili pełniąca dyżur jako recepcjonistka. Była szczupła,

miała sztywno ułożone fale i bladą cerę, którą przeważnie ukrywała pod grubym makijażem. Jako jedyna osoba w agencji miała za sobą staż pracy w korporacjach. Golding nigdy nie zdołał przełamać dzielących ich lodów.

- Cóż, w takim razie chyba do niego zajrzę - powiedział, stawiając tacę z jedzeniem obok doniczkowej rośliny, którą Andrea niedawno zakupiła do sekretariatu.

- Miał pan też telefon - dodała. - Prawdopodobnie nagrany w pańskiej poczcie głosowej. Chyba od Jackie.

Samo wspomnienie tego imienia wystarczyło, by wzbudzić w Goldingu przypływ niechcianych uczuć: miłości, poczucia winy, straty. Nie widział się z siostrą od trzech dni - w sobotę zjedli kolację w jej mieszkaniu. Miał nadzieję, że nic jej się nie stało.

Golding zapukał i wszedł do gabinetu Reynoldsa. Szefowi agencji towarzyszył doktor Frank Romero. Psychiatra sądowy był drugim z założycieli Alpha Global. Przez większość kariery specjalizował się w przypadkach nękania i zachowań obsesyjnych. Pracował w Instytucie Psychiatrii Sądowej i Nauk Behavioralnych Uniwersytetu Południowej Kalifornii i był konsultantem w setkach spraw, prowadzonych przez organizacje zarówno prywatne, jak i państwowe. Do agend oficjalnych, z którymi współpracował, należała również Grupa Neutralizowania Gróźb, w której zetknął się z Tomem Reynoldsem. Stanowili osobliwą, ale skuteczną w działaniu parę. Wysoki, zawsze poważny Reynolds o ogorzałej twarzy i równo przystrzyżonych włosach ubierał się ze spokojną elegancją, jak przystało państwowemu urzędnikowi. Romero był nieduży, krępy i z reguły niedbale ubrany - zwykle w sztruksy i swetry wycięte w serek. Swoim zaangażowaniem dowodził, jak bardzo kocha i ceni swoją pracę. Romero przekonywał człowieka, że potrzebuje pomocy, natomiast Reynolds żądał dla niego kary dożywotniego więzienia - tak przynajmniej oceniał ich Golding.

- Witam.

Golding pozostał na progu. Miał nadzieję, że sprawa, którą do niego mieli, nie zabierze dużo czasu. Chciał odpowiedzieć na telefon Jackie. Romero, który czytał coś, stojąc pod oknem, odwrócił się i przywitał Pete'a a skinieniem głowy.

- Wręczyłeś nakaz Lubettowi? - zapytał Reynolds.
- Oczywiście. Bez problemów.
- Jak go przyjął?
- Przyjął, i tyle - wzruszył ramionami Golding.

Reynolds pokiwał w zadumie głową.

- Będzie go przestrzegali?

- Wie pan, jaki jest Lubett. Nawet on sam nie wie, co zrobi za chwilę.  
- Nie naciskałeś na niego za bardzo? Nie zrobiłeś... niczego niepożądanego?

- Wręczyłem mu papier. - Golding odwrócił dłonie wnętrzem do góry. Wyjaśniłem, jaka jest sytuacja.

- No dobrze. W porządku. - Reynolds pokiwał głową jeszcze przez chwilę, po czym wskazał fotel. - Usiądź, Pete. Mamy coś dla ciebie. - Golding głęboko zaczerpnął tchu i zajął miejsce. Romero wciąż sterczał za jego plecami, czytając dokumenty. Było późne popołudnie, zniżające się słońce odbijało się w szkle i stali fasad stojących naprzeciwko wysokościowców. - Słyszałeś kiedykolwiek o Ellen Cusak? - zapytał Reynolds.

- Pewnie. Łyżwiarka. Mistrzyni świata sprzed... Kiedy to było? Sprzed siedmiu lat?

- Ośmiu. Właśnie się rozwiodła.

- Niedawno wystąpiła też w reklamie Forda - dodał Romero.

Golding przypomniał sobie ujęcia czterodrzwiowego samochodu z napędem na cztery koła, zakręcającego w pędzie po zamarzniętym jeziorze, przeplatane migawkami stukilowych zawodników drużyny Kugarów w hokejowych strojach. Lód pryskał spod łyżew hokeistów, wpadali na siebie nawzajem i na bandę taflí - a pomiędzy scenami tego pobojuwiska pojawiała się sylwetka wdzięcznie szybującej w powietrzu łyżwiarki. Slogan reklamowy brzmiał bodajże: „Czym jest siła bez wdzięku?”.

- Tak czy owak wygląda na to, że ma wielbiciela - powiedział Reynolds.

Przesunął po biurku grubą plastikową teczkę. W środku znajdowało się około tuzina listów i kopert różnych rozmiarów i kolorów. Większość listów napisano drukowanymi literami, długopisem; do kilku użyto elektrycznej maszyny do pisania. Zanim Golding zdążył wyjąć pierwszy z nich, Romero podał mu czytany przez siebie arkusz.

- To ostatni - powiedział. - Przyszedł dwa dni temu.

List został napisany na bładoniebieskiej papeterii, na jakiej zwykle prowadzi się osobistą korespondencję. Czarny długopis wyrzył głębokie bruzdy w papierze, obsceniczne słowa były dwukrotnie podkreślone. Brzeg arkusza był poplamiony - kawą lub piwem. Czytając list, Golding poczuł, że ogarnia go chłód.

- Listy zaczęły przychodzić mniej więcej dwa miesiące temu - wyjaśnił Reynolds. - Ellen Cusak pierwsze wyrzucała. Od tamtej pory dostaje jeden lub dwa w tygodniu.

- Nikt nie próbował się z nią skontaktować? Nie było telefonów?

- Na razie nie - odparł Romero. - Autor jednak o tym wspomina. W czterech ostatnich listach trzykrotnie powtórzył się zwrot: „Będę czekał”. Opisy przemocy też stały się bardziej dosadne.

- Martwimy się, że może dodawać sobie ducha przed zbliżeniem się do pani Cusak - dodał Reynolds.  
Golding przerzucił zawartość teczki.  
- Lodowaty. Kiepska poezja.  
- Lodowaty, Nemesis, Kochanek. Lubi zmieniać pseudonimy, ale to wszystko robota tego samego człowieka. W gruncie rzeczy strasznie się powtarza.  
Golding popatrzył na Franka Romero.  
- No dobrze, co to za wariat?  
Psychiatra nie lubił takich pytań. Oparł się o parapet i skrzyżował ramiona.  
- Na pewno ma problemy osobowościowe. To nie jest dzieło zrównoważonego umysłu. Oczywiście nie mogę wykluczyć, że zażywa narkotyki, ale czy jest szaleńcem w klinicznym sensie? Trudno wyciągnąć taki wniosek.  
- No dobrze, jest tylko wkurzony. Wiadomo dlaczego?  
- Jego niechęć skupia się na tym, co postrzegają jako dowody bogactwa i statusu społecznego - powiedział Romero. - A także na rzekomej obojętności pani Cusak wobec zwyczajnych ludzi. Agresja seksualna ma to samo źródło: gniew, wywołany jej niedostępnością... Chociaż należy zaznaczyć, że listy zaczęły przychodzić dopiero po jej rozwodzie.  
- Czyli wtedy, gdy powinna stać się dostępna - wysunął przypuszczenie Golding. - Facet poprosił o randkę i dostał kosza.  
- Najwidoczniej nie - powiedział Reynolds. - Pani Cusak nie ma pojęcia, kim może być ten człowiek. Według jej agenta, nikt nie składał jej takich propozycji.  
- Jej agenta?  
- Lenny'ego Mayota - pokiwał znacząco głową Reynolds. - Spotkasz go. Oczywiście, nie zaszkodzi tego sprawdzić... na wypadek gdyby pani Cusak o czymś zapomniała.  
- Jasne, o ile będę miał okazję - powiedział Golding. - Mam spotkać się z jej osobistym agentem czy rzecznikiem prasowym?  
- Porozmawiasz z nią osobiście. Pojedziesz do niej jutro o dwunastej. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby pani Cusak miała rzecznika prasowego.  
Golding wyciągnął z teczki jedną kopertę.  
- Wiadomo, gdzie je nadano?  
- Sądząc po znaczkach, przeważnie tutaj, w aglomeracji Los Angeles - odparł Reynolds. - W Santa Monica, Venice. Nie ma raczej wątpliwości, że to miejscowy.  
- I wie, gdzie ona mieszka - uzupełnił Romero. - Chociaż to zbytnio nas nie dziwi. O ile mi wiadomo, dom pani Cusak został opisany w licznych artykułach, więc nie trzeba było wielkiego wysiłku, by go odnaleźć.  
- Doug Gorman wynajął jakiegoś głośnego architekta - powiedział Reynolds.

- Czy to nie tam dopiero co wykopano jakieś zwłoki? - spytał Golding.  
- Tak, to tam. Zanim jednak zaczniesz wyciągać wnioski, musisz wiedzieć, że ciało zakopano na długo przed wprowadzeniem się pani Cusak i jej męża. Sprawdziłem na policji. Leżało tam co najmniej cztery lata. Tak czy inaczej, nasza klientka przechodziła ostatnio trudny okres i... cóż, nie chcielibyśmy jej straszyc, rozumiesz? Zgłoszenie się do nas było pomysłem Lenny'ego Mayota, nie jej.

- Agenta?  
- Tak jest. Naszym zadaniem jest przede wszystkim zapewnić jej spokój. Nic z grubej rury. Masz jej doradzić, jakie środki ostrożności powinna zastosować, zorganizować kontrolę nad korespondencją i powiedzieć klientce, że nie ma się czym martwić.

Golding zmarszczył brwi. Obejrzał się na psychiatrę, by zorientować się, co on na to, ale Romero wychodził właśnie z gabinetu.

- Może właśnie powinna się martwić? - powiedział Golding. - Nic nie wiemy o tym facecie.

Drzwi zamknęły się cicho. Reynolds potrząsnął głową.

- Listy są przykre, ale nie ma w nich nic wyjątkowego. Słyszałeś, co powiedział Frank. Facetowi odwała, więc daje upust emocjom. Nie odbiło mu jednak na tyle, żeby dopuścić się czegoś rzeczywiście groźnego.

- A jeśli jednak odbiło?

Reynolds wyciągnął rękę przez biurko i położył ją na teczce, jakby zamierzał złożyć przysięgę.

- W Grupie Neutralizowania Gróźb widziałem tysiące takich listów, Pete. Prawie nigdy nic z nich nie wynikało. Wiesz, jak jest w najgorszych przypadkach. Chodzi o ludzi, którzy czegoś chcą. Chcą uwagi, związku... i tak dalej. Ten facet nawet nie prosi, żeby pani Cusak odpowiedziała. Wystarczy mu nadzieja, że zdoła ją postraszyć. - Reynolds uniósł dłoń. - Przeczytaj listy, Pete, a sam się przekonasz. Są obrzydliwe, ale to tylko pisani. To właśnie masz podkreślić, kiedy pojedziesz do klientki. Zrozumiałeś?

- Jak pan sobie życzy - wruszył ramionami Golding.

Zadzwoił telefon. Reynolds odebrał. Kolejny agent, kolejny wystraszony klient. Biznes kwitł. Golding już był w progu, gdy szef agencji wskazał egzemplarz łyżwiarskiego magazynu „Skating” na tacy na wychodzącą korespondencję.

- Możesz tu przeczytać wszystko o wielkim powrocie Ellen Cusak na taflę - powiedział i wrócił do rozmowy telefonicznej.

Głos Jackie brzmiał, jakby nagranie puszczone w spowolnionym tempie; zgłoski zlewały się pod wpływem zmęczenia lub alkoholu. Golding

miał nadzieję, że chodzi o to pierwsze - Jackie pracowała od szóstej do szóstej w restauracji sieci Howard Johnson. Ostatnio wróciła jednak do pica, więc nie mógł mieć takiej pewności.

„Przepraszam, że zwracam ci głowę w pracy, ale znów mam kłopoty z bojlerem. Przecieka gorąca woda. Przysięgam, aż paruje. John mówi, że to termostat. Wróci dopiero po północy, więc pomyślałam, że może przyjedziesz i spróbujesz to jakoś załatać. Nie martw się, jeśli nie dasz rady wpaść. Nic się nie stanie”.

Golding odłożył słuchawkę i popatrzył na swoje dłonie. Trzy lata temu siostra przeprowadziła się do Los Angeles z Chicago, gdzie mieszkała z paroma pielęgniarkami w obdrapanej kamienicy. To Pete zaproponował, by przenieść się na zachód; podkreślał dobroczynne efekty kalifornijskiego słońca. W niecały tydzień po przeprowadzce Jackie spotkała pracującego w AT&T Johna. Był rozlazłym, niedojrzałym gamoniem; wyobrażał sobie, że dobra zabawa składa się z palenia trawki i słuchania albumów Erica Claptona. Nie zawsze sypiał w domu. Gdy Jackie sądziła, że zostanie wieczorem sama, dzwoniła do Goldinga, żeby go pod byle pozorem ściągnąć do siebie. Awaria bojlera wyglądała na jeszcze jeden taki pretekst. Pete wiedział, jak przebiegnie spotkanie z siostrą. Początek minie spokojnie, ale wkrótce powie coś przykrego na temat Johna, a Jackie straci panowanie nad sobą i zacznie oskarżać go, że nie akceptuje jej związku, że ją lekceważy, że nigdy się o nią nie troszczył.

Ktoś przeniósł jedzenie z chińskiej restauracji na biurko Goldinga. Torba leżała na białym porcelanowym półmisku. Oleisty sos przesycał papier i wyciekał przez rozdarcie. Pete odepchnął półmisek na bok i rzucił na biurko egzemplarz „Skatinga”. Pismo otworzyło się na artykule poświęconym Ellen Cusak.

Pod nagłówkiem „Powrót legendy łyżwiarstwa?” całą rozkładówkę zajmowały zdjęcia. Po lewej siedemnastoletnia Jelena Kusak w sławnej ciemnoniebieskiej tunice przybierała stylizowaną pozę na zakończenie programu, zaprezentowanego w mistrzostwach kraju. Wystąpiła wtedy po raz pierwszy i od razu zdobyła medal. Po prawej o dziesięć lat starsza Ellen Cusak piła wodę z plastikowej butelki. Za plecami miała reflektor i krzesło na wysięgniku. Siedzący w nim reżyser wydawał jej instrukcje, dotyczące kręconej właśnie reklamy Forda. Golding odwrócił kartkę i zobaczył trzecią fotografię, mniejszą od pozostałych i starszą. Podpis brzmiał: „Cusak i jej ojciec Stiepan podczas treningu w Lake Arrowhead, na kilka dni przed zawodami juniorów strefy Południowo-Zachodniego Pacyfiku, na których Ellen zdobyła pierwszy tytuł mistrzowski”. Stiepan Kusak miał gęste, siwiejące włosy; szal zasłaniał mu prawie całą twarz. Mimo to widać było, że się uśmiecha - najwidoczniej rozbawiło go coś, co powiedziała mu córka.

Autor artykułu stwierdził, że niespodziewana śmierć ojca na atak serca stała się końcem początku sportowej kariery Ellen.

Golding skończył czytać i odrzucił magazyn na biurko. W odróżnieniu od pozostałych członków rodziny nigdy nie obchodziło go łyżwiarstwo. Krewni latami namawiali go, by spróbował swoich sił na lodzie; kusili lśniącoymi, nowymi łyżwami, ekwipunkiem hokejowym, a nawet wyjazdami na mecze drużyny Chicago Blackhawks. Goldinga to jednak nie interesowało. Nienawidził nie kończących się zim Środkowego Zachodu, twardej, zmarzniętej ziemi, białych pejzaży, w których nic nie mogło się ukryć. Nie znosił przebijającej z męskich rozmów naciąganej solidarności w obliczu przeciwności natury, pustki, jałowości, a przede wszystkim ciszy. Uciekł do Los Angeles właśnie dlatego, by się od tego wyzwolić.

## 4

Co my tu mamy?

Chagmeier sięgnął po teczkę leżącą na biurku Serratosy. Otworzył ją i znalazł kartę z odciskami palców. W prawym górnym rogu, gdzie powinno znajdować się zdjęcie, widniało wolne miejsce: „NN - kobieta, nr 273”.

- Arthur Gili zdołał uzyskać kilka niezłych odcisków z lewej dłoni - poinformował go Serratos.

- Doskonale. Odwalił kawał świetnej roboty.

- Tak, to skomplikowany proces. - Serratos przytaknął, widział jednak wyraźnie, że Chagmeier jest rozczarowany. - Artur ma własny przepis: etylenodwuamid dwusodowy kwasu tetracetylowego w roztworze detergentu. Odciski wychodzą jak malowanie. I tym razem wystarczają do pewnej identyfikacji.

Cztery wyraźne odciski i rozmazana smuga po małym palcu, przypominająca brązowy płomień świecy. Chagmeier odłożył kartę do teczki.

- Tak, gdybyśmy tylko mieli je z czym porównać.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Wiedzieli, że natkną się tylko na ślepe zaułki, jałowe ścieżki, ciągnące się w przyszłość do chwili, gdy być może jakiś degenerat powie policjantom w nadziei na złagodzenie kary, kto to zrobił. Inaczej perspektywy na rozwiązanie sprawy wyglądały raczej marne. Chociaż ciało pogrzebano w kompletnym ubraniu, nie znaleźli legitymacji ubezpieczenia społecznego czy prawa jazdy - jakiegokolwiek dokumentu umożliwiającego identyfikację. Chagmeier domyślał się, że morderca starannie wyczyścił kieszenie ofiary.

Frustrujące było zwłaszcza to, że chociaż ciało kobiety miało wiele znaków szczególnych, nie kojarzyło się z żadną z osób ujętych w bazach danych, zawierających legiony zaginionych Amerykanek.

- Mówimy więc o...?

- Kształt czaszki i morfologia wskazują że była to kobieta rasy białej - odparł Serratos. Wzruszył ramionami i położył rękę na teczce. - Na podstawie wzoru Trottera-Glesera dla białych kobiet, sądząc po długości kości udowej i piszczeli, można wyliczyć, że miała około stu siedemdziesięciu trzech centymetrów wzrostu. Ważyła więc, powiedzmy, czterdzieści dziewięć kilogramów.

- Myślisz, że była przed trzydziestką?

- Stan szwów czaszki sugeruje, że miała dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat, plus minus parę.

Hagmeier wiedział to wszystko z raportu z sekcji, ale liczył na to, że usłyszy od patologa jeszcze jakiś szczegół, wykraczający poza suche fakty. Chociaż miał opinię ostrożnego naukowca, Juan uwielbiał spekulować - i był w tym dobry.

- Co sądzisz o złamaniach?

Do złamań przedśmiertnych - z wyjątkiem obrażeń mostka i paw żeber - przywiązywali wielką wagę. Hagmeier nie potrafił przestać o nich myśleć. Świadczyły wymownie, jaki tryb życia wiodła nieboszczka. Ich obecność wykryto na prześwietleniach, wykonanych przez podwładnych Serratosy w nadziei znalezienia śladów zabiegów medycznych, które mogłyby umożliwić identyfikację. Dawno temu - prawdopodobnie jeszcze w dzieciństwie - coś lub ktoś złamał tej kobiecie nos. Lewy obojczyk również nosił ślady dwóch złamań, powstałych zapewne niejednocześnie. Podobne ślady znaleziono na kości ramieniowej i łokciowej lewej ręki. Zwłokom brakowało zębów przedtrzonowych i trzonowych po prawej stronie; zamiast nich była wstawka dentystryczna.

- Możliwe, że to skutki maltretowania - odparł Serratos. - Mogło to jednak mieć inne przyczyny.

- Na przykład sport?

- Chociażby. Przyczepy mięśniowe są dobrze rozwinięte, zwłaszcza na nogach. Kobieta mogła być biegaczką.

- Nie łamie się zbyt wielu kości na bieżni, doktorze.

- Rzeczywiście - Serratos uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie sposób. - Nasza pani na pewno jednak uprawiała jakiś sport. Jestem gotów założyć się o każdą sumę. Bóg jeden wie, jaki... może surfowała, może była kick bokserką. Może pracowała przy wykopach na drodze, by utrzymywać się w formie.

- Kick bokserka z dzieckiem?

Blizny po rozejściu się kości miednicy świadczyły, że kobieta rodziła. Hagmeier miał nadzieję, że oznacza to, iż gdzieś pozostał ktoś bliski zamordowanej kobiecie. Ktoś, kogo związek z nią uda się wreszcie ustalić. Jeżeli zabił ją obcy, szanse na zamknięcie sprawy były o wiele mniejsze.

- Kick bokserki to mimo wszystko kobiety. - Serratos przesunął dłonią po czole. - Jeżeli jednak chce pan znać moje osobiste zdanie... uważam, że ta kobieta była maltretowana jako dziecko. Dopiero później zaczęła uprawiać sport.

Hagmeier zmarszczył brwi i popatrzył na kartę z odciskami. Delikatne palce, subtelne wzory pętlic. Drżące dłonie Wzniesione dla osłony przed tnącym ciałem nożem. Zbyt wiele cierpienia jak na jedną osobę, pomyślał. Mrugnął i potrząsnął głową.

- A zatem...

Przez chwilę nie wiedział, co mówić dalej.

- Kto to zrobił? - podsunął Serratos z uśmiechem. Hagmeier również się uśmiechnął, uświadamiając sobie, że patolog miał rację; właśnie takie pytanie miał ochotę zadać, bez względu na to, jak daremne się wydawało. - To ty jesteś detektywem - powiedział Serratos po chwili.

Hagmeier nagle zapragnął zapalić papierosa, ale Serratos nie pozwalał na to w swoim biurze. Zmusił się więc do skupienia uwagi na niewielkich plamach, niosących istotne informacje - na odciskach palców zamordowanej kobiety.

- Ktoś, kto ją znał - powiedział do siebie. - Facet morduje w szale. Niemal przecina ją na pół... jak myślicie, czym?

- Nożem do mięsa. Spiczastym, z ostrzem po jednej stronie. Co najmniej piętnastocentymetrowym.

- Dziabie ją tym... tym wielkim majchrem, a potem ogarniają go wyrzuty sumienia. Stara się sprawić, by wyglądała normalnie. Nawet wkłada jej z powrotem okulary. Ubiera ją, i to ciepło, w golf i kurtkę narciarską, jakby mogła zmarznąć.

Serratos powoli pokiwał głową.

- Odkąd to tutaj bywa zimno? - zapytał.

- To samo powiedział Mart. Może byli w górach, aleja tego nie kupuję. Po co by ją tu przywoził?

Serratos splótł palce.

- Może okutała ją, żeby krew nie przesiąkała i nie zabrudziła mu samochodu. Może po prostu nie chciał więcej patrzeć na swoje dzieło.

- Może - odparł Hagmeier. - Kłopot w tym, że nie była zawinięta, ale starannie i z rozmysłem ubrana.

- Może zamierzał pogrzebać ją w górach i chciał, żeby jej było ciepło.

- To chyba bardziej prawdopodobne - powiedział Hagmeier. - Kto wie, co chodziło facetowi po głowie? Jeżeli to facet. - Zastanowił się przez



kilka chwil nad własnym stwierdzeniem. - Planował zostawić ją w górach, ale zdołał dotrzeć tylko do Brentwood. Jeździ po mieście z trupem, dostrzega pustą parcelę i postanawia natychmiast go się pozbyć.

- Wyszukuje dziurę...
- I wrzuca do niej ciało.

Serratoso wciągnął powietrze przez zęby, co robił zwykle, gdy był niezadowolony lub nie przekonany.

- Nie martwił się, że ciało zostanie szybko odnalezione? - zapytał. - Skoro trwała budowa nowego domu, musiał tu stale ktoś kopać.

- Może o tym nie wiedział. Zobaczył parcelę i pomyślał, że nikt się nią nie interesuje.

- A wypytywanie w okolicy? - spytał Serratoso. - Dowiedzieliście się czegoś?

- Jeszcze nie skończyliśmy. - Hagmeier zrobił kwaśną minę. - Niczego nie wycisnęliśmy z sąsiadów, z wyjątkiem faceta, który mieszka tuż obok. Mówi, że przez ostatnich kilka lat kręciły się tu najróżniejsze podejrzone typy... fani, ludzie starający się robić zdjęcia Douga i Ellen.

Serratoso poskrobał się po podbródku.

- A firma budowlana?

- Fundamenty położono w październiku dziewięćdziesiątego szóstego. Dom stawiał Hanemas Domus, najdroższa firma w dolinie. Duża w niej fluktuacja kadr, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi bezpośrednio zatrudnionych na budowach. Paru gości nadal tam pracuje, ale nie byli w stanie wiele pomóc. Staramy się namierzyć cieśli, szklarzy i elektryków, ale szczerze mówiąc, nie wiążę z nimi wielkich nadziei.

- A poprzedni właściciel działki?

- Walter Thorn, partner w firmie prawniczej. Przeprowadził się z żoną do okręgu Orange. Pokazał mi zdjęcia poprzedniego domu, w stylu hiszpańskiej willi. Facet był wkurzony na Douga Gormana, że ją zburzył, chociaż szczerze mówiąc...

Hagmeier zawiesił głos. Popatrzył na tablicę z planem zajęć na ścianie gabinetu Serratosy i głęboko westchnął.

- I co dalej? - spytał patolog.

Wyczerpali wszelkie możliwości i obaj zdawali sobie z tego sprawę. Przez chwilę Hagmeier patrzył na Serratosę w milczeniu.

- Nagłaśniamy sprawę - powiedział wreszcie. - Nasz człowiek pracuje nad portretem... w oparciu o to, co zostało z głowy. Jak tylko dostaniemy zdjęcie, z którego będziemy zadowoleni, zarzucimy nim ulicę.

Serratoso milczał chwilę, ale w końcu uznał, że wypada podsumować rozmowę optymistycznym akcentem.

- Ktoś musiał znać tę kobietę - stwierdził.

Wszyscy bardzo dobrze ją znają - powiedział Mayot. - Reklama Forda sprawiła, że ponownie zaistniała, a kiedy tournée *Dziadka do orzechów* się rozkręci...

- Daj spokój, Lenny. - Gil Knapp uniósł dłoń. - Ile czasu będą puszczać tę reklamę? Trzy miesiące, sześć?

Mayot odchylił się od małego, okrągłego stolika i zaczerpnął tchu. Starął się wciągnąć powietrze jak najgłębiej, według instrukcji nauczyciela jogi. Mówił przenikliwym, przesadnie radosnym głosem, co nie było najlepszym sposobem zwracania się do Knappa, jednego z kierowników produkcji w wytwórni Knapp-Weinstein.

- No dobrze, Gil. - Mayot rozejrzał się po gustownym wnętrzu restauracji i upił łyk drinka. - Posłuchaj, nie chciałem o tym mówić... - zawiesił znacząco głos. Knapp schylił ogorzałą twarz i rzucił Lenny'emu spojrzenie godne cierpliwego lwa, mówiące: „No dobrze, gadaj”. - Chodzi o to, że Ellen robi książkę z Barbarą Christian. - Knapp patrzył dalej bez słowa. Nazwisko najwyraźniej nic dla niego nie znaczyło. - Barbarą Christian - powtórzył Mayot. - To dziennikarka z „Variety”. Dorabia sobie pisaniem książek dla wydawnictwa Argyle, publikowanych wyłącznie w miękkiej oprawie, po sześć dolarów sztuka, z upustami przy hurtowych zamówieniach. Sprzedaje sieje przy kasach... na pewno znasz takie stoiska w supermarketach, gdzie handlują horoskopami i przepisami? - Knapp przytaknął. - I biografiami sław. Gwiazd filmowych, sportowców. Okazuje się, że Barbara ma fioła na punkcie łyżwiarstwa, nawet sama jeździ. Właśnie napisała dzieło o Nicole Bobek. Wielki przebój, szedł na metry.

- Co to znaczy, na metry?

- Sprzedano kupę egzemplarzy. Na pewno setki tysięcy.

Knapp wzruszył ramionami i zabełtał whisky w szklance.

- Lenny, mówisz o książkach. Abe i ja robimy w wideo i telewizji.

- Mówię o wideo, Gil. Mówię o Ellen Cusak, o jej image'u. Christian bardzo się zapaliła do tej roboty. Pracuje już nad pierwszym szkicem. Argyle zamierza wydać książkę przed Bożym Narodzeniem. Niech to do ciebie dotrze.

- Przed świętami? - Knapp zmarszczył brwi. - To już za pięć miesięcy.

- I to jest właśnie najpiękniejsze, Gil. Te książczyny mają sto pięćdziesiąt, góra dwieście stron. Christian tłucze je jedna po drugiej. Nie powiedziałbym jej tego w oczy, ale to w gruncie rzeczy dziennikarstwo. Sam wiesz, najnowsze materiały i ładniusie fotografie, ale wydawane w postaci książkowej. - Lenny pociągnął łyk i przełknął. - A życie Ellen... no, nie

chcę, żeby zabrzmiało to niedelikatnie, ale co mogę powiedzieć innego? To fascynująca lektura.

Knapp uniósł brwi i pokiwał głową.

- Dziewczyna bez wątpienia wiele przeszła.

- Zgadza się, do cholery. Zaczniemy od jej przyjazdu do Stanów w osiemdziesiątym szóstym, od ucieczki razem z ojcem przed komunizmem. Wjeżdża na łyżwach po tytuł mistrzyni świata, trafia do wszystkich domów w kraju, aż tu nagle... - Lenny uniósł dłonie - ...tatusiek umiera. Ellen jeździ coraz gorzej. Jej małżeństwo się sypie i... - Widząc minę Knappa, Mayot postanowił skrócić litanię nieszczęść. - ... I wreszcie następuje triumfalny powrót! - dokończył z entuzjazmem.

Knapp dopił drinka i odwrócił wzrok. Lenny nie spuszczał oka z profilu starszego mężczyzny. Pokiwał głową. Wytwórnia Knapp-Weinstein idealnie nadawała się dla Ellen. Jej produkty nie były najwyższej jakości, ale Gil i Abe potrafili je sprzedać. Wiedzieli, jak zrobić dużą kasę, a ich dystrybutorzy mieli wejścia u hurtowników wideo i w supermarketach w całym kraju. Jeśli ktokolwiek potrafi sprzedać Ellen Cusak publice na Środkowym Zachodzie, to właśnie oni.

- Zastanów się chwilę nad harmonogramem, Gil. Argyle mówi o wypuszczeniu książki na rynek piętnastego grudnia. W tym czasie Ellen Cjsak będzie występować od sześciu tygodni w miastach całego kraju. Wzbudzi sensację. Małe dziewczynki będą siedziały na spektaklach na brzeżkach krzesel, a ich matki będą żałowały, że nie prezentują się równie zgrabnie w obcisłych kostiumach. - Knapp kiwnął głową. - No dobrze, jedziemy jeszcze miesiąc do przodu - powiedział Lenny, zataczając krąg dłonią. - Piętnasty stycznia. Za dużo wędzonki, za dużo deserów w święta. Mamuśka wraca do supermarketu po chudą cielęcinę i co widzi?

Uniósł rękę w tandetnym geście gwiazdy estrady, pojawiającej się w świetle reflektorów.

- Wideo z ćwiczeniami Ellen Cusak - powiedział Knapp, nie przekonany do końca. - Wyprodukowane przez Gila Knappa i Abe Weinsteina. - Lenny opuścił dłonie. - Szkoda, że Abe nie mógł przyjechać na to spotkanie - rzekł Knapp z westchnieniem. - Chybaby na to poszedł.

- A ty? Co o tym sądzisz, Gil?

Knapp zapatrzył się w pustą szklanę.

- Cóż, prawdę mówiąc, przychodzą mi do głowy dwa słowa - odparł. Dla dokładności odliczył je, odginając palce: - „Lód” i „magia”.

Lenny zmusił się do kiwnięcia głową, by wyrzucić wrażenie odpowiedzialnego faceta, obmyślającego rozsądny argument. Magia Lodu. Ten tytuł włóknął się za nim jak koszmar. W połowie tournée „Mistrzowie Lodu” w dziewięćdziesiątym szóstym roku, za które łyżwiarce zapłacono siedemset

pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Ellen wycofała się z powodu bólu w kolanach. Agencja Magia Lodu, która zajmowała się promocją trasy, zażądała medycznego potwierdzenia jej dolegliwości, a gdy się go nie doczekała, zaczęła się wrednie zachowywać. Prasa donosiła o każdym szczególnie zaciętego prawniczego sporu, który z tego wynikał. Przez miesiąc Lenny miał wrażenie, że każdy brukowiec, jaki trafiał mu w rękę, drukował artykuły albo o przepychankach z Magią Lodu, albo o rozpadzie małżeństwa Ellen.

- Rozumiem, Gil, ale ty z kolei musisz zrozumieć, że... no, że to jest powrót do sławy. Do tego, czym Ellen cieszyła się wcześniej. Poza tym... poza tym Ellen ma teraz motywację. Chyba większą niż kiedykolwiek. Widziałeś reklamę Forda, co? Kazali jej całymi dniami robić potrójne skoki, by móc ją należycie oświetlić.

Knapp przekrzywił głowę na bok.

- Wyjaśnijmy sobie coś, Lenny. Mówimy o jeźdzeniu na łyżwach dla zdrowia, dla podszlifowania formy, tak?

- Nie - Lenny zaprotestował oburącz przeciwko takiej supozycji. - O normalnych ćwiczeniach. Aerobik, kroki, rozciąganie, może z paroma wstawkami z występów Ellen na taflach. Ewentualnie z dodatkiem o prawidłowym odżywianiu. - Knapp po raz kolejny pokiwał głową. - Sam wiesz, na czym to polega, Gil. Ellen Cusak jest piękną kobietą i była mistrzynią świata, ucieleśnieniem aspiracji tłumów. Jeżeli powie, że zdradza sekret, co zrobić, by wyglądać tak jak ona, ludzie będą kupowali jej kasetę.

- Możemy kręcić u niej w domu? - Lenny wyprostował się na krześle. - Jeżeli potraktujemy to jako materiał o sławnej osobie, jej dom byłby pożądanym rekwizytem - wyjaśnił Knapp, pochylając się naprzód i wspierając łokcie na stole. - Pamiętaj, że ludzie interesują się również Gormanem. Zważywszy na przepychanki przy rozwodzie, na pewno są ciekawi, co dostała jako rekompensatę.

- Chryste, Gil, to kasetka z ćwiczeniami, a nie dokument! - Lenny potarł dłonią obrus. Knapp pokiwał głową, był jednak najwyraźniej niezadowolony. - Gil, problem polega na tym...

Problem polegał na tym, że Ellen była ostatnio nieco nadwrażliwa na punkcie intymności. Policja grzebała w jej ogrodzie, a jakiś maniak słał jej listy z pogrózkami, więc raczej się nie zgodzi na rozstawienie przez ekipę filmową reflektorów w oranżerii.

- Na czym? - zapytał Knapp? - Co to za problem?

- Cóż... - Lenny wzruszył ramionami. - Sam rozumiesz, po tym... po tym...

- Po znalezieniu trupa? Sztynniaka w jej ogrodzie? O to ci chodzi? - Mayot przytaknął. Knapp uśmiechnął się i odchylił na oparcie. - Jezu, Lenny, myślałem, że sam to ukartowałeś, żeby podtrzymać zainteresowanie prasy.

W wtorek wieczorem Ellen Cusak czekała na ławce przy tafli lodowiska Pickwick w Burbank, przyglądając się zataczającemu niespiesznie koła tłumkowi. Wydawało się, że par na tafli jest więcej niż zwykle. Mężczyźni i kobiety ślizgali się, trzymając się za ręce. Niektórzy próbowali nawet pasaży i piruetów, jak gdyby w zwolnionym tempie tańczyli rock and rolla. O wpół do dziewiątej lodowisko przechodziło w ręce miejscowego klubu łyżwiarskiego, żeby młode talenty mogły przystąpić do treningu. Do tej pory jednak wstęp był nieograniczony. Przyglądając się zaczerwienionym, uśmiechniętym twarzom, Ellen starała się nie myśleć o odbytym kilka godzin wcześniej spotkaniu ze swoim księgowym.

Martin Wardell, zapięty pod szyję buchalter starej daty, dawał wyraźnie odczuć, że uważa łyżwiarkę za osobę naiwną i nieodpowiedzialną. Zdawał się traktować jako osobistą obrazę, że podczas postępowania rozwodowego nie próbowała uszczknąć części przyszłych dochodów byłego męża z większą determinacją, zadowolając się w zamian domem w Brentwood oraz połową udziałów w mizernym pakiecie oszczędnościowym, jaki ftcał z pięcioletniej orgii zakupów Douga i katastrofalnych prób inwestowania w branżę restauracyjną. Pośepnie, jak sędzia obwieszający wyrok, Wardell zaprezentował Ellen „bezsprzeczne fakty”, dotyczące jej sytuacji finansowej. Do spłacenia pozostało dwieście tysięcy dolarów hipoteki, którą był obciążony dom. Jeżeli Ellen nie zacznie wkrótce regularnie zarabiać, jej sytuacja może się gwałtownie pogorszyć. Powinna liczyć się nawet z ryzykiem eksmisji lub czegoś jeszcze drastyczniejszego. Wardell zerknął na zaparkowany na podjeździe mercedes kabriolet i zasugerował, że Ellen powinna rozważyć „pewne korekty stylu życia”, dopóki dom nie zostanie sprzedany, a jej sytuacja się nie „ustabilizuje”. Wypowiadał się tak dosadnie, bo pewnie wyobrażał sobie, że jako wychuchana niegdysiejsza gwiazda łyżwiarka ma trudności z wczuciem się na powrót w realia. Być może podejrzewał nawet, że Ellen spróbuje uciec od rozmyślania o swoich podupadających finansach, organizując eskapadę z kartą kredytową po Rodeo Drive lub wyjazd helikopterem na parę tygodni na narty w Nowej Zelandii.

Pan Wardell nie wiedział jednak, że dom już został wystawiony na sprzedaż. Dlatego właśnie Ellen chciała naprawić basen. Problem polegał jednak na tym, że brakowało chętnych. Agent handlu nieruchomościami tłumaczył z przeproszącą miną, że w zwykłych warunkach miałyby już ze dwie dziesiątki ofert. Dom był piękny, a na rynku panowała koniunktura. Oferta sprzedaży została szeroko rozgłoszona. Ewentualnych nabywców zniechęcało jednak niedawne „znalezisko”. Wszyscy o nim słyszeli. Złożono jedną

ofertę, proponowana cena była jednak tak niska, że agent nie zadał sobie nawet trudu, by ją przekazać. „Na razie dom ma złą karmę” - powołał się na hinduistyczne pojęcie, po czym zaproponował, by Ellen wycofała ofertę i złożyła ją ponownie za rok. Miała do wyboru albo to, albo znaczące obniżenie ceny.

Dowiedziawszy się o jej działaniach, Wardell nieco zmiękł. Skruszał jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że Ellen wydała trzy tysiące dolarów na przegląd mercedesa, zamierzając sprzedać przynajmniej samochód. Szczegółowo przedyskutowali możliwości działania, szukając kolejnych oszczędności. Wardell chyba w końcu docenił postępowanie swojej klientki. Doradził jej nawet markę używanego samochodu - preferował japońskie wozy. Przy jednym obstawał jednak nieugięcie: uważał, że gospodyni na pełny etat to luksus, na który Ellen nie może sobie pozwolić. Sprzątaczką raz w tygodniu - proszę bardzo; dobrze płatna stała pracownica to zupełnie co innego.

Maria Dominguez była zatrudniona u Ellen i Douga od czterech lat. łyżwiarka traktowała ją niemal jak członka rodziny. Maria często zabierała ze sobą do pracy trójkę dzieci, zanim urosły na tyle, że poszły do szkoły. Gdy Ellen była akurat w domu, bawiła się z nimi w ogrodzie lub pilnowała ich, gdy oglądały telewizję. Wołały na nią „Tia Elena” - ciocia. Pamiętała kartki i prezenty, które dawała im na urodziny. Nakreślony dziecinną rączką ośmioletniej Teresy list z podziękowaniem wciąż tkwił pod ramką lustra w jej garderobie.

Ellen bała się samej myśli, że mogłaby zwolnić Marię. Za nic nie miała ochoty zostać zupełnie sama w tym domu, zwłaszcza wobec dziejących się ostatnio koszmarów. Gdyby jednak rzeczywiście zdołała powrócić na tafle i gdyby Lenny załatwił jej dalsze oferty występów, może zdołałaby zatrzymać Marię. Sprzedaż mercedesa stanowiła skuteczną grę na zwłokę. Na jesieni powinny wpłynąć pieniądze za tournée z *Dziadkiem do orzechów* - mniej niż dostawała zwykle, mimo wszystko jednak suma nie do pogardzenia. Miała też nadzieję, że do końca trasy zdoła sprzedać dom za uczciwą cenę, a Maria będzie mogła podjąć pracę dla nowych właścicieli.

Myśli Ellen przerwał pisk sprzężenia w nagłośnieniu. Ktoś odkaszlnął, potem kobiecy głos oznajmił, że jest wpół do dziewiątej i pora zejść z tafli. Minutę później Ellen dojrzała w wyjściu z szatni Sama Ritta i jednego z trenerów klubu. Za nimi szło sześcioro juniorów, każdy z łyżwami pod pachą.

Ellen i Sam znali się od dawna. To właśnie Sam pomagał jej w przygotowaniach do zawodów juniorów bezpośrednio po wyjeździe z Ukrainy. Pozwolił jej trenować niemal za darmo. On również odegrał kluczową rolę w umieszczeniu Ellen w elitarnym ośrodku szkoleniowym w Lake Arrowhead na początku lat dziewięćdziesiątych. Podczas pięcioletniego małżeństwa

Ellen straciła kontakt z Samem - stanowiło to jedną z wielu omyłek, które popełniła w tym burzliwym okresie - było więc dla niej całkowitym, lecz miłym zaskoczeniem, gdy skontaktował się z nią ponownie przez Lenny'ego. Zastanawiając się nad tym później, zaczęła podejrzewać, że Mayot maczał palce w ich powtórny spotkaniu - że traktował to jako element planu namówienia jej do powrotu na taflę.

Powód odnowienia znajomości przez Sama spieszyl właśnie w stronę Ellen z roześmianą dwunastoletnią buzią. Tina Tucker zapowiadała się bardzo obiecująco. Była tak skoczna, że Sam natychmiast ochrzczył ją Tyglyskiem. Podobnie jak większość dziewcząt w jej wieku i o jej talentach, Tyglysek marzyła wyłącznie o zapierających dech w piersiach potrójnych skokach. Podchodziła do nich po piorunującym rozbiegu, stosownym dla kogoś o wiele bardziej doświadczonego. Gorzej jednak było z jej stylem. Słyszając, że Ellen wraca na lód, Sam pomyślał, że mogłaby pomóc Tinie w dopracowaniu ekspresyjnych elementów jej tańca. Ellen przyjechała na lodowisko Pickwick już po raz czwarty, by tchnąć oszczędność i wdzięk w ruchy Tyglyska na tafli. Stwierdziła, że wyczekuje tych sesji z większą niecierpliwością niż czegokolwiek innego - nie tylko dlatego, że Tina była gorliwą i zdolną uczennicą, ale także, że sama świetnie się bawiła w jej towarzystwie.

Zanim zdołały się przywitać, Tina złapała Ellen za rękę i pociągnęła za sobą w stronę głównego wejścia.

Ellen dostrzegła parę w średnim wieku, stojącą tyłem do tafli. Małżeństwo zachowywało się tak, jakby chciało dać do zrozumienia, że znalazło się tu bez żadnego szczególnego powodu. Margaret Tucker była szczupła i przystojna. Miała ciemne jak córka włosy, ścięte nieco zbyt krótko, by jej fryzurę można było określić jako konserwatywną. Dopasowany kolorystycznie pastelowy komplet - niebieska spódnica i żakiet - wyglądały, jakby świeżo odebrały je z pralni chemicznej. George Tucker był przyjaźnie wyglądającym mężczyzną z grzywą falujących, siwych włosów i mocno pobrużdżoną twarzą. Ellen słyszała o ofiarach, jakie ponosili rodzice Tiny, by zapewnić córce jak największe szanse na sukces. Trudno byłoby nazwać ich bogatymi, a trenowanie, wyposażenie i wynajmowanie lodowiska, by umożliwić rozwijanie talentu Tiny, kosztowały tysiące dolarów rocznie. Był to jeden z powodów, dla których Ellen zgodziła się pomóc Tyglyskowi za darmo. Wiedziała aż zbyt dobrze, jak ciężkie są takie wyrzeczenia.

- Nie potrafię wprost wyrazić, jacy byliśmy podekscytowani, gdy Tina powiedziała nam, że pani będzie ją szkolić - powiedziała Margaret Tucker, gdy tylko zostały sobie przedstawione. - Zawsze byliśmy pani wielkimi wielbicielemi.

- Wielkimi - zawtórował jej mąż.

- Zawsze. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni.
- Nie ma za co - odparła Ellen, lekko zażenowana. - Uwielbiam pracować z Tiną. Naprawdę. Ma wyjątkowy talent.
- Naprawdę pani tak sądzi? - zapytała Margaret Tucker. George Tucker zakołysał się z dumą na piętach.
- Bez cienia wątpliwości - odrzekła Ellen. - Tina ma wrodzony talent. Czy któreś z państwa jeździ na łyżwach?
- Kiedyś jeździliśmy jako para, ale już dawno - powiedział George. - I tylko po amatorsku.
- Więc ma to we krwi - odparła Ellen.
- No, chyba tak. Mam pomysł... - George rzucił żonie niepewne spojrzenie. - Bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby... no, wpadła pani do nas kiedyś na drinka. Albo... albo na kolację. Uważam, że jesteśmy pani to winni...
- Och, George! - Pani Tucker zdecydowanie ujęła męża pod ramię. - Uważam, że pani Cusak i tak poświęca nam dość czasu. - Zerknęła na nią i przewróciła oczami. - Nie możemy liczyć, że dotrze na sam koniec Glendale tylko po to, żebyś miał czym się pochwalić przed kolegami z pracy.
- Ellen dojrzała zawód we wzroku Tiny.
- Wręcz przeciwnie - powiedziała. - Jestem wdzięczna za zaproszenie. Naprawdę. Możemy się umówić, kiedykolwiek państwo zechcą.
- No, to wspaniale - odparł George Tucker.
- Mam wynajęte lodowisko w dwa następne czwartki - powiedziała Tina. - Ellen mogłaby później przyjechać ze mną.

Półtorej godziny później Ellen wracała przez pusty, jaskrawo oświetlony parking. Trening się udał, a pod koniec Sam Ritt podszedł do łyżwiarki i zapytał, czy nie pomogłaby dopracować paru programów na zimowe mistrzostwa juniorów strefy Południowo-Zachodniego Pacyfiku. Ellen zgodziła się i natychmiast musiała odpowiedzieć na pytania Sama o stan jej zdrowia, dzięki czemu poczuła się znów jak nastolatka. Wypytywał ją dietę, o to, jak sypia. Nie zamierzała mu mówić całej prawdy. Stwierdziła, że jeśli już, to śpi za dużo - wstaje przeważnie późno i nawet drzemie popołudniami. Rzeczywiście tak było, ale tylko dlatego, że ostatnio niepokój nie pozwalał jej zasnąć w nocy aż do rana.

Zaczął się od listów. Przestała je czytać już jakiś czas temu. Lenny nalegał, by je odkładała zamiast wyrzucać do śmieci, bo przydadzą się jako dowody. Ellen jednak ogarniał strach na widok prymitywnego, sugerującego brutalność pisma na kopertach. Sama świadomość, że ktoś stale wypisuje te bzdury, że być może kolejny przekaz nienawiści jest w drodze, podczas gdy Ellen leży w ciemnościach swojego pokoju, wystarczał, by odebrać jej sen.

Do tego doszły telefony w środku nocy. Za pierwszym razem dzwoniący rozłączył się natychmiast, gdy odebrała. Do rana o tym zapomniała. Minio-nej nocy to się powtórzyło, tym razem jednak nieznamy powiedział: „Zamierzam odmienić twoje życie, Jeleno”. Nic więcej. Nie wiedziała, czy to ten sam człowiek, który pisał listy, czy ktoś inny.

Nic dziwnego, że źle spała.

Do tego dochodziły kobiece zwłoki, znalezione w ogrodzie. Nic nie pomagała świadomość, że porzucono je tam najprawdopodobniej, jeszcze zanim rozpoczęła się budowa domu. Faktem było, że leżały w ziemi i roz- kładały się powoli przez cały czas, gdy rozpadało się również małżeństwo Ellen. Gdy wreszcie zasypiała, budziła się zlna potem po paru godzinach, z łomoczącym sercem, pewna, że przyśnił się jej najkoszmarniejszy z moż- liwych sen, którego nie potrafiła sobie jednak przypomnieć - przebudzenie było jak wypłynięcie z powrotem na powierzchnię jeziora, gdy nie sposób już dotrzeć głębiej.

Po chłodzie lodowiska Ellen było aż za ciepło. Wsiadła do samochodu, uruchomiła klimatyzację i patrzyła, jak inne wozy powoli manewrują po par- kingu. Mamusie i tatusiowie odbierali pociechy po treningu. Wsłuchując się w radosne powitania, którym towarzyszyło otwieranie drzwi od strony pasa- żera i urywki entuzjastycznych sprawozdań wsiadających dz«ci, Ellen po- czuła nagłe ukłucie samotności. Lubiła Tinę Tucker i jej rodziców. Cieszyła się, że może znowu rozmawiać z Samem Ritem i wyjechać na taflę, pracując nad techniką i ekspresją. Czuła, że wraca do czegoś dobrze znanego, do świata, do którego należała niegdyś bez reszty. Emocjom towarzyszyły jednak cie- nie: wątpliwości, wyrzuty sumienia i pytania bez odpowiedzi.

Ni z tego, ni z owego przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz wyszła na lód i jaka była wtedy wystraszona.

Sroga zima. Kamień i żelazo.

Ojciec zabrał ją z Kijowa pociągiem. Tamtą podróż wspominała jako najbardziej niewygodną w całym życiu. Miała dopiero pięć lat i nie rozu- miała, że to była ucieczka. Ojciec nie chciał zostać w ciasnym mieszkanku w dniu urodzin jej matki - pierwszych od czasu, gdy zmarła na raka. Za- trzymali się w hotelu na placu Franza Mehringa. Ellen wciąż pamiętała twarde łóżko, mżącą czterdziestowatową żarówkę, zwalistą sylwetkę śpią- cego obok niej ojca i widok kominów plujących lignitem w niebo cynowej barwy.

Ojciec zabrał ją na jezioro Grosser Miiggelsee, by zobaczyć lód.

Bez słowa wyszli na zamrożoną powierzchnię.

Chodź, Jeleno. Chodź.

Nadal miała przed oczami twarz ojca, gdy odjeżdżał od niej ze śmiechem. Ślizgał się okropnie, ale jednak utrzymywał się na nogach. Zastanawiając

się nad tym po latach, dochodziła do wniosku, że zachowywał się w bardzo nietypowy dla siebie sposób. Ojciec nigdy nie był skłonny do podejmowa- nia ryzyka, coś go jednak tego dnia odmieniło, coś w niego wstąpiło. Zasta- nawiała się, czy to skutek alkoholu. Zawsze wyczuwała jego ulotną woń w oddechu ojca, podejrzewała jednak, że tamtego dnia mógł wypić więcej niż zwykle, by zagłuszyć ból w dniu urodzin żony. Przypominała sobie jego zaczerwienioną twarz i pióropusz pary, dobywający się z ust, gdy wirował w opętańczym tańcu. Spróbowała pójść jego śladem, jednak pośliznęła się i upadła.

Wstawaj, Jeleno. Głowa do góry. Ugnij kolana.

Spróbowała się podnieść, a łyzy spływały jej po policzkach. Bała się lodu i bała się ojca - przede wszystkim tego, że go zawiedzie. Przygryzła wargę i odepchnęła się w górę, wyciągając do niego rękę. Nagle stwierdzi- ła, że da sobie radę - że potrafi się ślizgać. Rozpędziła się po białej gładzi, ugięła kolana i nagle zahamowała. Miała wrażenie, że szybuje nad ziemią. Łzy szybko obeschły.

Ślizgali się coraz dalej.

Gdy wreszcie się zatrzymali, by złapać oddech, brzegu nie było już widać. Nie mogli dostrzec nawet wierzchołków drzew. Dookoła nich roz- pościerała się jednostajna, szarobiała płaszczyna. Nie sposób było nawet odróżnić nieba od zamrożonej powierzchni jeziora.

Popatrz, Jeleno. Popatrz na lód.

Ojciec pochylał się nad nią i wskazał ręką w dół. Spuściła wzrok na poprzecinaną łyżwami cienką warstewkę śniegu i zobaczyła czerni.

Ellen wzdrygnęła się, gdy ktoś niedaleko nacisnął klakson. Jedno z cze- kających przy wejściu dzieci podbiegło do ciemnoniebieskiego pikapa i wsiad- ło do środka. Ellen otrząsnęła się i włączyła zapłon. Riverside Drive była zatłoczona szybko jadącymi samochodami; opuszczające parking wozy mu- siały odczekać na włączenie się do ruchu. Łyżwiarka zatrzymała się za pi- kapem z wymalowanym wielkimi białymi literami słowem TOYOTA.

Wciąż towarzysząca jej wizja ciemności pod powierzchnią jeziora była tak dojmująca, że dostała gęsiej skórki. Przypomniawszy sobie lodowatą głębi- nę, pasma wodorostów, pogiętą, węzłąstą gałąź pod powierzchnią. Równo- cześnie stanął jej przed oczami obraz matki - tak jak wyglądała na tydzień przed śmiercią. Nowotwór strawił jej tkankę mięśniową tak, że niemal nic z niej nie zostało. We wspomnieniu Ellen matka miała splecione kurczowo na piersi dłonie i zaciśnięte z bólu palce. W ciągu kilku ostatnich dni jej dol- na warga opuściła się dziwnie, a górne zęby jakby wysunęły się do przodu. Patrząc przez lód, dziewczynka nagle poczuła się tak, jakby zrozumiała, czym jest śmierć - bezgranicznym odrętwieniem i ciemnością. W panice chwyciła ojca za nogi. Lód stał się dla niej powłoką skrywającą mrok.

Kierowca samochodu za mercedesem Ellen nacisnął klakson. Pikap przed nią wyjeżdżał ostrożnie na środek ulicy, starając się skrócić w lewo. Jakiś lexus przyhamował i skręcił, by ominąć jego maskę. Ellen nagle zdała sobie sprawę, że przygląda się jej grupka ludzi na chodniku. Rozpoznała jedno ze starszych dzieci z klasy Sama Ritta.

- To Ellen Cusak! - zawołał chłopak do towarzyszącej mu dziewczyny. - Była mistrzyni świata!

Dziewczyna wychyliła się do przodu, aż jej twarz znalazła się w niewielkiej odległości od szyby samochodu. Ellen uśmiechnęła się, nie zauważyła aparatu fotograficznego. Flesz oślepił ją właśnie w chwili, gdy kierowca z tyłu znowu nacisnął klakson. Toyota skręciła wreszcie z piskiem opon. Ellen wyjechała na drogę za nią. Zbyt późno dostrzegła nadjeżdżającego z przeciwka buicka.

## 7

Jackie wynajmowała mieszkanie na parterze ceglanego budynku w Van Nuys, zaledwie pięć kilometrów od domu Goldinga. To Pete wyszukał jej to miejsce; zależało mu, żeby mieszkała blisko, bo wtedy mógłby się z nią widywać bez większego zachodu.

Siostra otworzyła drzwi, ubrana w szlafrok. Wyglądała tak, jakby miała go na sobie przez cały dzień.

- Cześć, siostrzyczko.

Wszedł do środka, całując ją przelotnie w policzek. Odstawił przyniesioną torbę z zakupami na stół w jadalni. Jackie wskazała ją palcem.

- Co to?

- Podjechałem do Vonsa - wyjaśnił Golding i powiesił marynarkę na oparciu krzesła. - Pomyślałem, że przyda ci się trochę jedzenia.

Brazowa torba była pełna owoców i warzyw, których Jackie normalnie by nie tknęła. Sprzeczali się bez końca o jej nawyki żywieniowe, o wszystkie śmiecie, którymi się opychała. Pete wybrał w końcu mniej konfrontacyjne rozwiązanie i zaczął jej przywozić zakupy z supermarketu, mając nadzieję, że przynajmniej część z nich wyląduje na talerzu siostry. Jackie oczywiście zdawała sobie sprawę, dlaczego brat to robi, ale zwykle ograniczała się do rzucenia mu wymownego spojrzenia.

Tego wieczoru miała podpuchnięte oczy i zaczerwienioną twarz. Golding domyślił się, że płakała. Gdy byli dziećmi, ludzie często brali ich za bliźnięta, chociaż urodzili się w odstępie roku. Mieli takie same piaskowo

brazowe włosy i niebieskie oczy, chociaż rysy Jackie stanowiły delikatniejszą, kobiecą wersję twarzy Pete'a. Od okresu dojrzewania siostra znacznie utyła. Teraz ważyła ponad siedemdziesiąt kilogramów; rysy rozmyły się i tylko piękne oczy stanowiły wspomnienie dawnych, szczęśliwszych czasów.

- O której wróciłaś? - zapytał Golding.

- W ogóle nie wychodziłam. - Jackie wymownie dotknęła gardła.

Przeszli do kuchni. Jackie wyjęła dwie puszki piwa z lodówki. Brudna szklanka stała na stole obok popielniczki, w której John gasił do połowy wypalone skręty. Jackie oświadczyła, że rano zadzwoniła do restauracji i powiedziała, że nie zdoła przyjść, bo czuje się fatalnie. Golding wzruszył ramionami i wlepił wzrok w puszkę budweisera.

- Jaki miałeś dzień? - spytała Jackie.

- Och, zwyczajny... sama wiesz, jak to jest. Wręczyłem facetowi nakaz sądowy. Jutro mam spotkać się z Ellen Cusak.

- Tążyżwiarką?

- Właśnie. - Upił piwo, myśląc, co by tu jeszcze dodać. Najlepiej coś lekkiego, niezobowiązującego. Nic nie przyszło mu jednak do głowy. Popatrzył w piękne oczy siostry. - No to co z twoim bojlerem? - zapytał.

Jackie zwlokła się z krzesła i zaprowadziła go do bojlera w drewnianej obudowie. Zaczęli dochodzić, co się w nim zepsuło. Golding wpatrzył się w biały, emaliowany zbiornik i wystającą spomiędzy zaworów płataninę rur.

Jackie czekała, co zrobi brat. Lubiła patrzeć, jak naprawia sprzęty. Przyglądanie się, jak jego dłonie przywracają sens światu, dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

- Dzwoniła mama - poinformowała. Stała tak blisko brata, że słyszał, jak oddycha przez otwarte usta i czuł zapach potu z jej ubrania. Wyciągnął rękę, przekreślił niewielką plastikową gałkę i utkwiał wzrok w jednym ze wskaźników, mając nadzieję, że wie, co robi. - Wyszła ze szpitala - dodała Jackie. - Najwidoczniej wszystko poszło jak należy. - Matka fatalnie się przewróciła i musiała iść do szpitala, by wszczepiono jej protezę stawu biodrowego. Golding dowiedział się o tym od siostry. Od dziesięciu lat nie rozmawiał z matką. Nie spuszczał wzroku ze wskazówki. Nie drgnęła nawet o milimetr. - Mama mówi, że zostanie w domu. Sąsiadka ma wpadać i sprawdzać, czy niczego jej nie potrzeba.

Wskazówka zadygotała i minimalnie opadła.

- W ogóle cię to nie interesuje? - spytała Jackie.

Pete odwrócił się i popatrzył siostrze w oczy. Z bliska dostrzegł siateczkę sinawych żyłek na jej policzkach.

- Oczywiście odparł. - Oczywiście, że mnie to interesuje. Cieszę się, że czuje się już dobrze.

Jackie zmarszczyła brwi. Wyglądała, jakby chciała powiedzieć coś ważnego: na przykład że Pete powinien zadzwonić do matki, że powinni się spotkać i spróbować przełamać dzielące ich lody. Była jednak za bardzo zmęczona, za bardzo przygnębiona. Utkwiła spojrzenie w ciemności za plecami brata. Zapytała, czy bojler będzie już dobrze działał.

## 8

Kiedy Ellen obracała kierownicę w prawo, wciąż rozlegało się zgrzytanie. W zderzeniu najbardziej ucierpiała lewa strona maski, jednak drzwi również zostały uszkodzone. Ellen wolała nawet nie myśleć, ile będzie kosztować naprawa. Buick wyszedł ze zderzenia w nieco lepszym stanie - miał tylko pęknięty przedni reflektor i zgniecioną obudowę chłodnicy. Pasażerowie samochodu wykazali dla niej zrozumienie - byli to Anglicy, którzy przyjechali do Los Angeles w interesach i posługiwali się wózkiem z wypożyczalni. Było oczywiste, że do wypadku doszło z winy Ellen, co oznaczało, że czeka ją pokrycie kosztów naprawy i podwyższenie rat ubezpieczenia. Co gorsza, do czasu załatwienia sprawy nie mogła liczyć na sprzedaż mercedesa.

Wyjechała z powrotem na autostradę, gdy zadzwonił telefon komórkowy.

- Ellen?

Był to Lenny Mayot. Natychmiast zaczął energiczny monolog, relacjonując przebieg udanego obiadu z przedstawicielem wytwórni Knapp-Weinstein.

- Myślisz, że naprawdę chcą nakręcić tę kasetę?

- Nie mogę powiedzieć tego na pewno, ale zamierzają się z tobą spotkać. Z mojego doświadczenia wynika, że to bardzo dobry znak.

- Doskonale. Kiedy?

- Zaproponowali następną środę.

- Wchodzę w to.

- Ze mną dojdiesz daleko, dziecino. Jesteś w samochodzie?

- Tak. W tym, co z niego zostało. Zdołałam rozwalić merca, kiedy wyjeżdżałam z lodowiska Pickwick.

- Cholera! Nic ci się nie stało?

- Nie martw się, nic mi nie jest. To tylko stłuczka.

Lenny Mayot opowiedział o kilku ostatnich okazjach, kiedy o mało nie uczestniczył w wypadku. Zastanawiał się, czy nie zamienić lexusa na coś większego, na przykład furgonetkę.

- No i jak poszło z tą małą... nazywasz ją Tyglysek, tak? - zapytał na koniec.

- Doskonale. Jest dobra.

- Sam Ritt mówił, że dziewczyna przypomina mu ciebie.

- Jest zupełnie inna ode mnie - odparła Ellen z większym naciskiem, niż chciała.

- Pewnie nie tak dobra, ale...

- Nie o to mi chodziło. Jest bardzo dobra, naprawdę, ale po prostu... w ogóle niczego się nie boi. Lód to dla niej tylko śliska biała substancja.

Przez chwilę panowało milczenie.

- A co u wielkiego Sama? - zapytał niepewnie Mayot.

Śliska biała substancja? Ellen go zdumiewała.

- To samo, co zawsze. Wypytywał mnie, czy odżywiam się należycie.

- Bardzo dobrze.

- Chciał wiedzieć, czy jem dość węglowodanów.

- Naprawdę? No, to dobrze.

Słowo „dobrze” padło zbyt wiele razy, nawet jak na Mayota. Ellen postanowiła pomóc mu zmienić temat.

- A zatem, Lenny, co z...

- Ach, tak. Zapomniałem o tym wspomnieć. - Rozległ się szelest papieru. - Rozmawiałem z paroma moimi przyjaciółmi o twoim problemie.

- Którym?

- O facecie od listów. Lodowatym, czy jak tam się podpisuje.

Ellen mimowolnie zadrżała i zjechała na prawy pas. Musiała minąć już tylko dwa zjazdy z autostrady, by znaleźć się w okolicy swojego domu. Nie powiedziała jeszcze Lenny'emu o nocnych telefonach.

„Odmienię twoje życie, Jeleno”.

- Zdaję sobie sprawę, że niczego o nim nie wiemy. Mimo to porozmawiałem z kilkoma ludźmi, którzy wiedzą, co robić w takich... w takich przypadkach. Jutro przyślą człowieka, żeby z tobą porozmawiał.

- Jezu, Lenny!

- Drobiazg. Spotkamy się z Barbarą Christian, a potem z tym gościem.

Ellen przycisnęła grzbiet dłoni do czoła. Zupełnie zapomniała o Barbarze Christian, z którą miała omówić szczegóły swojej sportowej biografii. Chryste, gdzie ja mam głowę? - pomyślała.

- Lenny, nie...

- Wiem, moja droga, ale tym razem chyba będziesz musiała schować dumę do kieszeni. Mówię ci, ten facet jest najlepszy w swoim fachu.

Ellen popatrzyła na góry Santa Monica, mroczne i ponure w zamierzającym świetle dnia.

- Lenny, ten człowiek rozmawiał ze mną wczoraj w nocy.

- Kto?

- Ten mężczyzna, który do mnie pisuje.

Ze słuchawki dobiegł ją odgłos raptownie wciąganego w płuca powietrza, a zaraz potem gwałtowny kaszel.

- Jezu... Jezu Chryste! Co... Mówił cokolwiek?

- Powiedział, że odmieni moje życie.

- Odmieni twoje życie? Pieprzony psychopata! No, posłuchaj, kochanie... Ellen?... Jezu, chyba nic mu nie odpowiedziałas?

- Rozłączył się, zanim zdołałam.

- Dzięki Bogu! - Przez chwilę panowało milczenie; Lenny zapewne zbierał myśli. - Posłuchaj, kochanie. Zasada numer jeden: nie wdawaj się w rozmowę. Nigdy, zrozumiałaś? Zasada numer dwa: nigdy nie zapominaj o zasadzie numer jeden. Jeżeli zadzwoni znowu, nie odzywaj się.

- Może powinnam po prostu zmienić numer?

- To na nic.

- Dlaczego?

- Dowie się, jaki jest nowy. Jak ma się odpowiedni sprzęt, można ustalić nowy numer na środku ulicy. Reynolds... człowiek, z którym rozmawiałem... wytłumaczył mi to wszystko. Zdumiewające, jak, przebiegłe potrafia być te typy.

To właśnie było najgorsze.

- Ale skąd mogą się tego dowiedzieć? Jak to robią?

- Skąd mam wiedzieć? Nikogo nigdy nie nękałem.

- Zatem...

- Zatem, jak powiedziałem, wynajmujemy zawodowca, by sobie z tym poradził. Pojechałem do agencji, która nazywa się Alpha Global. Prowadzi ją Reynolds, były gliniarz, razem z drugim facetem, psychiatrą ze stertą dyplomów sięgającą do sufitu. Uwierz mi, ci ludzie wiedzą, jak sobie radzić z wariatami. A gość, którego do ciebie wysyłają, Pete Golding, jest najlepszy, jakiego mają. Właśnie on zastrzelił klienta, który nękał Maddy Olsen.

Ellen przypomniała sobie niejasno mężczyznę starającego się ukryć twarz przed kamerą, ujęcia ciała na chodniku, kałużę krwi wokół głowy jak dymek z komiksu. Zadrżała.

- Czy tacy ludzie nie są strasznie drodzy, Lenny? Za nic nie zdołam zapłacić rachunku, jaki mi...

- Wierz mi, ich honoraria są bardzo umiarkowane. Sprawdzili listy za darmo, do tego wynegocjowałem specjalną stawkę. Warto ich wziąć, chociażby dla spokoju ducha. W tym mieście nie można być zbyt ostrożnym.

Elektronicznie sterowana brama rozsuwa się i wielki szwabski samochód wjeżdża do środka. Puls mężczyzny przyspiesza, gdy podnosi lornetkę i widzi w blasku deski rozdzielczej jej idealną, godną Królowej Śniegu twarz. Jasne włosy ma związane z tyłu, tak samo jak zawsze na lodzie. Usta jej lśnią. Ślina, myśli mężczyzna, albo błyszczek do warg. Samochód zatrzymuje się przed drzwiami garażu. Jeszcze jeden sygnał i drzwi się otwierają. Kobieta wjeżdża do środka, przekonana, że jest bezpieczna.

Maria siekała w kuchni warzywa trzydziestocentymetrowym nożem elektrycznym. Wielki chromowany szybkowar perkotał i syczał na kuchennej płycie. Nadszedł wreszcie czas, żeby to powiedzieć, pomyślała Ellen. Lepiej zawiadomić służącą teraz, żeby miała możliwość znalezienia sobie dobrej pracy gdzie indziej, niż czekać, aż sytuacja wymknie się spod kontroli. Łyżwiarka uśmiechnęła się, usiłując ukryć fatalne samopoczucie.

- Zrobiłaś sobie saunę, Mario? - zapytała, rzucając sportową torbę na krzesło.

Zasnuta parą służąca wychyliła się z uśmiechem do przodu i włączyła wyciąg.

- Dobrze robi na skórę.

- Twoja skóra niczego nie potrzebuje - odparła Ellen.

Była to prawda; Maria, chociaż niska i nieco przy kości, była urodziwa i miała piękne, ciemne oczy.

- To dlatego, że mam tu saunę - odparła służąca, wymachując wielkim nożem pośród kłębow pary.

Ellen wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej.

- Mario, musisz...

- Było kilka telefonów, zanim pani wróciła - przerwała Maria znaczącym tonem. - Niejaki pan Kit Walker zostawił interesującą wiadomość.

Ellen spotkała Kita na kilku przyjęciach. Podawał się za starego przyjaciela Douga, a teraz koniecznie chciał się z nią umówić. Ellen nie zdecydowała się jeszcze, co o nim sądzi.

- Ach, tak? Dziękuję.

- No i Laura Mead. Powiedziała, że chodzi o jakąś imprezę charytatywną.

- Laura? Rozumiem.

- Plus Lenny - dodała Maria, wruszając ramionami, jak gdyby Mayot się nie liczył.

Ellen pokiwała głową i upiła łyk z zimnej butelki.

- Chodzi o to, Mario...

- Ja też miałam telefon.



- Naprawdę? - spytała zdziwiona Ellen.
  - Od mojej małej Teresity. W niedzielę ma pierwszą komunię. Jest bardzo podniecona.
  - Pierwszą komunię... - odparła Ellen, czując, że jej zdecydowanie słabnie. - To... to cudownie.
- Maria odwróciła się w jej stronę, wciąż z wielkim nożem w ręku.
- Chciała, żebym przekazała pani zaproszenie. Powiedziała, że nie przyjmie odmowy.
- Ellen uśmiechnęła się i pokiwała głową.
- Oczywiście - powiedziała. - Nie przepuściłabym takiej okazji za nic w świecie.

Przemyka się szybko między drzewami. Pylista ziemia wycisza odgłos jego kroków. W kuchni pali się światło: gospodyni szykuje kolację. Widzi jej cień, poruszający się za żaluzjami. Zbliżając się niepostrzeżenie w ciemności, czuje szum w uszach, wywołany benzedryną, a także euforię i niespożytą witalność, silniejszą od efektów jakiegokolwiek leku.

Pochyla się, przechodzi na drugą stronę drogi i kieruje się ku zachodniej części posiadłości. W powietrzu rozchodzi się silna woń świerków. Mężczyzna rozgląda się dookoła i nurkuje w uschniętą roślinność ogrodu.

Mimo troski, czasu i wysiłku, włożonych w urządzenie domu, Ellen pragnęła się go pozbyć. Każdy kłót budził wspomnienia nieudanego małżeństwa. Czuła, że dom jest za duży, nawet gdy mieszkała w nim z Dougiem. Uważała, że powinna tu mieszkać cała rodzina. Teraz pogłębiło się uczucie pustki. Sytuację pogorszyło znalezienie ciała obok altany. Przeciek z basenu już naprawiono, ale Ellen nie zdołała się jeszcze zdobyć na polecenie przychodzącemu raz w tygodniu ogrodnikowi, by go napełnił.

W salonie włączyła pilotem sprzęt stereo. Weszła na górę, do pokoju, w którym teraz sypiała. Maria rozłożyła na łóżku czyste ręczniki i lekkie, bawełniane płaszcze kąpielowe, którego łyżwiarka często używała zamiast szlafroka. Ellen przeniosła się tu z głównej sypialni trzy miesiące temu, gdy wreszcie stało się jasne, że rozwód jest nieodwołalny. Marii nikt nic nie powiedział; służąca sama zauważyła zmiany i się do nich dostosowała.

Mała sypialnia była umeblowana zwyczajnie: pod ścianą rozkładana kanapa, po przeciwnej stronie, pod oknem - ozdobny późnowiktoriański sekretarzyk. Stała na nim lalka, babuszka - jedyna pamiątka z Kijowa, którą pozwolił jej zabrać ojciec. Przez lata tak często brano ją do rąk, że emalia się poprzecierała; brakowało też najmniejszej figurki. Płaszczyny

jaskrawożółtych ścian łamał zestaw abstrakcyjnych linorytów, wybranych przez Douga po konsultacji z dekoratorem. Ellen zawsze uważała te obrazki za pretensjonalne i przytłaczające, ale jeszcze nie zdobyła się na to, by je usunąć. Podobnie jak w pozostałych sypialniach balkonowe drzwi prowadziły na okalający pierwsze piętro taras.

Ellen ściągnęła przez głowę koszulkę i sportowy stanik. Popatrzyła na swoje odbicie w niewielkim lustrze ze złotą ramą. Zakryła piersi dłońmi w nieświadomym geście skromności i skupiła spojrzenie na twarzy. Wyglądała na zmęczoną. Patrząc na siebie, oceniając regularne rysy i duże, zielone oczy, jak zwykle poczuła niejasne zdumienie. Gdy zaczęto dostrzegać ją na lodzie, prasa opisywała ją jako melancholijną słowiańską piękność lub czarodziejską Królową Śniegu. Bardzo się tym denerwowała. Zawsze uważała siebie za pogodną, bezpośrednią osobę, która wyrzekła się Rosji i jej duchowego sentymentalizmu. Patrząc teraz na płytkie kręgi cienia pod oczami i cerę zbyt bladą nawet jak na jasną karnację, doszła do wniosku, że istotnie zaczyna wyglądać na melancholijną Słowiankę, w której opisywaniu tak lubowała się prasa.

Przyszła kolej na stały element rytuału samooceny - Ellen stanęła na łazienkowej wadze. Czyniła to, odkąd sięgała pamięcią. W dawnych, złych czasach, gdy miała problemy z jedzeniem, robiła tak dziesięć albo i dwanaście razy dziennie. Tym razem strzałka ledwie przekroczyła czterdzieści trzy kilogramy.

Mrucząc pod nosem, Ellen odkręciła prysznic i weszła pod strumień ciepłej wody.

Zauważa zapalające się w łazience światło i wychodzi na środek trawnika. Ma nadzieję dostrzec kobietę przez wąskie szpary w zasłonach. Po kilku chwilach para zaczyna unosić się pod sufit. Wstrzymuje oddech, nasłuchuje cichego szumu wody, ledwie słyszalnego pośród dźwięków muzyki. Kiwa głową ze zrozumieniem: kobieta na pewno go teraz nie dosłyszy.

Intruz sięga do kieszeni po urządzenie do otwierania zamków: czarny cylinder wielkości niewielkiej latarki. Kosztowało go to prawie pięćset dolarów, ale umożliwia otwarcie w parę sekund większości zamków zapadkowych. Tymczasem na rogu domu dostrzega otwarte drzwi.

Maria zgrnęła posiekana marchew do szybkowaru i przykryła go z powrotem. Chłodne powietrze wpadało z ogrodu przez drzwi za jej plecami. Służąca wyłączyła wyciąg. Denerwował ją hałas, a uchylenie drzwi i tak stanowiło najlepszy sposób na pozbycie się z kuchni pary i towarzyszących

gotowaniu zapachów. Odwróciła się w stronę kuchenki z ciężkim nożem w dłoni.

Ellen zeszła po schodach, zawiązując pasek szlafroka. Muzyka ucichła. Z kuchni dobiegały głosy z radia. Maria zaciągnęła zasłony, lecz skądś dochodził przeciąg. Ellen czuła chłodne powietrze, muskające kostki. Szczekał pies sąsiadów.

Łyżwiarka podeszła do fortepianu - kolejnego z zakupów Douga, słuchających jako świadectwo stylu życia - i popatrzyła na zdjęcia przyczepione do orzechowego barku. Gdy Doug tu mieszkał, ściany były dosłownie obwieszane fotografiami - przeważnie jego samego i innych sław - zrobionymi w trakcie świetnej zabawy. Wyprowadzając się, Doug zabrał swoje ulubione zdjęcia - jak żartuje z Jonathanem Demme, jak udaje, że dusi szefa studia, którego nazwiska Ellen nie potrafiła sobie przypomnieć, jak zajada owoce morza z Kieferem Sutherlandem. Ellen wypełniła puste miejsca fotografiami z własnej przeszłości: wózek na zaniedbanej kijowskiej uliczce, mały pies na kocu, upozowane czarno-białe zdjęcie matki i ojca ze starannie ułożonymi fryzurami - to ostatnie minimalnie przekrzywione w ramce. Na widok matki na zdjęciu Ellen przeniknęło dojmujące wspomnienie zaciśniętych dłoni, bólu, zatopionej w lodzie, wykrzywionej pod jego naporem gałęzi.

- Mario?

Wąty dźwięk jej głosu sprawił, że dom wydał się jeszcze bardziej pusty niż zwykle.

- Mario?

Ellen wyszła na korytarz. Znowu poczuła przeciąg. Usłyszała szczekanie pokrywek garnków na kuchence.

- Mario, czy...?

Kuchnia była pusta. Na dwóch włączonych palnikach stały garnki. W jednym z nich kipiało.

- Mario?

Coś kazało Ellen rozejrzeć się za nożem. Zerknęła na deskę do siekania. Nóż znikł.

- Gdzie jesteś, Mario?

Chłodne powietrze musnęło jej twarz. Obróciła się gwałtownie i zauważyła otwarte drzwi, kołyszące się powoli pod wpływem powiewu. Pies sąsiadów dostawał szału.

- Mario? Wyszłaś?

Ellen zrobiła jeszcze krok. Owiewające ją powietrze stało się lodowato zimne. Mrok za domem przeszywały liście kaktusa. Serce Ellen zamarło na

widok zbliżającej się ścieżką sylwetki. Odskoczyła od progu i zatrzasnęła drzwi. W szybką z zewnątrz uderzyła dłoń trzymająca nóż.

Ellen krzyknęła przeraźliwie.

- Proszę pani! To ja! Niech mnie pani wypuści!

Za szybką pojawiła się twarz Marii.

Ellen dopiero po chwili uświadomiła sobie, co się dzieje. Namacała zasuwę i otworzyła drzwi. Pobladła Maria weszła do kuchni.

- Mój Boże, Mario, piekielnie mnie wystraszyłaś.

Maria miała rozszerzone oczy i chwyciła łapczywie powietrze.

- To pani mnie wystraszyła - powiedziała, wskazując Ellen nożem. - Myślałam, że wiatr zatrzasnął drzwi i nie wejść do środka.

- Co ty tam robiłaś, u diabła?!

- Ścinałam pietruszkę.

Pokazała pęk naci w lewej ręce. Czuć było słodką, silną woń warzyw.

- Tym piekielnym nożyskiem? - spytała Ellen i zaczęła się śmiać.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Wciąż się śmiejąc, Ellen odebrała.

- Halo?

Cisza. Szczekający pies. Serce podeszło Ellen do gardła, zanim zdołała zrozumieć, na czym polega niezwykłość sytuacji.

- Halo? Kto mówi?

Cisza.

- Jest piękna...

Męski głos. On.

- Proszę posłuchać... - Ellen przycisnęła dłoń do ust, przypominając sobie rady Lenny'ego. Słyszała wyraźnie szczekającego psa. Była coraz bardziej zdezorientowana.

- Pięknie wygląda w tej niebieskiej sukieneczce. Nie sądzisz, że jest jej w niej ślicznie, Jeleno?

Po chwili połączenie zostało przerwane.

## 9

Środa, 28 lipca

Z tarasu można było dostrzec rozciągniętą w ogrodzie żółtą taśmę, znaczącą miejsce przestępstwa. Osłaniając oczy przed porannym słońcem, Lenny Mayot przyglądał się, jak wiatr kołysze plastikowe wstęgi.

- Pani Cusak prosiła, żeby jej wybaczyć - powiedziała Maria, podając mu filiżankę kawy. - Zejdzie za chwilę.

- Dobrze, dziękuję - odparł nieuważnie Mayot, wciąż przyglądając się taśmie.

Zastanawiał się, czy w czymkolwiek pomoże, przyjeżdżając do Ellen. Zadawał sobie pytanie, czy znalezienie zwłok nie dodawało historii Ellen Cusak makabrycznego romantyzmu, jak sugerował Gil Knapp. Martwił się też, czy makabryczny romantyzm jest istotnie tym, czego potrzebowali.

Upił łyk kawy, zastanawiając się, czy Barbara Christian okaże zainteresowanie znalezionymi zwłokami. Czy będzie o nie wypytywała? Nie rozważał wcześniej tej możliwości, ale zainteresowanie dziennikarki biografią Ellen mogło być przynajmniej w części wywołane tą sprawą. Oczywiście było powszechnie wiadome, że dom znajdował się dopiero w budowie, gdy pogrzebano tu ofiarę morderstwa, ale może Barbara Christian traktowała to jako symbol nieszczęścia lub ciążyącego nad łyżwiarką przekleństwa. Myśl, że Ellen jest ofiarą mrocznych, niepojętych sił, wzbudziła w Mayocie niepokój. Była z pewnością pociągająca - miała swoją mistykę, a jakże - lecz jego klientka nie odniosłaby się chyba życzliwie do tej koncepcji. Samo namówienie jej do szczerej rozmowy o karierze na lodzie - nie wspominając o nieudanym małżeństwie - zapowiadało się na niewdzięczne zadanie.

Mayot wszedł do domu, potrząsając głową. Trudno było radzić sobie z Ellen Cusak; zawsze kosztowało go to wiele wysiłku i wszystko zapowiadało, że tak samo będzie w przyszłości. Była utalentowana, czarująca i chętna do pracy, ale nie potrafiła oddzielić swojego życia osobistego od publicznego. Za bardzo brała wszystko do siebie.

- Przepraszam, Lenny. Nie wiedziałam, w co się ubrać.

Ellen weszła do pokoju z uśmiechem. Wsuwała spinę we włosy na karku, drugą trzymała w zębach. Zdecydowała się włożyć ciemne spodnie i luźną, jedwabną bluzkę. Wyglądała oszałamiająco.

- Nie ma sprawy, nic się nie stało.

Lenny uśmiechnął się szeroko, oceniając wrażenie, jakie wywierała jego podopieczna. Wolałby coś bardziej kobiecego - może sukienkę w kwiecisty wzór - ale nie sposób było zaprzeczyć, że jedwab barwy ciemnego burgunda pięknie harmonizował z jasnymi włosami Ellen. Trzeba być ślepym, żeby nie dostrzec, że ma kwalifikacje na gwiazdę.

Łyżwiarka usiadła na skraju sofy naprzeciw Mayota i podciągnęła nogi pod siebie. Uśmiechnęła się do agenta.

- Jak się czujesz? - spytał Lenny. - Przy okazji: wspaniale wiedzieć, że zajęłaś się trerterstwem. Jak ci idzie?

- Doskonale. - Ellen popatrzyła na palec ozdobiony wielkim pierścieniem z francuskiego szkła i pokiwała głową. Tina jest... Myślę, że naprawdę zdołam jej pomóc. Uważam, że mogę wzbogacić jej styl.

- Świetnie. - Lenny zmarszczył brwi. Czuł, że Ellen chodzi coś innego po głowie. - Wspaniale, że pracujesz z dziećmi. Naprawdę wspaniale. Czasami żałuję, że... wiesz, że nie mogę robić tego ze swoimi... No, ale wyobrażasz sobie mnie na łyżwach? Takiego niskiego łysoła? Wszyscy myliliby mnie z krążkiem hokejowym. Odchylił się na oparcie fotela ze śmiechem. Żartowanie z siebie przychodziło/nu bez trudu. Zwykle ludzie czuli się dzięki temu swobodniej w jego towarzystwie. - Oczywiście to już nie dzieciaki, a dorośli ludzie. Sammy pojechał na wiosnę z kilkoma kumpłami z college'u na narty. Mamuśka mówi jednak, że niespecjalnie za tym przepada. Pewnie wdał się w swojego staruszka. Jak tylko robi się chłodniej niż dwadzieścia stopni, stara się zaszyć gdzieś pod dachem. - Popatrzył na Ellen ze stopniowo gasnącym uśmiechem.

- Producenci nagrania podjęli już decyzję? - zapytała.

- Jeszcze nie - potrząsnął głową Mayot. - Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby Gil Knapp był dla nas właściwym partnerem do rozmów. Powinniśmy dobrać się do Abe'a Weinsteina. On ma o tym większe pojęcie, dlatego właśnie umówiłem się w przyszłym tygodniu u nich w biurze. Będą obydwaj.

- To dobrze - ucieszyła się Ellen. - Bardzo dobrze.

- Mają siedzibę na La Cienega. Tak czy owak... - Mayot starał się dobrać odpowiednie słowa - ....pomogłoby, gdybyś, hmm...

- Chcesz, żebyśmy też pojechała?

- Myślę, żeby się przydało. Chodzi między innymi o wykreowanie odpowiedniego image'u, Ellen. Nie możemy się od tego wykręcić, a takie spotkanie mogłoby nam w tym momencie naprawdę pomóc.

- Nie ma sprawy. Pojadę, możesz być tego pewny.

- Doskonale, Ellen - uśmiechnął się Mayot. - Wiem, że się w tobie zakochają. No dobrze, pomówmy o Barbarze Christian. To bardzo dobra pisarka. Wciąż się rozwija, słyszałem o niej mnóstwo przychylnych komentarzy. Czytałaś jej artykuł w „New Yorkerze”? - uniósł rękę, by powstrzymać Ellen od odpowiedzi, chociaż nie odezwała się słowem. - A zresztą... Ostatecznie kto to czyta? Ważniejsze, że jej książka o Nicole Bobek o mało nie trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”. Moim zdaniem Barbara idealnie się nadaje do naszych potrzeb. Poza tym jest odpowiedzialna. I to bardzo. Możemy jej zaufać, że nie napisze niczego dla... sama wiesz...

Ellen wyjrzała przez okno. Patrzyła w stronę domku nad basenem, jakby czegoś szukała. Wreszcie odwróciła się z powrotem w stronę Mayota.

- Dlaczego?

- No... dla sensacji. Wiesz, że czasami to się zdarza. Na pewno jednak nie w jej przypadku. To dobra pisarka. Wie, jak najlepiej wykorzystać to, czym dysponuje, to znaczy fakty. Nie musi ich zmyślać. - Mayot pokiwał powoli głową i zmrużył oczy; wyglądał w tej chwili na ucieleśnienie ideału bystrego agenta. - Myślę, że przypadniecie sobie od razu do gustu. Na prawdę. - Upił łyk kawy i popatrzył na zegarek. Była dziesiąta dziesiąta. Spotkanie miało się zacząć za pięć minut. - Chcę cię o coś zapytać, Ellen. Jesteś zadowolona z pomysłu napisania tej biografii?

Łyżwiarka pomyślała chwilę, zanim odpowiedziała.

- Tak, jasne. To znaczy, chciałabym...

Mayot wychylił się z fotela, wyczekując niecierpliwie jej dalszych słów. Ellen jednak zamilkła.

- Czy coś się stało, moja droga? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Przepraszam, Lenny. Jestem po prostu trochę zdenerwowana. - Ellen przycisnęła dłoń do czoła i zaczerpnęła głęboko tchu. - Wczoraj wieczorem ten facet znów dzwonił. Ten... Lodowaty. Nie jestem pewna.... nie na sto procent, ale wydaje mi się, że był pod domem.

- Co?

- W czasie rozmowy słyszałam w tle szczekanie psa. Brzmiało niesamowicie... jak echo.

- Echo? Skoro mówił przez telefon, to jak mógłby...

- Na zewnątrz szczekał pies pana Glazera, sąsiada. Wczoraj wieczorem uświadomiłam sobie...

- Słyszałaś psa przez telefon czy na zewnątrz? - zapytał zdezorientowany Mayot.

- I tu, i tu.

Lenny dopiero po chwili zrozumiał, o co jej chodziło: nękający ją mężczyzna był pod domem w chwili, gdy dzwonił, a pies sąsiadów szczekał właśnie na niego. Mayot instynktownie odwrócił głowę w stronę okna.

- Jezu, nic dziwnego, że nie mogłaś spać. - Ellen zgarbiła ramiona i wcisnęła ręce między kolana. Natychmiast wydała się mniejsza i bardziej krucha. Wyglądała jakby chciała zapaść się w wielką sofę. Lenny'emu przyszło do głowy, że ten dom wydaje się ją przytłaczać. Zaprojektowano go na siedzibę rodziny, której zabrakło. Ellen pełniła w nim tylko rolę gospodyni. - Mimo wszystko nie możesz być tego pewna, prawda? - zapytał. - Jesteś przekonana, że to było echo? A może tylko złudzenie akustyczne?

- Może.

- Co... no, co tym razem powiedział?

- Coś o... sukieneczce. Zupełnie bez sensu.

- No i dobrze. - Lenny wymierzył w nią palec. - Dobrze, ponieważ im bardziej jest porąbany, tym mniej groźny. Wiem to od eksperta. Większość

z tych popaprańców nie potrafi nawet zawiązać sobie sznurowadeł. - Ellen nie wyglądała na uspokojoną, więc Lenny kontynuował: - Facet ma prawdopodobnie urojenia. Musisz o tym pamiętać. Może wydawać się ci niebezpieczny, ale w rzeczywistości musi nałykać się leków, żeby móc wyjść choćby do sklepu.

- Zdołał jednak zdobyć mój numer telefonu. Zastrzeżony numer.

Mayot potrząsnął z żalem głową i strzepnął pyłek z rękawa płowej sportowej marynarki.

- Wiesz, Ellen, i tak nie jest źle. Przynajmniej nie tak źle, jak mogłoby być. Zajrzyj tylko do Internetu, zobaczysz, co się tam wyprawia. Jezu, własnym oczom byś nie uwierzyła. - Uniósł ręce i zmienił temat: - Tak czy siak, nie musisz się niczym przejmować. Zdaj się na człowieka z agencji Alpha Global. Poradzi sobie, możesz być pewna.

- Przyjedzie w południe?

- Tak. Gotów jestem się założyć, że ten wariat już więcej się do ciebie nie odezwie.

Ellen zsunęła stopy z sofy.

- Nawet nie wiemy, kim jest.

- Och, myślę, że ci ludzie go znajdą - odparł Lenny z pewnym siebie uśmiechem. - To zawodowcy. A poza tym... no, niech ci wystarczy, że wiedzą, jak wyrzucić na takim szaleńcu pożądane wrażenie.

- Byłam zachwycona twoim wywiadem dla telewizji śniadaniowej - powiedziała Barbara Christian, mierząc w Ellen wymanikiowanym palcem. - Pokazałaś klasę.

Łyżwiarka odstawiła szklankę z sokiem pomarańczowym i potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

- Czułam wyłącznie obrzydzenie. Bądźmy szczerzy, skopałam go.

- Nieprawda - zaprotestował Lenny.

- Prawda. Uprzedzono mnie z góry praktycznie o wszystkim, o co będę pytana, a i tak podczas rozmowy nie potrafiłam znaleźć właściwych odpowiedzi.

- Zachowałaś się spontanicznie - odparł Mayot. - Naturalnie. Świetnie wypadłaś.

- Wspaniale - zawtórowała Barbara, upijając łyk kawy. - Poza tym jesteś naprawdę fotogeniczna. Kamerzyści aż się prześcigali, by ci robić zbliżenia.

- Sam to stale powtarzam - dodał Lenny, kiwając głową. - Jesteś bardzo fotogeniczna. Urodzona z ciebie aktorka.

- Musiałam wstać o wpół do szóstej - powiedziała Ellen. - Na pewno wyglądałam jak wyciągnięta z trumny.

- Wyglądałaś wspaniale - zaprzeczył Lenny. - Przyjrzałaś się sobie? Nagrałaś ten wywiad? Ellen pokręciła głową. - A ja tak. Przyślę ci kopię, to sama zobaczysz.

Barbara Christian przytaknęła raz jeszcze, by dodać rozmówcy otuchy. Była jakieś siedem, osiem lat starsza od Ellen. Pukle kasztanowych włosów spływały jej na ramiona. Miała wysokie kości policzkowe i duże, ciemne oczy, które nadawały jej wygląd prostej i szczerzej dziewczyny z sąsiedztwa.

- Poważnie, Ellen, ten wywiad był dobrym posunięciem - stwierdziła porozumiewawczo niższym głosem, jak kobieta zwracająca się drugiej. - Jestem pewna, że po nim posypią się zaproszenia do następnych... pod warunkiem że pójdziecie za ciosem.

- Już poszliśmy - odparł niezwłocznie Mayot. - Reklama Forda jest pokazywana przez cały czas. Słyszałem, że firma jest bardzo zadowolona. Na jesień planujemy tournée *Dziadka do orzechów* i... - Lenny rzucił porozumiewawcze spojrzenie Ellen - ...jesteśmy bliscy zawarcia umowy na znaczną sumę za udział w produkcji kasety wideo.

- Doskonale - stwierdziła Barbara. - Nie mam żadnych wątpliwości, że to odpowiednia pora na wydanie biografii, a wy? Przecież do wszystkiego, o czym wspominałaś, Lenny, dochodzi zainteresowanie Dougiem Gormanem. Na pewno masz o nim wiele do powiedzenia, Ellen... i to rzeczy, których nie wie nikt inny na świecie. Idealna sytuacja.

Mayotowi zrobiło się nagle gorąco. Wiedział, że dojdą do Douga Gormana i nieudanego małżeństwa, ale tak szybko?

- Cóż, oczywiście - wtrącił się, zanim Ellen zdążyła odpowiedzieć. - Pięć lat małżeństwa to bez wątpienia kawał życiorysu. Nie da się ich pominąć, ale nie chcemy, żeby ta książka była o Dougu Gormanie. To historia Ellen, więc powinniśmy...

- Naturalnie - uspokoiła go Barbara. - Chcę też cofnąć się w przeszłość. Zawsze uważam, że kluczem do zrozumienia każdej osoby jest jej dzieciństwo. - Przekrzywiła głowę na bok i popatrzyła na Ellen z zadumą. - Na pewno było ci ciężko, kiedy wyjechałaś z ojczyzny. Ile miałaś wtedy lat? Czternaście? Straciłaś kontakt z rodziną i przyjaciółmi, prawda? To straszne.

Ellen zaczerpnęła głęboko tchu. Mayot widział wyraźnie, że jego podopieczna już jest zdenerwowana.

- Tak było najlepiej - powiedziała łyżwiarka cicho, jakby sama do siebie. - Mój ojciec...

Barbara Christian czekała, aż Ellen dokończy zdanie.

Pytał cię, czy chcesz wyjechać? - zapytała, gdy cisza się przedłużała.

- Tak - odparła nieco zbyt pośpiesznie Ellen. - Oczywiście. Tak było najlepiej. Zdawałam sobie z tego sprawę.

- Musieliście być sobie bardzo bliscy - zauważyła Barbara. - Tak długo był dla ciebie wszystkim.

Mayot walczył z chęcią zmiany tematu. Nigdy nie wspominał o ojcu Ellen. Jego strata była raną, która pewnie nigdy się do końca nie wygoi. Lenny musiał jednak pozwolić dziennikarce, by zgłębiła trochę ten temat. Powinna odjechać z pierwszego spotkania z przekonaniem, że Ellen jest intrygującą postacią, inaczej może odechciałoby się jej pisać biografie.

Ellen jeszcze chwilę milczała, wreszcie podniosła głowę.

- Tak, istotnie - odparła lakonicznie. »

Barbara Christian uśmiechnęła się, jakby wszystko rozumiała. Jednak jej spojrzenie - o czym wiedział Mayot - ukrywało zawód. Jeżeli Ellen nie chce mówić o swoim małżeństwie i dorastaniu, zbyt wiele stron książki trzeba będzie poświęcić omawianiu zawiłości potrójnego akksa. Starając się ożywić rozmowę, Lenny wskazał ścianę za barkiem, na której wisiały oprawione fotografie.

- Stiepan Kusak jest na większości tych zdjęć - powiedział. - Popatrz na to po lewej. Przystojny, prawda? Widać, po kim Ellen odziedziczyła urodę.

- Tak, widzę. - Barbara Christian natychmiast odstawiła kawę i wstała, by przyrzeć się bliżej fotografiom. - To on nauczył cię jeździć na łyżwach, Ellen?

- W ogóle bym się tym nie zajęła, gdyby nie on - odparła. - Prawdę mówiąc, z początku tego nie znosiłam. Bałam się.

- Upadków?

- Lodu... Trudno mi to wytłumaczyć. Byłam tylko dzieckiem.

Dziennikarka uśmiechnęła się do niej i wróciła do fotografii. Na jednej z nich dwudziestokilkuletni Stiepan Kusak z krótkimi, zaczesanymi gładko do tyłu włosami przyjmował jakieś trofeum od grupki zwałistych, ponurych starców w ciężkich jesionkach. Na kolejnym zdjęciu, mniejszym i tak jak pierwsze czarno-białym, niezbyt ostrym, stał w parku ze szczupłą blondynką - niewątpliwie matką Ellen. Tuż pod nim wisiał upozowany portret rodzinny.

- To na pewno ty jako dziecko - powiedziała Barbara Christian. - Ile miałaś wtedy lat? Cztery? Pięć?

Ellen upiła łyk soku.

- Nie mam żadnych zdjęć z tego okresu - odpowiedziała, nie podnosząc głowy. - Zagięły.

- W takim razie kto to? Siostrzenica?

- Nie mam siostrzenicy. - łyżwiarka zmarszczyła brwi.

Barbara nadal przyglądała się fotografii, przedstawiającej dziewczynkę na łyżwach, uśmiechającą się do kamery. Zdjęcie wykonano późnym popołudniem; cień osoby, która je zrobiła, kładł się na lodzie. Fotografia różniła

się od pozostałych: kolory były ostre i dobrze zdefiniowane, ostrość właściwa. Inna była też ramka - plastikowa, z cienką złotą linią wzdłuż brzegu. Tandeta, jaką można kupić w bielej drogerii. Pozostałe zdjęcia były profesjonalnie oprawione w ciemne drewniane listewki. Nie pasująca fotografia była nieco przekrzywiona, jakby ktoś zawiesił ją w pośpiechu.

- Uroczo wygląda w tej niebieskiej sukieneczce - powiedziała Barbara. Ellen zamarła.

- Powiedz wreszcie, kto to? - zapytała dziennikarka.

Łyżwiarka podniosła się sztywno z sofy i podeszła do zdjęcia.

- Ellen?

Zobaczyła, że fotografia wisi na miejscu innej - zdjęcia z Lake Arrowhead, zrobionego podczas jej pierwszych występów.

- Ellen, czy coś się...

Łyżwiarka upuściła zdjęcie. Szkło rozbiło się o róg stołu. Barbara Christian odskoczyła.

- Jezu! Co się...?

- On jest w domu, Lenny. Jest w domu!

- Co? - Mayot wbił dłonie w poręcz fotela. - Ellen, co się... O czym ty mówisz? - Spróbował się roześmiać, jakby nie działo się nic wyjątkowego, jakby jego klientka po prostu żartowała. - Lepiej posprzątajmy to szkło. Barbaro, mam nadzieję, że...

- Posłuchaj, to zdjęcie... - Ellen cofnęła się wśród chrzęszczących pod stopami odłamków i pokazała palcem. - Nigdy go nie widziałam. To on je tu powiesił.

- Ellen, o czym ty... - Mayot wstał; na jego twarzy wciąż widniał krzywy uśmiech. - Zdjęcie?

- Musimy... musimy zadzwonić na policję.

Ellen oddychała głęboko, niemal histerycznie. Za chwilę wprawi się w hiperwentylację. Lenny potrząsnął ją za ramiona.

- Uspokój się, proszę!

Odsunęła się od Lenny'ego.

- Wczoraj w nocy ten facet dostał się do środka. Musiał znaleźć jakąś drogę.

Zanim Mayot zdołał odpowiedzieć, wyszła z pokoju. Usłyszał, że woła Marię. Gdy się odwrócił, zauważył, że Barbara Christian patrzy na fotografię.

Ona... - Potrząsnął głową. - Hmm... prawdę mówiąc, Ellen ma ostatnio trochę kłopotów. Ponieważ jesteś po naszej stronie, mogę ci to powiedzieć.

- Kłopotów?

- Jakiś wariat wypisuje do niej chore listy, a teraz zaczął dzwonić. Wygląda na to, że zdołał jakimś cudem dostać się do domu.

Barbara Christian utkwiła w agencie spojrzenie ciemnych oczu.

- Mój Boże, to straszne - odparła wypranym z emocji głosem i przeniosła wzrok z powrotem na zdjęcie.

- No tak. Cóż można powiedzieć? Taka jest cena sławy.

Dziennikarka pokiwała głową. Wyciągnęła rękę i przesunęła ramkę.

- Trochę podobna do Ellen, prawda?

## 10

Golding oparł się o pień drzewa i wycelował lornetkę w przerwę w gęstwinie. Zobaczył zieloną plamę, a obok stopnie prowadzące do niebieskiego, pustego basenu. Wyobraził sobie, że Ellen Cusak przepływa raz po raz tam i z powrotem. Po chwili zwrócił lornetkę w prawo; miał nadzieję dostrzec altankę, przy której znaleziono zwłoki. Wypatrzył zwinięty wąż na kępie trawy i leżak, na którym daremnie byłoby szukać kąpielowego ręcznika. Dalej były tylko liście. Liście i kwiaty.

Na zboczu było niewiele miejsc, z których dałoby się wyraźnie zobaczyć dom. Wąska droga pięła się po nim zakosami. Golding wjechał na sam szczyt, a następnie zawrócił, szukając miejsca do zaparkowania. Tylko blisko zakrętu, omijającego kępę podeschniętych sosen, można było stanąć na poboczu tak, by nie utrudniać ruchu. Pete'owi przyszło przedzierać się dwadzieścia metrów przez najeżone kolcami poszycie, zanim dostrzegł czerwone dachówki.

Nawet w cieniu było bardzo gorąco. Golding zostawił lekki garnitur w szafie, bo uznał, że lepiej pokazać się w elegantszym ubraniu. Teraz tego żałował. Niebieska wełna drapała go w kolana, a gdy zdjął marynarkę, dojrzał prze poczone łaty na piersiach. Otarł czoło rękawem koszuli i znowu podniósł lornetkę do oczu. Tym razem miał przed sobą bok domu. Wszystkie okiennice były pozamykane, z wyjątkiem jednej, na piętrze. Golding zauważył rzeźbione, drewniane oparcie łóżka, na którym wisiał szlafrok czy sukienka. Pokój wyglądał na skromny, o wiele za mały na główną sypialnię - ta ostatnia znajdowała się prawdopodobnie od tyłu, skąd można było wyjść na balkon i oglądać ogród.

Golding dostrzegł ruch - w sypialni ktoś był. Poprawił ostrość i czekał, trzymając nieruchomo lornetkę. Po sypialni krążyła drobna postać w ciemnym stroju. Wreszcie mimo drżenia soczewek dostrzegł twarz młodej kobiety. Zatrzymała się na wprost okna, splatając dłonie na piersi. Dopiero po chwili Pete zorientował się, że to Ellen Cusak. Wyglądała inaczej niż na zdjęciach w czasopiśmie: wydała mu się niższa i bledsza. Brakowało porcelanowej

gładkości skóry, będącej najczęściej efektem makijażu. Ellen Cusak wyglądała jak zwyczajna kobieta.

Od strony ulicy Brooklake posesja Ellen Cusak była ogrodzona siatką niemal całkowicie zarośniętą gęsto posadzonymi z obydwu stron świerczkami. Brama z poziomych sztab, przyspawanych do stalowej ramy, zmuszała przypadkowych gości do zatrzymania się przed podjazdem; w jeden z granitowych słupków wpuszczono domofon. Gdy tylko Golding wysiadł z samochodu, rozszczękał się pies sąsiadów. Sąsiednie posesje, podobne jedna do drugiej, kryły się za krzewami magnolii i fikusami. Pete nacisnął guzik dzwonka. Rozejrzał się, czy w krzewach nie ma kamery wideo, ale żadnej nie zauważył. Lekko zniekształcony przez interkom kobiecy głos zapytał, czego sobie życzy.

Brama wreszcie się otworzyła. Golding pokonał podjazd i zaparkował obok czerwonego lincolna, stojącego przed drzwiami garażu.

Służąca wprowadziła go do salonu z wysokim sufitem i zostawiła samego. Odwrócił się tyłem do drzwi tarasowych i rozkoszując się niemal lodowatym, klimatyzowanym powietrzem, rozejrzał się po pokoju. Umeblowano go mieszaniną antyków i nowoczesnych sprzętów. Golding uznał, że wewnątrz jest nieco za eleganckie, w odrobinę zbyt dobrym guście. Poza fotografiami na ścianie za fortepianem brakowało akcentów osobistych czy dowodów jakichkolwiek zainteresowań. Podobne pokoje można było obejrzeć w „Architectural Digest” - powstawały one na zlecenie dekoratora wnętrz.

Służąca wróciła z mrożoną herbatą.

- Proszę czuć się jak u siebie - powiedziała. Zaraz ktoś do pana przyjdzie.

Golding uśmiechnął się i upił łyk herbaty. Dotarły do niego głosy z jednego z pokoiów na piętrze. Męski głos mówił coś przez chwilę niskim, pełnym wyrzutu tonem, na co kobieta odpowiedziała monosylabami, głosem proszącym i zgnębionym. Golding usiadł i podciągnął nogawki na kolanach. Po chwili zauważył mokrą plamę i kawałki stłuczonego szkła na dywanie.

Przykucnął nad nimi i właśnie wybierał okruchy spomiędzy osnowy, gdy do salonu wszedł niski, łysiejący mężczyzna w płowej sportowej marynarce.

- Lenny Mayot - przedstawił się, wyciągając rękę. - Jak się pan miewa? Zachowanie tego człowieka świadczyło, że stało się coś złego.

Agent usiadł naprzeciw Goldinga. Przez chwilę nie potrafił znaleźć słów; wreszcie zaczął paplać coś o Alpha Global i tym, jakie czynsze trzeba

płacić w Century City. Po minucie stracił animusz. Zapanowało milczenie. Golding dotknął krawata.

- Coś się stało?

Mayot popatrzył żałośnie na detektywa.

- Ellen myśli, że ten facet tu był - stwierdził.

W pięć minut opowiedział o wszystkim: o telefonach, szczekaniu psa i zdjęciu na ścianie.

- Ellen przypuszcza, że on tu był wczoraj wieczorem - zakończył.

Golding odstawił szklanke na stolik.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na górze. - Mayot wskazał kciukiem sufit. - Nie sądzę, żeby chciała zejść.

Coś ciężkiego walnęło w podłogę na piętrze. Obydwaj podnieśli wzrok.

- Przepraszam pana...

- Mów mi Lenny.

- ...Lenny. Z rozmowy z Tomem Reynoldsem wywnioskowałem, że chodziło tylko o...

- No, to już nieaktualne - przerwał mu z rozdrażnieniem Mayot i wstał. - Przez to.

Okrzyknął fortepian i wskazał zdjęcie dziewczynki na łyżwach. Golding podszedł bliżej i przez chwilę przyglądał się fotografiom. Rozpoznał Stiepana Kusaka z artykułu w czasopiśmie.

Zdjęcie, którego nie powinno tu być, przedstawiało dziewczynkę w niebieskiej sukieneczce.

- To ona? - zapytał. - Ellen?

Powiedział widocznie coś niewłaściwego, bo Mayot pokręcił głową i syknął przez zęby, jakby się oparzył.

- Nie! - wykrztusił wreszcie. - Jezu Chryste, to nie ona ani nikt, kogo zna. - Znieruchomiał, nadal wpatrując się z natężeniem w zdjęcie. - Ktoś próbuje zamącić jej w głowie - dodał zniżonym głosem.

- Domyśla się pan, kto to taki?

Mayot zastanowił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. Golding miał wrażenie, że coś ukrywa.

- Zdjęcia wcześniej nie było - powiedział Lenny. - Ellen zobaczyła je dzisiaj po raz pierwszy. Przyjechała do nas pisarka, Barbara Christian. To ona je zauważyła. Wspaniała reklama. - Wskazał drugie zdjęcie, które leżało odwrócone na klapie fortepianu. - Ktokolwiek je tutaj położył, zdjął ze ściany, żeby zrobić miejsce na tamto. Raczej nic nie zabrano.

Golding pochylił się nad czarną lakierowaną powierzchnią. Wyraźnie było na niej widać dwie rozmazane plamy.

- Niczego pan nie dotykał?

- Nie. Pomyślałem, że może uda się znaleźć jakieś odciski palców.  
- Miał pan rację.  
- Zamierzałem dzwonić na policję, ale potem pomyślałem, że pewnie sami sobie z tym poradzicie. Mam rację?  
- Oczywiście - potwierdził Golding. - Możemy zbierać odciski palców i wszystkie inne dowody rzeczowe: włókna, płyny, cokolwiek. Możemy zorganizować systematyczne przeszukanie miejsca zdarzenia, wystarczy, że zadzwonię. Jest pan pewien, że niczego nie zabrano?  
Podniósł wzrok w górę, skąd nadal dobiegał hałas.  
- Ellen przegląda swoje rzeczy. Bieliznę i tak dalej. Upewnia się, czy... no, wie pan, czy nikt w nich nie grzebał.  
Golding pokiwał głową.  
- Sprawdzono, jak ten ktoś dostał się na teren posesji?  
- Nie... - Lenny poklepał się po kieszeniach. - Jak powiedziałem, to tylko... Prawdę mówiąc, mam mnóstwo roboty i...  
- W porządku - odezwał się kobiecie, opanowany głos.  
Obydwaj się odwrócili.  
Ellen stała u podnóża schodów. Najwidoczniej ochlapała sobie twarz wodą i parę kropel poleciało na jedwabną bluzkę. Miała zaczerwienione oczy, jakby płakała. Lenny zrobił krok w jej stronę.  
- Brakuje czegoś, moja droga?

Wszyscy napili się mrożonej herbaty z lodem. Mayot przypomniał Ellen, że wie, gdzie go szukać w razie potrzeby, i się pożegnał.

Golding i Ellen poszli zajrzeć do pokoi na piętrze. Pete szedł za łyżwiarką, sprawdzając wszystkie drzwi i okna. Zauważył czujniki ruchu. Ellen wyjaśniła, że alarm założono przy budowie domu.

- Wciąż działają prawda? - zapytał, wskazując czujnik w kącie sufitu głównej sypialni.

- Oczywiście... to znaczy, tak sędzę.

- Nastawia pani alarm, idąc spać?

Ellen pokręciła przecząco głową.

- Wstaję w nocy. Zawsze miałam lekki sen. Uruchomiłam niechący alarm parę razy, kiedy... kiedy się tu wprowadziliśmy. Nie miałam ochoty wystukiwać kodu za każdym razem, kiedy wstaję się napić wody. - Popatrzyła na wielki szklany pierścień na palcu. - Tak czy inaczej, nie sędzę, żeby ten człowiek dostał się do środka w nocy.

- Dlaczego pani tak myśli?

Ellen westchnęła i zajrzała Goldingowi w oczy.

- Lenny panu tego nie powiedział?

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wolałbym, żeby opowiedziała mi pani to własnymi słowami.

Ellen objęła się ramionami, jakby poczuła nagły chłód, zmarszczyła brwi.

- Cóż, ten człowiek znowu do mnie zatelefonował. Wróciłam do domu około... ósmej, wzięłam prysznic. Schodziłam właśnie na dół, kiedy zadzwonił. Powiedział... - Zadrzała, przypominając sobie głos nieznanego. - .. Powiedział: „Jest taka śliczna w swojej niebieskiej sukieneczce”. Nie, chwileczkę. „Pięknie wygląda w tej niebieskiej sukieneczce”. W niebieskiej sukieneczce! Zupełnie jakby chciał, żebym od razu zobaczyła to zdjęcie.

- Myśli pani, że już wisiało na ścianie? - Ellen przytaknęła. - Ale go pani nie zauważyła?

- Spostrzegłam je dopiero wtedy, gdy mi je pokazano dziś rano.

Golding zastanowił się przez chwilę.

- Mogło więc wisieć na ścianie od kilku dni.

- Nie sędzę. Maria codziennie odkurza. Nie opuści ani dnia. Zauważyłaby tę tandetną ramkę. Poza tym, tak czy inaczej...

Ellen popatrzyła w milczeniu na Goldinga. Gęste rzęsy miała mokre od łez. Pete poczuł, że coś ściska go w gardle.

- Tak czy inaczej?

- Myślę, że on dzwonił spod mojego domu. Słyszałam przez telefon szczekanie psa sąsiadów. Zwykle w domu gorzej go słyhać, bo okna mają podwójne szyby.

Golding wyjrzał na zewnątrz, wyobrażając sobie tkwiącego pod ścianą intruza. Okna głównej sypialni wychodziły na pusty basen. Pete miał przez chwilę ochotę powiedzieć gospodyni, że można ją dostrzec z drogi, ale się rozmyślił. Skupił wzrok na falującym obiekcie za altanką, żółtym i lśnią-cym. Była to taśma do oznaczania miejsca przestępstwa.

- Czy policja już zakończyła czynności? - zapytał bardziej siebie niż gospodynię.

- Chyba tak - wzruszyła ramionami Ellen. - Po prostu... po prostu nie miałam czasu pozdejmować taśm.

Odwrócił się i popatrzył na łyżwiarkę. Domyślił się, że od znalezienia zwłok nie była w ogrodzie, bo się bała.

- To był już drugi telefon od tego człowieka, prawda?

- Przynajmniej drugi, kiedy się odezwał.

- Aha. Co powiedział za pierwszym razem?

- Że odmieni moje życie.

- To wszystko?

- Tak.



- Jak mówił?
- To znaczy?
- Jakim tonem? Gniewnym? Napastliwym?
- Sama nie wiem - odparła Ellen po chwili zastanowienia. - Nie gniewnym, może trochę nerwowym.
- Nerwowym?
- Bo ja wiem? - wzruszyła ramionami. - Jeszcze się dobrze nie obudziłam. Głos mu chyba trochę drżał, ale nie jestem pewna.

Golding pohamował pokusę, by ją wypytać jeszcze raz od początku. Jej opowieść wydawała się niespójna. Listy Lodowatego były pełne nienawiści i gwałtowności, obrzydliwe, ale prostackie. Telefony i podłożenie zdjęcia były istotnie niepokojące, lecz w inny sposób, którego Golding nie potrafił jeszcze dokładnie określić. Ktoś próbuje zamącić jej w głowie, powiedział agent Ellen. O co mu dokładnie chodziło? Pete postarał się o pogodniejszy ton, by dodać łyżwiarce otuchy.

- Tak czy inaczej, chyba pani usłyszała, gdyby próbował tędy dostać się do środka? - powiedział, rozglądając się po przestronnym, zalanym blaskiem słońca pokoju.

Ellen obejrzała się na wielkie łożo.

- Nie śpiam tutaj - odparła cicho.

Ruszyli przez kolejne pokoje. Golding robił notatki i sprawdzał zamki. Gdy dotarli do mniejszej, gościnnej sypialni, zauważył, że Ellen jest spięta. Popatrzył na rozrzucone w nieładzie ubrania i czasopisma. Czuł aromat olejku lawendowego, który podobno miał wywierać kojący wpływ; Jackie też go używała. Ellen sypiała właśnie w tym pokoju; to tu stała przed oknem, gdy Golding zobaczył ją po raz pierwszy.

- Chyba wszedł przez parter - powiedziała. - Podejrzewam, że dostał się do środka wczoraj wieczorem, zanim zatelefonował. - Golding odwrócił się w jej stronę na półpiętrze. - Zeszłam na dół - mówiła dalej. - Kiedy zadzwonił telefon, trochę się wystraszyłam. Próbowałam znaleźć Marię, ale jej nie było.

- To służąca, prawda? Ta, która lubi odkurzać.

- Raczej gospodyni.

Zeszli z powrotem na dół. Ellen zaprowadziła Goldinga do kuchni.

- Te drzwi były otwarte. Zauważyłam, że są uchylone, kiedy zajrzęłam, czy nie ma tu Marii. Wyszła po zioła.

- Myśli pani, że ten człowiek właśnie wtedy dostał się do środka?

- Miałam takie uczucie.

- Mogę porozmawiać z Marią?

Ellen popatrzyła na zegarek.

- Już pewnie jej nie ma. W środy jeździ na targ.

Golding rozejrzał się po kuchni i zauważył drugie drzwi.

- Dokąd prowadzą?

- Do składziku.

Weszli do środka. Składzik był oświetlony neonówkami. Ceglane ściany pomalowano na biało, posadzkę stanowił lany cement. Stała tu zmywarka do naczyń i zamrażarka. Kolejne drzwi prowadziły do garażu. Rygiel nie był zasunięty. Golding przesunął nim tam i z powrotem.

- Te drzwi są zwykle zamknięte, prawda?

Ellen stanęła w blasku świetlówki.

- Cóż, Maria stale się tu kręci. Zmywa i tak dalej. Drzwi do garażu... te duże, które prowadzona zewnątrz... są zawsze zamknięte. Zatrzaszują się automatycznie po wjechaniu do środka.

- Rozumiem - pokiwał głową Golding. - Stanowią część tego samego systemu co brama. Otwiera sieje pilotem?

- Tak. Nawet nie trzeba wysiadać z wozu. Doug się przy tym upierał. Naprawdę przejmował się względami bezpieczeństwa.

Golding uśmiechnął się blade.

- Nie mam ochoty pani straszyć, ale w zachodniej części Hollywood można kupić małe, czarne pudełeczko, za pomocą którego takie drzwi od garażu otwiera się w minutę. - Ellen znieruchomiała i utkwiała wzrok w Goldingu. Uniosła dłoń i dotknęła czubka głowy. W blasku neonówki jej włosy wyglądały jak żywe, naładowane elektrycznością. Wśród jasnych pukli widać było rudawe pasemka. - Do otwierania drzwi służą dwie podstawowe częstotliwości - ciągnął Golding. - Do tego dochodzi kod cyfrowy, mający zapewnić, że nikt nie otworzy pilotem nie swoich drzwi. Wystarczy jednak odpowiednie czarne pudełeczko, czyli mikrokomputer, generujący dwanaście kombinacji kodu na sekundę, i mamy „Sezamie, otwórz się”. Bajer za trzysta dolarów. To samo odnosi się do bramy wjazdowej.

Ellen odgarnęła drżącą dłonią włosy z czoła.

- Lenny powiedział, że ten facet nie da rady wyjść do sklepu, jeśli nie nałyka się lekarstw.

- Lekarstw? - Golding przechylił głowę.

- Tak! - Ellen wyładowała zdenerwowanie na Goldingu. - Jak taki ktoś ma kupować zminiaturyzowane gadzety, jeśli... jeśli...

- Chwileczkę. - Golding uniosł dłonie. - Z całym szacunkiem, ale nie pani o nim nie wie. Nie mamy nawet pewności, czy to ten sam człowiek, który pisze listy.

Ellen zacisnęła usta.

- No, pięknie dziękuję - powiedziała. - Bardzo mnie pan uspokoił.

- Nie starałem się pani uspokoić. - Odwrócił wzrok, przypominając sobie, że przecież właśnie po to przysłał go Reynolds: by dodać otuchy

klientce. Zaczerpnął tchu. - Ma pani jeszcze te drzwi - powiedział, podchodząc do przejścia do garażu. - Zamek na drzwiach do garażu jest dość prymitywny, ale ten tutaj prezentuje się porządnie.

- Czyli mam go zamykać i pilnować, by Maria robiła to samo, a będziemy bezpieczne.

Nie wyglądało to tak prosto. Ellen była piękną kobietą w wielkim domu, w mieście pełnym psychopatów. Golding nie zamierzał jej okłamywać. Podszedł do drzwi, prowadzących ze składowiska do kuchni. Były drogie, wykonane ze stali i zaopatrzone w zamek Medeco. Pete ukląkł, wyjął kartę kredytową i wsunął ją pod drzwi. Ich brzeg dzieliło od progu jakieś sześć milimetrów. Za dużo. Golding wstał ze stęknięciem.

- Drzwi są ze stali - powiedziała Ellen, stając obok Pete'a i zaglądając mu przez ramię. - Mają zasuwę. - Pochyliła się do przodu, muskając mu ramię pierśią, i przekręciła rygiel. - Zamyka się ją i nie sposób ich otworzyć.

Zetknięcie ich ciał było ulotne, ledwie wyczuwalne, jednak Golding poczuł mrowienie w ręce. Zajrzał w jej rozgniewane zielone oczy i zastanowił się, czy w ogóle to zauważyła.

- Nie mówię, że to złe drzwi, proszę pani, ale... Rzecz sprowadza się do tego, że jeśli nie mają od środka zamka na klucz, to można je otworzyć.

- Niech pan da spokój.

- Proszę mi wierzyć, można bez trudu zdobyć stosowne narzędzia. Sprzedaje je firma pod nazwą Intelligence Incorporated. Niech pani sprawdzi w Internecie. Są nawet przyrządy, które...

- Nie interesuje mnie to.

Ellen zaczęła się wycofywać w głąb domu, jakby dawało jej to poczucie bezpieczeństwa.

- Przykro mi, ale uważam, że powinna pani zdawać sobie z tego sprawę - powiedział Golding, ruszając za nią. - To samo odnosi się do drzwi kuchennych. Prawdę powiedziawszy, wszystkie wyjścia na zewnątrz dadzą się otworzyć. Chryste, drzwi na patio mają nawet zamek zapadkowy. Równie dobrze można by je zostawiać otwarte! Nie chodzi mi nawet o to, ile tu szyb. Gdyby ktoś chciał rozbić okno, żeby dostać się do środka, nie miałby...

Urwał. Stwierdził, że posunął się za daleko. Ellen nie była na to gotowa. .. jeszcze nie teraz.

Wyszli na zewnątrz. Było wczesne popołudnie; wciąż jeszcze panował upał. Golding namawiał Ellen na wymianę drzwi i uruchamianie alarmu. Tłumaczył jej, co może załatwić bez zbytecznego zachodu czy wydatków. Zdawało się, że zdołał dzięki temu zmniejszyć jej napięcie.

- Może powinnam nauczyć się posługiwać bronią - powiedziała, gdy przystanęli na skraju pustego basenu. Goldingowi stanęła na chwilę przed oczami Maddy Olsen, mówiąca dokładnie to samo. Zadała mu to pytanie na patio w swoim domu, zwracając ku niemu inteligentne spojrzenie ciemnych oczu, jakby proponowała jakąś rozrywkę. Odradził jej to. Zbyt wielu ludzi ginęło od własnej broni, albo przypadkowo, albo dlatego, że dobrali się do niej napastnicy. - Co pan na to? - dodała Ellen, patrząc Pete'owi w oczy. Wzruszył ramionami. - Co pan odpowiedział Maddy Olsen?

Zupełnie jakby czytała w jego myślach. Golding przełknął z wysiłkiem, starając się zachować obojętną minę.

- Okazało się, że miała już pistolet - powiedział. Widział, jak Ellen przesuwając stopą uschnięty liść eukaliptusa; odruchowo podniósł wzrok i popatrzył przez drzewa w stronę miejsca, gdzie parkował zaledwie godzinę temu. - Psy - powiedział. - Psy są lepsze od broni. Są cieplejsze, bardziej przyjazne. Potrafią machać ogonami...

- Nie dla mnie. - Ellen wzdrygnęła się teatralnie. - Wolę koty.

Golding pokiwał głową.

- Musiałby to być wielki kot.

- Albo mały, ale zajadły. - Poszukała wzrokiem szczeliny w obmurowaniu basenu, ale jej nie dostrzegła. Zdała sobie sprawę, że kiedy wyszli razem na zewnątrz, został przełamany zły czar. Ogród znowu należał do niej. Spróbowała się uśmiechnąć, ale kiepsko jej to wyszło. - Co mam robić w sprawie telefonów? - zapytała jeszcze.

- To proste. Proszę natychmiast zainstalować nową linię. Jeszcze dzisiaj załatwię z zakładem telekomunikacyjnym, by dano pani pierwszeństwo.

- Lenny mówi, że nie powinnam tego robić. Twierdzi, że zmiana numeru na nic się nie zda.

- Ma rację - przytaknął Golding. - Nie o to mi jednak chodziło. Dostanie pani nowy numer i zatrzyma też stary, ale przełączymy go do nas. To moja propozycja. Nikt, kto będzie do pani dzwonił, nie zorientuje się w zmianie, ale będziemy odbierali telefony również u nas w biurze.

- W waszym biurze? To możliwe?

- Oczywiście. Jeżeli facet zechce rozmawiać tak długo, by możliwe było ustalenie jego numeru, będziemy go mieli. Poza tym wszystko, co powie, zostanie nagrane i ewentualnie wykorzystane jako dowód.

- A co z...?

- Naturalnie będziemy panią natychmiast zawiadamiać, jeśli zdarzą się jakieś normalne telefony. Proszę nas traktować jak sekretarkę. - Ellen objęła się ramionami. Pomysł wydawał się dobry, jednak nie odpowiadała jej myśl, że Golding i jego ludzie będą kontrolować jej rozmowy telefoniczne. - Oczywiście, jeśli woli pani zatrzymać linię, nie ma sprawy - dodał detektyw. -

Niech pani ma tylko stale włączoną automatyczną sekretarkę i nie odbiera, dopóki nie zorientuje się, kto dzwoni.

- Nie. - Ellen podniosła wzrok na Goldinga. Lenny miał rację: czas położyć temu kres. - Przełączcie linię.

- W porządku - uśmiechnął się Pete. - Dopilnujemy, by podłączono panią do systemu, umożliwiającego natychmiastową identyfikację numeru, z którym się pani łączy. Nazywa się to Caller ID. Jeżeli facet zadzwoni na nową linię, będzie się pani mogła natychmiast rozłączyć, a i tak wykryjemy jego numer. - Przyglądał się Ellen, która wpatrywała się w suche liście na dnie pustego basenu. Z zaskoczeniem stwierdził, że mu jej żal. Choć piękna i sławna, była po prostu młodą wystraszoną kobietą, mieszkającą samotnie w wielkim domu. Proszę posłuchać - dodał. - Na razie ten człowiek wydaje się pani jakimś supermanem. Nie wie pani, kim jest ani czego chce, nie orientuje się też pani, jak dostał się do środka. - Ellen podniosła wreszcie na niego wzrok. - Domyślam się na podstawie tego, co już zdążyłem zobaczyć, oraz incydentu ze zdjęciem, że właśnie to daje mu poczucie mocy. Zależy mu przede wszystkim, żeby czuć swoją niepodzielną władzę nad sytuacją. Musi pani zdać sobie sprawę, jak ważne jest dla niego to poczucie mocy, bo zwykle czuje się słaby. To nie jest wielki, zły wilk. - Ellen kiwnęła głową, ale myśl o słabości nieznajomego prześladowcy wcale jej nie uspokoiła. Golding przykucnął i wrzucił jeszcze jeden liść do basenu. - A co pani sądzi o tym zdjęciu? - Ellen potrząsnęła głową. - Czy w listach, które pani dostała, były wzmianki o małej dziewczynce lub coś w tym rodzaju?

- Nie mam pojęcia. Nie czytałam ich. Oddałam je Lenny'emu.

- Aha. - Golding zanotował sobie w pamięci, by przejrzeć je pod tym kątem. - A w pani zwykłej poczcie od wielbicieli?

- Niewiele jej ostatnio dostaję - pokręciła głową Ellen. - Tak czy inaczej, Lenny zajmuje się całą korespondencją z wyjątkiem osobistej. Zawsze to robił. Przynajmniej dzięki temu przykre listy nie przychodzą do domu. Lenny przesyła tylko te miłe.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym je przejrzeć. Sięgając tak daleko w przeszłość, jak to tylko możliwe.

- Oczywiście. Sądzi pan...?

- Nigdy nie wiadomo - wzruszył ramionami Golding.

Rozejrzał się ostatni raz po ogrodzie. Wiatr osłabł. Z sąsiednich posesji dobiegał szum zraszaczy do trawników. Wydawało się, że w tak spokojnym i uporządkowanym miejscu nie ma prawa zagościć przemoc czy szaleństwo.

Szli w stronę domu, gdy Golding znowu zauważył żółtą taśmę. Okrążył altankę przy basenie i zobaczył, że dół, w którym znaleziono ciało kobiety, wciąż jest przykryty plandeką.

- Na pewno było to przykre dla pani - powiedział, gdy Ellen stanęła obok niego.

- Racja. Czułam się, jakby nad domem ciążyła klątwa.

- Śledziłem w prasie przebieg dochodzenia. Wygląda na to, że nie ma żadnych śladów.

- Nie. Nikt nie wie niczego o tej kobiecie.

Dotknął taśmy, przywiązanej do kołka wbitego w ziemię obok niskiego, ceglanego budyneczku.

- Ten ktoś to tylko człowiek, rozumie pani? Prawdopodobnie chory psychicznie.

- No, świetnie.

- Chodzi mi o to, że zapewne był już zatrzymywany za publiczne obnażanie się czy bezprawne najścia, o ile nie za gorsze sprawy. Może przedawkował narkotyki lub alkohol. Gdzieś pewnie są raporty, które go dotyczą. Jego siła... jedyna, jaką ma w tej chwili... polega na anonimowości. To tak, jakby był niewidzialny. Podejrzewam jednak, że jeśli pogrzebiemy we właściwych miejscach, okaże się, że w istocie jest bardzo widzialny. Ktoś na pewno kiedyś doniósł o jego zachowaniu.

- Od czego chce pan zacząć?

- Znam parę odpowiednich miejsc - odparł Golding, kiwając głową. - Widzi pani, większość tych ludzi ma takie czy inne kartoteki. - Szarpnął mocno za taśmę, wyrwijając kołek z ziemi. - Zostawiają za sobą ślad - dodał. - Jak ślimaki.

Część druga

# Konkrety

**Poniedziałek, 2 sierpnia**

Niech ja to sobie poukładam - powiedział Reynolds. - Ten facet, którokolwiek to jest, dostał się do domu. Nie ma śladów włamania, żadnych oznak... niczego. Zadowolili się zawieszeniem na ścianie zdjęcia Ellen Cusak?

- Zdjęcia małej dziewczynki, która jest do niej podobna. Wygląda tak jak ona, gdy była w tym wieku. - Golding pochylił się do przodu i mówił dalej: - Cała ściana jest obwieszona jej fotografiami z czasów, gdy mieszkała w Kijowie. Zdjęcie tego... tego dziecka, które wygląda zupełnie jak Ellen Cusak, zostało zawieszona pośród pozostałych.

Reynolds dotknął z zadumą krawata i wstał. Podeszedł do okna i wyjrzał na samochody, pełną na południe Aleją Gwiazd. Chociaż było jeszcze wczesnie, zrobiło się duszno, a temperatura przekroczyła już dwadzieścia stopni.

- Co o tym sądzisz, Pete?

Golding poprawił się na krześle. Cały weekend przetrwał fakty, ale nie wymyślił żadnej spójnej koncepcji. Wszedł z założenia, że listy z pogroźkami pisał ten sam człowiek, który dostał się do domu Ellen Cusak, ale były to zachowania tak odmienne, że już nie wiedział, co o tym sądzić.

- No, chodzi przede wszystkim o to, że facet... jakiś facet dostał się do środka. Jeżeli to Lodowaty, człowiek, który pisał listy z groźbami...

- Jeżeli?

- Właśnie. Jeśli to on, musimy potraktować sprawę bardzo poważnie. To znaczy sprawa jest poważna, od którejkolwiek strony na nią spojrzeć i ktokolwiek dostał się do domu.

Reynolds odwrócił się od okna.

- Czyli zasugerowałaś pani Cusak, żeby wymieniła zamki - podsumował, wracając do biurka.

- Powiedziałem jej też, że powinna zgodzić się na kontrolowanie rozmów telefonicznych i korzystać z alarmu. Ma piekielnie drogi system, a nawet nie włącza go na noc. Służąca też nie pilnuje specjalnie, czy drzwi są zamknięte. Pani Cusak myśli, że facet właśnie dzięki temu dostał się do środka.

- Tak? Dlaczego?

- Służąca była na dworze i zrywała pietruszkę.

- Cóż, tłumaczy to w każdym razie, dlaczego nie było śladów włamania - odparł Reynolds i uniósł brwi, jakby nie wierzył ani jednemu słowu. - Facet siedział w krzakach ze zdjęciem pod pachą i czekał na dogodną okazję. Kiedy zobaczył, że służąca zostawiła otwarte drzwi, zakradł się do środka. - Na długą chwilę zapadła cisza. - Szukałeś odcisków? - zapytał wreszcie szef agencji.

- Oczywiście.

- Były jakieś na ramce?

- Tylko pani Cusak. Brała ją potem do ręki.

- Tylko jej?

- Tak.

Reynolds zacisnął z powątpiewaniem wargi i popatrzył na swoje wymaniukiowane paznokcie. Golding poczuł, że zaczyna go ogarniać irytacja.

- Co panu chodzi po głowie?

- Cóż, staram się wczuć w punkt widzenia intruza. Wydaje się, że zadał sobie mnóstwo zachodu, nie mówiąc już o tym, że bardzo ryzykował. - Reynolds odczekał chwilę, mierząc Pete'a zimnym spojrzeniem szarych oczu. - Chodzi mi o to, że skoro dostał się do środka, mógł przynajmniej coś sobie wziąć, prawda? Coś cennego, jakąś pamiątkę do swojej kapliczki. Bieliznę, mydło, dezodorant. Chryste, gdybym był Lodowatym, narznąłbym przynajmniej na dywan. Jesteś pewny, że niczego nie brakuje?

- Według pani Cusak nic nie zabrano.

- Skoro chciał, żeby zobaczyła zdjęcie, dlaczego nie wysłał go po prostu pocztą?

- Bo pragnie czuć moc - odparł Golding. - Chciał, żeby wiedziała, że może się do niej dostać.

- Pewnie tak.

Znowu zapadło długie milczenie.

- Sugeruje pan, że to wszystko zmyłka? - spytał Golding. Reynolds wzruszył ramionami. - Ale dlaczego? Po co pani Cusak miałyby się w to bawić?

- Kto wie? Dla zwrócenia na siebie uwagi. Dla reklamy. Dlaczego ludzie robią różne rzeczy? Z tego, co powiedział mi Mayot, Ellen Cusak wraca na taflę. Trup w ogrodzie i prześladowający ją nieznajomy to dla niektórych gazet materiał na pierwszą stronę.

- Ale dlaczego... Dlaczego powiedziała, że nic nie brakuje? Przecież powinna, jeśli zależało jej, by to wyglądało autentycznie.

- Nie mam pojęcia.

- Przecież jeżeli...

- Posłuchaj, nadaremnie tracimy czas - przerwał mu Reynolds. - Potrzebujemy. .. - zamilkł, wypił łyk zimnej kawy i skrzywił się. - Frank by nam pewnie bardzo pomógł.

Romero pojechał do Nowego Jorku opiniować w procesie o morderstwo. Stan płacił mu pięć tysięcy dolarów za podważenie twierdzeń obrony, że oskarżony jest niepoczytalny. Wydawanie ekspertyz dla sądów było dla psychiatry lukratywnym dodatkowym zajęciem, na które Reynolds patrzył nieco krzywo.

- Kiedy wraca? - spytał Golding.

- Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej wiem, co by powiedział.

- Mianowicie?

- Stwierdziłby, że powinniśmy dowiedzieć się więcej o tym gościu.

O siódmej po południu Golding nadal siedział przy biurku. Z końca korytarza dobiegał głos rozmawiającego przez telefon Reynoldsa. Brzmiało to, jakby Romero składał mu detaliczne sprawozdanie z kolejnego dnia procesu.

- Kiedy się wreszcie z tym uwiną? - zapytał Reynolds, siląc się na pogodny ton, chociaż w rzeczywistości brzmiał jak niecierpliwa matrona.

Golding ukrył twarz w dłoniach. Całe popołudnie babrał się w dziwactwach takiego czy innego rodzaju. Miał ochotę na drinka - ściślej rzecz biorąc, na kolejnego drinka. Od szóstej pociągał ukradkiem bourbona, starając się przełamać mdłości, o jakie przyprawiły go czytane materiały. Czuł się, jakby miał do czynienia z kryptonitem, plutonem czy laseczkami węgla, jakby zaraz miał się pochorować. Co więcej, choć nie przyznawał się nawet sam przed sobą, czuł, że coś mu grozi, jak gdyby zaplątani w swoich żałosnych fantazjach psychopaci siedzieli z nim w jednym pokoju.

Pete wolałby, żeby to Romero przeczytał listy i wymyślił jakiś barwny termin na określenie potwora, z którym mieli do czynienia. On sam mógłby potem pojechać w teren, stanąć oko w oko z facetem - prawie zawsze był to facet - wytłumaczyć mu, jak wygląda sytuacja, i wlepić nakaz sądowy. Wielu ludzi z branży powątpiewało w skuteczność tego papierka. Niektórzy sądzili, że to wręcz prowokujące. Golding nie miał jednak nic przeciwko

temu. Uważał, że nakaz sądowy stwarza jasną sytuację. Nakreśla linię na ziemi. Jeżeli popapraniec ją przekroczył, sam prosił się o konsekwencje.

Pisanych do Ellen szalonych listów było zadziwiająco dużo jak na osobę, która nie należała do gwiazd pierwszej wielkości. Autorzy gryzmoлили je na żółtych kartkach z prawniczych notesów, na arkuszach z kołnotatników, papeteriach ozdobionych motywami kwiatów, papierowych ręcznikach, fiskach do kartotek - na wszystkim, co nadawało się do bazgrania i dało się wkręcić w maszynę do pisania. Marzeniem Franka Romero było, by każdy list katalogować i stworzyć bibliotekę na wzór tej, jaką miała największa agencja w Los Angeles - Gavina de Beckera. Ponoć znajdowało się w niej około trzystu pięćdziesięciu tysięcy pozycji: trzysta pięćdziesiąt tysięcy przykładów nienawiści, wulgarności i urojeń. Listy miłosne po sto stron, zeszytniałe od nasienia, podpisane krwią. Pełne nienawiści wynurzenia, poplamione łzami i kałem. Goldinga rozbolała głowa na samą myśl o tej kolekcji.

Listy do Ellen zaczęły przychodzić w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, gdy po raz pierwszy pokazała się przed kamerami poza taflą - w rok po tym, gdy pojawiła się znikąd i zdobyła srebrny medal w mistrzostwach kraju. Oczywiście, ludzie pisali do niej od razu, ale z pierwszą falą entuzjazmu - prośbami o zdjęcia z autografem i tak dalej - radziła sobie w zwykły sposób, a listy wyrzucała. Dopiero później przez szmer podziwu zaczęły przebijać donośniejsze i odbiegające od normy głosy. Właśnie z nimi miał teraz do czynienia Golding.

Pół roku po zdobyciu medalu do Ellen wypisywało już trzech szajbusów. Pierwszy z nich podpisywał się „Pierre”. Krótkie, lecz płomienne listy nadawał albo na Manhattanie, albo w Paryżu. Facet podróżował, był zapewne biznesmenem i miał obsesję na punkcie obuwia. Pierwszą oznaką że ma nie po kolei w głowie, było stałe wypytywanie Ellen o rozmiar butów. W ciągu wiosny dziewięćdziesiątego roku w jego listach pojawiły się dowody ewidentnego obłądzenia. Gdzie Ellen kupuje obuwie? Czy poza taflą nosi botki? Jak się czuje, gdy są ciasno zasznurowane? Jak ostra jest żywa? Co przeżywa, gdy pęka jej sznurowadło? Pierre wiedział, jak jedną ręką zasznurować buty z metalowymi haczykami zamiast dziurek - trzeba było przeplatać sznurowadło zygakiem. Najlepsze modelki korzystały z tej metody, gdy musiały prezentować się w wysokich, sięgających ud butach. W liście numer trzydzieści pięć pojawiły się obsceniczne treści. Autor opisywał, jak pieprzy się z Ellen podczas programu dowolnego. „Ślizgasz się na moim ostrzu” - „moim” trzykrotnie podkreślone. W następnym liście Pierre prosił o wybaczenie. Potem napisał, że Ellen go zraniła, i na kilka miesięcy listy ustały. Później wariat znowu się ożywił. Paryż i Nowy Jork. Nowy Jork i Paryż. Pierre używał poprawnej angielszczyzny, ale równie

dobrze mógł być Francuzem. Twierdził, że *talon* - francuskie słowo, oznaczające piętę - przypomina mu angielskie określenie stopy orła. Opisywał obszernie, jak pięta - zawsze w liczbie pojedynczej - Ellen przeszywa mu serce. Zapewniał, że może pokazać ranę na potwierdzenie swoich słów. Opisywał drobiazgowo, jak rana uległa zakażeniu.

W porównaniu z Lodowatym Pierre wydawał się łagodny jak baranek. W jego listach nie było wściekłości ani nienawiści - były wyłącznie obrzydliwe. Golding spiął je spinaczem i włożył z powrotem do pudła od Mayota.

Drugi autor był bez wątpienia szalony. Podpisywał swoje listy „Charles Manson” i przerzucał się od bezładnych opisów satanistycznych rytuałów do przekonywania, że Ellen mieszka w pozytywce. Listy przychodziły rzadko i były w znacznym stopniu nieczytelne. Również powędrowały do pudła.

Trzeci z korespondentów najwyraźniej śledził informacje z życia Ellen, zamieszczane w prasie. Pisał pochyłymi, czarnymi literami, przypominającymi Goldingowi smugi deszczu. Listy sygnował imieniem „Bob”. Ciągłe wspominał o pierwszym programie dowolnym Ellen, bo wtedy pierwszy raz ją zobaczył. Twierdził, że odmieniła jego życie. Golding niejasno przypominał sobie ten występ. Oderwał się od listów, podłączył do Internetu i zaczął grzebać w ówczesnych sprawozdaniach. W serwisie archiwalnym, zawierającym kopie starych numerów „Skatinga”, znalazł artykuł, opublikowany w okresie ślubu Ellen z Dougiem Gormanem.

...Używała jeszcze wtedy imienia Jelena i znano ją tylko jako obiecującą, młodą łyżwiarkę rodem z Ukrainy, która uciekła z ojcem na Zachód, korzystając z wyjazdu do Helsinek. Bardzo rzadko pisała o niej prasa. W paru udzielonych wywiadach prezentowała się jako niepewna siebie, nieśmiała dziewczyna, mimo spędzonych w Stanach lat wciąż mówiąca z silnym akcentem. Większość ówczesnej publiczności - a więc większość świata - nigdy nie widziała jej na lodzie. Parokrotnie upadła podczas programu krótkiego i nie sądzono, że ma szansę na medal. Jednak wyniki zawodów zostały przesądzone, gdy wyszła na taflę, by zatańczyć jako ostatnia tego wieczoru.

Trzeba było czekać niemal w nieskończoność, nim zabrzmiała muzyka. Jelena stała bez ruchu na środku lodowiska, w prostej niebieskiej tunice z czerwonymi epoletami - ni to kadet, ni to balerina. Była nieodparcie czarująca: spięte w krótki kucyk jasne włosy, nieśmiałe spojrzenie zielonych oczu. Przede wszystkim jednak była inna. Wyglądała jak rzadkie zjawisko, wyrzuczone przez morze na obcy brzeg. Publiczność powoli ucichła. Ludzie kierujący się już do wyjścia przystanęli i zaczęli z powrotem zajmować miejsca. Zwijający sprzęt fotografowie i kamerzyści zaczęli z nową energią nastawiać

teleobiektywy, kadrować i wykonywać najazdy. Wciąż panowała cisza. Ellen obejrzała się na ojca. Przez trybuny przeszedł szmer dezorientacji.

Wreszcie zabrzmiała muzyka: *Rapsodia węgierska* f-moll Brahmsa - arcydzieło, w którym szybkie i wolne rytmy następowały błyskawicznie jedne po drugich, oscylując między ciężkim smutkiem a niepokohamowaną radością. Taki podkład muzyczny mógł pograżyć występ, nie wspominając o trudnościach z utrzymaniem tempa występu. Niewysoka Jelena Kusak nie musiała się jednak przejmować interpretacją muzyki; przez chwilę po prostu sama była muzyką. Wcieliła się w nią od czubków łyżew po dno słowiańskiej duszy. Ślizgała się płynnie i z dziką energią, kręciła piruety szybko i precyzyjnie, skakała bez najmniejszego wysiłku - jednak nie to najbardziej przykuwało wzrok. W jej występie nie było żadnej estradowej powierzchowności. Zdawało się, że kierowała się płynącymi z głębi duszy impulsami. Zaspokajała głód, który mogła nasycić wyłącznie tańcem. Był to głos wygnańca, dziecka tęskniącego za domem. Widownia obserwowała jej taniec ze łzami w oczach, dopóki nie skończyła.

Komentatorzy wskazywali, że technicznie rzecz biorąc, program Ellen nie należał do najtrudniejszych, jednak co do wrażenia artystycznego stanowiął klasę sam dla siebie. Trzech sędziów przyznało maksymalne sześć punktów, trzech pozostałych - pięć i dziewięć dziesiątych. Wystarczyło to do zdobycia srebrnego medalu i zwrócenia uwagi milionów ludzi na tancerkę, o której istnieniu do tej pory nie mieli pojęcia.

Bob najwidoczniej należał do tych milionów. Napisał, że ujrzenie Jeleny w tańcu było dla niego jak wybuch supernowej. Przez kilka następnych dni nie mógł zasnąć. Bob najwyraźniej cierpiał na depresję. Pisał o zażywanych lekach. Pisał o braku celu w życiu. W piątym liście zadał Ellen pytanie, jakim cudem się nie poci: „Zauważyłem, że kiedy schodzisz z tafla po takim wysiłku fizycznym, w ogóle nie widać na tobie potu. Czy to zasługa kosmetyków? Czy łyżwiarki korzystają z tych samych kosmetyków co aktorki?”. Bob chciał się dowiedzieć, ile Ellen waży. Gdzieś wyczytał, że czterdzieści cztery kilogramy. „Czy to prawda? Moim zdaniem wyglądasz na lżejszą. Powiedziałbym, że ważysz czterdzieści jeden, najwyżej czterdzieści dwa i pół kilo”.

W dwudziestym siódmym liście Bob napisał, że kupił pistolet. Napisał też, że czuje się jak kula, poruszająca się zbyt szybko, by wystarczyła jej terażniejszość. Stwierdził, że jego najgłębszym marzeniem jest żyć wyłącznie w bieżącej chwili i wirować w miejscu, jak Ellen na tafla. Gdy się jednak było kulą, rzecz nie wyglądała tak prosto: „Zbyt szybko przychodzi następna chwila i następna, a po wszystkich następnych - koniec, cel, moje przeznaczenie”. Wiadomość o małżeństwie Ellen w dziewięćdziesiątym drugim

roku była dla niego druzgocząca. Listy stały się krótsze i naładowane treścią, jakby skondensowane pod ciężarem złych wieści. W liście osiemdziesiątym trzecim była mowa o prozaku; podobno ten lek pomagał Bobowi, ale jednocześnie go pobudzał. Autor wspominał o zbrodni, dokonanej przez Josepha Webeckera w Louisville w Kentucky. „Wyobrażasz sobie? Po prostu wszedł do środka i wszystkich wystrzelał”, pisał Bob. W styczniu dziewięćdziesiątego czwartego roku przysłał pocztówkę, według Goldinga najbardziej niesamowitą z całej korespondencji. Na kartce napisał: „Jesteśmy jednością”. Nic więcej. Golding porównał datę nadania ze sporządzoną przez siebie orientacyjną chronologią, ale nie zdołał niczego dopasować. Potem przez trzy lata panowała cisza, jakby ogłoszona przez Boba jedność znaczyła, że nie musi już nawiązywać kontaktu. W dziewięćdziesiątym siódmym odezwał się znowu, w jeszcze bardziej niesamowitym tonie. Pismo było to samo, podobne do spływającego deszczu, ten sam podpis, ale pojawiły się nowe motywy. „Nigdy nie podarowałbym swojego ciała nauce. A ty?”, napisał. Chciał się dowiedzieć, czy Ellen ma jeszcze wyrostek robaczkowy. Chciał wiedzieć wszystko.

Spśród wszystkich listy Lodowatego zawierały najbardziej otwarte groźby. Były również najświeższe. Szukając jakichś powiązań z biografią Ellen, Golding zorientował się, że zaczęły przychodzić wkrótce po zdjęciach reklamy Forda.

- Co słychać?

Bernie Ross, najnowszy rekrut firmy, przystanął obok Goldinga. Był szczupły, ciemnowłosy i przystojny, ale fatalna cera psuła całe wrażenie. Bernie miał na sobie marynarkę; widocznie chciał wyjść, ale nie wiedział, czy powinien. Golding wskazał pudło pełne listów.

- Romero pomyśli, że nadeszła Gwiazdka - powiedział.

12

**Środa, 4 sierpnia**

Ellen patrzyła, jak zamyka się brama i biały nissan Marii znika za rogiem. Dochodziła dziewiąta rano. Wzgórza za domem wciąż przypominały w porannym świetle patchworkową kapę zszytą z jaskrawej roślinności i ciemnych cieni. Kępy cyprysów i sosen znaczyły przebieg drogi, pnącej się zakosami pod szczyt i zwracającej dalej ku dolinie San Fernando. Gdy odgłos samochodu ucichł, Ellen uderzyła panująca cisza. Podeszła



do stalowych drzwi składziku i nacisnęła klamkę, chociaż pamiętała, że Maria dopiero co ją zamknęła. Służąca pozamykała wszystko, łącznie z oknami na najwyższym piętrze. Za namową Goldinga Ellen zgodziła na zamontowanie dodatkowych zamków we wszystkich drzwiach, prowadzących na zewnątrz.

Golding okazał się zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Miała do czynienia z ochroniarzami na rozmaitych wystawnych imprezach filmowego światka, na które zabierała ją Doug. Parę znaczniejszych gwiazd - a może tylko bardziej pretensjonalnych - pojawiało się na nich z osobistą ochroną: zwalistymi, tandetnie ubranymi osiłkami, bez wątplenia spędzającymi większość czasu na siłowni i dumnymi ze swojej pozycji. Golding był zupełnie inny. Przede wszystkim niższy, by od czegoś zacząć wyliczanie różnic, a poza tym bardziej spięty i nieśmiały. Było jednak widać, że dba o formę i w razie potrzeby potrafi sobie poradzić.

Maria zostawiła pocztę na stole w kuchni. Ellen ułożyła korespondencję w rzędzie: trzy brązowe koperty różnych rozmiarów, wyglądające na pisma urzędowe; parę hollywoodzkich biuletynów w celofanie, adresowanych jeszcze do Douga; ręcznie napisane zaproszenie od Laury Mead, przyjaciółki Ellen; list od księgowego; jakieś papiery z banku i małe, kartonowe pudełko wielkości książki, z wydrukowanym na fiszce i przyklejonym adresem. Ellen zważyła je w dłoni i stwierdziła, że w środku musi być kasetka wideo. Domyślała się, że to zapis wywiadu dla telewizji śniadaniowej, podesłany jej przez Mayota.

Otworzyła zaproszenie. Laura i Danny Mead wydawali za miesiąc przoszony obiad. Zaproszenie udekorowano rozmazanymi pieczęciami z kartofla. Ellen natychmiast zorientowała się, że to dzieło Joshuy i Seana - dwóch synów przyjaciół. Laura dopisała u góry czerwonym atramentem: „Bądź koniecznie!”. Zapowiadała się sympatyczna impreza, tym bardziej że w ich domu Ellen nie groziło - jak czasami się zdarzało - że wpadnie na Douga. Postanowiła od razu zadzwonić do Laury z wiadomością, że przyjmuje zaproszenie.

Przyjaciółka odebrała po trzecim sygnale.

- No, nareszcie dzwonicz! Co u ciebie słychać? - zawołała. - Co nowego w twoim życiu? - Był to standardowy wstęp, poprzedzający wypytywanie o mężczyzn.

- Och, sama wiesz, jak to jest.

- Nie, nie wiem i dlatego pytam.

- Cóż, ostatnio dostawałam głównie listy z pogroźkami i telefony od świrów - odparła Ellen, starając się zachować pogodny ton. - Na szczęście chyba się to skończyło.

- Mój Boże...

- Już wszystko w porządku. Naprawdę. - Milczenie Laury świadczyło, że przyjaciółka jest wstrząśnięta. - Lenny załatwił mi ochronę.

- Ochronę?

- Prywatna firma. Specjaliści. Przysłali faceta, żeby sprawdził środki bezpieczeństwa.

- Co ty powiesz? To znaczy kogoś do obstawy? Laura zadała to pytanie takim tonem, jakby dotyczyło skandalicznych ekscesów.

- No, nie ochroniarza, raczej...

- Przystojny? Na pewno macho w niebieskiej popelinowej koszuli, zapiętej na ostatni guzik, z kaburą z cielejcej skóry pod pachą. W lekkim szarym garniturze, spodnie z mankietami, w czarnych mokasynach. - Obydwie się roześmiały. - Wygląda jak Costner?

- Costner? Dlaczego miałby być do niego podobny?

- A co, nie widziałas filmu *Bodyguard*?

- Ach, tego. Pewnie, że widziałam.

- No więc?

- Nie - westchnęła Ellen. - Nie przypomina Kevina Costnera.

- Ale jest przystojny?

- Cóż... - Ellen zastanawiała się przez chwilę. - Chyba tak, w pewnym sensie.

- Wiedziałam! A tyłek? Ładny ma tyłek?

Laura przepadała za mężczyznami o zgrabnych pośladkach - określanych przez nią jako dupeczki, dupy, zadki i siedzenia.

- Nie przyglądałam się jego tyłkowi, Lauro. Mówiliśmy o zamkach, kontrolowaniu rozmów telefonicznych i o psychopatach.

- Przyjmuję więc, że tyłek ma ładny. Co się martwisz? Ochroniarze są teraz w modzie. Popatrz na księżniczkę Stefanię z Monako czy Madonnę. Mówiąc poważnie, łatwo mi sobie ciebie wyobrazić z takim silnym, milczącym typem.

Ellen potrząsnęła głową z desperacją.

- Zaproś paru silnych, milczących typów na twoje przyjęcie, to się im przyjrę.

- Zobaczę, co się da zrobić, ale muszę cię ostrzec: moja czarna księżeczka prezentuje się o wiele mizerniej niż dawniej. To wy, wolne dziewczyny, macie całą radochę.

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim Ellen udało się zakończyć rozmowę. Zaparzyła sobie kawę, usiadła wygodnie i zastanowiła się nad słowami Laury. Istotnie, Goldinga można było uznać za przystojnego; nawet trochę przypominał Kevina Costnera zwartą sylwetką i piaskowymi włosami. Chciała go mieć w pobliżu, chociaż bynajmniej nie z romantycznych powodów; prozaiczna prawda polegała na tym, że czułaby się wtedy o wiele bezpieczniejsza.

Rozpakowała wideokasetę. Na etykietce widniały słowa „obejrzyj mnie”, napisane prawdopodobnie przez Lenny'ego grubym, czarnym markerem. Popatrzyła na zegarek.

Za pół godziny powinna wyruszyć na spotkanie do wytwórni Knapp-Weinstein. Przeniosła kubek z kawą do małego saloniku, w którym stał magnetowid i wielki trzydziestodwucalowy telewizor. Podczas wywiadu marzyła, żeby się jak najszybciej skończył i żeby mogła pojechać do domu, teraz była jednak ciekawa, jak wypadła. Może Lenny i Barbara Christian mieli rację: może rzeczywiście była fotogeniczna.

Salonik zawsze był pokojem Douga. To tutaj, wyciągnięty na czarnej skórzanej sofie, czytał dokładnie lub pobieżnie przesyłane mu scenariusze i godzinami dyskutował o nich przez telefon. Tutaj oglądał filmy z olbrzymiej kolekcji kaset. Tu też przesiadywał, dumając posępnie i upijając się do nieprzytomności lub do bezsensownego gniewu w najczarniejszym okresie małżeństwa. Większość dekoracji znikła wraz z nim: stare plakaty filmowe, scenariusze, kasety, zaścielające biurko modele statków kosmicznych z *Gwiezdnych wojen*. Telewizor i magnetowid jednak zostały, bowiem skrupulatni prawnicy nie zaliczyli ich w formułowaniu ugody rozwodowej do rzeczy osobistych. Ellen i tak nie korzystała z nich od miesięcy.

Obeszła okna i podniosła żaluzje. Doug zawsze trzymał je opuszczone, nawet gdy nie oglądał telewizji. Twierdził, że pomaga mu to myśleć. Mówił to tonem, który budził w Ellen niechęć; jakby miał myśleć nie o swojej pracy, ale o ich nieudanym związku, o niej samej. Doszło do tego, że bała się wejść do tego pokoju, jakby była w nim nieproszonym intruzem, chociaż Doug nigdy jej tego wprost nie powiedział. Oboje rozumieli bez słów, że wymagała od niego zbyt wiele, więcej niż miała prawo oczekiwać. Może zresztą to błędne założenie ze strony obydwójga stało się źródłem dalszych nieporozumień. Tak czy inaczej, w swoim pokoju, na czarnej skórzanej kanapie, otoczony kasetami wideo i scenariuszami, Doug mógł czuć się wolny. Ellen wciąż nie zdecydowała, czy rzeczywiście żądała od Douga zbyt wiele, czy jej koncepcja małżeństwa i rodziny nie była po prostu czymś normalnym. Wiedziała jedno: te rzeczy liczyły się dla niej najbardziej na świecie.

Włożyła kasetę do magnetowidu i nacisnęła guzik odtwarzania. Gładka grafitowa czerń zamieniła się w ziarnistą pustkę, przetykaną białymi plamkami.

Zaledwie usiadła na sofie, zadzwonił telefon. Wzdrygnęła się, zaskoczona. Aparat brzmiał głośniejszy niż w innych pokojach. Miała ochotę nie odbierać i pozwolić zadziałać automatycznej sekretarce - na wypadek gdyby to był on, gdyby poznał jej nowy numer. Upomniała się, że wreszcie

czeka ją znowu normalny dzień. Odzyskała panowanie nad sytuacją. Nie zatrzymując kasety, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, Ellen. Jak leci? Pamiętasz o spotkaniu u Knappa-Weinsteina? Dzwonił Lenny Mayot. Sądząc po hałasie, z telefonu w samochodzie.

- Pewnie. Wyjeżdżam za dwadzieścia minut.

Sygnał nośny telefonu na chwilę zanikł. Na ekranie telewizora czerń zastąpiły rozmyte, niebiesko-białe plamy. Gdy obraz się trochę wyostrzył, okazało się, że to chmury.

- Doskonale. Świetnie. Posłuchaj, wczoraj wieczorem rozmawiałem z Barbarą Christian. Jest bardzo podekscytowana pomysłem tej książki. Dziś po południu omówi propozycję w wydawnictwie Argyle. Jeżeli dostanie zielone światło, wkraczamy do działania. Tak na marginesie, bardzo się jej spodobałaś. Wiedziałem, że tak będzie.

Białe meble na patio, szklane drzwi, widziane od zewnątrz, niewyraźne odbicie dwóch sylwetek w ich tafli. Pogodny głos mężczyzny, rozlegający się z bliska: „No do-obra”.

- Lenny, na pewno przysłałeś mi właściwą taśmę? Wygląda na nagranie z domowej filmoteki czy coś takiego.

Kamera wykonuje szwenk, obiektyw przystosowuje się do nowych warunków. Pojawia się drewniany płot, płaszczyzna zrudziałego trawnika, na jego środku czerwony traktor-zabawka na pedały.

- Taśmę?

- Taśmę z wywiadem dla telewizji śniadaniowej. Właśnie zaczęłam ją oglądać, ale...

Rozmyty owal dziecięcej twarzyczki, spoglądającej wprost w kamerę. Zbyt blisko, by obiektyw mógł wyregulować ostrość. W tle głos młodej kobiety: „Chodź do mnie, kochanie”. Kamera wykonuje odjazd. Widać małą mniej więcej roczną dziewczynkę, o falujących, jasnych włosach, spiętych z tyłu wstążką. Jest piękna - tak piękna, jak dziecko na tamtym zdjęciu.

- Och, tę taśmę - powiedział Lenny. - Zupełnie zapomniałem ją wysłać. Przepraszam, dostaniesz ją dzisiaj po południu.

Znów słychać męski głos. Można się domyślić, że to człowiek, który trzyma kamerę. Ellen poznaje ten głos: „Kochanie, chodź do tatusia. Pokaż, jak umiesz chodzić”.

- Co ty właściwie oglądasz, Ellen? Ellen?

W polu widzenia pojawia się para bladych ramion, wyciągających się ku dziecku. Dżinsy, czarna koszulka z krótkimi rękawami z nadrukowanym płatkami śniegu. Z oddali rozlega się głos kobiety, mówiący ledwie dosłyszalnie: „Pokaż mamusi, co potrafisz”.

- Ellen? Jesteś tam?

Dziecko wciąż przytrzymuje się nogi od stołu. Podnosi głowę ku kamerze i śmieje się.

Nie potrafiłbym cię okłamać, Lenny. Podstawowa sprawa to zaangażowanie. W tym przypadku nie możemy sobie pozwolić na niewypały. Musimy mieć pewność.

Abe Weinstein splótł ręce na prawej łydce i zakołysał się w fotelu. Był młodszy od Gila Knappa, wysoki i szczupły. Nosił okulary i równo przystrzyżoną brodę.

- Nie chodzi tylko o zdjęcia - mruknął Knapp zza biurka. - Dochodzi do tego reklama, występy promocyjne, wywiady.

Mayot pokiwał ochoczo głową.

- Mogę was zapewnić...

- Kiedy kasetę trafi do sklepów, Ellen Cusak musi być przez co najmniej sześć tygodni do naszej dyspozycji. Nie zamierzamy dawać wam drugiej szansy.

Lenny poczuł ściekającą mu po skroni kropelkę potu. Tak jak się spodziewał, Abe Weinstein odniósł się przychylniej od swojego partnera do propozycji nakręcenia kasety, ale to nie znaczy, że wpadł w entuzjazm. Aby pobudzić zainteresowanie obydwu partnerów, Lenny wspomniął, że Ellen dołączy do nich o dziesiątej. Było jednak w pół do jedenastej, a łyżwiarka się nie pokazała.

- Mogę was zapewnić, że Ellen jest zachwycona tym pomysłem - powtórzył. - Prawdę mówiąc, ona na to wpadła. Wróciła do treningów, szkoli paru juniorów. Przysięgam, że nigdy nie wyglądała równie wspaniale. - Weinstein pokiwał zachęcająco głową, jakby spodobało mu się to, co usłyszał, chciał jednak dowiedzieć się więcej. - Kasetę to szansa, by Ellen zaprezentowała swoje... wyjątkowe umiejętności szerszej publiczności.

Weinstein przestał potakiwać.

- Na pewno jest zainteresowana szerszą publicznością, Lenny? Słyszałem, że kiedy nie występuje, lubi trzymać się na uboczu i nie przepada za poklaskiem.

- Dotarło do mnie, że agent Douga Gormana miał spore kłopoty z namawianiem jej, by pokazywała się z mężem - dodał Knapp. - Podobno nie wykazywała żadnej woli współpracy. Nie chciała nawet kiwnąć palcem, jeśli już o to chodzi.

- Doug opowiada takie rzeczy? - Lenny zmusił się do śmiechu. - Dajcie spokój, ludzie.

- Mówimy tylko, że właśnie to do nas dotarło - odparł spokojnie Knapp.

- Cóż, jeśli to najgorsze, co Doug Gorman potrafi powiedzieć o swojej byłej żonie... Sam mógłbym dorzucić parę rzeczy na jego temat. Nawet więcej niż parę.

Weinstein skwitował uwagę Mayota kiwnięciem głowy.

- Pozostaje faktem, że w obecnym stanie rzeczy Ellen gwarantuje niewielkie zyski, jeśli chodzi o taki rodzaj produktu. Jej nazwiska nie powtarza się we wszystkich domach, jak niegdyś, oznacza to, że trzeba położyć większy nacisk na marketing.

- Cóż mogę powiedzieć - wzruszył ramionami Mayot. - Ellen pragnie nakręcić tę kasetę i chce, żeby odniosła sukces. Czy w przeciwnym razie byłbym tutaj?

Gili Knapp rozejrzał się po gabinecie.

- Pytanie powinno chyba brzmieć: dlaczego jej tu nie ma?

Po ekranie przemknęły jaskrawe światła. Lodowisko. Pokój wypełniły krzyki podekscytowanych dzieci. Po białej tafli jeździły tam i z powrotem małe, czarne sylwetki. Bliżej kamery dziewczynka orientального pochodzenia w czerwonym kostiumie wykonała pojedynczą pętlę na palcach i obejrzała się w stronę kamery, gdy dostawiła drugą nogę. Ellen nachyliła się w stronę ekranu, starając się zidentyfikować lodowisko - rozpoznać cokolwiek.

Kamera wykonała nierówny szwenk w stronę brzegu tafli. Dziewczynka tam była - opierała się plecami o pleksiglasową bandę. Mała blondyneczka w niebieskim stroju. Miała teraz cztery albo pięć lat. Uniosła dłoń w rękawiczkę, pomachała sztywno i odepchnęła się od bandy. Przejechała wzdłuż kamery w przeciwną stronę lodowiska; automatycznie dostrajający się obiektyw kilkakrotnie stracił ostrość. Dziewczynka zatoczyła pełne koło i zatrzymała się w punkcie startu. Nie uśmiechała się; stała w milczeniu, wpatrując się w kamerę, jakby czekała, aż Ellen się odezwie.

Dzwonił telefon. Ellen podniosła nieprzytomne spojrzenie i otarła rękawem łzy. Po czterech sygnałach uruchomiła się automatyczna sekretarka: „Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu; proszę zostawić wiadomość po sygnale”. łyżwiarka usłyszała z drugiego pokoju głos Lenny'ego, pełen irytacji i lęku.

Odwróciła się z powrotem w stronę telewizora. Taśma dobiegła końca. Ellen przewinęła kasetę do początku i po raz trzeci włączyła odtwarzanie.

Były do mnie jakieś telefony?  
Sandra Reilly, asystentka Lenny'ego Mayota, przerzuciła notes i stwierdziła:

- Dzwoniła sekretarka Abego Weinsteina. Potwierdziła, że jesteście umówieni na dziesiątą...
- Właśnie stamtąd wracam. Coś jeszcze?
- Hmm... Jakiś facet sprzedawał książką telefoniczną. Przyśle faks.
- Świetnie. To wszystko?
- Eee... Tak.

Lenny chrząknął w odpowiedzi i przeszedł do swojego gabinetu, zdejmując po drodze krawat. Spotkanie okazało się upokorzącą katastrofą. Umowa na film wideo przepadła. Ellen Cusak nadal była postacią z przeszłości - co gorsza, postacią całkowicie niewiarygodną na której nie można było polegać. Jeżeli Gil Knapp i jego partner mieli co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, to je stracili. Afera z Magią Lodu mogła równie dobrze zdarzyć się wczoraj. Gdy Mayot wychodził, Abe Weinstein poklepał go po ramieniu i powiedział: „Gratuluj wysiłków, Lenny”, jakby miał do czynienia z dwudziestopięcioletnim nowicjuszem w branży. Z próbującym szczęścia palantem. Lenny wkurzał się na samo wspomnienie tej chwili.

Poza tym Ellen nawet nie zadzwoniła, żeby się wytłumaczyć.

Wciąż siedział przy biurku, przyciskając palce do pulsujących skroni, gdy zadzwonił telefon.

- Ellen?
- Żle pan zgadł, panie Mayot. Barbara Christian.
- Barbara? Co słyszać? - Lenny natychmiast przybrał optymistyczny ton, sugerujący, że nie mogłoby być lepiej. - Co nowego?
- Rozmawiałam dziś rano z Eve Kaufman z wydawnictwa Argyle.
- Ach, tak. I jak poszło? - zapytał Lenny, jakby chciał ją przekonać, że wypadł mu z głowy taki drobiazg.
- Cóż, Lenny, mam dla ciebie dobre i złe wieści.
- Naprawdę?

Mayot otarł czoło mankietem koszuli. Z doświadczenia wiedział, że „złe wieści” oznaczają przeważnie całkowitą katastrofę.

- Wydawnictwo generalnie uważa, że propozycja biografii sportsmenki, jaką przedstawiłmy, jest niezła. Rynek kobiecy jest zdecydowanie bardziej chłonny, jeśli chodzi o tę sferę, a reprezentantka sportów zimowych wypełniłaby lukę w liście ich publikacji.

- Doskonale, doskonale - mruknął Lenny, mrużąc oczy.

Ale Ellen Cusak niezbyt odpowiada profilowi wydawnictwa. Parę lat temu owszem, ale nie teraz... Wydawcy czują że powinien to być ktoś bardziej w centrum uwagi publiczności. Jedna reklamówka i tournée estradowe to nie najgorzej, ale szczerze mówiąc, potrzeba czegoś bardziej chwytliwego. Przykro mi, Lenny. Lenny?

- Tak, słucham cię. No cóż, fatalnie. I tak dziękuję za starania, Barbaro. Doceniam twoje wysiłki. - Mayot był zbyt zmęczony, by walczyć. I tak nie miało to sensu. - No to do zobaczenia... - Miał już odłożyć słuchawkę, ale Barbara mu to uniemożliwiła.

- Lenny?

- Tak?

- Posłuchaj, Lenny. Nie wiem, czy to warte zachodu, ale uważam, że życie Ellen to dobry materiał. Powiedziałaś ci, że jestem zachwycona twoim pomysłem, i nadal podtrzymuję to. Ellen Cusak to bardzo ciekawa postać.

- Cóż... - Mayot potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Na pewno jej to przekażę... jeżeli ją jeszcze zobaczę.

- Naprawdę sądzę, że miała interesujące życie. Chcę dowiedzieć się o niej więcej. Uważam, że wielu ludzi też by tego chciało. Trzeba ich tylko do tego zachęcić, skupić na czymś ich uwagę. Kiedy byłam u niej w zeszłym tygodniu, prawie to uchwyciłam.

Mayot odchylił się na oparcie fotela i westchnął.

- Problem polega na tym, Barbaro, że na świecie jest mnóstwo mistrzyń świata, medalistek olimpijskich i triumfatek zawodów. Bardzo duża konkurencja. Za parę lat czytelniczki Argyle będą za młode, żeby pamiętać Ellen Cusak.

- Pieprzyć Argyle. Te idiotyczne gnioty nie są warte nawet dwóch groszy. Sam powiedziałaś, że nadają się tylko dla dzieci. Mówię o porządnej pozycji w twardej oprawie. Pogłębionej i przyzwoicie napisanej. Właśnie coś takiego powinno być naszym celem.

- Cel jak najbardziej godny uwagi, Barbaro. - Lenny teraz nie zdołał powstrzymać się od śmiechu. - Na razie jednak nie wiem, jak w niego trafić.

W słuchawce przez chwilę słyszał było tylko oddech Barbary Christian. Mayot musiał jej przyznać, że ma niesamowitą wolę walki... i głowę na karku.

- Lenny, proszę tylko o jedno: jeżeli wyłoni się coś nowego... dotyczącego Douga, tego faceta nękającego Ellen, czegokolwiek... daj mi znać pierwszej, dobrze?

**D**roga zaczyna piąć się pod górę. Opuszcza okno w samochodzie, wciąga w nozdrza woń kwiatów - zawsze słodsza po nocy spędzonej na wachaniu poru innych facetów i dymu papierosów. Słońce wszędzie dopiero za godzinę, więc wszystko jest skapane w niebieskiej poświacie brzasku. Łatwo dzięki niej uwierzyć, że dawne Los Angeles - pełne gajów pomarańczy i brzoskwiń, obfitujące w wodę i farmy - nadal istnieje. Jest na haju po benzedrynie. Tętno ma silne i równe jak węzły na sznurze. Nie spał tej nocy. Chce być maksymalnie skoncentrowany przed czekającymi go doznaniem, chce jak najpełniej nasycić się nową zabawką.

Na skrzyżowaniu z Kenter Avenue zwalnia, rozglądając się za samochodem ochrony, czasami parkującym za kępą bżów. Pewnego razu ten samochód śledził go prawie na szczyt wzgórza. Mężczyzna włączył odbiornik bliskiego zasięgu i dostroił się do długości fal tandetnego nadajnika ochroniarza. Słuchał, jak gość sprawdza jego tablice rejestracyjne. Ciekawe, jacy ludzie tu mieszkają skoro wywalają masę forsy za prawo umieszczenia na końcu ulicy tabliczki z napisem „Teren patrolowany przez uzbrojoną straż”, jakby stary pierdziel w chevrolecie caprice mógł stanowić rzeczywistą ochronę.

Kawałek za domem zjeżdża z ulicy. Zatrzymuje się. Wysiada. Zaczyna przedzierać przez sosenki i chaszczce, porastające zbocze wzgórza. Mimo niemal całkowitych ciemności porusza się lekko i bezszelstnie - zna położenie każdego drzewka i wystającego korzenia. Słyszy szelest w gałęziach nad głową - ruch budzących się ptaków i zwierząt. Po prawej stronie spośród listowia wypada spłoszona sójka i leci, skrzecząc, w stronę domu.

Otwiera plecak i wyjmuje swój najnowszy nabytek. Łącznie z fotokamery trzeciej generacji na arsenek galu, dającą tysiąc dwieście mikroamperów na lumen, noktowizor kosztował go prawie dwumiesięczne pobory, więc nasuwa gogle na głowę z wielką ostrożnością. Po chwili wybucha charakterystycznym, nieprzyjemnie wysokim chichotem. Przyciska dłoń do ust, by stłumić dźwięk.

Pięknie. Świat przedstawia się tak, jakby oglądał go spod wody. Najbardziej uwielbia jednak świadomość, że widzi, choć jego nikt nie może zobaczyć. Zawsze sprawiało mu to rozkosz. Oczywiście, wypróbował noktowizor już w domu, używał go nawet podczas zabaw z Nat, ale tym razem jest inaczej. Patrzy na jaskrawą, łaciatą powierzchnię listowia, po czym przenosi wzrok na dom. Trzecie okno od prawej na pierwszym piętrze jest oznaczone jaskrawym, zielonym znakiem - jego symbolem, jego graffiti, namalowanym sprayem pod parapetem specjalnym barwnikiem.

Znak symbolizuje nieskończoność. Ósemka leżąca na boku - widoczna wyłącznie dla jego oczu za cztery tysiące dolarów.

Wpatruje się w dom przez długi czas, wyobrażając sobie Jelenę w łóżku. Tkwi tak nieruchomo, że zwierzęta zaczynają na powrót szeleścić w otaczających go zaroślach. Patrzy, jak wielki pajak wędruje po ziemi, i wtedy dostrzega odcisk stopy.

Tuż przed nim widnieje kilka kolejnych. Nie jego. Uświadomienie sobie tego faktu przypomina brutalnie zapalony reflektor. Ktoś tu był. Człowiek. Ktoś inny, obserwujący dom. Obserwujący ją. Mężczyzna kuca. Przesuwa palcami wzdłuż brzegów śladów. Stara się pohamować gniew. Rozgląda się dookoła i zauważa kolejny odcisk stopy za sobą. I jeszcze jeden. Gładkie podeszwy, zapewne skórzane, ale z gumowymi obcasami, z wytłoczonym zygzakowatym wzorkiem. Stara się wyobrazić sobie tego kogoś w chwili, gdy tu stoi. Jakiś cholerny psychopata, próbujący podglądać jego Ellen. Zabiłby go, gdyby go tu zastał.

Ściąga noktowizor i wpycha go do plecaka. Ptaki pierzchają, gdy zwraca w pośpiechu do samochodu. Wciska się za kierownicę i siedzi przez chwilę nieruchomo. W jego myślach panuje zamęt. Walczy z uczuciem pogwałcenia jego praw. Jest to sygnał, ostrzeżenie, że czekał za długo. Sięga do schowka na rękawiczki i wyciąga trzydziestkęósemkę. Przesuwa lufą po twarzy, wciska ją w policzek i ze wszystkich sił stara się opamiętać wściekłość.

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy dociera do przeciwległego końca ogrodu. Klęka przed wyrwą w żywopłocie, tu także szukając odcisków stóp. Grunt jest jednak gładki.

Przechodzi pod dom środkiem trawnika. Nie stara się kryć, jednak zachowuje się cicho ze względu na psa. Ellen śpi teraz w małej sypialni - jak najdalej od małżeńskiego łóża, gdzie ten aktorzyzna obdarzał ją swoją bezowocną miłością. Telefon stoi jednak na dawnym miejscu. Ellen musi przejść przez korytarz, by go odebrać.

Mężczyzna staje pod oknem z żaluzjami i wybiera numer. Czuje spokój, choć nadal łomocze mu serce. Jeszcze nie wie, co powie; nie to się liczy. Nadszedł czas, by do niej przemówić. Pora, by otworzyć jej oczy.

Sygnał odzywa się raz, dwa, trzy razy. Chwila ciszy, potem syk uruchamiającej się automatycznej sekretarki. Głos Jeleny: „Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu; proszę zostawić wiadomość po sygnale”.

Coś się jednak nie zgadza. Mężczyzna rozłącza się, wybiera ponownie numer. Tym razem trzyma telefon komórkowy z dala od ucha, nasłuchując dźwięku aparatu we wnętrzu domu. Nie słychać dzwonka. Tylko cisza.

Stoi, wpatrując się w okno. Wbija wzrok w miejsce, gdzie namalował swój znak. Czuje pulsujący w czaszce gniew.

Po powrocie do samochodu wybiera numer jeszcze raz.

Syk taśmy. Nagrany głos Jeleny.

Oni słuchają.

Nabiera głęboko powietrza w płuca, wypuszcza je powoli i zaczyna mówić.

## 15

### Czwartek, 5 sierpnia

**G**olding, przyjechawszy tuż po dziesiątej, w ciasnym biurze Mayota zastał Ellen Cusak.

- Dzięki, że przybył pan tak szybko - powiedział Lenny, podsuwając mu krzesło spod szafki na akta.

- I tak musiałem z wami porozmawiać - odparł Golding.

Siadając obok Ellen, zauważył ciemne kręgi pod jej zielonymi oczami. Zorientował się, że zaproszono go, by obejrzał jakieś materiały na kasecie wideo. Lenny wysunął wielki telewizor spod półek, przez chwilę męczył się z kablami, po czym nacisnął klawisz magnetowidu.

- Pani Cusak dostała to wczoraj pocztą - wyjaśnił, siadając. Golding zobaczył pierzaste chmury; po chwili obraz nagle się wyostrzył, a w polu widzenia znalazły się białe meble na patio. Zorientował się, że film nakręcono domową kamerą. - Ellen myślała, że to nagranie z wywiadu dla telewizji śniadaniowej, i otworzyła paczkę przez pomyłkę.

Drzwi na patio. Odbicie. Następnie głos mężczyzny: „Do-obre”. Golding rozpoznał go natychmiast i poczuł, że jeżą się mu małe włoski na ramionach. Prześladowca przysłał Ellen Cusak kasetę wideo.

Pete wielokrotnie oglądał taśmy nakręcone przez ogarniętych obsesją psychopatów. Romero miał ich całą stertę. Zaczynały się niewinnie, w słonecznej kuchni czy garażu, po chwili jednak w polu widzenia pojawiał się oparty o drzwi karabin M-16 i od tego momentu nagranie zamieniało się w koszmar. Golding miał cichą nadzieję, że przynajmniej ta kasetka nie będzie zbyt okropna. Liczył też, że kręcący ją mężczyzna popełnił jakiś błąd i na przykład uwiecznił na taśmie odbicie swojej twarzy w łazienkowym lustrze.

- Sądźmy, że to... - Mayot urwał w pół zdania i uniósł dłoń.

Na ekranie pojawiło się złotowłose niemowlę. Następnie pokazano to samo dziecko w okresie, gdy zaczynało chodzić; stało niepewnie, przytrzymując się nogi stołu. Po chwili na monitorze ukazał się oszałamiający obraz: ta sama dziewczynka co na fotografii. Lenny zastopował. To samo dziecko, ta sama sukieneczka. Mayot zwolnił stop-klatkę. Jakieś lodowisko. Cienie i głosy. Golding obejrzał się na Ellen, by zorientować się, jak ona to odbiera. Łyżwiarka siedziała nieruchomo, ze spojrzeniem utkwionym w zataczającej niezgrabnie koła na lodzie dziewczynce.

Przez parę minut nikt się nie odzywał. Nagranie dobiegło wreszcie końca. Golding popatrzył na Mayota.

- Kasetka przysłała pocztą?

- Zapakowana w brązowy papier. Wczoraj rano, tak, Ellen?

- Razem z resztą korespondencji - odparła łyżwiarka, a Mayot pchnął rozdarte opakowanie przez biurko. Adres wypisano na maszynie, ale brakowało stempla. Paczkę dostarczono osobiście.

- Nie liczyłbym zbyt na to, że zdołamy znaleźć na kopercie jakieś odciski palców - powiedział Golding. - Powinno nam się lepiej poszczęścić z kasetą, pod warunkiem, że nie trzymaliście jej za długo w rękach.

- Eee... to kopia - wyjaśnił Mayot. - No, pomyślałem, że zechcecie poszukać odcisków, więc zabezpieczyłem oryginał. Mam go tutaj - podał detektywowi taśmę, zapakowaną w plastikową torebkę. - I co pan o tym sądzi? - spytał, rozkładając ręce. - Co to ma znaczyć, do diabła?

Golding obejrzał się na Ellen, zastanawiając się, czy ona to wie. Łyżwiarka wciąż wpatrywała się w matowy monitor telewizora.

- Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem - odpowiedział. - Kasetka wydaje się... cóż, wydaje się bardzo osobista. - Podniósł pilota z biurka i przewinął taśmę do początku. Włączył odtwarzanie i nacisnął klawisz stop-klatki, gdy kamera zatoczyła łuk i w polu widzenia znalazły się szklane drzwi na patio. W szybie pokazało się ulotne odbicie twarzy, najprawdopodobniej kobiecej. Golding odtworzył parokrotnie tych kilka sekund nagrania. Istotnie, była to biała kobieta. W chwilę później rozlegał się jej głos: „Chodź do mnie, kochanie”. Matka?

Golding wyłączył magnetowid.

- Rozpoznaje pani głos tego mężczyzny? - zapytał.

- To człowiek, który do mnie wydzwaniał - potwierdziła Ellen, kiwając głową.

- No dobrze. - Golding otworzył torbę i wyjął kasetę magnetofonową.

- Też chcę państwu coś odtworzyć. Nagranie, dokonane dzisiaj rano na pani starej linii.

Ellen przeniosła wzrok na Goldinga. Po raz pierwszy zdołał rzeczywiście skupić na sobie jej uwagę.

- O czym... o co chodziło? - zapytał niepewnie Mayot.
- To wiadomość od tego samego człowieka, który zostawił kasetę wideo.
- Lodowatego?.
- Nie sądzę.

Mayot obejrzał się na Ellen.

- Moja droga, chyba będzie lepiej, jeśli...

- Chcę, żeby pani Cusak tego posłuchała - przerwał Golding. Łyżwiarka popatrzyła na niego przenikliwie, jakby starając się odgadnąć, o co mu chodzi. - Nagranie może wytrącić panią z równowagi, ale chcę usłyszeć, co pani o nim sądzi - dodał.

- Co ona sądzi? - zapytał Lenny.

- Nic mi nie będzie, Lenny. Jestem dużą dziewczynką.

Po włączeniu odtwarzania najpierw przez długą chwilę słysząc było szum czystej taśmy. Następnie zabrzmiał głos:

„Przykro mi, Jeleno. Przykro mi, że tak się zachowałam... Jestem rozczarowany”. Długie milczenie, następnie trzaśnięcie zapalniczki i głęboki wdech. „Przecież nic nie zrobiłem. Nie zrobiłem nic... co mógłbym zrobić”.

Cisza. Mayot patrzył na magnetofon, jakby ten miał eksplodować.

„Poza tym miałem uczucie, że tak właśnie powinno być. Rozumiesz? Czuję, że powinienem tam być. Czuję się... u siebie w domu. Ona też. Bardzo ładnie wyglądała na ścianie razem z... z pozostałymi zdjęciami rodzinnymi”. Ellen poprawiła się w krześle. „Jeździ na łyżwach z twoim ciałem i duszą. Wkłada je w to bez reszty. Chyba tak samo jak ty. Przysłałem ci taśmę, żebyś mogła na nią popatrzeć. Widziałas ją... więc już wiesz”.

Ledwie dosłyszalny szmer oddechu. Odgłos w tle, przypominający szum deszczu. Golding starał się ze wszystkich sił wyobrazić sobie twarz mężczyzny. Zdołał tylko odgadnąć, że jest zapewne biały i przed czterdziestką. Sprężył się, gdy w głosie mężczyzny zaczął narastać gniew:

„Nie potrzebujemy tych ludzi, Jeleno. Nie mają z tym nic wspólnego. Nie mają z nami nic wspólnego. Nic. Starają się tylko nas rozdzielić, nie dopuścić, byś poznała prawdę. Zrozum, widzę cię, Jeleno. Widzę cię”. Cichy śmiech. „Widzę cię w pokoju razem z nimi”. Znowu śmiech. „Jest tam ten szczur, Leonard Arthur Benjamin Mayot”. Agent usiadł prosto jak struna. „Cześć, Lenny. Nie chciałbyś, by cię cokolwiek ominęło, prawda? Mały Lenny, z ryjem przy korycie”. Odgłos głębokiego, nierównego zaciągania się papierosem. „I drugi facet...”. Mówiącemu ścisnęło się gardło; przycisnął mikrofon do ust, aż zadudniło, i z wysiłkiem cedził kolejne słowa: „Ktokolwiek to jest, nie potrafi... Jeleno, jesteś dla nich tylko rzeczą towarem. Nie rozumiesz? Ubierając, malując twarz jak... jak cholernej Cindy. Nie rozumiesz, kochanie? Nie widzisz, że tak było zawsze? Mężczyźni zawsze od ciebie brali, a potem olewali cię, byli gotowi cię zagłodzić. Nic ich

nie obchodziłaś”. Głos brzmiał tak, jakby mówiący powstrzymywał szloch. „Zbliża się czas... już nadszedł... że na to nie pozwolę. Kurwa, nie pozwolę na to!”.

Golding wyłączył magnetofon. Zdawało się, że grzmiący głos jeszcze drga w powietrzu. Rozdygotany Lenny potarł twarz dłonią.

- Pete, chcę, żeby pan dorwał tego sukinsyna. Musi go pan natychmiast przyszpilić.

W oczach Ellen pojawiły się łzy.

- Pani Cusak? - Golding odczekał, aż podniesie na niego wzrok. - Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale czy te sformułowania coś pani mówią?

- A co mają mówić?! - zawołał Mayot. - Facet bredzi.

- Powiedział, że chce, by pani widziała - rzekł Golding. - Czy to znaczy, że... czy w jakikolwiek sposób pani...

Ellen potrząsnęła głową.

- To pieprzony Lodowaty - powiedział Mayot.

Golding poczuł, że robi mu się gorąco.

- Lenny, to...

- Chrzani o łyżwach i tak dalej. To Lodowaty. Jakiś cholerny popapraniec z obsesją na punkcie łyżwiarstwa.

- Lenny, niech pan się zastanowi nad chronologią. - Golding odchylił się na oparcie krzesła. - Jeżeli ujęcia dziewczynki na łyżwach nakręcono niedawno, to znaczy, że filmowano ją od pięciu, sześciu lat. Lodowaty pisze od dwóch miesięcy.

- A więc wyciągnął trochę starych domowych taśm. I co z tego?

Golding popatrzył na czysty ekran. Mayot miał oczywiście rację. To, że na kasecie zaprezentowano pięciolatkę, nie oznaczało jeszcze, że chodzi o pięcioletni okres fantazjowania o łyżwiarce, że obsesja tego typu na punkcie Ellen trwała aż tak długo. Pete przyjrzał się jej. Był pewny, że o niejednym mu jeszcze nie powiedziała.

- Pani Cusak, ten człowiek wspominał o ludziach gotowych panią zagłodzić. Czy...?

- Słucham? - Ellen odgarnęła włosy z czoła nerwowym ruchem.

- Czy to coś pani mówi?

Łyżwiarka utkwiała w nim wzrok na długą chwilę.

- Cóż, pewnie czytał pan w prasie, prawda?

- Pisano o tym w gazetach - zawtórował Mayot.

- O czym?

Goldingowi przyszło długo czekać na odpowiedź.

- Miałam problemy z jedzeniem, kiedy byłam młodsza - powiedziała

Niech pan da spokój, Pete - wtrącił się Mayot. - Chodzi o tego psychologa czy o Ellen?

- Chcę po prostu zrozumieć, o co chodzi temu typowi. Muszę się orientować, co on może wiedzieć o pani Cusak.

- Niech pan posłucha, zaburzenia łaknienia nie są takie rzadkie - powiedziała Ellen, ponownie podnosząc na niego wzrok. - Wielu sportowców... zwłaszcza kobiet... przez to przechodzi. Gimnastyczki, łyżwiarki. Sprawa wygląda gorzej w przypadku łyżwiarek, bo... no, wcześniej osiąga się szczyt możliwości. Optymalny stosunek siły do wagi ma się w wieku mniej więcej trzynastu lat. Właśnie wtedy skacze się najlepiej. Potem zaczyna się tyć i skakanie diabli biorą... Kiedy mnie to spotkało, przestałam właściwie jeść. Teraz już wszystko jest w porządku.

Golding nie był pewien, czy powinien jej wierzyć.

- Ale... ten człowiek powiedział, że to wina „mężczyzn”. Kogo? Pani trenera? Może pani ojca?

Na kościach policzkowych Ellen wykwitły czerwone plamy.

- Co pan chce zasugerować?

- Pragnę tylko...

- Twierdzi pan, że ojciec mnie głodził?

- Nie, pytam tylko, czy to właśnie mógł mieć na myśli ten mężczyzna.

Ellen obejrzała się na Mayota, jakby to on ponosił winę za niedyskretne pytania.

- Nie mam pojęcia - powiedziała.

- Niech pan da spokój, Pete. - Lenny oparł łokcie na biurku. - Ten facet to szaleniec. Przecież... Niech pan tylko posłucha: mówi, że robiono z Ellen drugą Cindy Crawford. Ellen nawet nie jest brunetką.

- Nie mówił o Cindy Crawford. Według mnie powiedział „Sindy”. Moim zdaniem chodziło mu o lalkę.

- Och...

Ellen zmarszczyła brwi, jakby coś sobie przypomniała.

- O co chodzi?

- Na planie... Właśnie wtedy... Zna pan reklamę Forda?

- Modelu z napędem na cztery koła?

Ellen przytaknęła.

- Chciano, żebym wystąpiła w jasnej peruce, ale stale spadała mi na oczy, kiedy skakałam. W końcu zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Tak czy owak, przypomniałam sobie czyjeś słowa, że wyglądałam w niej jak lalka Sindy.

- Pamięta pani, kto to powiedział? - spytał Golding, prostując plecy.

Ellen zamyśliła się na chwilę, po czym potrząsnęła głową.

- To była tylko taka sobie uwaga.

- Ale w końcu nie występowała pani w peruce?

- Nie. Jak powiedziałam, nie dało się.

Golding opuścił wzrok na magnetofon. Listy od Lodowatego zaczęły się w tydzień po nakręceniu reklamy.

- Jak przebiegały zdjęcia? - zapytał. - Były jakieś problemy? Kłótnie?

- Właściwie nie. Na planie dźwiękowym panowało pewne napięcie; ale to chyba normalne. W grę wchodziło mnóstwo pieniędzy, więc wszyscy pracowali pod presją. Ludzie czasem tracili panowanie nad sobą.

- Przypomina pani sobie... czy pani sama straciła panowanie nad nerwami? Czy pokłóciła się pani z kimś?

Ellen pokręciła głową.

- Czy Lodowaty nie zaczął pisać po zdjęciach dla Forda? - zapytał Mayot.

- Owszem.

- Dziwny zbieg okoliczności - pokiwał znacząco głową agent.

- Może to tylko przypadek - odparł Golding i popatrzył na swoje pióro. - Proszę mi teraz opowiedzieć o Bobie.

- O kim? - spytał Mayot ze zdziwioną miną.

- Bobie. Dużo pisał do Ellen.

- Och, o tym Bobie. Jezu, facet lata całe przysyłał jej listy. - Lenny zauważył wyraz twarzy Goldinga i poprawił się: - Myśli pan... sądzi pan, że Bob to właśnie ten facet z małą dziewczynką?

- Uważam, że należy to rozważyć.

- Niech pan da spokój, Pete.

Golding złożył dłonie, starając się uporządkować myśli.

- Lodowaty pisze, że chce skrzywdzić Ellen - przypomniał. - Człowiek, który telefonował, mówi, że chce, by Ellen zobaczyła, jak dziewczynka tańczy. To bardzo różne rzeczy.

- Naprawdę? - zapytał Lenny, podnosząc głos. - Cholerny łobuz, pewnie wyczytał w jakimś szmatławcu pierdoły o jej kłopotach z bezpłodnością i teraz stara się zamącić Ellen w głowie. - Zapadło pełne napięcia milczenie. Mayot obejrzał się na łyżwiarkę i wzruszył ramionami. - Przepraszam, moja droga.

Ellen wstała.

- Mogę już sobie pójść?

Rzuciła Mayotowi druzgocące spojrzenie i wyszła z pokoju. Agent i Golding usłyszeli trzaśnięcie drzwi.

- Jezu Chryste. - Mayot ukrył twarz w dłoniach. Po chwili podniósł głowę. - Co mogę powiedzieć? - rzekł. - To drażliwy temat.

- Lenny, od tygodnia staram się zrozumieć, o co chodzi z tą dziewczynką, a ty mi dopiero teraz mówisz, że pani Cusak miała problemy z zajściem



w ciąży. - Golding nie zdołał dłużej ukryć irytacji. - Muszę dowiedzieć się o tym czegoś więcej.

- Nie mówiłem, że Ellen ma kłopoty z zajściem w ciążę. - Lenny zapadł się w fotel. - Powiedziałem, że ten facet mógł coś o tym przeczytać, to wszystko.

- Co przeczytać?

- Niech pan posłucha, Pete, nawet ja nie znam całej historii. Ellen to Ellen. Jest bardzo dyskretną i zamkniętą w sobie osobą.

- Jakiej historii?

Lenny westchnął i wzruszył ramionami.

Ellen i Douga. Tak pewnie należałoby ją określić. Opowieści pod tytułem: „Dlaczego nie mogli mieć dzieci?”.

- Dzieci? Czy nie była na to trochę za młoda?

- Hmm... - Lenny wzruszył ramionami, jakby rozumiało się to samo przez się. Zadumał się na chwilę, wstał i napił się wody z fontanny. Gdy wrócił na fotel, był już widocznie gotów do mówienia. - Musisz zrozumieć, co przeszła Ellen. No dobrze, oto konspekt. - Uniósł palec. - Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty: Ellen zdobywa srebrny medal w mistrzostwach kraju. Ma siedemnaście lat. Uważa się, że dla łyżwiarki złoty medal olimpijski jest wart pięć do dziesięciu milionów dolarów za występy w reklamach. Tak jest: pięć do dziesięciu milionów. Niech pan nie zapomina 0 tej liczbie, Pete. Kiedy takie dziecko jak Ellen przejawia zadatki na gwiazdę, gdy zapowiada się jako autentyczny talent, znajduje się mnóstwo ludzi, gotowych się nią zająć. Zwłaszcza jeśli dziewczyna wygląda tak jak Ellen. Nic więc dziwnego, że od samego początku miała ostrych agentów. Oczywiście ojciec i Sam Ritt pilnowali jej interesów, ale po mistrzostwach kraju została. .. jak by to ująć?... wypchnięta na komercyjną orbitę. Zanim ktokolwiek się obejrzał, została numerem jeden na świecie. W ciągu dwóch lat. Przez cały ten czas ciężko harowała, udzielała wywiadów, pokazywała się na właściwych uroczystościach, dostawała zaproszenia z całego miasta. Właśnie podczas jednej z takich okazji spotyka młodego aktora nazwiskiem Douglas Gorman. Ma dziewiętnaście lat; jest pewna siebie, promieniejąca wdziękiem i dowcipem. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale aż do tej pory nic więcej się nie działo, rozumie pan? Tak czy siak, ma dziewiętnaście lat, a Doug dwadzieścia trzy. Szach-mach i mamy miłość od pierwszego wejrzenia. Niecały rok później...

- Umarł jej ojciec.

- Właśnie. - Lenny uniósł brew. - A zatem czytuje pan gazety.

- Przejrzałem trochę materiałów, to wszystko.

- Tatusiek umiera. - Mayot zaczerpnęła głęboko tchu. - Atak serca. Był dla Ellen wszystkim. Nie tylko rodziną ale i korzeniami. Sam Ritt, trener,

stara się rozluźnić trochę jej napięcie, ale Ellen zupełnie nie może sobie poradzic i w praktyce to Doug musi ratować ją przed załamaniem. Wspólnie przeżywają kilka ciężkich miesięcy. Ellen nie występuje, bierze leki przeciwdrożdżycowe. Potem ni stąd, ni zowąd oświadcza, że pobierają się na jesieni. Rozumie pan, jakie to zaskoczenie: Ellen jest taka młoda, a Doug... cóż, do tej pory był z niego pistolet. Kręcił się z rozrywkowym towarzystwem. - Mayot wziął do ręki otwieracz do listów i przyjrzał się mu uważnie. - Nie mam pojęcia, czy Doug wiedział, co robi, ale uważam, że dla Ellen sprawa była jasna jak słońce. Małżeństwo oznaczało dla niej dom. Także pewną dozę intymności, ochrony przed mediami. Widzi pan, jak ona się teraz czuje? Cóż, wtedy było tak samo. Była młodsza, robiła, co agent jej kazał, ale w gruncie rzeczy cały ten blichtr i pozłotka nie były dla niej. Pewnie wyobrażała sobie, że zamieszka w eleganckim domu z Dougiem... wie pan, kolacje przy świecach, spacer po parku, i tak dalej. Doug oczywiście wyobrażał to sobie inaczej. Pewnie nie potrafi pojąć, że ktokolwiek może nie chcieć zaliczyć trzech przyjęć w ciągu wieczoru, jeśli ma na to szansę. A potem... i tu docieramy do sprawy bezpłodności... Ellen wyjawia, że chce założyć rodzinę.

- Ile miała wtedy lat?

- Było to na początku małżeństwa, a zatem... była jeszcze bardzo młoda, miała pewnie zaledwie dwadzieścia jeden lat.

- Dwadzieścia jeden?

- Zgadza się. Nie mówię, że można to nazwać normalnym zachowaniem. No dobrze, dziewczyna wiele przeszła, straciła ojca i tak dalej, ale przecież ma praktycznie świat u swoich stóp. Za dwa lata mają się odbyć igrzyska w Lillehammer. Może zdobyć na nich medal wart wiele milionów dolarów, ale woli siedzieć w domu i rodzić dzieci. Wyobraża pan sobie, jakie rozmowy musiał prowadzić z nią jej agent? Znam tego faceta, wiem, że nie jest sentymentalny. Dla niego dziecko to to samo co głowica o mocy trzech megaton. Pamięta pan, co przed chwilą mówiła o stosunku siły do wagi? Wyobraża pan sobie, jak urodzenie dziecka odbiłoby się na jej potrójnych piruetach?

- Pewnie, to możliwe. Tak czy owak, agent daje jej coś w rodzaju ultimatum. Ellen mówi mu, że może sobie iść do diabła. Zwolniła go, i koniec. Jest teraz gospodynią domową i na swój sposób wszystko przez pewien czas układa się dobrze. Doug ma ją częściej dla siebie. Łatwiej jest jej utrzymać się na nogach do późna w nocy. Może go bardziej wspierać i tak dalej. Sprawy się jednak nawarstwiły i wkrótce po tym, jak porzuciła taflę, małżeństwo zaczęło się psuć.

- Gorman nie chciał dziecka?

- Nie wiem, czy w tym tkwił problem. Przecież wariował na punkcie Ellen. Kto by zresztą nie wariował, prawda? Jednak tak czy inaczej, z takiego

czy innego powodu, dziecka nie było. Potem ktoś wypatrzył Douga Gormana, jak wchodzi do kliniki Harper Trust w okręgu Orange, która zajmuje się leczeniem bezpłodności... i przedostało się to do prasy brukowej. Łamiący serca supersamiec Doug Gorman cierpi na bezpłodność lub impotencję, albo i to, i to. Szmatławce miały używanie na całego. Pewnie pan to przepiął, prawda?

- Nie sięgałem tak daleko w przeszłość. Czy te historie zawierały trochę prawdy?

- Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć. Jak powiedziałem, nie rozmawiałem z Ellen o tych sprawach. Sam pan widział, że nie ma wielkiej ochoty o nich mówić.

- Owszem.

- To jeszcze nie koniec. Trzy lata po ślubie Doug i Ellen zgłosili się do agencji adopcyjnej. Nie domyśliłby się pan, co dalej. Tam też im się nie poszczęściło.

- Odmówiono im?

- Zgadza się. Z tego, co do mnie dotarło, agencja uznała, że małżeństwo nie jest dość stabilne, by zagwarantować odpowiedni dom dla dziecka.

- Cholera.

- Wyobraża pan sobie, jak Ellen to przyjęła. Próbowali jeszcze dwa razy. Jednocześnie budowali wielki dom w Brentwood, jakby to miało przekonać agencję, że małżeństwo jest trwałe. - Lenny wstał i podszedł do drzwi. Poprosił asystentkę o kawę, wrócił do biurka i usiadł. - Rozumie pan teraz, co miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że ktoś próbuje zamącić jej w głowie?

## 16

**B**arbara Christian wybiegła z sali montażowej i o mało nie wpadła na Grega Chalmersa, zмирzającego w przeciwną stronę z tacą pełną kubków z kawą.

- Hej, uważaj - powiedział, wymijając ją. - Gdzie się tak spieszysz? Paru asystentów redaktorów podniosło głowy znad monitorów.

- Daj mi czarną bez cukru - powiedziała, nie zatrzymując się.

- Och, naprawdę? - zawołał za nią Chalmers. - Życzy sobie pani do tego ptifurek?

Barbara dopadła swojego biurka, przewertowała notes i wyciągnęła karteczkę z godłem „Konkretów” w prawym górnym rogu. Chwyciła słuchawkę,

wyrzała nad jutowym parawanem, usiadła i wybrała numer. Zabrzmiął pojedynczy sygnał, po czym rozległ się męski głos:

- Fenwick.

- Adam?

- Tak.

W tle słychać było głośny szum: nagrane głosy, odtwarzane w przyspieszonym tempie, zatrzymywane i odtwarzane na nowo. Z bliska dobiegały odgłosy czegoś, co brzmiało jak kłótnia.

- Tu Barbara.

- Nie, nie, z powrotem...! Barbara?

- Christian.

- No, właśnie tutaj. W porządku... Barbara? Cześć, co słychać?... Nie, tego nie potrzebuję. Wywalcie to wszystko... Przepraszam, Barbaro. Co u ciebie?

- Wszystko w porządku. Słuchaj, zrobiliście już makietę niedzielnego programu? Powiedz, proszę.

- Dlaczego pytasz? Masz coś?

- Trochę niesamowite, ale myślę, że ci się spodoba.

Rozległ się stłumiony stuk - to Fenwick zakrył dłońią słuchawkę. Barbara ledwie mogła dosłyszeć jego głos, gdy wydawał komuś instrukcje. Po paru chwilach odezwał się znowu do telefonu:

- Niesamowite? Pasuje. Masz zdjęcia?

- Coś lepszego.

- Już mi się podoba. O co biega?

- Zaraz się dowiesz. - Barbara przysunęła słuchawkę bliżej ust i zniżyła głos. - Pamiętasz te plotki o Dougu Gormanie?

## 17

**Piątek, 6 sierpnia**

**R**eklamę Forda kręcono na wynajętym planie w studiu Alameda, piętnaście kilometrów na północ od centrum Los Angeles. Plan - jeden z największych w studiu, o powierzchni prawie trzech kilometrów - wyposażono w podwodny zbiornik, zamrożony kilka tygodni wcześniej na potrzeby filmu fabularnego. Warunki w studiu umożliwiły skrócenie czasu zdjęć do czterech dni, co byłoby nierealne na jakimkolwiek komercyjnym lodowisku. Możliwe było również wykonanie kilku dramatycznych zdjęć

z powietrza i najazdów, dzięki którym reklama wywierała o wiele większe wrażenie.

Pete Golding przyjechał do studia o pierwszej po południu. Większą część poranka spędził w siedzibie filii King Taylor Simon na Zachodnie Wybrzeże - agencji reklamowej, która podjęła się nowej kampanii Forda. Po długim dopytywaniu Golding zdołał się wreszcie dowiedzieć, że kierownikiem produkcji reklamy była niejaka Sandy Richter. Ona właśnie ostatecznie odpowiadała za logistykę i personel. Jeżeli na planie zdarzyły się jakiegokolwiek kłopoty, powinna o tym wiedzieć. Jak się okazało, tego dnia również była w studiu Alameda, nadzorując kręcenie reklamy napoju gazowanego na jednym z mniejszych planów.

Golding podjechał pod barierkę i opuścił okno. Nie miał wielkich nadziei na przełom w śledztwie. Wzmianka o Sindy przez telefon stanowiła uderzający zbieg okoliczności, trudno było ją jednak uznać za dowód. Ellen Cusak nie przypominała sobie, by ktokolwiek nachodził ją na planie zdjęciowym czy żeby doszło tam do jakiegokolwiek poważniejszej sprzeczki, co również przemawiało przeciwko koncepcji, że tam właśnie znajdowało się źródło późniejszego szaleństwa. Golding obiecał znaleźć nekającego ją człowieka i go powstrzymać. O to właśnie chodziło Lenny'emu Mayotowi - o działanie. Na razie jednak Golding nie mógł się niczym poszczycić. Prawdę mówiąc, czuł się bezradny. Nie chodziło tylko o to, że listy i telefony nie pasowały do siebie. Pete nie potrafił ułożyć jakiegokolwiek sensownego obrazu dręczyciela; nie mógł mu w tym pomóc Romero, bo nie było go w mieście. Nie chodziło również o to, że nieznamy mężczyzna najprawdopodobniej wiedział o podsłuchu telefonów i środkach ostrożności. Golding odnosił wrażenie, że prześladowca Ellen wie o niej bardzo dużo, że od lat gromadził informacje. Czuł, że tak właśnie musiało być - intruz obserwował ją, badał jej nawyki i próbował wnikać w jej osobowość od tak dawna, że zapewniało mu to sporą przewagę nad tymi, którzy go tropili. Golding zapewne by się tym nie przejmował, gdyby tylko zdołał zdobyć zaufanie Ellen, nakłonić ją, by się przed nim otworzyła. Okazało się to jednak bardzo trudne. Zgodnie ze stwierdzeniem Lenny'ego Mayota łyżwiarka była bardzo zamknięta w sobie; zależało jej na zachowaniu intymności. Dlatego jednak tak było? Czy Golding zadał sobie trud, by ją to zapytać? Przez chwilę przypomniał sobie taką jaką ujrzał po raz pierwszy z oddali: wyglądającą przez okno, ze smutną piękną twarzą. Poczul pragnienie, by dodać jej otuchy, udowodnić, że może mu ufać. Chciał, by czuła, że nie jest samotna.

- W czym mogę panu pomóc?

Strażnik studia miał rumianą twarz i uniesione brwi. Przekrzywił głowę na bok, jakby mówił do kogoś lekko niedorozwiniętego. Jego czarny uniform

niewiele się różnił od zwykłych policyjnych mundurów - tyle że brakowało mu odznaki. Golding sięgnął do kieszeni marynarki po legitymację.

- Przyjechałem do Sandy Richter. Kręci reklamę na planie siódmym.

Strażnik wziął od niego legitymację, przyjrzał się jej dokładnie, wreszcie oddał ją z powrotem.

- Czeka na pana?

- Aha.

Wartownik podniósł słuchawkę, powiedział parę słów do mikrofonu, po czym wskazał Goldingowi parking po prawej, oznakowany „Dla gości”.

- Niech pan tam stanie. Zaraz ktoś po pana przyjdzie.

Golding podporządkował się poleceniu. Po kilku minutach pojawił się drugi wartownik, by zaprowadzić go na plan siódmy. Było to właściwie zbędne, ponieważ na każdym z budynków wielkości hangaru wymalowano dwumetrową cyfrę. Wszędzie indziej Golding uznałby tak nachalne środki bezpieczeństwa za denerwujące. Było to jednak miejsce, do którego przyjeżdżali pracować sławni ludzie o nazwiskach i twarzach dobrze znanych w każdym domu. Obiekty fascynacji i fantazji, cele psychotyków, pokrzywdzonych przez los, żywiących urojenia, pełnych odrazy do siebie nieudaczników. Same rozmiary studia - rozległe ściany koloru słabej kawy, długie, puste aleje - zapewniały niejako ochronę, jednak z pewnością nie wystarczającą. Golding zdziwił się tylko, że do tej pory nikt nie starał się go zrewidować.

Znalazł Sandy Richter obok jednego z zaparkowanych na planie wozów produkcyjnych. Kobieta stała z telefonem komórkowym w jednej ręce i okładką na dokumenty w drugiej. Miała nieco ponad trzydzieści lat i sięgające ramion rude włosy. Z daleka wyglądała pociągająco, jednak ciemne kręgi pod oczami świadczyły o długich godzinach pracy i nieustannym stresie. Miała na sobie żółtą jedwabną bluzkę i szare spodnie; prezentowała się elegancko w porównaniu z członkami ekipy i technikami w koszulkach z krótkimi rękawami i dzinsach.

- Pracuje pan dla Ellen Cusak? - zapytała, zanim Golding zdołał się przedstawić.

- Zgadza się. Pete Golding. Dzięki, że zgodziła się pani na spotkanie. - Popatrzył w głąb wielkiego jak pieczara planu, gdzie labirynt przewodów, kabli i rusztowań otaczał makiętę szkolnej sali gimnastycznej. W ciemności odbijały się echem odgłosy walenia młotkami i wiercenia. - Wiem, że na pewno jest pani bardzo...

- Jasne - przerwała mu ze zniecierpliwieniem producentka. - Zaczynamy kręcić za czterdzieści minut. Czego pan właściwie chce? W dyrekcji nie potrafili mi tego jasno powiedzieć.

Z wozu wypadła młoda kobieta z sukienką na wieszaku. Sandy poszła jej śladem, Golding ruszył za nią.

- Chodzi o reklamę Forda, która nakręciła pani parę miesięcy temu.

- Aha. - Sandy Richter popatrzyła na zegarek.

- Wkrótce potem pani Cusak zaczęła dostawać listy z pogrózkami.

- Skąd? Z General Motors?

- W tym właśnie problem, że nie wiemy, od kogo. Możliwe, że wysyłająca je osoba była obecna przy zdjęciach.

- Bez żartów. - Producentka przystanęła przy kolejnym wozie. - Tutaj? Golding przez chwilę chciał przedstawić jej wszystkie fakty, ale się rozmyślił.

- W jednym z telefonów mężczyzna zrobił aluzję do fryzury pani Cusak. Sandy Richter roześmiała się, marszcząc z niedowierzaniem brwi.

- Potrzebna panu Paloma. - Postukała w drzwi wozu. - Paloma? Kochanie?

- *Si?* - rozległ się zmęczony głos ze środka.

- Znowu bawiłaś się w te obsceniczne telefony?

Ze środka rozległo się głucho łupnięcie, a po chwili na progu wozu stanęła niska Latynoska z kręconymi, ciemnymi włosami. Trzymała siwą, odpowiednią do roli matrony perukę.

- O co chodzi?

- Słyszałem, że Ellen Cusak musiała przez pewien czas występować w długiej blond peruce - powiedział Golding. - Chyba każdy obecny przy zdjęciach mógł to zobaczyć.

- Tresce - poprawiła go Paloma. - Co się dzieje?

Zanim Golding zdążył odpowiedzieć, rozległ się sygnał telefonu komórkowego Sandy. Paloma powstała przez chwilę w drzwiach, przewróciła oczami i znikła w wozie. Producentka wdała się w dyskusję o harmonogramie zdjęć z kimś o imieniu Arty. Elektryczny wózek z grupką turystów przejechał alejką po drodze na plany z tyłu studia, gdzie stała imitacja miasteczka z Dzikiego Zachodu. Golding pomyślał, że tylko marnuje czas. Swoją i Sandy Richter, z czego producentka doskonale zdawała sobie sprawę.

- Przepraszam - powiedziała, gdy skończyła, chociaż nie miała skruszonej miny. - A więc czego pan chciał się konkretnie dowiedzieć?

- Czy podczas zdjęć były jakieś kłopoty z personelem? Chodzi mi o przypadki, powiedzmy, niewłaściwego zachowania. Skargi albo...

- Żartuje pan? Nigdy nie ma im końca.

Golding zignorował wybuch producentki.

- Chodzi mi szczególnie o doniesienia o napastowaniu seksualnym, tego rodzaju sprawy. Także o ludzi, którzy dostali się bezprawnie na plan: fanów, łowców autografów, fotografów z brukowców.

Sandy popatrzyła na Pete'a w milczeniu. Najwyraźniej nie potrafiła ustać w miejscu nawet przez moment; może dlatego, że chciała uchodzić

za najbardziej pracowitą pszczołę w roju. Mimo to Golding odniósł wrażenie, że wreszcie potraktowała go poważnie. Może wiedziała z własnego doświadczenia, czym jest napastowanie seksualne.

- Nie mamy z tym większego kłopotu \*- powiedziała. - To znaczy z fanami. Nie tutaj. Ochrona jest skuteczna. Po studiu jeżdżą wycieczki, ale tylko po dziesięć osób naraz i zawsze w towarzystwie przewodnika. Jeśli zaś chodzi o tę sprawę...

- Napastowanie?

- Właśnie. Musi pan pamiętać, że do tej reklamy potrzebowaliśmy dużego zespołu, plus drużyna hokejowa. Czasami robiło się dość hałaśliwie.

- O ilu ludziach mówimy?

- Z ekipy? Mniej więcej dwudziestu.

- Dwudziestu?

- Naturalnie, jeśli wliczyć elektryków, garderobiane, charakteryzatorów. Do tego dochodzili choreografowie, dwaj kaskaderzy, dyżurni sanitariusze, kierowcy... cały ten kram.

W takim razie w grę wchodziło prawie trzydzieści osób plus drużyna hokejowa plus każdy z tysięcy ludzi z innych planów, któremu wpadłoby do głowy, by tu zajrzeć. Nie było szans, by Golding choćby zaczął ich sprawdzać. Mógł tylko mieć nadzieję, że jeśli będzie konsekwentnie zadawał pytania, wycisnie coś przydatnego.

- Hmm... A co z samym filmem? Na pewno ktoś oglądał świeżo wywołane ujęcia, te, które nie zostały ostatecznie wykorzystane.

- Chodzi panu o montaż i synchronizację? - spytała Sandy. - To kolejnych pięć osób.

- Robiono je tutaj?

- W tym przypadku tak. Zwykle wynajmujemy kogoś do tej roboty, ale tym razem chodziło przede wszystkim o czas, więc lepiej było dopiąć wszystko na miejscu. Poza tym studio dysponuje najnowocześniejszym sprzętem: postsynchronem, stołem montażowym wideo, multiplekserem. Reżyser nie musiał nawet schodzić z planu.

- Gdyby były jakieś kłopoty czy skargi, toby pani o nich słyszała, prawda?

- Może - wzruszyła ramionami producentka. - Ale, jak mówiłam, niekiedy było tu bardzo nerwowo. Nie uwierzyłby pan, jak trafne w tym miejscu jest powiedzenie, że czas to pieniądz. Wie pan, że w przeliczeniu na sekundę filmu ta reklama była droższa od *Titanica*'? - Golding potrząsnął głową. - Nikt tu nie będzie zatrzymywał zdjęć tylko dlatego, że ktoś podszczypuje aktoreczkę w makijażu. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Chyba że jest się gwiazdą pomyślał Golding. Gwiazdą większą niż Ellen Cusak.

- Chce pani powiedzieć, że mogło się tu zdarzyć wszystko i nikt by o tym nie wiedział, chyba że zakłóciłoby to zdjęcie?
- Nie powiedziałam „nikt”.
- W takim razie...
- Wie pan, co mówią w branży filmowej? - odparła Sandy Richter z uśmiechem. - Jeżeli chce się wiedzieć, co naprawdę dzieje się na planie, jak idą zdjęcia, to nie warto pytać reżysera czy producenta. Trzeba zapytać kierowców, zwłaszcza wtedy, gdy kręci się w plenerze. W studiu najlepiej zapytać strażników. Widzą wszystko. - Golding zauważył paru wartowników, stojących w rogu następnego planu. Potężni i zwaśni, mogliby z powodzeniem być policjantami. Golding zadał sobie pytanie, dlaczego nimi nie zostali. Sandy Richter podążyła spojrzeniem za wzrokiem Pete'a. - Tak, dziś po południu przyjeżdża tu jakaś wielka szych. Nawet nie wiem, kto.
- Myśli pani, że zechcą ze mną rozmawiać?
- Producentka wzruszyła ramionami.
- Pewnie tak... jeśli ma pan podpisany list od szefa studia.

## 18

Sobota, 7 sierpnia

**T**ekst i zdjęcia ziarniste, poznaczone smugami. Ellen podczas skoku, z rękami skrzyżowanymi na piersi, uśmiechnięta, z przymkniętymi oczami. Ellen z naręczem kwiatów, całująca swój złoty medal w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, pod nagłówkiem „Niebiańska Cusak”. Ellen wysiadająca z limuzyny na pogrzebie swojego ojca. Ellen na swoim ślubie w Santa Monica.

Golding spędził całą sobotę przed terminalami komputerów, najpierw w biurze, a następnie w miejscowej bibliotece, gdzie wydał trzydzieści dolarów na przeszukiwanie bazy danych Nexus, docierając do materiałów nawet sprzed dziesięciu lat. Pod koniec dnia wydrukował plik sześćdziesięciu artykułów. Miał ochotę pojechać prosto do domu i resztę wieczoru poświęcić ich lekturze, ale umówił się już z siostrą.

Jackie dzwoniła do niego parokrotnie w ciągu tygodnia i nagrywała wiadomości na automatycznej sekretarce. Mówiła takim tonem, jakby nie czuła się najlepiej. Za każdym razem, gdy Pete do niej telefonował, numer był zajęty. W czwartek wreszcie zdecydował się zadzwonić do niej do pracy, ale okazało się, że znów się w niej nie pokazała. Zostawił wiadomość, że odwiedzi ją w sobotę wieczorem, bo niemal zawsze była wówczas wolna.

Golding zaparkował pod domem Jackie tuż przed siódmą i z ulgą stwierdził, że palą się wszystkie światła w jej mieszkaniu. Siostra otworzyła, zanim zdolał dojść do drzwi.

- Witaj, wielki bracie.

Była pijana. Miała rumieńce i zataczała się lekko. Jasnobrązowe włosy, zwykle podtrzymywane przez spinkę, opadały luźno.

- Cześć, kochanie.

Golding pocałował siostrę w policzek. Zanim wszedł do środka, Jackie wybuchnęła płaczem. Objęła Pete'a kurczowo, powtarzając raz po raz jego imię. Golding musiał zdjąć jej ręce ze swojego karku.

- Co się dzieje, moja droga? Coś się stało?

Jackie odsunęła się od niego i otarła łzy ręką. Potrząsnęła głową, niezdarnie spróbowała wepchnąć pasmo włosów pod spinkę i przeszła do kuchni. Pete rozejrzał się po saloniku. Pokój wyglądał, jakby wybuchła w nim bomba. Wszędzie poniewierały się porozrzucone ubrania, na stoliku do kawy leżała otwarta wielka, winylowa walizka.

- Co się dzieje, Jackie? - zawołał. - Co ty wyprawiasz?

Siostra stanęła w drzwiach z butelką piwa.

- Pakuję rzeczy - powiedziała, wskazując walizkę. - Wyprowadzam się.

- Wyprowadzasz? Dokąd?

- Wracam do Milwaukee.

A więc Jackie zamierzała jechać do domu. Golding nie potrafił w to uwierzyć. Nie mogłaby zrobić niczego gorszego.

- Dlaczego? - zdołał tylko zapytać.

Jackie wzruszyła ramionami i napiła się z butelki. Zobaczyła, że Pete jej się przygląda, i odjęła szyjkę od ust.

- Napijesz się ze mną?

- Oczywiście.

Przeszli do kuchni. Golding wyszukał szklanek dla siebie, Jackie nalała mu piwa. Usiedli przy laminowanym stole. Golding zauważył, że popielniczka Johna znikła.

- Coś się stało? - spytał.

- Zostawił mnie. - Jackie zamrużyła, wyciskając łzy spod rzęs. - Wyprowadził się w środę rano. Dzwoniłam do ciebie dwa razy.

Golding zarumienił się ze wstydu. Siostra telefonowała do niego, a on był zbyt zajęty, żeby do niej oddzwonić... zbyt zajęty dbaniem o swoich sławnych klientów.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić, siostrzyczko, ale linia była zajęta.

Jackie pokiwała głową i siąknęła nosem.

- Rozmawiałam z mamą - powiedziała. Otarła łzy i spróbowała się uśmiechnąć. - Mama już chodzi, Pete, przynajmniej o lasce. Lekarz mówi,

że świetnie sobie radzi. - Golding zeszytywniał na wspomnienie matki. - Powinieneś do niej zadzwonić, Pete.

- A więc po prostu wziął i się wyprowadził? - spytał Golding, nie reagując na słowa siostry. Popatrzył na półki, na których John trzymał kolekcję starych płyt długogrających. Znikły, tak samo jak sprzęt stereo. - Gdzie hi-fi?

- Zabrał je ze sobą.

- Sukinsyn. - Golding wstał. - Nie było jego. Jackie popatrzyła na niego z lękiem w niebieskich oczach. Bolało go, że siostra się boi. Odwrócił od niej wzrok, rozglądając się za jakąś własnością Johna, którą mógłby zepsuć czy rozbić. - Sukinsyn - powtórzył.

- Inne rzeczy zostawił - powiedziała Jackie. - Nie zabrał mikrofalówki, chociaż była jego.

Golding podszedł do zlewu i opłukał szklankę pod kranem. Chciał odstawić ją na suszarkę, było jednak na niej zbyt wiele talerzy i kubków, w połowie brudnych. Zlew był pełen obrośniętych tłuszczem garnków. Pete pochylał się i oparł dłonią o jego skraj, starając się odzyskać jasność myśli.

- Po co chcesz wracać? - zapytał, odwracając się do siostry. - Jackie, musisz pożegnać się z przeszłością i ruszyć dalej. Wszyscy musimy to kiedyś zrobić.

Siostra opuściła wzrok na butelkę z piwem.

- Zaszłam dalej, Petey. - Podniosła butelkę do ust, zaczerpnęła głęboki łyk i popatrzyła twardym wzrokiem na brata. - To ty stoisz w miejscu. To ty nie potrafisz wyzwolić się od przeszłości.

Jackie wstała. Golding zacisnął zęby na widok jej paskudnie opuchniętych kostek. Miała trzydzieści cztery lata i stopy siedemdziesięcioletniej staruszki. Siostra podeszła do Pete'a i pogłaskała go po policzku. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie w ciszy.

- Tata nie żyje, Petey - przerwała wreszcie milczenie Jackie. - Umarł dawno temu. To, co zrobił... - Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. - To, co zrobił, umarło razem z nim. Mamajest sama. Potrzebuje mnie.

Golding przytulił się do siostry i położył jej głowę na ramieniu. Zacisnął powieki. Tak bardzo chciał jej uwierzyć, że do przeszłości nie ma powrotu, ale wiedział, że Jackie nie ma racji. Konsekwencje czynów ojca stałe im towarzyszyły. Pete i Jackie byli skazani na to, by je stałe odczuwać. To się działo dwadzieścia lat temu, ale dla Goldinga równie dobrze mogło zdarzyć się dzisiaj, w tej samej chwili.

Ojciec stracił pracę. Od tego się wszystko zaczęło. Banalna sprawa, coś, co zdarzało się każdemu. Nie było to nawet wielkim problemem, ponieważ matka wciąż pracowała - codziennie wychodziła do firmy taksówkarskiej, w której na zmianę siedziała przy centralce telefonicznej i prowadziła

dokumentację. Jednak kiedy ojciec przestał pracować, rodzina musiała walczyć o utrzymanie się na powierzchni.

Pete i ojciec zawsze byli sobie bardzo bliscy. Wyjeżdżali razem na ryby, czasami wyruszali w las na cały weekend, znajdowali dziewicze odcinki rzeki i rozbijali tam namiot. Tego roku, gdy ojciec stracił pracę, weekendowe wycieczki się skończyły. Ojciec siedział w domu i prawie nie podnosił się z kanapy. Gapił się ponuro w telewizor, krytykując wiadomości w dziennikach, graczy w baseball czy nawet reklamy. Nauczył się pić od rana i spędzał całe dnie, drzemiąc na kanapie lub włócząc się bez celu po domu.

Jackie miała wtedy szesnaście lat. Dopiero co przestała ukrywać świeżo rozkwitłe piersi i biodra. Zaczynała być dumna z tego, że stała się młodą kobietą. Zawsze czuła się bardziej związana z matką niż z ojcem, gdy jednak weszła w wiek pokwitania, jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie. Stały się niemal współniczkami w spisku. Golding pamiętał, że miał wtedy poczucie wykluczenia pomiędzy nich. Siostra rzadziej się mu zwierzała, więcej czasu spędzała w swoim pokoju albo z koleżankami. Pewnego dnia, gdy matka była w pracy, coś jednak wreszcie pękło - tylko tak Golding potrafił to sobie wytłumaczyć. Ojciec ją zgwałcił.

Wkładając w to nieco wysiłku, Pete wciąż potrafił przypomnieć sobie przebieg tego tygodnia. Nie wiedział, którego dokładnie dnia się to zdarzyło. Nie było żadnej kłótni czy dramatycznej sceny. Do gwałtu doszło, gdy Jackie wróciła ze szkoły - powiedziała mu o tym wiele lat później. Nie nastąpił wybuch gniewu czy odrazy, ale w domu coś się zmieniło - jak gdyby Jackie się wyłączyła. Wcześniej była pełna życia i skora do zabawy, potem stała się cicha i zamknięta w sobie.

Ojciec gwałcił ją wielokrotnie. Molestowanie trwało przez trzy letnie miesiące osiemdziesiątego pierwszego roku i nikt nic nie zrobił. Nikt niczego nie zauważył. Ojciec dostał wreszcie pracę w magazynie miejscowego browaru i gwałty ustały. Sytuacja pozornie wróciła do normy. Znow zaczęły się wyjazdy na ryby i z wyjątkiem milkliwości Jackie życie w rodzinie układało się jak wcześniej. Wracając do tego myślami, Golding nie potrafił zrozumieć, dlaczego nikt nie spostrzegł, co się dzieje, dlaczego nikt temu nie przeciwdziałał. Nie potrafił uwierzyć, że matka nie orientowała się, o co chodziło - była przecież bardzo blisko z Jackie. Pete nie mógł również pojąć, jak ojciec umiał udawać, że nic się nie stało. Przypominało to Goldingowi postaci z kreskówek, wybiegające poza skraj urwiska i spadające w przepaść dopiero wtedy, gdy to do nich docierało. Tyle tylko, że członkowie jego rodziny nie orientowali się, co się działo. Wisieli w powietrzu nad otchłanią, zachowując się, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Od tego lata Jackie była coraz bardziej zamknięta w sobie. Przestała się umawiać, zaczęła coraz więcej jeść, coraz dłużej przesiadywała w swoim

pokoju. Pięć lat później była tak gruba, zaniedbana i zwichnięta psychicznie, że nikt nie wiedział, jak sobie z nią poradzić. Mimo to rodzina nadal jakoś funkcjonowała. Golding wreszcie zaczął się domyślać, co się stało. Zaczynał rozumieć, z czego wynikało postępowanie i wypowiedzi Jackie. Opuścił dom. Zamiast stanąć do konfrontacji z ojcem wyjechał, zostawiając w ten sposób siostrę własnemu losowi. Nigdy sobie tego nie wybaczył. Namawiając ją by się przeprowadziła do Los Angeles, starał się naprawić przeszłość, stać się dla niej wreszcie dobrym bratem.

Wypuścił Jackie z objęć. Odsunęli się od siebie, siostra usiadła z powrotem na krześle.

- Jak możesz... jak możesz wracać do tego domu? - zapytał cicho.

Jackie zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

- Mama sprzedaje dom. I tak jest za duży. Kupuje mniejszy, przy rynku.

Golding popatrzył na czubek głowy siostry. Po raz pierwszy zauważył siwe pasemka, rozchodzące się od wicherka na jej ciemieniu.

Pete odjechał po północy z uczuciem, że nic nie zostało rozwiązane - że nic nigdy nie zostanie rozwiązane. Po powrocie do domu położył się, ale chociaż był doszczętnie wyczerpany, długo nie mógł usnąć. W głowie kotłowały mu się myśli o ojcu i domu. Ojciec zmarł cztery lata wcześniej. W dniu, kiedy Golding się o tym dowiedział, czuł przede wszystkim gniew. Nie dlatego, że odszedł młodo - miał dopiero sześćdziesiąt cztery lata - ale z tego powodu, że nie zdążył stanąć z nim twarzą w twarz i zachować się tak, jak powinien. Gniew ten nigdy go nie opuścił. Samo myślenie o ojcu napełniało go wściekłością.

W końcu zrezygnował z nadziei na sen i przeszedł do salonu, gdzie na stole leżała otwarta teczka z materiałami na temat Ellen Cusak. Zaczął czytać artykuł z magazynu sportowego, potem zabrał się do następnych. Pograżył się w nich tak głęboko, że przez kilka godzin wyszukiwał ważniejsze fragmenty tekstów, podkreślał je i obwodził kółkami. Wreszcie zaczęło świtać. W kolejnym artykule wyczytał, że ponad połowa zawodniczek w takich dyscyplinach jak łyżwiarstwo figurowe i gimnastyka ma zaburzenia łaknienia. Głodziły się, co powodowało nieregularne miesiączki, a nawet ataki serca. Pewna czołowa gimnastyczka wykorzystywała fazy anoreksji i bulimii do regulowania swojej wagi. Umarła w końcu w wyniku niewydolności wielonarządowej; przed śmiercią ważyła osiemnaście kilogramów. Pete dowiedział się, że bulimiczki niekiedy przejawiają patologiczną skrytość i są zdolne wymiotować tak cicho, że brzmi to jak odgłos oddawania moczu. W tym samym artykule autor - lekarz - stwierdzał, że trenerzy powinni być czujni

na takie oznaki diagnostyczne, jak częste jedzenie w odosobnieniu, stałe picie wody, korzystanie ze środków przeczyszczających, a także uważać, czy ich podopieczne nie mają czubków stóp skierowanych w stronę muszli klozetowej, gdy zamykają się w kabinie. Materiał ten przeraził Goldinga. Obraz Ellen triumfującej nad grawitacją w potrójnym akslu zastąpiło wyobrażenie wystraszonego dziecka, siedzącego samotnie w ciemnościach. Dziewczynki bojącej się tego, co dzieje się z jej ciałem, jak oceni ją ojciec, a przede wszystkim lękającej się niepowodzenia.

O ósmej rano spróbował dozwonić się do Jackie. Nie wiedział, co jej powie, chciał po prostu z nią porozmawiać. Odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Pete zamierzał podjechać do niej i sprawdzić, czy nic się nie stało, już nawet wsiadł do samochodu, doszedł jednak do wniosku, że spotkanie spowoduje tylko więcej bólu - dla niej i dla niego. Jackie miała kłopoty. On również. Nie był w stanie jej pomóc. Gdy miał po temu okazję, nie zrobił nic, a teraz było za późno.

Wtedy właśnie zdecydował się porozwieszać zdjęcia. Zawiesił fotografię Ellen na ścianie w salonie. Potem kolejną. I następne. Uzupełnił ziarniste wydruki paroma lśniącymi, kolorowymi zdjęciami, wyciągniętymi z akt agencji. Na jednym z nich, wykonanym zza krzaków przy użyciu teleobiektywu, widać było Ellen obok basenu z Douglasem Gormanem. Obydwoje się śmiało; łyżwiarka w koszulce z krótkimi rękawami i szortach najwyraźniej dopiero co wyszła z wody. Pod wilgotną bawełną odznaczały się delikatne cienie jej sutków. Golding wmawiał sobie, że postępuje wyłącznie profesjonalnie; że przyglądając się Ellen, zdoła się wczuć w umysł jej prześladowcy.

Przespął się kilka godzin na kanapie w salonie. Po południu przebudził się z dławiącego snu z pulsującym bólem głowy. Umył się, ogolił, połknął parę tabletek tylenolu i zaparzył sobie kawę.

W salonie panował bałagan - wszędzie poniewierały się ubrania i wydruki. Golding zabrał się do sprzątania, ale wkrótce pograżył się w lekturze artykułu z „Internationala”. Dwie godziny później nadal czytał. Przyniósł sobie kawę z kuchni i zasiadł przy stole, na którym piętrzył się teraz równy stosik wydrukowanych materiałów. Przy powtórny czytaniu niektóre artykuły sprawiały wrażenie nieprzekonujących. Było w nich mnóstwo spekulacji na temat nieudanych starań Ellen i Douga, by mieć dziecko, nie napisano jednak niczego konkretnego. W artykule z magazynu „People”, opublikowanym w dziewięćdziesiątym trzecim roku, opisano, jak Gorman przyłożył na parkingu jakiemuś fotografowi, który zrobił uwagę na temat męskości aktora. A zatem Gorman okazał się drażliwy na tym punkcie.

Golding przeczytał wszystkie artykuły, ale nie czuł, by był przez to bliższy zrozumienia Ellen. Wyczuwał, że wiele spraw pozostało ukrytych, choćby te dotyczące lat, kiedy żyła sama z ojcem. Pete odszukał fotografię Ellen

po zdobyciu złotego medalu w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Miała dziewiętnaście lat i świat u stóp, ale pragnęła tylko wyjść za mąż i mieć dziecko. Dlaczego?

Odtworzył raz jeszcze kasetę z nagraniem telefonu prześladowcy Ellen. Skupił się na fragmencie, w którym mężczyzna mówił o otaczających ją ludziach. „Starają się tylko nas rozdzielić, nie dopuścić, byś poznała prawdę”. Golding zastanawiał się, na czym ma polegać ta prawda, jaką rzeczywistość rzekomo ukrywano przed Ellen. Zdał sobie sprawę, że gdyby nawet wiedział, nie zbliżyłoby go to ani najotę do znalezienia tego człowieka. Pomyślał, że jeśli go kiedykolwiek złapie, na pewno zdarzy się to pod domem Ellen. Nie znał żadnego innego miejsca, gdzie pojawiał się prześladowca łyżwiarki - nie tylko po to, żeby dostarczać zdjęcia. Golding był pewien, że facet lubuje się w jej obserwowaniu. „Zrozum, widzę cię, Jeleno”.

Po przesłuchaniu taśmy Golding poczuł zniecierpliwienie i niepokój. Postanowił pojechać do biura i sprawdzić, czy na automatycznej sekretarce nie nagrało się coś nowego - cokolwiek, co dawałoby szansę zidentyfikowania tego czubka. Zanim dotarł do drzwi, zdał sobie sprawę, że jeśli teraz wyjdzie, wyląduje w końcu pod domem Ellen. Tak właśnie zaczęło się z Maddy - przesiadywał po ciemku w zaroślach, wmawiając sobie, że w ten sposób może dopaść nekającego ją mężczyznę.

Golding wrócił do salonu i włączył telewizor. Zdał sobie sprawę, że jest bardzo głodny. Najbardziej zdadną do jedzenia rzeczą jaką zdołał znaleźć w kuchni, był rosół. Od kilku dni nie robił zakupów. Wracał właśnie do salonu z podgrzaną zupą na tacy, żując kawałek czerstwej bagietki, gdy zobaczył na ekranie telewizora znajomą buzię.

Pokazywana w zwolnionym tempie dziewczynka w niebieskiej sukieneczce znajdowała się właśnie pośrodku tafli lodowiska. Jej twarz miała na ekranie nieco zbyt różowy kolor, ale Golding poznał, że to to samo nagranie. Dziecko unosiło powolnym, szarpanym ruchem dłoni w rękawiczce. Pete o mało nie udławił się bułką. Talerz zjechał z tacy, zupa wylała się na podłogę.

- Cholera!

Szybko sięgnął po pilota, pogłośnił dźwięk.

Rozgrzewająca, rytmiczna muzyka. *Konkrety* - szmatława, plotkarska audycja; coś jakby *Siedem dni - świat* na amfetaminie. Po ujęciach z dziewczynką ponownie pojawili się prowadzący program ze studia siwowłosy mężczyzna i kobieta wschodniego pochodzenia o zaciętym wyrazie twarzy. Uśmiechali się zza konsoli z chromu i plastiku. Pokazywano na przemian zbliżenia twarzy obydwojga; przerzucali się ciętymi, podgrzewającymi atmosferę zdaniem:

„Cztery lata temu mistrzyni świata w łyżwiarstwie figurowym Ellen Cusak chciała ocalić swoje rozpadające się małżeństwo, adoptując dziecko.

Na nieszczęście dla sławnej pary aż trzy agencje odrzuciły ich wniosek. Nie wywarły wrażenia nawet luksusy w posiadłości na wzgórzach Brentwood.

Po co jednak tej parze była adopcja? Czyżby byli bezpłodni? Może Gorman jest impotentem?”.

Prowadzący uniósł gęste brwi, godne męża stanu.

„Do tej pory media nie zdołały przebić się przez ścianę milczenia, otaczającą dom w Brentwood. Plotki, że słynąca ze skrytości Cusak nie może urodzić dziecka, pozostawały tylko plotkami. Dziś wieczór *Konkrety* pokonują jednak tę znową milczenia, pokazując zdjęcia dziewczynki...”.

Na ekranie pojawiły się dwa zdjęcia: Ellen jako dziecko w niebieskiej sukieneczce i dziewczynka z nagrania. Potem znów pokazano prowadzących, którzy chwilę milczeli, jakby nie potrafili znaleźć słów wobec tak jednoznacznych dowodów - Ellen Cusak miała dziecko.

Golding złożył ramiona na piersi. Poczuci obrzydzenie, widząc tak pluwawy przykład dziennikarstwa.

Mężczyzna ustawił się do kamery pod innym kątem.

„Dwa tygodnie temu tajemniczy intruz wtargnął do domu w Brentwood, w którym mieszka teraz samotnie Cusak. Nic nie zabrał, ale później pośród zdjęć rodziny łyżwiarki znaleziono tę właśnie fotografię”.

„Wizytówka? - zapytała kobieta, unosząc brew. - Czy coś bardziej złowieszczonego?”.

„Kilka dni temu intruz zgłosił się ponownie. Tym razem zostawił kasetę wideo, na której znajdują się zdjęcia tej samej dziewczynki... jeżdżącej na łyżwach”.

Pokazano taśmę w całości. Ujęcia robiły niesamowite wrażenie. Golding odłożył resztę bagietki.

„Nasi eksperci uważają, że dziewczynka ma cztery lub pięć lat, co oznacza, że urodziła się mniej więcej w tym samym czasie, gdy Cusak i Gorman myśleli o założeniu rodziny”.

Komentatorzy popatrzyli po sobie, jakby równocześnie doszli do tego samego wniosku. Narrację przejęła kobieta.

„Cusak ostatnio wynajęła agencję detektywistyczną, by odszukać mężczyznę, którego uważa za swojego prześladowcę. Kogoś, kto ma obsesję na punkcie jej publicznie prezentowanej postaci - królowej lodu. Czy to jednak cała historia? Czy w tych niezwykłych podarunkach nie chodzi o coś więcej? *Konkrety* przywykły do zadawania trudnych pytań. Dzisiaj pytamy: czy prześladowca to mężczyzna z przeszłości Ellen Cusak?”.

- Na miłość boską! - powiedział na głos Golding. Kto wymyślał takie idiotyzmy?

„Czy ta dziewczynka to dziecko Ellen Cusak?”.



Pojawiło się godło *Konkretów*, zabrzmiał tandetny efekt tłuczonego szkła, a potem zaczęła się reklama.

Golding wyłączył dźwięk. Nie potrafił uwierzyć w to, co usłyszał. Po prostu nie był w stanie pojąć, jak można wymyślać takie... kłamstwa. Kłamstwa obliczone na to, by ranić. Nacisnął guzik przewijania i dopiero wtedy przypomniał sobie, że nie oglądał programu z taśmy. Komentarze były bezsensowne, ale *Konkrety* rzeczywiście dysponowały kopiakasety. Ktoś zaproponował jątelewizji. Ale kto? Golding przypomniał sobie sugestie Reynoldsa, że Mayot stara się za wszelką cenę zagwarantować sukces powrotu Ellen na taflę. Nie potrafił jednak uwierzyć, że agent byłby zdolny do takiej zdrady.

Znalazł notes i zadzwonił na numer telefonu komórkowego Lenny'ego Mayota. Nikt nie odebrał. Pete wybrał numer biura agenta. Uruchomiła się automatyczna sekretarka, ale gdy zabrzmiał sygnał, Golding nie miał pojęcia, co chce powiedzieć. Wstał, czując, jak łomocze mu serce. W tej samej chwili zadzwonił jego aparat.

- Halo? - powiedział.

Cisza. Tylko szmer powstrzymywanego oddechu. Po ułamku sekundy Golding doszedł do wniosku, że dzwoni człowiek, który dręczył Ellen.

- Halo? - powtórzył głośno i agresywnie.

- Jesteś... śmieciem! Jesteś kupą gówna!

- Ellen? Chodzi ci...

Ellen jednak już się rozłączyła.

Przez całą drogę do Santa Monica Golding prowadził wewnętrzny monolog. Potrząsał głową i zarzekał się, że nie miał z tym nic wspólnego. Sam przed sobą przysięgał, że nigdy i za nic by jej nie zdradził. Gdy dojechał do bulwaru Beverly Glen, był wyczerpany, jakby przepuszczony przez wyżymaczkę. Krople potu pokrywały mu czoło.

Zaparkował przed bramą posesji i doznał przytłaczającego uczucia déjà vu. Miał wrażenie, że znowu znalazł się przed domem Maddy Olsen, niezdolny do zapanowania nad sobą, ale gotów na wszystko, byle ją ratować. Przypomniał sobie jej zimny uśmiech, gdy znalazła go siedzącego w cieniu. Powiedziała, że zachowuje się jak mały chłopak, tak bardzo pragnący ochronić motyla, że w końcu miażdży mu skrzydła.

W sąsiedztwie zaszczekał pies. Golding opuścił okno samochodu i nieruchomo wpatrywał się w podjazd. Przez kraty bramy widać było tylne światła zaparkowanego przed garażem mercedesa. Pete odczekał, aż znów mógł normalnie oddychać. Sprawdził w lusterku, jak wygląda. Wysiadł z samochodu i nacisnął dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Zadzwonił jeszcze raz. Minęła chyba cała minuta, zanim usłyszał głos Ellen.

- Tak?

Spodziewał się, że odpowie służąca.

- Ellen? Ellen, to ja, Pete Golding.

Cisza. Jeszcze raz nacisnął dzwonek. Pies szczekał nadal. Golding zdziwił się, że sąsiedzi to wytrzymują.

- Daj spokój.

Zadzwonił raz jeszcze.

- Idź sobie.

Ellen mówiła spokojniejszym niż poprzednio głosem - teraz była już tylko zła. Pete przysunął twarz do interkomu.

- Ellen, musisz mi uwierzyć... nie miałem nic wspólnego z tym gównem w *Konkretach*.

- Tak, na pewno.

Zaczęła przynajmniej go słuchać.

- Musisz mi uwierzyć - powtórzył, starając się nie ujawniać emocji w głosie. - Zechcesz... możesz otworzyć bramę?

Zapanowała całkowita cisza. Wreszcie otworzyły się frontowe drzwi. Golding zobaczył w narastającym zmroku, że Ellen wychodzi na podjazd. Miała na sobie czarną sukienkę; pewnie dokądś się wybierała.

- Musisz mi uwierzyć - powtórzył jeszcze raz.

Przyglądała się mu przez długą chwilę. Musnęła dłonią włosy.

- Tak? Niby dlaczego?

Była co najmniej siedem metrów od niego, ale mówiła ostrożnym półgłosem.

- Bo... - Nie wiedział, co odpowiedzieć. Spróbował się uśmiechnąć.

- Bo jestem po twojej stronie. - Popatrzyła na niego z góry. Zdał sobie sprawę, że musi wyglądać jak skończony abnegat w starych dżinsach i koszulce z krótkimi rękawami. - Nie zawsze tak jest.

- W takim razie kto to zrobił?

- Nie wiem. Mógł to być... każdy. Możliwe, że Lenny.

Ellen powoli pokręciła głową.

- Lenny to mój przyjaciel - odparła.

- Może to ten facet, który wszedł do domu. Lodowaty czy ktokolwiek, kto to zrobił. - Ellen popatrzyła w stronę, z której rozlegało się szczekanie. - Może to część jego gry.

Ellen przeszła podjazdem i stanęła po drugiej stronie bramy. Przyjrzała się niedbałemu strojowi Goldinga.

- Jakiej gry?

Golding również coś zauważył - niepokojący wyraz twarzy Ellen. Wyglądała dziwnie. Czyżby to właśnie ona prowadziła grę? Poczuł o nią lęk.

- Nie wiem. - Popatrzyli sobie w oczy. - A ty?

Wzruszyła ramionami.

- Posłuchaj... Posłuchaj, nie powinieneś być się tu zjawiać. Przepraszam. Przykro mi. To po prostu... szok. Gapiłam się nieuważnie na telewizję i nagle zobaczyłam te zdjęcia. Myślałam, że oszaleję.

- Rozumiem - uśmiechnął się Golding. - Nic się nie stało.

- Nie musiałeś aż tutaj przyjeżdżać.

- Właśnie że musiałem. Chciałem, żebyś wiedziała, że...

- Że co?

- Że jestem do dyspozycji, gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebowała.

Położył rękę na bramie. Ellen spojrzała na nią przelotnie.

- Cóż... to dobrze - odparła. - Miło wiedzieć.

Ruszyła w stronę domu.

- Dowiem się, kto sprzedał tę kasetę - zawołał za nią.

Ellen odwróciła się i podniosła rękę na pożegnanie.

## 19

### Poniedziałek, 9 sierpnia

Porzucenie?... Zwariował pan? Nie słyszał pan, co przed chwilą powiedziałem? - Lenny Mayot ścisnął słuchawkę telefonu tak silnie, że plastik zaskrzypiał. - Ellen Cusak nie porzuciła dziecka dla kariery ani z jakiegokolwiek innego powodu. Zapisał pan to sobie, panie... panie Schrader? Nie zrobiła tego, bo nie miała i nie ma żadnego dziecka. No co, mam powtórzyć jeszcze raz?

Mayot podniósł głowę i zauważył, że Sandra Reilly zagląda do gabinetu. Centralka telefoniczna za jej plecami skrzyła się zapalającymi i gasnącymi światełkami - tłum dziennikarzy domagał się najświeższych informacji o nękającym Ellen Cusak mężczyźnie. Historia ta jednak na oczach Mayota zamieniała się w skandal, dotyczący porzucenia dziecka. Sandra wykonała bezradny gest. Nie przywykła do takiej nerwowości.

- Za chwileczkę do ciebie przyjdę, dobrze? - zawołał Lenny, by dziennikarz na linii dokładnie go usłyszał.

- Uważa więc pan, że nagranie z dziewczynką to fałszerstwo? - pytał dalej Schrader. W jego tonie pojawiła się niewinna ciekawość, jakby po prostu wszystko jak najlepiej zrozumieć. - Fotografia też? Tak pan sądzi?

- Tak - odparł Lenny. - Nie. Twierdzą, że...

- Twierdzi pan, że *Konkrety* sfałszowały materiały?

- Nie.

- W takim razie kto to zrobił? Jaki miałby w tym cel?

- Proszę posłuchać... - Mayot przyłożył dłoń do czoła, starając się znaleźć wyjście z labiryntu pokręconej logiki i półprawd, mieszanki, którą żyli pismacy z brukowców. - Nie wiem, skąd wzięły się te zdjęcia. Nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczynka, zrozumiał pan? Tak samo jest z Ellen Cusak. Cała afera to robota jakiegoś psychopaty, któremu przyszło do głowy, by ją nękać. I to jest cała historia.

Zanim skończył mówić, Lenny Mayot zdał sobie sprawę, że nie ma racji. Nękający Ellen człowiek to była wczorajsza historia. Dziennikarz chciał czegoś więcej - czegoś bardziej aktualnego, bardziej wstrząsającego. Wszystkim zależało na tym samym. Grzebali w brudach, insynuowali i wyciągali wnioski. Rozdmuchaliby tę aferę tak, by sięgnęła urzędu prezydenta, gdyby tylko się na to odważyli.

- Możemy sobie coś wyjaśnić? - zapytał Schrader. - Odjak dawna jest pan agentem Ellen?

- Długo - odparł Mayot. Rozluźnił krawat i rozpiął pierwszy guzik koszuli. - Prawie sześć lat, więc wiem, o czym mówię.

- Zgadza się. A więc biorąc pod uwagę prawdopodobny wiek dziecka... nawet zakładając, że zdjęcia zrobiono zupełnie niedawno... czy nie jest możliwe, że urodziło się, zanim pan pojawił się na scenie? Przecież może mieć sześć, siedem, a nawet osiem lat.

Mayot wciągnął głęboko powietrze. Czuł coraz bardziej narastającą wściekłość. Miał ogromną ochotę natychmiast odłożyć słuchawkę, ale domyślał się, że pan Schrader nie byłby tym usatysfakcjonowany.

Po paru dniach cały świat pewnie by przeczytał w gazetach: „Zapytany o pochodzenie dziecka Lenny Mayot, agent Ellen Cusak, nagle się rozłączył”.

- Pozwoli pan, że dla odmiany ja o coś zapytam - powiedział. - Gdyby miał pan dziecko, normalne, zdrowe dziecko, jak to na taśmie, czy złożyłby pan podania do trzech agencji adopcyjnych? Sądzi pan, że tak postąpiłby ktoś, kto nie chce być rodzicem?

- Hmm... - Pomruk Schradera brzmiał, jakby właśnie próbował wyjątkowo interesującego wina. - Też się nad tym zastanawialiśmy. Może chodziło o karierę aktorską?

- Karierę? Jaką znowu...

- A może o poczucie winy - dodał Schrader. - Może jej mąż o niczym nie wiedział. Jeżeli zaszła w ciążę jako nastolatka, być może oddała dziecko do adopcji. Wszystko to zdarzyło się, zanim zdobyła sławę. Później ogarł ją wyrzuty sumienia.

- Obłąd. - Mayot nie zdołał się zdobyć na żaden inny komentarz. - Przecież... Ellen była łyżwiarka, na miłość boską.

- Ale tak mówili ludzie.

- Och, naprawdę? O jakich ludzi panu chodzi?

- Sam pan wie, jak to jest, panie Mayot. Przyznaję, że brzmi to trochę nieprawdopodobnie...

Jak gdyby wam to w czymkolwiek przeszkadzało, pomyślał Lenny.

- Proszę mnie posłuchać: Ellen Cusak płaci za to, by znaleźć tego człowieka. Nie robiłaby tego, gdyby...

- Za odnalezienie dziecka? - spytał Schrader. - Płaci za odnalezienie tego dziecka?

- Nie, do diabła! - Mayot poderwał się z fotela. - Płaci komuś, by odnalazł faceta, który jąnęka! Człowieka, który przysyła jej to gówno!

- Czy nie mówimy o tym samym, panie Mayot? Jeżeli go odszukacie, znajdzie się i dziewczynka, prawda?

Lenny nie wiedział, co odpowiedzieć. Zdawał sobie tylko sprawę, że rozmowa przybiera coraz gorszy obrót. Musiał opanować sytuację, zanim będzie za późno. Przecież wchodziło to w zakres jego obowiązków.

- No dobrze, Sam... na imię panu Sam, zgadza się?

- Miło, że pan pamięta.

- Będę z panem szczery. - Lenny usiadł, starając się zapanować nad głosem. - Nie chcę, żeby pan wyszedł na durnia, rozumie pan? Nie chcę też, żeby moja klientka ucierpiała wskutek tej afery bardziej niż do tej pory.

- Oczywiście - odparł Schrader uspokajającym tonem. - Nie chcemy nikogo skrzywdzić. Staramy się tylko przedstawić sprawę tak, jak wygląda naprawdę. Osobiście zawsze byłem wielkim miłośnikiem panny Cusak.

- Jasne, jasne... jak wszyscy. Powiem coś panu, Sam, ale nie do druku. Zrozumiał pan?

- Jak pan sobie życzy, panie Mayot. Może być nie do druku.

Lenny odchylił się na oparcie fotela. Czy mógł zaufać temu człowiekowi? Raczej nie. Na tym etapie rozgrywki nie miało to już jednak wielkiego znaczenia.

- Chce pan wiedzieć, skąd wiem, że Ellen Cusak nie jest matką tego dziecka?

- Aha.

- Ponieważ tak się składa, że wiem na pewno, iż Ellen Cusak nie może mieć dzieci. Próbowana każdej możliwej terapii bezpłodności, bez skutku. Smutne, ale prawdziwe.

Po raz pierwszy w słuchawce zapanowała cisza. Panu Schraderowi chwilo-wo zabrakło pytań.

- To... eee, to przykre - zdołał tylko wykrztusić.

- Zgadza się - rzekł Mayot. - Bardzo przykre. Rozumie pan teraz, o co tu chodzi? Jakiś popapraniec skądś się o tym dowiedział i teraz dręczy Ellen, pokazując jej to, czego nie może mieć. Czytałem jego listy. To nie jest człowiek, który jej dobrze życzy, może pan być tego pewny. - Schrader cicho zagwizdał. Lenny miał nadzieję, że jego rewelacje wywarły pożądany skutek. - Poważna sprawa, prawda? Wariat na całego. - Sandra znów stanęła w drzwiach. Podniosła kartkę ze słowami: „Barbara Christian - pilne”. - Muszę już kończyć - powiedział Mayot - Zatrzyma pan to dla siebie, prawda? - Zanim Schrader zdołał zapytać go o cokolwiek, Lenny odłożył słuchawkę. - Czeka na linii? - zapytał Sandrę.

- Przełączają - odparła i zawróciła spieszenie do swojego biurka.

- Dobrze, dziękuję. Jeszcze jedno, Sandro.

- Tak?

- Zamknij drzwi, dobrze?

Sandra uśmiechnęła się nerwowo. Po chwili telefon zadzwonił ponownie.

- Barbara? - Mayot ledwie się powstrzymał od mówienia szeptem.

- Lenny, zanim urwiesz mi głowę, wiedz, że nie ja odpowiadam za to, jak naświetlono sprawę - powiedziała spieszenie Barbara Christian podeks-cytowanym, ale bynajmniej nie przeproszającym tonem.

- Nie odpowiadasz?... Właśnie skończyłem... masz pojęcie, co już gadają na mieście? Od dwóch godzin staram się opanować sytuację, a jeszcze nie ma dziewiątej.

- Co ci mogę powiedzieć? Wieści szybko się rozchodzą.

- Wieści? To miało być... - Mayot pochylił się nad słuchawką. - To miało wywołać współczucie - syknął. - Ludzie mieli być zaintrygowani. Jutro w prasie w całym kraju znajdą się nagłówki: „Ellen Cusak porzuca własne dziecko!”.

- Świetnie, jeżeli przebijemy się do prasy ogólnokrajowej. Tego nam właśnie potrzeba, Lenny.

- Oszałałaś? Masz pojęcie, jak to przyjmie Ellen? Krew zaleje ją do reszty.

- Och, daj spokój, Lenny, to tylko afera w prasie. Nie ma się czym przejmować, jeśli to nieprawda... To nie jest prawda, Lenny?

- Pewnie, że nie! Na miłość boską Barbaro, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zdawało mi się, że mieliśmy się skoncentrować na Lodowatym. Tak się przecież umawialiśmy.

Mayot usłyszał szcęk zapalniczki i długi wdech. Skoro Barbara paliła, nie mogła być w swoim biurze. Ciekawe, skąd telefonuje.

- Przedstawiłam im całą historię dokładnie tak, jak mnie prosiłeś.

- W takim razie skąd wzięli to gówno o dzieciaku w jej przeszłości? Że to jej dziecko?

- Sami na to wpadli. Prawdę mówiąc, uważam to za dobry chwyt. Cała sprawa staje się o wiele bardziej intrygująca.

- Nie wierzę własnym uszom - jęknął Mayot. - Nie wierzę, że to słyszę. .. Mówię ci, Barbaro, jeśli ktokolwiek stwierdzi oficjalnie...

- Rozmawiałam już z Argyle, Lenny.

- Naprawdę? - Lenny usiadł prosto.

- Eve Kaufman zadzwoniła do mnie o szóstej rano. Aż takiej zależało.

- Wydadzą książkę?

- Och, jasne - roześmiała się Barbara. - W twardej oprawie. Z kolorowymi ilustracjami i wszystkimi bajkami. Możesz zapomnieć o kieszonkowych bzdetach, sprzedawanych przy kasie.

- Tylko dlatego, że...

- Na kilka dni wstrzymam się ze zgodą na propozycję Argyle. Przez ten czas przedstawię poprawiony konspekt kilku innym wydawnictwom. Zobaczmy, może uda się zorganizować licytację. Podbijemy cenę, a to gwarantuje wzrost nakładu. Dlatego właśnie dzwonię, Lenny. Chcę się upewnić, czy ci to odpowiada... to znaczy, czy możemy dać książkę innemu wydawnictwu.

Mayot nie dał się zwieść. Wiedział, że Barbara napisze książkę tak, jak się jej podoba, bez względu na jego opinię, i w razie czego wyda ją nawet bez autoryzacji. Zadzwoniła tylko z uprzejmości, by utrzymać go po swojej stronie.

- Tak, pewnie, jak sobie życzysz. Obiecuję ci jednak, że jeśli Ellen się dowie...

- Nie dowie. Nawet producent *Konkretów* nie wie, skąd wzięła się taśma. Ellen nigdy się nie dowie.

Lenny potrząsnął głową. Miał uczucie, że przekroczył pewną granicę.

- Mimo to nie sądzę, żeby zgodziła się dalej pracować nad książką. Nie teraz, nie po tym wszystkim.

Usłyszał, że Barbara zaciąga się głęboko papierosem. Niemał poczuł woń mentolu.

- Książka to jej szansa, żeby opowiedzieć, jak było naprawdę. Ellen musi to zrozumieć. Wystarczy, że będzie szczerą. Przecież nie ma się czego obawiać, prawda?

Lenny przełknął ślinę. Miał nadzieję, że Barbara ma rację co do taśmy. Zdążył już pożałować, że nie zachował jej dla siebie.

- Sam już nie wiem, Barbaro. Nie mam pojęcia.

- Daj spokój, Lenny. - W głosie Barbary Christian pojawiła się twarda nuta. - Ellen tego potrzebuje. Powinna ci być wdzięczna.

Golding zatelefonował do Lenny'ego Mayota od razu w poniedziałkowy ranek. Numer był zajęty, więc odczekał do obiadu i zadzwonił jeszcze raz. Chciał porozmawiać z agentem przed Ellen, by ubiec możliwe skargi z jej strony na nieproszoną wizytę w sobotę wieczorem. Pragnął też zdusić w zarodku wszelkie podejrzenia, że miał coś. wspólnego z przedostaniem się taśmy do telewizji. Telefon Mayota był jednak stale zajęty. Dopiero wieczorem Golding zdołał nagrać wiadomość na automatycznej sekretarce. Agent oddzwonił we wtorek po południu.

- Przepraszam, Pete, ale mamy tu istny obłąd. Pewnie widziałeś artykuły w gazetach, co? Nie mogę opędzić się od pismaków. Kilka brukowców podjęło rewelacje *Konkretów* na temat domniemanego dziecka Ellen Cusak. - Mayot mówił z podnieceniem i trochę nerwowo - jak chłopak, który dostał na urodziny oswojonego węża.

- Nic się nie stało. Chciałem tylko postawić sprawę jasno: nie miałem nic wspólnego z tym, w jaki sposób taśma trafiła do telewizji.

- Będę szczerzy, Pete - zachichotał Mayot. - Przez chwilę cię o to posądzałem. Potem jednak doszedłem do wniosku... Do diabła, to nieistotne. Ellen twierdzi, że twoim zdaniem mógł to podrzucić *Konkretom* facet, który ją gnębi.

A zatem Ellen rozmawiała z Mayotem o sobotnim wieczorze. Golding miał nadzieję, że nie wypowiadała się o nim zbyt krytycznie.

- Mogło to zrobić bardzo niewielu ludzi - odparł. - Kto w końcu ma kopie tej kasy? Pan, ja i prześladowca Ellen. Mam rację?

Lenny westchnął do słuchawki. Najwyraźniej chodziło mu po głowie zupełnie co innego.

- Cała ta sytuacja jest zwariowana - powiedział.

- Nie musi mi pan tego mówić.

- Dostajemy furę listów. Ludzie ślą je na adres *Konkretów*, a telewizja przesyła je nam.

- Miło z ich strony.

- No cóż, program idzie na cały kraj, ma dużą publiczność. Podobno to normalne, że jest wśród tych ludzi trochę szajbusów.

- Szajbusów?

- Pewnie. Nie wszystkie listy pisali wielbiciel Ellen Cusak.

- To znaczy? - Golding przymknął oczy, domyślając się, jaka będzie odpowiedź.

- No cóż... wie pan, zdarzają się listy pełne jadu.

- Wspaniale. Po prostu doskonale. Ellen tylko tego brakowało.

- Właśnie. Nie mówiłem jej o nich. Uznałem, że tak będzie lepiej.

Golding pomyślał, że jak zwykle osoba, której grożono, miała dowiedzieć się o tym jako ostatnia. Agent umówił się z nim, że najlepiej będzie, jeśli Golding przejrzy najohydniejsze listy i stwierdzi, czy Lodowatego nie podkusiło do napisania po raz kolejny.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział Pete. - Może przestał uważać i napisał coś, co pozwoli go zidentyfikować.

Detektyw dostał wielkie pudło listów we wtorek po południu. W środę rano przysłała następna partia.

Do popołudnia Golding zebrał całkiem interesującą antologię, którą Romero mógłby zaksięgować pod hasłem „Nienawiść”. Z listów zionęło smutkiem i frustracją pozbawionych życiowego celu osobników, którym już nie pomagały leki przeciwdepresyjne. Jak zawsze pośród autorów listów pełno było ludzi mądrych po fakcie. Mężczyzna z Wisconsin, który podpisał się „Wódz”, twierdził, jakoby cały czas wiedział, że „cipa Cusak” to kurwa i oszustka. Pewna kobieta napisała z więzienia, że zastrzeliła pieprzonego pracownika socjalnego, który przyjechał zabrać jej dzieci. Wyraziła przekonanie, że każda kobieta, porzucająca swoje dzieci, powinna zostać spalona żywcem. Podpisała się dużymi literami „Dolores”; obydwa „O” miały kształt serduszek. W niedbale nabazgranym w kącie kartki postscriptum - pismo opadało w tym miejscu, czym powinien zachwycić się Romero - stwierdziła, że wie, gdzie kupić benzynę. *Konkrety* dowierciły się do przebiegającej przez cały kraj żyły błota.

Lodowaty jednak nie napisał. Docierając do końca sterty korespondencji, Golding czuł narastające rozczarowanie. Brak nowych tropów, brak telefonów czy wysyłanych przez faceta paczek oznaczał, że Golding nie ma powodów do kontaktów z klientką. Brak prześladowcy równał się dla Pete'a utracie Ellen.

Nowy trop jednak wreszcie się pojawił. Późnym popołudniem w środę do Goldinga zadzwoniła najwyraźniej skruszona Sandy Richter. Mimo gładkiej gadaniny na planie okazało się, że podczas kręcenia reklamy Forda jednak coś się wydarzyło.

- Słucham. - Golding otworzył notes.

- Przy przenoszeniu dekoracji pracował typ nazwiskiem Jeffrey Grossman. Wyrzucono go z planu po skardze na niewłaściwe zachowanie.

- To znaczy?

- Nie wiem dokładnie. Dotyczyło to jednak w jakiś sposób Ellen Cusak, dlatego dzwonię. Chyba kręcił się przy jej wozie w Bóg wie jakich zamiarach.

- Kręcił się? Nie brzmi to dramatycznie.

- No tak, ale prawdopodobnie poszło o coś więcej. Inaczej raczej nie upierano by się, żeby go wyrzucić.

Golding zmarszczył brwi. Ellen zaprzeczyła, kiedy zapytał ją, czy były jakieś kłopoty na planie.

- Czy to pani Cusak złożyła skargę? - spytał.

- Nie wiem. Jak wcześniej powiedziałam, powinien pan porozmawiać z ludźmi z agencji Alameda Security. Na pewno byli w to zaangażowani. Mogę pana z nimi umówić, jeśli ma pan ochotę.

Golding skręcił z bulwaru Santa Monica *ni* wschód, w autostradę numer sto jeden. Był zadowolony, że może oderwać się od biurka i pełnych nienawiści listów, jednak nawet kiedy opuścił dach sebringa, nie potrafił otrząsnąć się z uczucia niepokoju. Miał wrażenie, że Ellen ukrywa przed nim coś, co powinien wiedzieć. Budziło to w nim nie tyle złość, co obawę o nią. Żałował, że Ellen nie ufa mu na tyle, by wyznać, co się działo. Wiedział, że gdyby miał dość czasu, w końcu by to nastąpiło. Wyczuł to, gdy stali na końcu podjazdu. Ellen popatrzyła na niego tak, jakby wreszcie go zauważyła - jego, Petera Goldinga, a nie tylko najemną ochronę. Przełamali pewną barierę i osiągnęli głębszy poziom zrozumienia.

Agencja Alameda Security mieściła się w paru pokojach w ostatnim z szeregu budynków z prefabrykatów, pomalowanych na ten sam kawowy kolor co wielkie studia. Goldinga wprowadzono do sali, w której rząd monitorów ukazywał różne fragmenty kompleksu. Cierpki zapach umundurowanych mężczyzn przypomniał Pete'owi wszystkie firmy ochroniarskie, z jakimi miał do czynienia.

Joe Walsh, z którym umówiła go Sandy Richter, okazał się krótko ostrzyżonym facetem z obwisłymi policzkami, wyglądającym na policjanta. Z dumą nosił czarny mundur w stylu // *Duce*. Opowiadając, jaka milutka jest Sandy i jaka „spokojniutka” była Ellen Cusak, Walsh zaprowadził Goldinga do swojego gabinetu, przez cały czas taksując go wzrokiem.

- Co tam u Toma Reynoldsa? - zapytał, gdy zasiadł za biurkiem. - Jest już milionerem?

Najwyraźniej Walsh gdy tylko skończył rozmawiać z producentką podzwonił w kilka miejsc, by zorientować się, z kim będzie miał do czynienia.

- Jeśli nawet nie, na pewno do tego zmierza - wzruszył ramionami Golding.

- Znałem Toma, zanim zorganizował Grupę Neutralizowania Gróźb. Wiedział pan o tym? Tak, tak... służyłem przez dwadzieścia pięć lat, zanim wziętem tę fuchę.

Wykonał zamaszty gest, obejmujący szafki na akta, dyplomy pochwalne, proporzec Wydziału Policji Los Angeles i ścianę obwieszoną zdjęciami z autografami, na których Walsh ścisnął dłonie gwiazd przyczyniających

się do sławy studia Alameda. Najwidoczniej jeszcze się nie oswoił z faktem, że odpowiada za bezpieczeństwo takich sław jak Harrison Ford czy Clint Eastwood. Jeżeli w ogóle wspomniał o służbie w policji, to po to, by Golding nie pomyślał, że ma do czynienia z byle kim.

- To wspańlate obracać się pośród sławnych i bogatych - powiedział Pete, starając się zachować powagę.

- Owszem. - Walsh wzruszył ramionami. - Muszę jednak przyznać, że czasami mam ochotę, żeby coś się działo. - Rzucił Goldingowi porozumiewawcze spojrzenie. - Na pewno pan wie, jak to jest.

Golding nie spotkał jeszcze przedstawiciela organów ścigania, który oparłby się pokusie nawiązania do zastrzelenia Arthura McGinleya. Wzruszył ramionami, kombinując, jak pchnąć rozmowę do przodu.

- Z tego, czego się dowiedziałem, wynika, że ostatnio jednak coś się tu działo. Sandy wspomniała, że mieliście z kimś kłopoty na planie reklamy Forda.

- Ach, tak. Nic poważnego.

- Byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby opowiedział mi pan, co się właściwie stało.

Walsh oparł łokcie na biurku i wyprostował się w fotelu.

- Zanim do tego przejdziemy, może pan powie, o co chodzi? - Wykonał gest, mający zachęcić Goldinga do odrobiny szczerości.

- Cóż, Sandy Richter wytłumaczyła panu pewnie, że agencja Alpha Global została zaangażowana przez Ellen Cusak, która miała ostatnio problemy. . .

- Z facetem, który ją nęka? Tym, który się do niej włamał?

Drzwi się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty, rumiany mężczyzna z krótką szczeciną na głowie. W każdej ręce trzymał puszkę napoju. Walsh podniósł na niego wzrok.

- Chcecie? - zapytał przybysz.

Walsh podniósł ręce. Tamten rzucił mu pepsa.

- A pan, Pete?

- Nie, dziękuję - odparł Golding.

- Aha, Hal - dorzucił Walsh. - Wyświadczyć mi przysługę i poprosz Hughiego, żeby do nas zaszedł, dobrze?

- Oczywiście.

Hal obrzucił Goldinga przenikliwym spojrzeniem i zamknął za sobą drzwi.

- Myśli pan, że ten człowiek to właśnie Grossman? - zapytał Walsh, otwierając puszkę.

- To nieco bardziej skomplikowane.

- Zamieniam się w słuch. - Ochroniarz wyraźnie chciał dowiedzieć się wszystkiego.

- Hmm, skoro pracuje pan w tym fachu, domyśla się pan, jak to wyglądało.

- Proszę mi mówić Joe.

- Dobrze. Cóż, Joe, pani Cusak od dawna była obiektem niepożądanego zainteresowania różnych ludzi. Trwa to od wielu lat. Ostatnio, już po zdjęciach dla Forda, zaczęła dostawać obsceniczne, mściwe listy od człowieka podpisującego się Lodowaty. Właśnie na tym chciałbym się dziś skupić. Czy włamywacz i Lodowaty to ta sama osoba, to zupełnie inna kwestia.

Walsh uśmiechnął się i upił łyk pepsa. \*

- Muszę przyznać, że nie potrafię wyobrazić sobie Grossmana jako Arsena Łupin.

- Dlaczego?

- No, to facet, który zostawia za sobą ślady. Wie pan, co mam na myśli. To prawdziwy partacz. Do tego waży ze sto kilo. Nie ma co, nie potrafiłby precyzyjnie przejść przez szyb wentylacyjny.

- Dowiedziałem się od Sandy Richter, że poproszono go o opuszczenie zespołu kręcącego reklamę Forda.

- Istotnie, przestał być mile widziany - odparł Walsh. Golding czekał na dalsze wyjaśnienia. - Jeden z moich ludzi złapał go na waleniu konia w wozie pani Cusak. - Ochroniarz w oczekiwaniu na jakąś reakcję ze strony Goldinga upił łyk napoju, po czym kontynuował: - Na szczęście pani Cusak tam wtedy nie było. Gdy jej charakterzatorka weszła do środka, zastała tego wieprza, jak trzepał kapucyna nad jednym z tych błyszczących kostiumów, które pani Cusak nosiła na planie. Najwidoczniej Grossman wygrzebał go z kosza z praniem i nie potrafił się oprzeć zapachowi. - Rozległo się stukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł kolejny strażnik w mundurze. - Oto kolega, który go znalazł - powiedział Walsh. - Hughie, to Pete Golding. Chce się czegoś dowiedzieć o tamtej sprawie z Jeffem Grossmanem. Wygląda na to, że nasz przyjemniaczek przysparza kłopotów raz za razem.

Golding i Hughie uściśli sobie dłonie. Strażnik miał krótkie, ciemne włosy i głęboko osadzone oczy.

- Jakich kłopotów?

- Smaruje obsceniczne listy pod adresem pani Cusak - powiedział Walsh, zanim Pete zdążył odpowiedzieć. - Pisz, że pokrojej twarz, i różne inne brednie.

- Naprawdę?!

- Może nawet włamał się do jej domu.

Strażnik gwizdnął cicho i zerknął na Goldinga.

- Jest pan z policji?

- Pete pracuje dla pani Cusak. Opowiedz mu po prostu, co zastałeś w wozie, Hughie.

- W wozie pani Cusak? Ach, tak. Cóż, byłem na zewnątrz, gdy usłyszałem krzyk. To wrzasnęła charakteryzatorka.

- Bodajże Carol Hershey - odpowiedział Walsh.

- Aha. Wszedłem do środka i zastałem Grossmana, jak się... - Hughie obejrzał się na szefa, niepewny, jakiego słownictwa powinien użyć - ..no, obnażał. Powyciągał wszystkie stroje pani Cusak. Powiedziałem mu, żeby zabierał się do wszystkich diabłów. Zaczął się ciskać.

- Bił się z panem? - spytał Golding.

- Raczej szarpał. - Strażnik przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą. - Zameldowałem o zdarzeniu panu Walshowi i to wszystko. - Wzruszył ramionami.

- Powiedział pan o tym pani Cusak?

- Aha. To znaczy, sama się dowiedziała. Od Carol Hershey.

- Czy była zdenerwowana?

- Pani Cusak? Chyba tak. - Strażnik pokiwał powoli głową. - Takie rzeczy nie powinny zdarzać się na planie.

- Święte słowa - powiedział Walsh. - Porozmawiałem tutaj z facetem kilka minut, aż ochłonał, a potem wyprowadziliśmy go do samochodu. - Uśmiechnął się. - Pasuje do pańskiej historii, prawda? Niech pan przejdzie się ze mną, to podam panu szczegóły. Dzięki, Hughie.

Golding przeszedł z Walshem do sąsiedniego pokoju, gdzie Hal z dwoma innymi strażnikami pili napoje gazowane. Walsh odszukał właściwą teczkę i wyjął kopię skargi.

- Nie było formalnego zażalenia. Carol Hershey, charakteryzatorka, twierdziła, że nie ma na to czasu. Wysłałem jednak raport do agencji zatrudniającej tego faceta i do jego związku zawodowego.

Trzej strażnicy wpatrywali się w Goldinga. Na pewno zastanawiali się, jak to jest kogoś zastrzelić.

Tempie była boczną uliczką odchodzącą od ulicy Marr między bulwarem Venice a jachtklubem Del Rey. Słońce zachodziło, gdy Golding zaparkował przy chodniku. Uliczka miała osobliwą europejską aurę, lecz poza tym była typowa dla Los Angeles. Gdzieś brzęczały chińskie dzwonki, roznosiła się woń smażonego jedzenia. Grossman mieszkał na parterze przebudowanego budynku o obłożonych stiukiem ścianach. Golding długo siedział w samochodzie; wpatrywał się w obłążającą farbę oraz nie skoszone kępy palusznika i zastanawiał się, co powinien zrobić. Od jednego z wielu informatorów Reynoldsa w ratuszu dowiedział się, że Jeffrey Taylor Grossman był karany za prowadzenie pojazdów w stanie nietrzeźwym, posiadanie narkotyków oraz dwukrotne obnażanie się. Jego kartoteka sięgała dziewięćdziesiątego drugiego

roku. Wydział drogowy policji przefaksował Goldingowi zdjęcie z prawa jazdy Grossmana. Był to stukilowy osiłek o małych, zaciśniętych ustach i niewinnych oczkach - typek, z jakimi Pete miał stale do czynienia. W normalnych warunkach Golding natychmiast przeszedłby przez ulicę i zaczął dobijać się do drzwi Grossmana, zwykle jednak rozporządzał dowodami bezspornie łączącymi prześladowcę z ofiarą. Nie mając wiarygodnych próbek pisma, Golding w żaden sposób nie mógł dowieść, że Grossman miał coś wspólnego z listami, włamaniem czy nagraniem. Nie było sensu dobijać się do drzwi i pytać faceta, czy jest Lodowatym. Golding mógł ewentualnie liczyć na to, że dostanie się do środka. Gdyby zdołał się rozejrzeć i znalazł przy tym coś konkretnego, wiążącego Grossmana z Ellen, mógłby go trochę przycisnąć. Pete pożałował, że nie wziął fałszywej odznaki policyjnej, którą zabrał Raymondowi Lubettowi. Miałby większe szanse na postawienie stopy za progiem mieszkania. Zastanawiał się, czy po nią nie wrócić, gdy zobaczył, że Grossman wlecze się ulicą z torbą pełną zakupów.

Pomocnik z planu miał na sobie czarne dżinsy i wyplamioną białą koszulkę z krótkimi rękawami, opinającą się na opasłym brzuchu. Golding popatrzył jeszcze raz na przefaksowane zdjęcie i wysiadł z samochodu w chwili, gdy Grossman podchodził do frontowego wejścia.

- Pan Grossman? - Mężczyzna zdążył już przekręcić klucz i uchylić drzwi. Minęła długa chwila, zanim się odwrócił. - Nazywam się Pete Golding. - Grossman dotknął brzucha długimi, pożółkłymi paznokciami. Fakt pojawienia się nieznanego nie zrobił na nim wrażenia. Golding pochylił się do przodu, tak że prawie zetknęli się nosami. - Słyszysz mnie pan, panie Grossman?

- Nie mam kłopotów ze słuchem.

- Chciałem zadać panu kilka pytań.

- Gliniarz?

- Dlaczego pan pyta? - odparł Golding z uśmiechem. - Złamał pan prawo?

Grossman ani drgnął. Z korytarza niósł się odór śmieci i trutki na owa-  
dy, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Golding zdał sobie sprawę, że musi rozjuszyć Grossmana, by cokolwiek z niego wycisnąć.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie obnażania się - powiedział.

Głowa Grossmana zachybotała się jak spławik.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ależ wie pan. Właśnie wracam ze studia Alameda. Rozmawiałem z Carol Hershey. Wciąż nie może dojść do siebie.

Grossman poczerwieniał jak burak. Cały dygotał.

- Przecież już za to zapłaciłem, prawda?

- W jaki sposób?

Grossman odgarnął włosy z twarzy i wszedł do domu, mrużąc coś pod nosem. Po chwili odwrócił się w stronę wyjścia.

- Te skurwysyny zadzwoniły do mojego związku. Zabrali mi legitymację. Jak mam teraz pracować?

- A czego się spodziewałeś, Jeffrey? - wyszczerzył zęby Golding. - Jak się stale obnażasz, to nie dziw się...

- Nie obnażałem się! - ryknął niespodziewanie Grossman. - Byłem... Byłem... - Spróbował odzyskać panowanie nad sobą. Oczy się mu zwięziły. - To ta suka Cusak, prawda? To ona za tym stoi. - Popatrzył na Goldinga i kiwnął głową. - Hershey zachowała się przyzwoicie. Wiedziała, że nie chciałem jej przestraszyć. To ta pieprzona cipa Cusak chce mnie zniszczyć!

Golding ruszył z miejsca, ale Grossman zamknął mu drzwi przed nosem. Przez chwilę szamotali się po obu stronach cienkiej płyty, jednak Grossman był za ciężki. Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem.

Pete przez chwilę stał na trawniku. Wciąż słyszał sapanie Grossmana po drugiej stronie drzwi. Po chwili rozległo się szlochanie.

- Ostrzegam, lepiej trzymaj się z daleka! - zawołał grubas. - Jak spróbujesz tu wejść, odstrzelę ci twoją cholerną mordę!

## 21

### Czwartek, 12 sierpnia

Ellen ściągnęła sportową torbę z półki w składziku i przeniosła ją do kuchni. Ledwie zdołała wcisnąć w nią ubranie na zmianę i buty. Nie była pewna, czy zmieści się jeszcze wino, które chciała zawieźć rodzicom Tiny. Butelka chateau la nerthe rocznik dziewięćdziesiąty drugi została jej z czasów, gdy Doug kupował wino na lewo i prawo, pełen entuzjazmu dla planów otwarcia własnej restauracji. Ellen miała spotkać się z Tiną na lodowisku o ósmej i później pojechać na kolację do rodziców dziewczynki. Łyżwiarka chętnie przyjęła zaproszenie, czuła się jednak nieco nieswojo. Liczyła na to, że Tuckerowie nie potraktują tej okazji zbyt oficjalnie. Miała ochotę na normalny, odprężający wieczór. Poza tym była ciekawa, jakie rodzinne warunki wydały taką łyżwiarkę jak Tina.

Wcisnęła butelkę do torby i z wysiłkiem zaciągnęła suwak. Szła już do drzwi, gdy zabrzmiał sygnał telefonu. Dzwoniła Tina.

- Cześć! - Ellen odstawiła torbę na posadzkę. - Właśnie wyjeżdżam na lodowisko.

- Tak, ale... - powiedziała Tina niepewnie.

- Coś się stało?

- Nie mogę dzisiaj przyjechać.

- Och... Trudno. Dlaczego?

- Mama... mama mówi, że muszę zostać w domu i dokończyć wypracowanie.

- Naprawdę? Myślałam, że już sobie z nim poradziłaś.

- Tak, ale... no...

- W takim razie kolacja...

- Nie dojdzie do skutku - dokończyła ponuro Tina. Ellen wreszcie zrozumiała. Rodzice Tiny obejrzeni materiał w *Konkretach* albo o nim usłyszeli i uznali, że ich córka nie powinna zadawać się z taką osobą. - No cóż, mam nadzieję, że będziemy w kontakcie - dodała Tina.

Dziewczynka mówiła takim dziwnym tonem, jakby miała lada chwila rozpłakać się. Ellen poczuła dla niej litość, która zaraz potem przeszła w gniew. Rodzice Tiny ją skreślili, ale nie mieli odwagi powiedzieć jej tego otwarcie.

- Tino?

- Tak?

- Mogę mówić z twoją mamą?

- Och! Chwileczkę... - Mała się wystraszyła. Scenariusz najwidoczniej tego nie przewidywał. Rozległy się stłumione hałasy, po czym znowu odezwała się Tina: - Przepraszam, Ellen, ale to... to niemożliwe.

- Co się stało? Nie ma jej?

- Eee... - Tina nie potrafiła jej okłamać. To jasne, matka była w domu, ale nie chciała podejść do telefonu. Ellen usłyszała, że dziewczynka płacze. - Przepraszam... - wyjąkała.

Ellen zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Tino?

- Tak?

- Powodzenia, kochanie.

Odłożyła słuchawkę i oparła się o ścianę.

Odkładała butelkę z powrotem na stojak, gdy telefon znowu zadzwonił. Tym razem był to Lenny Mayot, podekscytowany, niemal w euforii.

- Zgadnij, co się stało? - zapytał, nie czekając na odpowiedź. - Pete Golding wytropił Lodowatego.

Mayot przyjechał po pół godzinie, wciąż przepełniony entuzjazmem.

- To jakiś cholerny pomocnik z planu - poinformował Ellen. - Potrafisz w to uwierzyć? - Łyżwiarka patrzyła z kąta kanapy, jak Lenny krąży



w tę i z powrotem przed drzwiami balkonowymi, szcękając kostkami lodu w pustej szklance. Włączone światła w ogrodzie podkreślały sylwetki drzew. Bryza od oceanu kołysała gałęziami, cienie wędrowały po ziemi. - Facet ma kartotekę grubą jak encyklopedia. Zdumiewające, że tak długo pozostawał na wolności. Mówię ci, nie chciałbym mieć z nim do czynienia w atelier. - Przystanął na chwilę, obejrzał się i dopiero teraz zauważył, że Ellen jest w stroju do ćwiczeń. - Jak tam idzie z Tiną Tucker? - uśmiechnął się. - Wystąpi w mistrzostwach juniorów strefy Pacyfiku?

- Nie jestem pewna, czy będziemy jeszcze razem pracowały - wzruszyła ramionami Ellen.

- Co?

- Zadzwoń tuż przed tobą. Miałam pojechać do niej dzisiaj po treningu, ale... bo ja wiem, stwierdziła, że musi zostać w domu i skończyć wypracowanie.

Lenny nie wiedział, co powiedzieć. Domyślał się, co krąży Ellen po głowie.

- Jezu, tak mi przykro... Szkoda. No cóż, dzieci muszą się kiedyś uczyć, prawda? Może ma złe stopnie?

- Ma dobre stopnie - odparła Ellen. - Jej matka tak mówiła. Daj spokój, Lenny. Wiesz, że chodzi o co innego.

Mayot pokiwał posępnie głową i usiadł na sofie.

- Ellen, kochanie, wiem, że chodzi o Lodowatego. W tym cały problem. Nie musisz się nim jednak dłużej martwić. Pete Golding sobie z nim poradzi... właściwie już to zrobił. Już po wszystkim, Ellen, obiecuję. Załatwimy tego skurczybyka tak, jak na to zasługuje. Kiwnie tylko nie tak palcem, a pożałuje. Naprawdę.

- Dlaczego jesteście przekonani, że to on? Przecież nawet z nim nie rozmawiałam.

- To on, na pewno. Uważa, że chcesz go zniszczyć. Powiedział to otwarcie Pete'owi. Uważa, że to przez ciebie wyrzucono go z planu.

- Przecież to czysty obłąd.

- Właśnie, ale takie rzeczy się zdarzają. Jakiś klient myśli, że zajęłaś jego miejsce na parkingu, a pół roku później stara się podpalić twój dom. Powinnaś posłuchać paru opowieści Toma Reynolds'a. To, co tobie czy mnie wydaje się drobiazgiem, dla osobnika o kruchym ego urasta do rozmiarów wielkiego problemu. Na dodatek Grossman walił konia w twoim wozie. Miałaś rzeczywiście powody, żeby żądać wyrzucenia go z planu.

- A co na to Golding?

- Myśli... - Mayot zawahał się. - Tak, myśli, że znalazł właściwego człowieka. Zamierza zdobyć z agencji próbki pisma Grossmana. Jeżeli okaże się, że to on pisał listy, powinno to wystarczyć do uzyskania zakazu zbliżania

się do ciebie. A wtedy... jeśli tylko podejdziesz bliżej niż na sto metrów, zostanie aresztowany za obrazę sądu.

Ellen wyjrzała nad ramieniem Mayota do ogrodu. Wiatr kołysał łagodnie uchylonymi okiennicami, słaby powiew wydymał firanki. Łyżwiarka wiedziała, że powinna poczuć się bezpieczniej, było jednak inaczej. Od nadania poświęconego jej materiału w *Konkretach* czuła się osaczona i znękana. Niektóre z przesiąkniętych nienawiścią listów trafiły mimo wszystko do jej domu. W trzywierszowej, starannie wypisanej na maszynie notce kobieta z Wichita w stanie Kansas, która przedstawiała się jako „Jałowa”, stwierdzała, że Ellen nie jest w niczym lepsza od prostytutki. Kolejny list, w skropionej perfumami różowej kopercie z kwiatowym szlaczkiem, nadany w Salt Lake City, zaczynał się od słów: „Droga zdiro”. Trzeci zawierał tylko starą fotografię Ellen w trakcie skoku, wyrwaną z magazynu sportowego. Nadawca domalował długopisem sztylet, sterczący z lodu pod łyżwiarką, tak jakby zaraz miała się na niego nadziać. Dorysował też srom tak energicznie, że wrył bruzdy w papierze; falujące linie, ciągnące się wzdłuż ud, miały zapewne przedstawiać krew. Na rękojeści sztyletu widniało słowo „ofiara”. Na domiar wszystkiego pani Tucker nie życzyła sobie, by jej córka się z nią kontaktowała. Ellen czuła się, jakby cały świat był pełen wrogów. Lodowaty był zaledwie jednym z nich.

Wstała, aby przygotować sobie kolejnego drinka. Z zaskoczeniem stwierdziła, że butelka jest niemal pusta, a przecież otworzyła ją dopiero w porze obiadu. Stwierdziła, że dobrze jej robi wywołane alkoholem ciepło w żołądku i powoli otulająca zmysły mgiełka. Była to miła odmiana po prozaku.

Uniosła butelkę, sugerując Lenny'emu dolewkę.

- Nie dla mnie - odparł ze słabym uśmiechem. - Prowadzę.

Widziała, że jej się przyglądał, gdy nalewała sobie pół szklanki. Upiła łyk i odwróciła się.

- A co z dziewczynką, Lenny? Kim ona jest?

Fotografia w ramce wróciła z laboratorium w plastikowej torebce, oznakowanej numerem seryjnym i datą, jak zwykły dowód w policyjnym dochodzeniu. Golding postawił ją na biurku. Wpatrywał się w nią, siedząc w pustej sali i starając się dopasować do tego, czego się już dowiedział. Jeff Grossman zbliżył się do Ellen Cusak - albo tak mu się tylko wydawało. W kilka tygodni później zdobył zdjęcie, a następnie kasetę wideo, przedstawiającą dziecko wystarczająco podobne do Ellen, by wzbudzić w niej lęk. Jak mogło do tego dojść? Z akt personalnych agencji King Taylor Simon wynikało, że Grossman był kawalerem i nie miał dzieci. Czy interesował się Ellen Cusak jeszcze przed nakręceniem reklamy Forda? Czy trzymał zdjęcia przez lata

właśnie dlatego, że przypominały mu Ellen? Chyba to nie Grossman mówił przez telefon, chociaż trudno było mieć pewność. Czym innym jest przemawianie do automatycznej sekretarki, kiedy nikt nie może odpowiedzieć, a czym innym wtargnięcie do obcej kobiety, by się obnażyć. Może Grossman śledził Ellen Cusak od lat i zdołał wcisnąć się na plan reklamy tylko dlatego, że wiedział, iż będzie na nim łyżwiarka? Golding bezustannie analizował różne możliwości, dzieląc je i łącząc w odmiennych kombinacjach. Nie zdołał jednak znaleźć wśród nich takiego schematu, jaki wydałby się prawdopodobny.

Pete upił łyk wystygłej kawy. Zdawał sobie sprawę, że powinien pojechać do domu, coś zjeść, pooglądać telewizję, dać sobie trochę luzu. Nie potrafił jednak się do tego zmusić. Pragnął znaleźć się pod domem Ellen, tam, gdzie jego obecność mogłaby się na coś przydać. Tak samo czuł się w przypadku Maddy. Od tego właśnie wszystko zaczęło się psuć. Nie mógł sobie pozwolić, by to się powtórzyło. Gdyby Ellen go potrzebowała, toby zadzwoniła. Był ciekaw, co teraz robi, co czuje.

Przymknął oczy, starając się wyrzucić z głowy wszystko prócz ulicznego gwaru Century City, nieustannego szumu klimatyzacji, hałasu pojazdów. W oddali zawyła syrena. Golding wyobraził sobie, że stoi w ogrodzie Ellen i patrzy w okna sypialni, starając się dostrzec jej cień przez blade żółte firanki. W wyobraźni zobaczył czworokąt świeżo skopanej ziemi przy basenie i usłyszał, jak szczeka pies sąsiadów, wyczuwając woń intruza. Pogrzebanej kobiety jeszcze nie zidentyfikowano. Przeczytałby coś w prasie, gdyby było inaczej. A więc dwie postacie z życia Ellen Cusak były pozbawione nazwisk, przeszłości, więzów rodzinnych. Dwie niechciane zagadki.

Tom Reynolds wyszedł ze swojego gabinetu, wkładając marynarkę.

- Wciąż tu siedzisz? - zapytał.

- Czekam na próbki pisma. - Golding wyprostował się na krześle. - Sandy Richter obiecała, że je podeśle.

- No tak, prawda... - Reynolds omiotł wzrokiem biurko Goldinga, jakby nie wierzył, że to cała prawda. - Zadzwoniłem w tej sprawie do śródmieścia. W podobnych przypadkach korzystamy z grafologa nazwiskiem Hansen. Doktor Carl Hansen. Składa teraz opinię przed sądem, ale nam pomoże. - Reynolds zawiesił na chwilę głos. - Nie ma pośpiechu, prawda?

- Nie - wzruszył ramionami Golding. - Chyba... chciałem zobaczyć pismo Grossmana na własne oczy.

- Aha. Dobrze. Myślisz... eee, myślisz, że ten Grossman jest groźny? Uważasz, że może czegoś spróbować?

Golding wciągnął powietrze przez zęby. Nie podobało mu się nastawienie Reynoldsa. Nie chodziło tylko o sceptycyzm szefa; Pete miał wrażenie, że Reynolds chce coś mu powiedzieć, ale zastanawia się, czy to odpowiednia pora.

- Nie wiem. Na pewno jest pokręcony, ale... chyba w ostatecznym rozrachunku nie wytnie niczego niebezpiecznego.

Reynolds uśmiechnął się; najbardziej ze wszystkiego lubił mieć rację.

- Cały czas powtarzam, że faceci piszący obsceniczne listy są silni tylko w gębie. Nie są zdolni do działania. Dają upust emocjom, ale nie potrafią zdobyć się na cokolwiek więcej.

- Zgadza się, tak pan mówił. Ale ten facet wszedł do domu pani Cusak.

Uśmiech Reynoldsa zniknął. Obciągnął ^mankiety i odwrócił się do wyjścia.

- To ona tak twierdzi, Pete. To ona tak twierdzi.

Rząd latarni zawieszonych przed restauracją rybną Old Neptune rzuca na ulicę kręgi mętnego blasku. Dochodzą z niej odgłosy rhythfn 'bluesa i stłumiony gwar głosów. Obok przechodzi parka: dziewczyna w dżinsach, z długimi, brązowymi włosami i rozgadany, uśmiechnięty chłopak. Przystają i opierają się o sąsiedni samochód. Dziewczyna wspina się na palce do pocałunku, ukazując przy tym pasek nagiego brzucha.

Mężczyzna przypatruje się im zza przedniej szyby. Patrzy, jak dziewczyna wsuwa język w usta chłopaka i ujmuje w dłonie jego głowę. Obserwuje ich pieszczoty, świadom jednocześnie odbicia neonu na masce wozu, rhythm'n'bluesa, stłumionych głosów, spokojnego pulsowania diody zegara na desce rozdzielczej. Czuje, jak zbliża się do niej, do Jeleny, wkracza jednym zdecydowanym krokiem w świat zamieszkały wyłącznie przez nich dwoje.

Zatrząskuje za sobą drzwi samochodu, zaskakując pieszczącą się parę.

- Przepraszamy, panie władzo - mówi dziewczyna, ukrywając dłonią uśmiech.

Chłopak ogląda się zawstydzony, mruczy coś pod nosem i odprowadza partnerkę. Mężczyzna patrzy, jak znikają w ciemności, po czym przechodzi przez ulicę w stronę Tempie. Skręca za róg i czuje ciepłe, przesiąknięte wonią tłuszczu powietrze z kuchni Old Neptune. Słyszy pokrzykiwania kelnerów i kuchcików, brzęczenie wentylatorów. Ulicą Marr przejeżdża długi biały pikap o wielkich kołach; zza przyciemnianych szyb leje się z samochodowych głośników basowy rytm rapu.

Ulica Tempie jest ślepa. Ma tylko sto metrów i kończy się przerdzewiałą siatką, ogradzającą pustą posesję. Po przeciwnej stronie parceli stoi tablica z napisem „E-Zee - tani parking”. Karłowate palmy wyrastają z dziur w potrzaskanym cemencie, zasłaniając parę żółtych latarni ulicznych. Ciemność podkreślają czerwone, żółte i pomarańczowe czworokąty okien w kamienicach z tanimi mieszkaniami.

Mężczyzna zatrzymuje się pod numerem szesnastym. Skrzynkę, na listy oznaczają białe i plastikowe cyfry. Dom zbudowano w hiszpańskim stylu; farba obłazi, w stiukowej elewacji od razu widać dziurę. Mężczyzna podchodzi chodnikiem pod dom, a serce łomocze mu w piersi. Przy drzwiach sięga ręką na plecy i wyczuwa twardy metalowy kształt pod koszulą. Naciśka dzwonek. Z głębi korytarza dobiegają odgłosy telewizyjnej komedijki. Mężczyzna czeka na odpowiedź, wsłuchując się w inną muzykę - przeciągłe zawodzenie kompanów od flaszki.

Z drugiej strony drzwi słyszeć jakiś brzęk.

- Kto tam?

Głos jest nerwowy, napięty.

- Jeff? Jeff Grossman?

- Kto tam?

Głośniejszy. Na środku drzwi pojawia się isierka światła - człowiek po drugiej stronie wygląda przez judasz.

- To ja. Otwórz.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę z tobą pogadać. O facecie nazwiskiem Golding.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Pracuje dla Ellen Cusak... Kręcił się po planie, rzucał różne oskarżenia. Wkurzył porządnie paru ludzi.

Chwila ciszy. Drzwi uchylają się na kilka centymetrów, wciąż spięte łańcuchem. Pojawia się Grossman: naiwne oczka, zatopione w nabrzmiałej, nie ogolonej twarzy.

- Nic nie zrobiłem, do cholery. Powiedziałem mu to. Powiedziałem to twojemu szefowi. - Z ciemności wyłania się szturchający powietrze palec z płamami od nikotyny. - Ta suka, Cusak, łąże jak najęta. Jest chora na głowę. - Mężczyzna czuje uderzające na twarz gorąco. - Na domiar wszystkiego obsmarowali mnie w związku.

- Dlatego właśnie muszę z tobą porozmawiać, Jeff. Joe Walsh uważa, że może zachowaliśmy się zbyt pochopnie. Sądzi, że powinniśmy prezentować jednolity front, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

- Jednolity front? - Usta Grossmana wykrzywają się w gorzkim uśmiechu. - Poszaleliście? Przez tę kurwę jestem już dwa miesiące bez pracy. Do tego agencja jest mi winna trzy dniówki. Co ta suka znowu wygaduje? Że Joe Walsh próbował ją obmacywać w sraczu?

- Musimy porozmawiać o jakiejś rekompensacie. - Mężczyzna nie spuszcza oka z Grossmana. - Za utratę zarobków, nadszarpnięcie opinii i podważenie pozycji w społeczności zawodowej. Do tego dochodzi uraz emocjonalny. Trudno oszacować szkody w wyniku takich cierpień, prawda? Ellen Cusak ma jednak grubą kabzę. Stać ją na odszkodowanie. Oczywiście,

najpierw trzeba uzgodnić szczegóły historii, Jeff. Musimy się zabrać do tego od razu.

Grossman uśmiecha się leniwie, zdejmuje łańcuch i odsuwa się od drzwi.

- Lepiej wejdz.

Gdy mężczyzna wchodzi do holu, dostrzega u boku Grossmana czterdziestkępiątkę.

- Nie zamierzasz ryzykować, co?

Grossman spogląda na broń.

- Pełno tu łachudrów - mówi. - Trzeba uważać.

- Kto wie? Kogo to obchodzi? Facet bierze narkotyki. Mógł dostać taśmę wszędzie. - Mayot dotknął gardła. Było mu gorąco. - Chodzi o to, że...

- Ludzie mówią, że dziecko jest moje - przerwała mu Ellen. - Wszyscy myślą że jest moje.

- Nieprawda... - Mayot potrząsnął głową z desperacją. - Wszystko to... to bzdety, brednie wysmażone przez brukowce. Chodzi im wyłącznie o nakład i sensację. O wypłatę za ten tydzień. W następnym zajmą się czymś innym. Nikt naprawdę w to nie wierzy.

- Matka Tiny wierzy.

- Och, wkrótce jej przejdzie. Wiesz, jakie są matki, kiedy chodzi o ich dzieci. Same... - Lenny urwał i skrzywił się; po chwili podjął: - A jeśli się nie przekona, to jest mnóstwo innych młodych talentów, które... które zrobiłyby wszystko, bylebyś tylko została ich trenerką.

Ellen upiła łyk wina i popatrzyła na fotografie, wiszące na ścianie. Ojciec w zrobionym na drutach swetrze, z zaczesanymi do tyłu włosami, uśmiechający się do niej na skraju lodowiska. Zdjęcie zrobiono w Kijowie. Chodziła tam popołudniami i ćwiczyła figury obowiązkowe na jednej z małych tafli, zarezerwowanych dla trenującej młodzieży. W tamtych czasach wszyscy musieli się uczyć jazdy obowiązkowej, ponieważ właśnie z niej egzaminowano - z ósemek różnej wielkości i konfiguracji. Trzeba było powtarzać je dziesiątki razy, tam i z powrotem, na prawej lub lewej nodze, przodem i tyłem, po zewnętrznej lub wewnętrznej krawędzi. Ćwiczyła w nieskończoność, do bólu w nogach, aż lód przypominał stronę pokreśloną przez kaligrafa olbrzyma. Trenowała całymi godzinami, a ojciec przyglądał się jej ze skrzyżowanymi ramionami z brzegu lodowiska. Odzywał się tylko po to, by skorygować jej postawę lub technikę. Nie odrywał od niej oczu; wodził cierpliwie wzrokiem za kreślącą ósemki na lodzie córką. Do tej pory miała uczucie, że jej się przygląda, gdy wychodziła na taflę. Zastanowiła się, czy i teraz nad nią czuwa.

- Tak czy inaczej, cała sprawa to też jeszcze lepszy powód... - Mayot pochylił się do przodu i potarł czoło. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. - ..jeszcze lepszy powód, by napisać tę biografię. Dzwoniła dzisiaj do mnie Barbara Christian. Argyle złożyło ofertę. Uważam, że powinniśmy wykorzystać tę okazję. Myślę...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Westchnął i odchylił się na oparcie sofy. Czekał, aż Ellen odbierze, ona jednak nawet się nie poruszyła.

- Coś się stało...?

Ellen odwróciła się i popatrzyła na telefon, jakby nigdy nie miała z czymś takim do czynienia.

- Założę się, że to Pete Golding - powiedział Lenny. - Obiecał zadzwonić, jeśli dowie się czegoś więcej... Może ja...? - Wstał i podniósł słuchawkę. - Tak? Halo?

Z drugiej strony usłyszał tylko jeden głęboki wdech.

- Pete?

W tle słychać było muzykę country, z telewizji albo z radia.

- Halo? Kto mówi?

Lenny zorientował się, że Ellen wpatruje się w niego z napięciem.

- Chcę mówić z Jeleną - zabrzmiał napięty, wrogi głos mężczyzny.

- Jeleną... - Mayot sposepniał. - Pytałem, kto mówi?

Przez chwilę panowała cisza.

- Wiem, kim jesteś, Lenny - odezwał się wreszcie nieznajomy. - Leonard Arthur Benjamin Mayot. - Zacmokał. - To ty sprzedałeś taśmę wideo, prawda? Nie mógł to być nikt inny. - Mayot zarumienił się, złowił pytające spojrzenie Ellen i odwrócił się do niej plecami. - Czy Ellen o tym wie? Wie, Lenny?

- Posłuchaj mnie, chory sukinsynu... - Serce zaczęło bić Mayotowi tak silnie, że ledwie mógł oddychać.

- Chcę rozmawiać z Jeleną.

- Jesteśmy na twoim tropie, koleś. Ty popieprzony, świrnięty łobuzie! Jeszcze raz tu zadzwonisz, a urwiemy ci głowę przy samej dupie, ty...

- Chcę rozmawiać z Jeleną! - krzyknął mężczyzna z paraliżującą furją.

Mayot na chwilę oniemiał. W głębi duszy kołatała mu myśl, że powinien rozmawiać z nieznajomym jak najdłużej, by ułatwić ustalenie, skąd dzwoni. Po chwili uświadomił sobie, że to niepotrzebne - urządzenia do identyfikacji numeru, z którego się łączono, działały natychmiast. Zaczepnął głęboko tchu, starając się wykrzesać z siebie gniew i jakąś ciętą odpowiedź.

- Zakarbuj sobie, szajbusie, że nic z tego. Ellen nigdy nie będzie z tobą rozmawiać, więc możesz iść walić konia na plaży jak wszyscy psychole. Karpujesz?

Walnął słuchawką o widełki i podniósł ją znowu. Ellen podeszła do niego.

- Lenny, co się...

- Tak, to znowu nasz przyjaciel. Chory sukinsyn. - Mayot dygotał, nie mógł odzyskać tchu. - Masz coś do pisania?

- Tak. POCO?

- Spróbujmy ustalić, z jakiego numeru dzwonił.

Mayot sięgnął do marynarki po pióro i wyatukał nim odpowiednie cyfry. Po kilku sekundach rozległ się zsyntetyzowany przez komputer kobiecy głos; beznamiętnie odczytał dziesięciocyfrowy numer. Lenny zanotował go u góry strony w magazynie.

- W dziesiątkę! Teraz go dorwiemy! A to sukinsyn. Zadzwoń do Goldinga. Przyszpilimy gościa, i to natychmiast.

- Zaczekaj chwilę, Lenny. Nie chcę...

- Daj spokój, kochanie. Zwariowałaś? Przecież na taką właśnie szansę czekaliśmy. Daj mi numer Pete'a.

Ellen pospieszyła do kuchni i przyniosła karteczkę, przyklepioną wcześniej do drzwi lodówki. Golding odebrał od razu.

- Pete? Tu Lenny Mayot. Mieliliśmy właśnie kolejny telefon od Lodowatego.

- Ten sam facet, co przedtem?

- Poznałbym ten głos wszędzie.

- Jesteś u Ellen?

- Pewnie. Tym razem mamy jednak jego numer. Gotów?

- Mów.

- Kierunkowy trzysta dziesięć, numer osiem-dwie dwójki-trzy-cztery-trzy-jeden. Zapisaleś?

- Mam. Trzysta dziesięć? To gdzie niedaleko. To numer... - rozległ się szelest papierów - ..Grossmana.

Golding skręcił na ulicę Tempie dwadzieścia minut później. Dom Grossmana stał w jej połowie, po prawej stronie. Pete minął go powoli, wypatrując oznak życia. Zawrócił wreszcie na końcu ulicy i zaparkował pięćdziesiąt metrów od domu. Mimo bryzy od morza powietrze było zastałe i duszne. Golding natychmiast spociał się pod marynarką. Gdy wyszedł na chodnik, pod jego obcasami zachrzęściły wyschnięte liście palm.

Podstawowe pytanie brzmiało: czy Grossman jest uzbrojony? W listach Lodowatego była tylko jedna konkretna wzmianka o broni palnej. Opisy przemocy dotyczyły głównie cięcia i krajania, ale w ostatniej pogroźce, dotyczącej bezpośrednio Goldinga, świr straszyl zastrzeleniem. Pete domyślał się,

co powiedziałyby Tom Reynolds: powinni zaczekać na nakaz sądowy i wręczyć go facetowi, w razie potrzeby z asystą policji. Golding jednak nie zamierzał czekać. Po wszystkich wysiłkach, jakie Grossman uczynił, by ukryć swoją tożsamość, nagle skorzystał z własnego telefonu. Sugerowało to, że ogarnia go desperacja, że sytuacja w niewytłumaczony sposób uległa zmianie. Może wizyta Goldinga pchnęła go poza granice obłądzenia? Jeśli uważał, że jego własne życie zostało spisane na straty, być może zamierzał pociągnąć Ellen za sobą. Pete spotykał się dawniej z takim obrotem spraw. To samo miało miejsce w przypadku Arthura McGinleya i Maddy Olsen: „Skoro ja nie mogę cię mieć, nie będzie cię miał również nikt inny”.

Żaluzje w pokoju od frontu spuszczone tylko do połowy, w środku było jednak ciemno. Zaglądając przez brudne szkło, Golding wypatrzył kanapę z ciemnym obiciem i drewnianymi poręczami, podartą oparciem. Na podłodze piętrzyła się sterta czegoś, co wyglądało jak kasety wideo i czasopisma. Obok stał statyw fotograficzny i tekturowe pudło, z którego wysypywały się zmięte gazety. Gdzieś w budynku grał telewizor: rozległy się brawa i gwizdy, a po nich hałaśliwy śmiech.

Golding obszedł dom. Stary drewniany płot, przygięty przez wiatry oleander, oddzielał parcelę od sąsiedniej posesji. Gałęzie krzewu ocierały Pete'owi twarz i wczepiały mu się w rękawy. Smród śmieci był tu silniejszy. Ziemię zaścielały stare kartony po mleku i opakowania po jedzeniu, których nikomu nie chciało się donieść do śmietnika. O rynnę oparty był głośnik z rozprutą przednią osłoną.

Dźwięk telewizora stał się głośniejszy, gdy Golding podszedł do tylnej strony budynku. Przestał mieć wątpliwości, czy nie ocenił błędnie Grossmana. Nasuwała się myśl, że ktoś tak zwichrowany musi być głupi, pozbawiony subtelności i niezdolny do wyrafinowanego planowania. Była to jednak nieprawda. Poprzez ociekające jadłem listy Grossman dawał upust swojej frustracji i gniewowi, ale później, jak stwierdził Lenny Mayot, znalazł dla nich bardziej satysfakcjonujące ujście; stał się bardziej twórczy. Jego spaczona osobowość rozkwitła, gdy przyjął rolę dręczyciela Ellen Cusak.

Golding minął powoli narożnik, trzymając rękę w rozpięciu marynarki, gotów do wydobycia broni. Popełniał poważne wykroczenie - dopuszczał się nielegalnego najścia, ale było za późno, by się tym martwić. Podwórko za domem było niewielkie, miało najwyżej piętnaście metrów długości. Z najbliższego okna padały rozpraszające ciemności poziome pasma światła. Parę metrów dalej betonowe schody prowadziły do drugiego wejścia.

Pete był tuż przy oknie, gdy niechcący kopnął blaszaną puszkę. Potoczyła się z brzękiem po twardym gruncie. Golding uskoczył w cień. Był pewien, że go usłyszano. Przyciśnięty plecami do ściany, wyczekiwał na skrzypnięcie otwierających się drzwi i głos Grossmana. Słyszał było jednak

tylko muzykę w telewizji. Po chwili zabrzmiał slogan reklamy: „Marka, której możesz zaufać”, a następnie głośne akordy, narastające w hollywoodzkim crescendo. Golding dotarł ostrożnie do okna i zajrzał przez pokrzywione żaluzje. Dostrzegł lampkę na biurku z abażurem odwróconym do ściany. Świeciła mu prosto w oczy. Ruszył dalej i wypatrzył ekran telewizora. Drużyna hokeistów wpadała akurat na siebie, chwilę później pojawił się wóz terenowy, rozbryzgujący wodę.

Była to reklama Forda. Reklama z udziałem Ellen.

W tym samym momencie Pete zauważył postać rozciągniętą na bujanym fotelu. Grossman kołysał się powoli. Głowa podrygiwała mu nierytmicznie, podczas gdy Ellen Cusak wykonywała idealny potrójny lutz. W stop-klatce pokazano przez chwilę olśniewający uśmiech mistrzyni.

Golding poczuł przypływ obrzydzenia.

- Jezu Chryste - jęknął.

Odsunął się od okna i postanowił natychmiast wejść od tyłu. Złapać sukienkę z kutasem w ręce - dlaczego nie? Lepszy kutas niż pistolet. Pete otworzył siatkową osłonę i nacisnął klamkę. Popapraniec nawet nie zamknął drzwi.

W kuchni było niemal zupełnie ciemno; tylko nad kuchenką paliła się mętna, żółta neonówka. Wszystkie powierzchnie usłane były opakowaniami i brudnymi talerzami. Z wypchanego, plastikowego worka wysypywały się na podłogę zgniecione puszki po piwie. Golding przeszedł przez wąski korytarz, uważając, gdzie stawia nogi. Pilnował, by o nic się nie potknąć. Dźwięk głośno nastawionego telewizora odbijał się pogłosem od otynkowanych ścian. Golding podszedł do drzwi saloniku i pchnął je lekko.

- Zabawiasz się, Grossman?

Postać na bujanym fotelu drgnęła, ale się nie odwróciła. Wyciągnęła drżące prawe ramię w stronę telefonu na szklanym stoliku. Przez skoczną melodię kolejnej reklamy przebiło się gardłowe rżenie. Goldingowi nagle przyszło do głowy, że Grossman może mieć napad drgawek - po narkotykach lub wskutek wstrząsu. Podszedł bliżej i na podłodze, fotelu i koszuli Grossmana zobaczył krew.

- Jezu, co się...

Usłyszał wilgotny odgłos, jakby coś odrywano na siłę. Ciało Grossmana zatrzęsły konwulsje. Cały bok twarzy miał odstrzelony. Na miejscu prawego policzka znajdowała się ciemna, krwista masa. Z olbrzymiej rany wystawały kawałki zębów i kości. Golding zatoczył się do tyłu, potykając o butelki i szklanki. Przez chwilę miał wrażenie, że zwymiotuje. Oczami duszy widział równocześnie wylot lufy pod szczęką Grossmana, twardy, lśniący metal, wgniatający się w miękkie ciało, głowę rozrywającą się jak wielki, pełen krwi owoc. Pete doskoczył do telefonu, ale już w chwili wybierania numeru wiedział, że jest za późno.

Część trzecia

## Erotomania

**Piątek, 13 sierpnia**

T le cię tam trzymali?

J. Tom Reynolds odwrócił się od okna i zmarszczył brwi na widok wymiętego ubrania Goldinga. Reynolds potrafił spędzić cztery dni na obserwacji bez rozluźnienia krawata i nie znosił niechlujstwa u swoich podwładnych, nawet gdy było usprawiedliwione.

- Dziewięć godzin. - Golding popatrzył na brązową plamę na rękawie. - Nie miałem nawet okazji pojechać do domu i się przebrać.

- Kto dostał sprawę?

- Facet nazwiskiem Wolpert. Detektyw James Wolpert z Wydziału Wybrzeża Pacyfiku.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Dziewięć godzin. Jezu. O czym z tobą rozmawiali?

- Chcieli wiedzieć, co robiłem w domu Grossmana.

- I co?

- Powiedziałem im, że pracuję dla Ellen Cusak.

Reynolds odwrócił się z powrotem do okna. Golding orientował się, dokąd zmierza rozmowa, i wcale się mu to nie podobało. Był zmęczony i potrzebował kawy.

- Wykombinowali, że ty to zrobiłeś? - zapytał, a właściwie stwierdził Reynolds, wciąż patrząc na ruch uliczny w dole.

Golding czekał, aż szef się odwróci i będzie mógł spojrzeć mu w oczy. Potrząsnął wreszcie głową i powiedział:

- To nie ja, Tom.

- Ale tak sądzą, prawda? Przecież strzelałeś już do różnych łachudrów.

- Do jednego, w samoobronie. - Reynolds wrócił na swój fotel. - Nie zabiłem Grossmana - dopowiedział Golding. - Znalazłem go w bujanym fotelu z połową głowy na podolku. To ja zawiadomiłem policję.

Reynolds pokiwał głową.

- Musiało to być dla ciebie wielkim szokiem. - Golding wzruszył ramionami. - A więc ten detektyw... Wolpert... kupił twoją historię?

- Raczej nie. - Gdy tylko Wolpert zorientował się, z kim ma do czynienia, najwyraźniej doszedł do wniosku, że po Goldingu można spodziewać się samosądu, i nie miał ochoty wypuścić go na wolność. - Rozumiem, jak cała sprawa musiała wyglądać z ich punktu widzenia. Kiedy weszli do środka, byłem upaprany krwią Grossmana.

- Tak?

- Próbowałem powstrzymać krwawienie. Kiedy policjanci przyjechali pod dom, stałem w środku...

- Chryste.

- Na dodatek zbadali, czy na prawej ręce nie mam śladów prochu. Próba wypadła dodatnio.

- Co?! - Reynolds poderwał się na równe nogi.

- Byłem wczoraj na strzelnicy, Tom. Mogą to potwierdzić. Wolpert zabronił mi opuszczać miasto.

- Jasna cholera. - Reynolds przesunął palcem wzdłuż skraju biurka. - Czy Grossman zostawił list poźegnalny?

- W jego mieszkaniu znaleziono przygotowany do wysłania list od Lodowatego. Nie było jednak listu poźegnalnego. Broń zarejestrowano na jego nazwisko.

- Były jakieś ślady walki?

- Nie. Nie było również oznak włamania, ale kiedy przyjechałem, kuchenne drzwi były otwarte. Jeżeli ktoś chciał zakraść się do środka, nie miał z tym najmniejszego problemu.

- Myślisz, że ktoś wlaź tam ukradkiem i stuknął Grossmana?

- Nie wiem.

- Ale domyślam się po twojej minie, że coś podejrzewasz, Pete - uśmiechnął się Reynolds.

- Ktoś zadzwonił do domu Ellen... pani Cusak około wpół do dziesiątej. Odebrał Lenny Mayot. Jest pewien, że to ten sam gość, którego głos nagraliśmy. Twierdzi, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- No dobrze. W takim razie był to głos Grossmana.

- Może. Chodzi o to, że rozmawiałem z Grossmanem na dzień przed jego śmiercią. Moim zdaniem jego głos brzmiał inaczej.

Reynolds usiadł znowu. Rozluźnił się nieco od chwili, gdy przystąpili do roztrząsania sprawy.

- Sam wiesz, jak to bywa. Ile razy widziałeś, jak świadkowie łamali się podczas przesłuchania, gdy musieli zidentyfikować czyjś głos? Trudno być absolutnie pewnym. Tak czy inaczej, dzwoniło z domu Grossmana, tak?

- Zgadza się.

- No więc co jeszcze powinniśmy wiedzieć?

- Zadzwoił, a potem się zastrzelił - powiedział Golding takim tonem, jakby nigdy nie słyszał o czymś równie idiotycznym.

- Dlaczego nie?

- Napisał jeden ze swoich bombowych liścików. Cztery strony napalonych bredni. Domyślam się, że zamierzał to wysłać.

- Może nie. Zadał sobie trud ustalenia nowego numeru Ellen Cusak i chciał ją zawiadomić, jaki wspomniała list jej wysłał. Kiedy jednak zadzwonił, odebrał Mayot. Grossman wpadł w takie przygnębienie, że rozwalił sobie łeb. - Reynolds dostrzegł sceptyczną minę Goldinga i podniósł ręce. - No dobrze, żartuję, ale nie powiesz mi, Pete, że to nie mogło tak wyglądać. Grossman był najwyraźniej niespełna rozumu. Sam powiedziałeś, że popadł w depresję, kiedy odebrano mu legitymację związkową. - Golding odwrócił wzrok. - Tak czy inaczej klienci są zdania, że wykonałeś kawał świetnej roboty - dokończył Reynolds.

- Słucham?

- Tuż przed twoim przyjściem skończyłem rozmawiać z Lennym Mayotem. Powiedział, że pani Cusak jest szczęśliwa, że sprawa dobiegła pomyślnego końca. - Szefagencji zatarł dłonie. - Alpha Global znów odniosła sukces. Zważywszy na okoliczności, pozwałam ci wziąć wolne do południa.

- Nic mi nie jest - warknął Golding.

Myśl o powrocie do domu i zdjęciu fotografii Ellen ze ścian nie była zbyt pociągająca.

- Naprawdę - powiedział Reynolds. - Skorzystaj z mojej rady: weź prysznic, zjedz obfity obiad. Przyda ci się trochę wolnego. - A to co miało znaczyć? Golding spróbował zajrzeć szefowi w oczy, ale Reynolds zabrał się już do omawiania następnej sprawy. Wyciągnął teczkę i oznajmił: - Mam tu zgłoszenie Lindy Farrar... wiesz, tej producentki. Organizuje jakąś imprezę w Hillcrest. Chce, żebyśmy zajęli się ochroną.

Reynolds starał się zachować nieprzeniknioną minę, widać było jednak wyraźnie, że jest podniecony. Szefagencji zawsze szukał sposobności, by zajmować się właśnie takimi zleceniami. Były nieporównywalnie mniej kłopotliwe od tropienia szajbusów; miały jasny początek, środek i koniec. Reynolds od dawna marzył, by zająć się wyłącznie tym działem



agencji Alpha Global, który zajmował się ochroną instytucji i imprez, a sprawy gróźb wobec konkretnych osób pozostawić w rękach Romero.

Szef pchnął przez biurko arkusz papieru z godłem Hillcrest Country Club, ale Golding nawet nie spojrział.

- Nie możesz dać tego Denisonowi?
- Roy jest zajęty.
- A Bernie?
- Przydzielę go tobie, bo nie ma takiego doświadczenia, by sam wszystko poprowadzić. Chcę, żebyś ty się tym zajął.
- Co powiedziałaś Lenny'emu Mayotowi?
- O czym?
- O zamknięciu sprawy.
- Powiedziałem, że to świetnie. Jeśli on jest zadowolony, to my też.
- Ale... nie mamy pewności, że pani Cusak już nic nie grozi.
- Daj spokój, Pete. Sam powiedziałaś, że to Grossman pisał listy. Miał gotowy do wysłania list z podpisem Lodowatego.
- Zgadza się. Wciąż jednak nie wiemy, czy cała reszta... zdjęcie, kase-ta video, telefony... to też jego dzieło.
- Mówiąc szczerze, Pete, nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. Zaangażowano nas wyłącznie po to, żebyśmy wyjaśnili, kto pisze listy.
- Musimy jednak rozważyć możliwość...
- Nie, nie musimy - przerwał mu Reynolds. - Nie musimy, bo nasza klientka sobie tego nie życzy. Podziękowała nam, a czek już idzie pocztą.
- Musimy przynajmniej utrzymać monitorowanie telefonów. Nie możemy sobie tego odpuścić, dopóki nie zbierzemy wszystkich faktów.
- Ellen Cusak nie jest już naszą klientką. Dalsze obserwowanie jej i podsłuchiwanie telefonów stanowiłoby pogwałcenie prywatności. Tak jest już w tej chwili.
- Powinniśmy zrobić to dla jej własnego dobra.

Przez chwilę panowało całkowite milczenie. Reynolds kiwnął głową i odwrócił wzrok.

- Wiesz co, Pete? Zaczynam mieć koszmarnie uczucie deja vu. - Popatrzył z powrotem na Goldinga. - Słyszysz mnie, partnerze? Przypominam sobie pewną młodą kobietę o imieniu Madeleine, która zadzwoniła do mnie podniecona i wystraszona, bo pod jej domem kręcił się jakiś facet. - Golding poczuł, że się rumieni. Reynolds wymierzył w niego palec. - Chcę, Pete, żebyś mnie posłuchał. Nie proszę, ale każę. Masz pojechać do domu, wziąć prysznic, włożyć czysty garnitur i wrócić po południu, by zająć się przygotowaniami do przyjęcia Lindy Farrar. Mówię ci, że masz sobie odpuścić.

## Sobota, 14 sierpnia

Golding biegał przez godzinę po plaży w Santa Monica, a przez następną spacerował brzegiem oceanu. Reynolds miał oczywiście rację. Agencja Alpha Global nie była instytucją użyteczności publicznej. Nie miała obowiązku zajmować się niczym ponad to, za cóż jej płacono. A od piątku rano Ellen Cusak przestała płacić. Nie można było nic zyskać na dalszym zaangażowaniu, najwyżej przysporzyć sobie kłopotów. Stary numer telefonu Ellen Cusak został odłączony, jej poczta miała być segregowana i albo odsyłana, albo niszczone. Peter Golding miał zaś zająć się pilnowaniem gości na przyjęciu, wydawanym przez Lindę Farrar, bo na tym polegała jego praca.

Siedział w samochodzie na Bulwarze Zachodzącego Słońca, gdy zdecydował, że musi się zobaczyć z Ellen. Brentwood leżało w odległości zaledwie kilku kilometrów. Chciał po prostu wpaść do niej i wyjaśnić wszystko osobiście. Nic więcej.

Ellen stała na podjeździe, dokładnie tak jak podczas ich ostatniego spotkania. Tym razem brama była jednak otwarta. Mercedes z wgniecionym bokiem stał z otwartym bagażnikiem pod domem. Ellen miała na sobie niebieskie džinsy i białą bawełnianą koszulkę. W rękę trzymała niewielką walizkę. Golding wysiadł z sebringa z bijącym w przyspieszonym tempie sercem.

- Cześć. - Ellen odwróciła się pod słońce i zmrużyła oczy. Golding wskazał przez ramię na swój samochód. - Byłem na plaży... i pomyślałem, że...

Ellen obdarzyła go krótkim, krzywym uśmiechem.

- Jeżeli to wizyta w sprawach zawodowych, powinieneś wiedzieć, Pete, że zamknęliśmy rachunek. Wasze usługi są drogie.

Popatrzyła na jego ubranie.

- Gdyby chodziło o sprawy zawodowe, byłbym w garniturze - odparł.  
- Cieszę się w takim razie, że jest inaczej. - Przez chwilę miał wrażenie, że się przesłyszał. Ellen zauważyła jego minę i wskazała na przepoczoną koszulkę z godłem drużyny Lakersów. - Cieszę się w twoim imieniu - wyjaśniła. - Zawsze wyglądałeś, jakby ci było za gorąco w tym niebieskim garniturze.

Nie spuszczał z niej wzroku, czując, że zaczyna się czerwienić. Choć obwiesił ściany w swoim domu zdjęciami Ellen, w jej urodzie było coś zaskakującego, dostrzegalnego tylko z bliska. Przypomniał sobie, jak Lenny

Mayot opisywał jej wygląd po ślubie z Dougiem Gormanem: była wówczas pewna siebie, promieniejąca wdziękiem i dowcipem. Łatwo uwierzyć, że tak było w istocie. Zakończenie sprawy Lodowatego sprawiło Ellen wyraźną ulgę.

- Słyszałam, co się stało z Jeffem Grossmanem - powiedziała. - Pewnie to było straszne.
- Tak, rzeczywiście.
- Nie mogę pozbyć się myśli, że może gdybym...
- Daj sobie spokój - przerwał jej Golding. - To nie miało nic wspólnego z tobą. Nic. Grossman poruszał się po własnej orbicie. Musisz w to uwierzyć.
- Pewnie tak. - Ellen pokiwała głową i opuściła wzrok na walizkę. - Ani razu z nim nie porozmawiałam.
- Właśnie.
- To takie... smutne - potrząsnęła głową i zgarbiła się. - Nie martw się o mnie, nic mi nie jest. - Włożyła walizkę do bagażnika. - Po to właśnie przyjechałeś? Porozmawiać o Grossmanie?
- W pewnym sensie. Chciałem się upewnić, czy dostałeś pełne sprawozdanie.
- Pełne sprawozdanie? - Ellen znowu popatrzyła na koszulę Pete'a. - Co to ma znaczyć?
- Przepraszam - odparł Golding z uśmiechem. - Tak mówi mój szef. Moim zdaniem powinnaś wiedzieć o wszystkim.

Ellen rozsunęła żaluzje w salonie i przyniosła Goldingowi mrożoną herbatę w wysokiej szklance. W domu nie było nikogo więcej. Panowała w nim prawie niewygodna cisza.

- Rozmawiałaś wczoraj z Tomem Reynoldsem osobiście? - zapytał.
  - Nie, zrobił to Lenny. Był naprawdę podekscytowany, że pomógł złapać tego człowieka. Oczywiście nie miał pojęcia, jak to wszystko się skończy.
  - Powiedział ci, że cała sprawa została zamknięta?
  - Aha. - Usiadła na sofie. - Dlaczego pytasz?
  - Po prostu... po prostu czułem, że muszę tu przyjechać, na wypadek gdyby...
- Nie wiedział, co mówić dalej. Promienny nastrój Ellen zdążył się już ulotnić.

- Myślisz... myślisz, że może jeszcze nie jest po wszystkim?
- Golding nachylił się do przodu.
- Ellen, wiemy, że to Grossman napisał te wszystkie listy z pogroźkami. Jeden znalazł nawet w jego mieszkaniu. Nie znaczy to jednak, że

odpowiadał za wszystko, co się działo: za telefony, zdjęcie, nagranie wideo. Uważam, że coś tu się nie zgadza.

Ellen siedziała całkowicie nieruchomo.

- Dlaczego?
- Ponieważ z mojego doświadczenia wynika, że nikt nie zadaje sobie aż takiego trudu, jeśli nie kieruje nim obsesja. W tym przypadku... - zawahał się - ..obsesja na twoim punkcie. Facet mówi i zachowuje się taki sposób, jakby sądził, że coś was łączy. Jak mogłabyś powiedzieć, że jesteś kimś rozczarowana, gdyby nie łączył was jakiś związek? To oznaka erotomanii.
- Erotomanii - powtórzyła Ellen, ściskając dłonie między kolanami. - Lenny chyba mówił o czymś takim.

- Jeżeli jednak Jeff Grossman miał obsesję na twoim punkcie, doskonale sobie radził z jej ukrywaniem. Policja nie znalazła w jego domu ani jednego wycinka z prasy, ani jednej fotografii, niczego. Zwykle tacy ludzie fundują sobie całe ołtarzyki, poświęcone swoim idolom. Nie było nawet dowodów, że Grossman interesował się łyżwiarstwem. O ile wiem, nie miał nawet kamery wideo. I na pewno nie miał dzieci. - Ellen wpatrywała się w niego bez słowa. Golding nie miał najmniejszej ochoty przekazywać jej złych wieści, wiedział jednak, że nie zrobi tego nikt inny. - Rozumiesz, do czego zmierzam? - ciągnął. - Grossman mógł mieć do ciebie jakiś obłądny uraz, ale to nie to samo, co...

Ellen podniosła się nagle na równe nogi. Przez chwilę Golding pomyślał, że wybiegnie z pokoju. Łyżwiarka podeszła jednak do rozsuwanych drzwi na taras i przycisnęła dłonie do szkła.

- Twierdzisz... twierdzisz, że ten ktoś może być nadal na wolności?
- To niewykluczone.
- Twój szef też tak sądzi? Tom Reynolds również tak uważa?
- Nie wiem. Myślę... - Golding spuścił wzrok. - Chyba jest zdania, że nie masz się czym przejmować.
- Natomiast ty sądzisz, że powinnam się przejmować?
- Uważam, że powinnaś zachować ostrożność - odparł, wstając. - To wszystko. Nie usiłuję cię przestraszyć, Ellen. Myślę tylko, że powinnaś zdawać sobie sprawę, jak wygląda sytuacja.
- Przepraszam - odparła, nagle odwracając się od okna. Spróbowała się uśmiechnąć. - To nie twoja wina. Wykonujesz tylko swoją pracę, prawda?

Golding mimo woli zrobił parę kroków w stronę Ellen. Najbardziej ze wszystkiego pragnął wziąć ją w ramiona. Czuł, że byłaby to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Ellen mogłaby jednak pomyśleć, że wszystko, co powiedział, to tylko historyjka, obmyślona jako pretekst, by się do niej zbliżyć. Musiała wiedzieć, że mówi serio.

- Wyjeżdżam na parę dni - powiedziała, spoglądając na ogród.
- Golding był ciekaw, czy jedzie sama. Uświadomił sobie, że raczej nie - ale zdał sobie też sprawę, że taki był właśnie cel jej informacji.
- Dokąd się wybierasz?
- Do Lake Arrowhead. Zaprosił mnie Sam Ritt.
- Sam Ritt?
- To mój dawny trener. - Ellen przyjrzała się badawczo Pete'owi. - Pomagał w opracowaniu choreografii paru moich programów.
- Doskonale. Po prostu świetnie.
- Przynajmniej się stąd wyrwę, i o to przede wszystkim chodzi.
- Nie podoba ci się tutaj?
- Już nie - potrząsnęła głową Ellen. - Prawdę mówiąc, próbuję sprzedać dom, na razie jednak nie mogę znaleźć chętnych.
- Wyjedziesz z Los Angeles?
- Nie wiem. Może. Wiem tylko, że mam dość wieży z kości słoniowej. Chcę zejść na ziemię i mieć do czynienia z normalnymi ludźmi. Miło by było mieć paru sąsiadów, z którymi można pogadać. Dzięki Dougowi i jego pracy spotykałam tysiące ludzi, ale dopiero po naszym rozstaniu zrozumiałam, że były to tylko znajomości w interesach, a nie przyjaźnie.
- Golding był niezmiernie ciekaw, czy Ellen mówi całą prawdę, czy nie chce tylko wypełnić powstałej między nimi pustki, sprawić, by poczuł się lepiej.
- Nie będzie ci brakowało tych wszystkich gali? Premier? Sesji zdjęciowych?
- Żartujesz, prawda? - uśmiechnęła się Ellen. - Chodziło tylko o interesy... interesy Douga.
- Więc co chcesz robić?
- Jeśli o mnie chodzi, najlepiej się czuję, jedząc pizzę i oglądając film, najchętniej komedię, w której nikt nie ginie.
- Cóż, jeśli kiedykolwiek zabraknie ci towarzystwa...
- Chciał, by zabrzmiało to niezobowiązująco, ale nie potrafił opanować emocji w głosie. Zupełnie jak napalony smarkacz, pomyślał. Ellen odwróciła głowę. Zdał sobie sprawę, że popełnił nietakt.
- Ellen? - Odczekał, aż na niego spojrzy. - Mówiłem poważnie. Naprawdę tak wygląda sytuacja. Jeżeli coś się stanie... cokolwiek... chcę, żebyś do mnie zadzwoniła. Nic cię to nie będzie kosztowało.
- Dziękuję, Pete. - Ellen uśmiechnęła się i pokiwała głową. - Bardzo ci dziękuję.

Douglassa Gormana posadzono w końcu stołu, gdzie wszyscy mogli go widzieć. Na przyjęciu z okazji dziesiątej rocznicy ślubu Lindy i Davida Farrarów było pięćdziesiąt osób. Chociaż najwyżej dwie lub trzy z nich mogły zostać rozpoznane na ulicy przez przypadkowego przechodnia, wśród pozostałych znajdowało się dość członków kierownictwa wytwórni filmowych, agentów, producentów i reżyserów, by reprezentować znaczącą część branży filmowej. Mimo to Golding stojący pod jadalnią w wypożyczonym fraku, z wetkniętym w lewe ucho odbiornikiem i przypiętym do klapy mikrofonem, nie mógł pozbyć się myśli, że dodatkowa ochrona jest zbędna, że to tylko dowód afektacji Lindy Farrar, a w najlepszym razie gest obliczony na schlebianie gościom. Trudno było znaleźć bardziej ekskluzywne miejsce publiczne w Los Angeles niż Hillcrest Country Club. Za to właśnie członkowie płacili pięciocyfrowe składki członkowskie.

Mimo instrukcji Reynoldsa Golding kilkakrotnie próbował znaleźć Lenny'ego Mayota. Gdyby zdołał przekonać agenta, że jego podopiecznej nadal grozi niebezpieczeństwo, może Mayot namówiłby Reynoldsa, by Alpha Global znowu zajęła się sprawą. Asystentka Mayota twierdziła jednak, że jej szef wyjechał z miasta do końca tygodnia. Golding zostawiał dla niego wiadomości, nie doczekał się jednak na nie odpowiedzi. Mayot najwyraźniej sądził, że sprawa jest zamknięta. To listy od Lodowatego wytrąciły jego klientkę z równowagi, Lodowaty zaś, znany również jako Jeffrey Grossman, już nie żył. Uregulowano rachunki i nawet prasa zajęła się innymi tematami - częściowo dzięki policji, która rozmyślnie pominęła nazwisko Goldinga w oficjalnym komunikacie. Nieważne, że w domu Grossmana nie znaleziono żadnego ołtarzyka ani nawet jakiegokolwiek wskazówki, że interesował się on Ellen Cusak. Nieważne, że w stosach pornografii nie natrafiono na choćby jeden magazyn poświęcony łyżwiarstwu. Wszyscy zbyt pragnęli wrócić do normalnego życia, by zwracać uwagę na takie szczegóły. Tak samo zależało im, by Ellen wróciła do poprzednich zajęć. Lenny chciał, żeby uspokojono jego klientkę; wtedy będzie mógł nakłonić ją znowu do zarabiania pieniędzy, a przypadające dla niego dziesięć procent staną się coś warte. Zachowywano się, jakby nic się nie stało, jakby wszystko wróciło do normy.

Nie wszystko jednak wróciło do normy. Golding był tego pewien. Ellen nadal go potrzebowała, być może bardziej niż kiedykolwiek. Musiała to wreszcie zrozumieć, a przynajmniej wyczuć.

Leżąc bezsenne w nocy, ciągle o niej myślał. Usiłował wniknąć w jej przeżycia, zobaczyć świat jej oczami - przychodziło mu to jednak z trudem. Zbyt wiele było białych plam, zbyt wiele nie znanych mu kart jej historii. Golding stale budził się z przerażeniem, widząc przed sobą Jeffa Grossmana, wyprężonego na bujanym fotelu w śmiertelnych konwulsjach, podczas gdy Ellen Cusak w kostiumie i makijażu tańczyła i wirowała przed nim na ekranie telewizora.

Pete zadzwonił wreszcie w poniedziałek rano na numer Ellen i zostawił jej wiadomość. Powiedział, że w czwartek wieczorem grają *Apartment* w małym kinie w Burbank. Może by zechciała wybrać się z nim? Do tej pory Ellen nie oddzwoniła.

Golding zauważył nazwisko Douga Gormana na liście gości Lindy Farrar dopiero kilka godzin przed przyjęciem. Aktor wyglądał na nieco więcej niż na swoje trzydzieści jeden lat i był co najmniej kilka centymetrów niższy od oczekiwania Pete'a. Piaskowe włosy miał tym razem krótko przycięte i sprawiał wrażenie zmęczonego. Golding dowiedział się od Ala McMichaela, jednego z podjętych przez agencję na ten wieczór ochroniarzy, że Gorman był właśnie w trakcie sześciotygodniowego cyklu zdjęciowego w Pradze i specjalnie przyleciał na przyjęcie. Towarzysząca mu brunetka o egzotycznym wyglądzie - Czeszka, do niedawna modelka - również występowała w tym filmie. Golding zastanawiał się, ile Gorman wie o niedawnych kłopotach swojej byłej żony i jak dalece go to obeszło. Podejrzał, że odpowiedź na obydwa pytania brzmi: niewiele.

Do wpół do jedenastej Pete zdążył się znużyć odgrywaniem roli agenta tajnej służby, podczas gdy były mąż Ellen świetnie się bawił. Poprzez dzwienki jazzowego kwintetu wsłuchiwał się w głosy Berniego Rossa i dwóch wynajętych na tę okazję ochroniarzy, meldujących, jak przedstawia się sytuacja na podjeździe i przy wyjściach awaryjnych. Podchodzili do sprawy bardzo poważnie, prawdopodobnie na beneficjum Goldinga, by mógł donieść Reynoldsowi, że pracował z doskonale zgranym zespołem. Pete włączył mikrofon i poprosił Rossa, aby go zastąpił, bo chce coś sprawdzić. Ross zjawił się niemal natychmiast; wyglądał, jakby był gotów powalić kogoś na ziemię.

- Mamy jakiś problem?

Farrarowie wstali już od stołu i jako pierwsza para zatańczyli w rytm *Moon River*. Goście zdobyli się na wąty aplauz.

- Tak - odparł Golding. - Jeśli ktokolwiek spróbuje wygłosić jakieś przemówienie, zastrzel go.

Butelka bourbona Four Roses była schowana w brązowej papierowej torbie pod deską rozdzielczą. Golding wypił solidny łyk, potem jeszcze jeden. Czuł się zbyt wyczerpany, by pracować dalej, a jednocześnie zbyt

nakręcony, by odpocząć. Popatrzył przez zadbane trawniki na sznur świateł samochodowych na bulwarze Pico. Bardzo nie chciał tu być. Nie chodziło tylko o nudne zadanie czy o status służącego, człowieka drugiej kategorii. Pragnął być z nią, z Ellen. Nie było sensu dłużej się oszukiwać. To właśnie naprawdę się zmieniło.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął wybierać numer Ellen. Powiedziała, że wyjeżdża na kilka dni. Może właśnie wróciła i próbowała się do niego dodzwonić. Powiedziałyby, że chciał tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nie dostała znowu jakichś listów z pogrózkami albo niesamowitych telefonów. Odpowiedziałyby pewnie, że nie, że nic się nie działo. Wszystko w porządku. I nie wspomniałyby ani słowem o wiadomości od niego ani o kinie. W najlepszym razie podziękowałyby za zaproszenie, ale wymówiłyby się brakiem czasu - wiedząc przez cały czas doskonale, że zadzwonił wyłącznie z tego powodu. Wyobrażał sobie ten moment wzajemnego zrozumienia.

Odłożył telefon. Stwierdził, że to na nic. Zachowywał się, jakby coś ich łączyło: Ellen i Pete, Pete i Ellen. Tak jednak nie było. Gdyby nie przesładujący ją mężczyzna, ich ścieżki nigdy by sienie zetknęły. Ponieważ tamtego już nie było, oznaczało to koniec historii. Pete nie był Ellen do niczego potrzebny. Dlaczego miałyby chcieć się z nim spotykać, skoro przywykła do olśniewających sław w rodzaju Gormana? Łudził się, wyobrażając sobie, że cokolwiek do niego czuła. „Miała dość wieży z kości słoniowej”. Może była to prawda, jednak szczyt Brentwood Heights nadal dzieliła długa droga od ulicy Van Nuys, na której mieszkał Golding.

Siedział tak długo, gapiąc się na budynek klubu i zastanawiając się, jak tu wylądował. Żył, mieszkał i śnił w cieniu dwóch światów - sławy i bogactwa i tego drugiego, pełnego szaleństwa i rozpacz. Dwóch światów, które, choć tak bardzo odmienne, jednak idealnie się uzupełniały. Oczywiście byli ludzie, którzy uważali to za wspaniałe. Przyjaciółki pytały go szepcąc, czy spotkał ostatnio kogoś sławnego. Przywykł wspominać o każdym, kto w jego ocenie mógł wzbudzić w nich zachwyt, bez względu na to, czy rzeczywiście miał z nim kontakt. Nie musiał ubarwiać swoich kłamstw szczegółami - powoływał się na poufność relacji z klientami.

Wymacał szyjkę butelki, powąchał słodko pachnący trunek. Łatwo byłoby się w tym pogrążyć na jakiś czas. Zdarzało się mu to już przedtem, ale zawsze potem czuł się jeszcze gorzej. Gardził sobą za pijaństwo, nawet gdy tkwił w nim po uszy, gdy powoli osiągał zapomnienie. Nie to jednak było najgorsze. Następnego ranka budził się ze świadomością, że znalazł się o krok bliżej mrocznego, samotnego piekła paranoików, psychotyków, wykorzystywanych i zdeprawowanych - tych samych zwichrowanych potworów, dzięki którym kwitła agencja Alpha Global Protection. Piekło cierpliwie czekało na Goldinga i czasami miał wrażenie, że wystarczy mu zrobić jeszcze

jeden krok w głąb siebie i zaprzecić się dotychczasowego poglądu na świat, by się w nim znaleźć.

Wysiadł z trudem z samochodu i zaczął wylewać resztę zawartości butelki na asfalt. Usunięcie pokusy było jedynym sposobem, by sobie z nią poradzić. Bourbon wciąż pluskał obok jego stóp, gdy zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje.

- Podziwiam pańską siłę woli. - Golding dostrzegł ognieniek papierosa i ulatujący w powietrze pióropusz dymu. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ma przed sobą Douglasa Gorman. - Obrzydliwy nałóg, wiem o tym - dodał aktor, wyłaniając się z cienia. - Po prostu nie byłem w stanie... - Wskazał dłonią za siebie, na budynek. - Mogliby pamiętać, żeby urządzić tam palarnię.

Golding nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Przyszło mu do głowy, że Gorman może złożyć na niego skargę, a nawet spowodować, że zostanie wyrzucony z agencji. Reynolds krzywo patrzył na picie w pracy.

Gorman włożył papierosa do ust i wyciągnął dłoń.

- Doug Gorman. Pete, prawda?

- Skąd pan wiedział?

Och, ktoś mi pana pokazał. Wie pan, wspominał... - wzruszył przepraszając ramionami - ...o aferze z Maddy Olsen.

Golding pokiwał w milczeniu głową, zastanawiając się, czego aktor od niego chce. Szczegółików jego zawodowych przygód, by posłużyły do następnej kreacji? „Chciałem tylko zapytać, jak to jest kogoś zabić?”. Pete zamknął samochód i ruszył w stronę klubu.

- Muszę już wracać - powiedział, nie bardzo siląc się na uprzejmość.

- To prawda, że pracował pan dla mojej żony? To znaczy, byłej żony?

Golding przystanął. A więc o to chodziło.

- Obawiam się, że nie wolno mi zdradzać tożsamości naszych klientów, panie Gorman. To...

- Och, niech pan da spokój. Rozmawiałem z Ellen dziś rano.

Dziś rano? To znaczy, że już wróciła do Los Angeles.

- Więc po co pan pyta?

- Bo chcę się upewnić, że nic jej nie grozi. Chcę wiedzieć, czy już po wszystkim.

Golding przyjrzał się Gormanowi i zobaczył w jego twarzy troskę; jeśli nie była autentyczna, na pewno dowodziła wielkiego kunsztu aktorskiego.

- No dobrze. Istotnie, pracowałem dla niej.

- I nic jej nie grozi? Czy to już koniec sprawy?

- Sam chciałbym wiedzieć.

Gorman przyjrzał mu się przez chwilę badawczo.

- Przepraszam, zapali pan? - Podsunął Pete'owi papierosy. Golding popatrzył na paczkę. Czasami miał ochotę zapalić, czasami nie. Tym razem

miał na to chęć. - Dowiedziałem się o całej sprawie dopiero wczoraj dodał aktor. - Mówią, że jakiś człowiek... pomocnik z planu... zastrzelił się.

- Rzeczywiście. Nazywał się Grossman.

- To właśnie on nękał Ellen?

- Tak panu powiedziała? - Golding pozwolił, by Gorman przypalił mu papierosa swoją zapalniczką.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo chciała o tyna gadać. Stwierdziła, że pragnie zapomnieć o całej sprawie. Wyczułem jednak, że nie mówi mi wszystkiego.

- Taak... Od pierwszego dnia odnosiłem to samo wrażenie - odparł Golding, zaciągając się głęboko. - Miałem przez to o wiele trudniejsze życie... to znaczy zadanie.

- Myśli pan, że nadal ktoś na nią czyha?

- Być może.

- I znów zaczniesz ją prześladować?

- Moim zdaniem tak - odparł Golding po chwili wahania.

- Nie ma pan jednak pojęcia, kto?

Dobiegły do nich hałasy z klubu: śmiech kobiety, nucony przez mężczyznę kawałek bardzo starej piosenki, szczęknięcie drzwiczek limuzyny.

- Uważam, że to ktoś, kto zna od bardzo dawna - powiedział Golding. - Jestem o tym przekonany.

- Znają?

- Wie o niej wiele. Od lat. Może nawet znał ją przed panem. Uważam, że jest cierpliwy, bardzo cierpliwy. I ma plan. To nie jest typowy szaleniec.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

Golding zajął Gormanowi w oczy i dostrzegł w nich lęk. Czy martwił się o Ellen, czy też myślał: „To samo mogło przydarzyć się mnie”?

- Facet coś wie. Coś ma. Od bardzo dawna tylko dzięki temu funkcjonuje. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale jeśli się dowiem, to go znajdę.

Parking omiotły światła limuzyny, skręcającej w stronę bramy.

- Mogę panu jakoś pomóc? - zapytał Gorman.

Golding przyglądał się przez chwilę przystojnej twarzy aktora.

- Oczywiście - odparł. - Może mi pan opowiedzieć o swojej byłej żonie.

Usiedli w kącie klubowego baru. Golding zamówił wodę mineralną Gorman - szkocką z wodą sodową.

- Cały czas wiedziałem, że to szaleństwo. - Aktor odstawił szklanekę i rozłożył ramiona na oparciu pasiastej, zielono-kremowej kanapy. - Potwarzałem sobie, że mam dwadzieścia trzy lata i moja kariera dopiero się rozkręca. Za nic nie powinienem być się żenić. Czekałem, aż ktoś mi powie, że zwariowałem. Mój ojciec, menedżer, ktokolwiek. Wszyscy jednak mówili: to cudownie, jesteś wielkim szczęściarzem, przyjmij nasze gratulacje.

- Twierdzi pan, że nie chciał się żenić?  
- Bo ja wiem? - Gorman potrząsnął głową. - Pragnąłem tylko jej. Byłem zakochany. Potem zacząłem myśleć...

- O czym?  
- Że może stabilizacja... wie pan, piękna żona, dom, wszystko... to właśnie to, czego mi potrzeba. Że dzięki temu nie napytam sobie kłopotów. Mnóstwo związków w mojej branży... jest nietrwałych, sam pan wie. Ellen nie pracowała jednak w mojej branży. Zacząłem myśleć, że nam się uda. A poza tym... no, po śmierci jej ojca... wydawało się mi, że tak właśnie powinienem postąpić.

Wzruszył ramionami i rozejrzał się po barze. Golding był zdziwiony, że aktor potrafi bez żadnych oporów zwierzać się niemal całkowicie obcej osobie z własnych uczuć i z losów swojego małżeństwa. Pete za nic by tego nie zrobił. Przyszło mu do głowy, że może słucho wielokrotnie powtarzane-go monologu; że to po prostu przedstawienie, jakie Gorman dopracował na własny użytek, by prezentować je każdemu chętnemu.

- Proszę mi o nim opowiedzieć... o jej ojcu.  
- Stiepanie Kusaku?

Gorman poprawił się na siedzeniu. Golding wyczuł, że odchodzą od z góry ustalonego scenariusza.

- Jak dobrze pan go znał?  
- W gruncie rzeczy wcale go nie znałem. Mówiąc prawdę, denerwowałem się w jego obecności.  
- Nie lubił pana?  
- Prawdopodobnie nie. Cóż, zabrałem mu jego dziewczynkę. Czego by się pan spodziewał? Do tego grałem w filmach. Nikt nie oczekuje, że my, aktorzy, będziemy dobrymi mężami. Zażywamy narkotyki i urządzamy orgie, prawda?

- Czy Kusak próbował nie dopuścić do małżeństwa?  
- Nie, nic w tym stylu. Po prostu... obserwował. Wie pan, jeśli rozmowa cichła na chwilę, wyczuwałem, że poddaje mnie ocenie. Niech pan posłucha, jestem aktorem. Powinienem być przyzwyczajony do takich rzeczy, prawda? Nie potrafiłem jednak do tego przywyknąć, za nic. Cały czas odnosiłem wrażenie, jakby zarzucał mi, że wszystko, co mówię, to tylko przykrywką, lipa, że potrafi przejrzeć mnie na wskroś.

Golding potrafił to sobie wyobrazić. Można się było domyślić, że Stiepan Kusak wiedział, czym jest determinacja. Poniósł wielkie ofiary, by zapewnić lepsze życie sobie i córce. Doug Gorman musiał mu się wydawać nic nie wartym, rozpieszczonym gówniarzem, nie mającym pojęcia, jak funkcjonuje prawdziwy świat.

- Głodził ją?

- Głodził? - spytał Gorman, prostując się.  
- Tak właśnie twierdził człowiek, który dzwonił do Ellen. Mówił, że mężczyźni w jej życiu byli gotowi ją zagłodzić, byle miała przewagę na tafl. Podejrzewałem, że miał na myśli również jej ojca.

Gorman musiał się zastanowić przez chwilę.

- Cóż... - wydał wargi. - Okazało się, że Ellen rzeczywiście cierpi na zaburzenia łaknienia. Odmianę anoreksji. Dowiedziałem się o tym dopiero później. Kłopoty z apetytem na zmianę nawracały i ustępowały.

- Nawet po ślubie?  
- Wtedy rzadziej. Zdołała nawet przytyć parę kilogramów.  
- A co z lekami? Czy kiedyś przyjmowała inhibitory hormonu wzrostu lub podobne preparaty?

- Jeśli tak, to mi o tym nie powiedziała.  
- A napastowanie seksualne? Czy uważa pan za możliwe...  
- Hola, chwileczkę - przerwał Gorman wstrząśnięty. - Skąd takie idiotyczne pomysły? Jeśli nawet Ellen miała problemy, nie powinien pan odpowiedzialnością za wszystkie obciążać jej ojca. Miał silną osobowość i liczył się dla niej najbardziej na świecie... więcej niż ja. Szybko sobie to uświadomiłem. Może pan się jednak założyć, że to ona pragnęła być mistrzynią, a nie zostaje się nią, jeśli nie jest się gotowym ponieść wyrzeczeń.

- Niech pan mówi dalej.

- Cóż... - Gorman wzruszył ramionami. - Spędzała całe życie na lodzie. A gdy z niego schodziła, była zbyt zmęczona, by zajmować się czymkolwiek innym. Jeżeli jeszcze dochodzi nauka... a Ellen kształciła się, bo musiała... to można praktycznie pożegnać się z życiem towarzyskim. - Gorman napił się szkockiej i otarł palcem usta. - Prawdę mówiąc, moim zdaniem na tym właśnie polega problem Ellen. Nigdy nie miała prawdziwych, bliskich przyjaciół i nadal tak jest. Musi pan zrozumieć, jaką ona jest osobą. Sam nie wiem, jak to określić... W gruncie rzeczy nie wie, jak nawiązywać kontakty z ludźmi. Jest samotniczką.

- Uważa pan, że zapłaciła zbyt wysoką cenę?

- A pan nie?

Golding wzruszył ramionami.

- Zachęcał ją, żeby zrezygnowała ze startów w zawodach łyżwiarskich?

- Ja? Za nic. Wtedy uważałem to za coś wspaniałego. To ona zmieniła swoją hierarchię wartości. Gdy tylko się pobraliśmy, zapragnęła założyć rodzinę. Jak największą. Tylko na tym jej zależało.

- Orientuje się pan, skąd taki pośpiech?

- Oczywiście. Z rodziny został jej tylko ojciec. Nagle zabrakło i jego. Pragnęła stabilizacji. Do tego... miała inne zmartwienia.

- Jakie?

Gorman upił łyk szkockiej. Golding czuł, że wyszli daleko poza standardowy scenariusz. Gra jednak toczyła się o zbyt wielką stawkę, by się z niej wycofać.

- Nie dowiedział się pan tego ode mnie, rozumiał pan? Ellen byłaby na mnie naprawdę wściekła. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, dlaczego panu o tym mówię.

- Ponieważ może jej to pomóc.

Gorman westchnął.

- Jak powiedziałem, miała zaburzenia łaknienia. Może brała leki, może nie... sam nie wiem. W każdym razie rozstrajało to jej organizm. Rozumie pan, o co mi chodzi? Czasami przez trzy, cztery miesiące nie miała menstruacji. W dziewiętnastym roku życia, tym samym, kiedy została mistrzynią świata, w ogóle nie miała miesiączki. Ani razu. Chyba była przerażona, że choruje na coś naprawdę poważnego. Kiedy tylko straciła ojca, o niczym innym nie potrafiła już myśleć.

- I rzeczywiście nie mogła mieć dzieci?

- Niestety.

- Czytałem...

- Tak, wiem. Brukowce zaczęły wypisywać, że to moja wina. Że byłem bezpłodny, że cierpiałem na impotencję. Pewnie traktowano to jak ironię losu, zważywszy na role, jakie grałem. Tak czy inaczej, to nieprawda. Wiem to z całą pewnością, proszę mi wierzyć.

Golding milczał. Wolałby, żeby opowieści o Dougu Gormanie były prawdziwe. Nie chciał, żeby okazało się, że to Ellen nie mogła mieć dzieci. Dlaczego jednak jej prześladowca zdawał się znać prawdę, skoro cała prasa głosiła coś wręcz przeciwnego?

- Próbowaliście terapii bezpłodności?

- Wszystkiego, łącznie z zapłodnieniem pozaustrojowym. Nic z tego. Ellen nie zdołałaby donosić ciąży. Płody obumierały jeszcze w stadium embrionalnym.

- A matka zastępcza? Nie mogliście tego załatwić?

- Nie chciałem. - Gorman potrząsnął głową. - Zawsze uważałem to za nie do przyjęcia, żeby obca kobieta nosiła dziecko innej pary. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Chyba tak.

- Nasłuchałem się też różnych opowieści: jak takie sytuacje wymykały się spod kontroli, jakie powstawały komplikacje. Słyszałem o matce zastępczej, która nie chciała oddać dziecka. Dlatego...

- Dlatego się pan nie zgodził?

Gorman wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Rozmawialiśmy o tym. Wyjaśniłem, co czuję, i w końcu Ellen chyba zrozumiała moje stanowisko.

- Gdyby to jednak zależało od niej, zgodziłaby się na matkę zastępczą?

- Prawdopodobnie tak. Musiałby pan jej zapytać. Tak czy inaczej, próbowaliśmy później załatwić adopcję.

- Odpowiadało wam to?

- Chyba tak - wzruszył bezradnie ramionami Gorman. - Od kiedy zaczęliśmy czytać o wszystkich nieszczęśliwych sierotach na świecie, stało się to naszą obsesją. To było niesamowite. Podejrzywałem, że w końcu adoptujemy całą bandę dzieciaków. Szczerze mówiąc, byłem zadowolony, kiedy agencje nam odmówiły.

- Naprawdę?

- Tak. Znaczyło to, że mnie to ominie.

## 25

### Środa, 18 sierpnia

Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden...  
Deski poddają się z nieznacznym oporem. Żyjące w komfortowych warunkach pod domem karaluchy pierzchają w panice. Mężczyzna kuca, wdycha kwaśną woń rozkładu i zmieszany z nią oleisty zapach broni i materiału wybuchowego C-4. Dostał go od tego samego faceta, który sprzedał mu resztę zabawek - od szemranego amatora umiejętności przetrwania, który uważał, że McVeigh miał sensowne powody, by zrobić to, czego dopuścić się w Oklahomie. Mężczyzna był pewien, że został oszukany przy dobijaniu targu - facet narzekał, jak ciężko dostać taki towar, łgał, że musiał się po niego wyprawić aż do Karoliny Północnej - ale mimo to zapłacił, jednocześnie podejmując decyzję, że kolejne bomby będzie sporządzał własnymi środkami. Kupił poradniki przez Internet i sam wyrabiał mieszanki w kuchni na tyłach domu, gdy Nat spała. Bezpośrednio pod jego pokojem leżą teraz dwa worki nawozu, w którego skład wchodzi azotan amonu i beczka nitromocznika. Są szczelnie oklejone taśmą, odchodzi od nich przewód detonatora, który mężczyzna zamierza przepchnąć między deskami podłogi, by w razie potrzeby móc wyruszyć wprost do Królestwa Niebieskiego. Zastanawia się przez chwilę nad całą sytuacją z półuśmiechem na ustach. Tak czy inaczej, czeka go szczęśliwe zakończenie. Wreszcie wpełza w ciemność, posuwając się naprzód na łokciach i kolanach.

Dom jest za mały, by bawić się zgodnie z regułami: tylko dwie sypialnie od frontu, a z tyłu salonik, kuchnia i łazienka. Dokonane przeróbki poprawiły szanse w grze, a raczej całkowicie zmieniły jej zasady. Gdy Nat wysłał go na podwórko przy zabawie w chowanego, jeszcze zanim odliczy do trzydziestu, mężczyzna odrywa obłuzowaną listwę pod kuchennym oknem na tyłach domu.

Ciemność pod podłogą przeszywają igły światła. Tu i tam porobił otwory nożem.

W jego pokoju gra telewizor. Trwa przerwa na reklamy. Migoczący blask pada na obwieszone zdjęciami ściany. „Leć przez przyjazne niebo”. Mężczyzna przyciska z całych sił twarz do zatęchłych desek, podpierając się na łokciach. W polu jego widzenia znajduje się fotografia dziewczynki z zespołem Turnera, przypięta nad agregatem klimatyzacyjnym - można dostrzec pletwiaste fałdy po bokach jej szyi, matowe oczy o nieobecnych spojrzeniu. Mały karaluch przemyka mu po czole. Strzepuje go i posuwa się dalej do kolejnego punktu obserwacyjnego.

Wygląda przez szczelinę między deskami, biegnącą wzdłuż całego korytarza. Nasłuchuje, gdzie jest Nat. Przez stłumione odgłosy reklamówek słyszy, że dziewczynka mówi coś do siebie. Nie potrafi się zdecydować, czy schować się na szafie w swoim pokoju, czy pod zlewem w kuchni - można tam wcisnąć się za zasłonkę. Mężczyzna uwielbia te tajemne chwile, gdy Nat wydaje się, że jest sama.

Dziewczynka opuszcza pokój i przechodzi bezpośrednio nad nim. Mężczyzna przygryza język na widok cienistego trójkąta pomiędzy jej nogami pod szarym kloszem spódniczki. Wie, co robi w tej chwili Nat. Patrzy na kłódkę na jego drzwiach. Chce wiedzieć, co tam jest.

## 26

### Środa, 18 sierpnia

**G**olding pojechał do mieszkania Jackie od razu w środę rano. Przez ostatnich dziesięć dni Jackie załatwiała sprawy związane z przeprowadzką do Milwaukee. Parę razy rozmawiali długo przez telefon. Golding starał się jąprzekonać, żeby wytrzymała jeszcze trochę. Jackie jednak twierdziła z bezwzględnym uporem, że matka jej potrzebuje, a jej samej oprócz niego nic nie trzyma w Los Angeles. Nie zgadzał się z tym, co postanowiła; nadal traktował to jako utrwalanie negacji samej siebie. Nie chciał jednak rozstać się z siostrą w niezgodzie.

O ósmej stanął pod jej drzwiami z kawą i pączkami.

- Cześć, wielki bracie.

Jackie odsunęła się, by wpuścić Pete'a do środka. Z zaskoczeniem stwierdził, że wewnątrz zostało wyczyszczone i uporządkowane. Siostra spakowała już wszystkie rzeczy osobiste.

- Ładne mieszkanie. Biorę - powiedział z uśmiechem.

Jackie przyjrzała się swojemu dziełu.

- Tak, rzeczywiście nie jest najbrzydsze. Łama mogłabym tu mieszkać.

Podał jej kawę i otworzył pudło z pączkami.

- Naprawdę? Zmieniłaś zdanie?

Jackie wgrzyzała się ochoczo w ciastko i pokręciła głową.

- Nie da rady.

Przez kilka minut zastanawiali się, ile czasu autobus linii Greyhounda będzie jechał do Milwaukee i czy Jackie znajdzie sposobność, by wyciągnąć nogi i odpocząć.

- Wiesz, że mogłem ci kupić bilet na samolot - powiedział Golding.

- Na pewno, ale autobus mi bardziej odpowiada. Lubię patrzeć na mijający krajobraz. Poza tym nigdzie mi się nie spieszy. - Zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w swoich złączonych dłoniach. Na ustach zebrały się jej okruszki cukru. Pete wyciągnął dłoń, by je otrzeć. Gdy podniosła wzrok, zorientował się, że płacze.

- Co się dzieje, siostrzyczko?

- Nie znoszę pożegnań - odparła, potrząsając głową. - Zrób mi przysługę, dobrze?

- Wszystko, co w mojej mocy, malutka.

- Kiedy pojedziemy na dworzec, nie czekaj, aż wsiądę. Wysadź mnie i jedź, zgoda? - Kiwnął tylko głową, jakby nagle stracił głos. Oboje utkwili wzrok w podłodze. - Petey? - Podniósł spojrzenie. Siostra wpatrywała się w niego niebieskimi oczami. - Poradzisz sobie?

- Pewnie. - Wzruszył ramionami, zawstydzony jej pytaniem. - Pewnie, że tak. - Jackie pokiwała głową, ale widać było, że nie jest przekonana. - Dlaczego miałbym sobie nie poradzić?

Siostra znowu utkwiała wzrok w podłodze.

- Jedna z dziewczyn... w pracy... pokazała mi magazyn...

- Ico?

- Pisali o tym Grossmanie. - Podniosła głowę i tym razem utkwiała w Goldingu twarde spojrzenie. - Nie zrobisz tego, Petey, prawda? - rzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

- Co? Czego nie zrobiłem?

- Nie ty go zabiłeś?



- Nie. - Golding poczuł, że robi się mu zimno. - Jasne, że nie. Nie żył, kiedy tam przyjechałem, a w każdym razie umierał. Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co wycytasz.

- No dobrze - Jackie pokiwała głową, najwidoczniej przyjmując jego odpowiedź za dobrą monetę. - W porządku. Zapomnij, że pytałam. Czasami po prostu niepotrzebnie się martwię.

- Nie przejmuj się mną, dobrze? - odparł Golding, nie umiając ukryć zdenerwowania. Wstał i popatrzył na zegarek. - O której masz autobus?

- Ósma pięćdziesiąt dwie.

- No to lepiej spadajmy.

Jackie dźwignęła się z trudem. Patrzył, jak przechodzi w głąb domu, szurając stopami. Wróciła po chwili z niebieską winylową walizką.

- Wierzysz mi, prawda? - zapytał.

Popatrzyła na niego i odstawiła walizkę. Pokonała dzielący ich niewielki dystans i objęła go ramionami.

- Po prostu się martwię, Petey, to wszystko. Nie chcę, by cokolwiek ci się stało.

Odsunął się od siostry. W jej spojrzeniu było politowanie, a on nie mógł tego znieść.

- Nic mi nie będzie - odparł. - Wszystko w porządku. Powinnaś chociaż raz pomartwić się o siebie.

Tym razem jego słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał. Jackie skinęła głową raz i drugi. Spojrzała z ukosa.

- Naprawdę?

- Daj spokój, nie kłóćmy się.

Golding zdawał sobie sprawę, że zachował się niewłaściwie. Sięgnął po walizkę.

- Nie, chcę to usłyszeć. - Jackie wciąż wpatrywała się w niego z przechyloną na bok głową. - Dlaczego miałabym się martwić? - Na zewnątrz przejechała wielka ciężarówka. Zagrzechotały szyby. - Nie jestem ofiarą - dodała cicho Jackie. - Nie jestem ofiarą, bo postanowiłam nią nie być. - Golding znowu sięgnął po walizkę, ale siostra zagroziła mu drogę. - To nie ja nie potrafię zapomnieć - stwierdziła. - To nie ja nie jestem w stanie odezwać się do własnej matki.

Golding poczuł ucisk w gardle.

- Wiesz, dlaczego nie rozmawiam z mamą - powiedział.

- Nie, nie wiem. Powiedz mi.

Nie był w stanie. Samo myślenie o tym sprawiało, że czuł się, jakby tonął. Nie potrafił o tym mówić i siostra o tym wiedziała.

- Dlatego właśnie się martwię - wyjaśniła. - Przejmuję się, bo dusisz to w sobie. Kiedyś to jednak z ciebie wylezie i zrobisz komuś krzywdę. Sobie też.

Białe meble na patio. Szklane drzwi, widziane od zewnątrz. Typowy dla amatorskich nagrań nierówny szwenk, przy którym na lśniących powierzchniach pojawiały się przypominające zjawy odbicia.

Golding nastawił magnetowid tak, by odtwarzał stale ten sam fragment. Przeglądał go bez końca, trzydzieści, czterdzieści, a może pięćdziesiąt razy. Coraz dokładniej wyobrażał sobie twarz kobiety. Gdy męski głos mówił „Dobrze”, powtarzał to słowo bezdźwięcznie. Starał się uwierzyć, że to głos Grossmana, ale wiedział, że to ktoś inny. Mężczyzna, którego Reynolds określił mianem kamerzysty. Pete nie chciał go tak nazywać, by nie zakłócało to jasności jego sądu. Zgarbiony na kanapie, siedząc przy stole czy stojąc przy drzwiach, nieustannie zdawał sobie sprawę, że patrzy na coś dziwnego. Na coś, co wywodziło się z najgłębszych, niesamowitych warstw osobowości. Powierzchność zapisu nie pozwalała jednak tego przeniknąć. Taśma była banalna, zwyczajna.

Golding nie chciał myśleć o Jackie ani o tym, co mu powiedziała. Zajechali na dworzec autobusowy sieci Greyhounda w milczeniu. Pete wyprawił siostrę i odjechał bez słowa. Pojechał potem do biura i próbował skupić się na pracy, ale wolał wrócić do materiałów w domu - do akt, zdjęć i filmu, pozwalających poczuć obecność Ellen. Chciał jej pomóc, bo to potrafił.

Drewniany płot. Kawałek spragnionego wody trawnika. Na jego środku traktor-zabawka.

Golding oglądał kasetę do późna w nocy. Para białych ramion sięgała po dziewczynkę. Kobięce ręce. Gdy obraz wyostrzył się po raz kolejny na twarzyczce dziecka, zmrużył oczy i nacisnął przycisk stop-klatki. Migoczący obraz twarzy stanowił jedyne źródło światła w pokoju. Różowy blask padał na przypięte do ścian fotografie Ellen. Otepiały z niewyspania Golding zaczynał dostrzegać nowe, niezwykle barwy. Wydawało się mu, że zielone oczy stają się czarne, czerwone usta szare, że rozchylone wargi ukazują różowe zęby. Przewijał taśmę w tył i do przodu, w przód i do tyłu. Gdy nagranie dobiegło końca, Pete nadal wpatrywał się w pusty ekran, pogrążony w zadumie.

Po rozmowie z Gormanem miał wrażenie, że lepiej rozumie Ellen, ale nie było to przyjemne uczucie. Głębia oznaczała bowiem mrok. Rozmyślając o dzieciństwie Ellen, o trudach młodości pod czujnym okiem ojca, Pete pogrążył się w swojej własnej ciemności, aż wydawało się mu, że ich żywoty są ze sobą splecione.

Przed rozmową z Gormanem był prawie przekonany, że Ellen rzeczywiście cierpiała głód. Może nie w dosłownym sensie - Golding nie potrafił

sobie wyobrazić Stiepana, zabraniającego jej jedzenia. Domyślał się jednak, w jaki sposób presja, by osiągnąć sukces, by wykonywać idealne piruety i skoki, mogła doprowadzić do miażdżącego lęku przed przytyciem, a to z kolei do wymuszonego głodowania. Pograżając się do późna w nocy w posępnych rozmyślaniach, zastanawiał się, czy w grenie wchodziło jeszcze coś innego, bardziej zakłamanego i bolesnego. Anoreksja łączyła się czasem z wykorzystywaniem seksualnym. Bywało, że dziewczynki nie chciały dorastać, bo rozpaczliwie bały się stracić ojcowską miłość. Jaka była natura miłości Ellen i jej ojca? Pete odszukał zdjęcie Stiepana Kusaka. Starzał się dostrzec pełne niewzruszonej pogardy spojrzenie, o którym mówił Gorman, ale zamiast tego z głębin pamięci wychynęło wspomnienie wzroku ojca Goldinga - oczu o odcieniu, o którym nauczył się myśleć jako o skórzanym, gęsto obrośniętych ciemnymi rzęsami, obserwujących wszystko ukradkiem.

Pete znalazł pod zlewem butelkę bourbona i odkręcił korek, wmawiając sobie, że wystarczy mu jedna porcja. Napił się prosto z butelki.

Jeszcze raz przewinął taśmę. Zobaczył czarną koszulkę z nadrukowanym płatkami śniegu, usłyszał, jak kobieta mówi: „Pokaż mamusi, co potrafisz”. Ciepłe, słoneczne popołudnie w ogrodzie. Płatek śniegu stanowił dysonans. Golding starał się odgadnąć jego znaczenie, równocześnie starając się pozbyć myśli o oczach ojca i jego głosie. Upił z butelki kolejny głęboki łyk, przypominając sobie wyraz twarzy Jackie, gdy powiedział, że opuszcza dom.

Szczęknienie wyłącznika magnetowidu przywróciło go do rzeczywistości. Butelka była w połowie pusta. Golding popatrzył na nią z niedowierzaniem i zerwał się na równe nogi z łomoczącym sercem. Czuł wściekłość, całkiem jakby ktoś zmusił go do picia. Przeszedł do kuchni i wstawił butelkę do szafki. Wyprostował się i czując zionący od siebie alkohol, zapatrzył się w swoje odbicie w oknie. Przed oczami stanął mu ulotny obraz kobiecej głowy, odbitej w drzwiach na patio. Obrócił głowę w ten sam sposób jak ona. Kim była, u diabła? Matką dziewczynki? Dlaczego więc dopuściła, żeby jej dziecko pokazano w telewizji? Dlaczego pozwoliła, by w *Konkretych* wygadywano bzdury o jego porzuceniu? Dlaczego pozwoliła na sugerowanie, że to dziecko Ellen?

Czy dlatego, że rzeczywiście była to córka Ellen?

Golding pochylił się i napił wody prosto z kranu. Starzał się nie forsować wniosków, dać sobie czas na logiczne rozumowanie. Od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył zdjęcie dziewczynki w ramkach na ścianie w salonie Ellen, był zdania, że cała sprawa jest sadystycznym żartem i niczym więcej. Zgodnie ze stwierdzeniem Lenny'ego, ktoś próbował zamącić Ellen w głowie. Ktoś wiedział, że nie może mieć dzieci i że bardzo ich pragnęła,

dlatego właśnie ją torturował. Albo to, albo był to produkt szalonych urojeń: jakiś wariat z dzieckiem, przypominającym małą Ellen Cusak, żył bez reszty swoją groteskową fantazją. Nawet po obejrzeniu *Aton* Goldingowi nie przychodziło do głowy inne wyjaśnienie. Ellen była bezpłodna, więc sugestie szmatławej audycji nie miały sensu. Istniały jednak różne rodzaje bezpłodności.

Patrząc nieuważnie na swoje odbicie, Pete przypomniał sobie słowa Gormana: „Płody obumierały jeszcze w stadium embrionalnym”. Ellen nie mogła donosić dziecka, mogła jednak począć. Jej organizm produkował komórki jajowe. Ellen gotowa była szukać matki zastępczej i zrobiłaby to, gdyby nie sprzeciw Gormana i jego obawa przed - jak on to sformułował? - komplikacjami. Pete spróbował wyobrazić sobie, jak czuła się Ellen, gdy w ten sposób zablokowano jej przemożny instynkt macierzyński. Byłoby zrozumiałe, gdyby w desperacji postanowiła nie liczyć się z Gormanem ani z nikim innym.

Jak jednak miała tego dokonać? Bez zgody Douga żadna przyzwoita placówka medyczna by się tego nie podjęła. Ojciec dziecka miał swoje prawa. Ellen musiałaby nie tylko znaleźć chętną matkę zastępczą - kobietę gotową urodzić jej dziecko - ale również lekarza, gotowego złamać wszystkie zasady i stracić źródło utrzymania w wypadku, gdyby ktoś się o tym dowiedział. Gdzie mogła trafić na kogoś takiego? Na pewno nie z ogłoszenia w gazecie. Poza tym, skoro cała sprawa zdarzyła się sześć lat temu, dlaczego Ellen nie miała tego dziecka? Po co ktoś przesyłałby jej teraz jego zdjęcia? Czy chodziło o pieniądze? Szantaż? „Zrozum, widzę cię, Jeleno”. Czy dziecko na pewno żyło? Myśli kotłowały się w głowie Goldinga; żadna nie miała wiele sensu. Nagle pożałował, że jest pijany. Powinien myśleć jasno i klarownie, ale nie dawał rady. Każdy pomysł mącił mu w głowie, wprawiał w taką dezorientację, że nawet to, co wiedział na pewno, wydawało się wątpliwe i niejednoznaczne.

Wrócił do salonu. Był zbyt pijany, by skupić się na nagraniu. Biała tafla lodowiska. Echa głosów podekscytowanej dzieciarni. Ciemne sylwetki, przesuwające się nad lodem. Wreszcie pojawiła się dziewczynka w niebieskiej sukieneczce. Golding zastopował obraz.

- Kim jesteś?

Pośród kłębiących się w pijackim chaosie emocji wyobraził sobie, że to Ellen. Wyobraził sobie, że mieszka w jakimś osiedlu domów na kółkach, z którego nie może się wyrwać, stara się związać koniec z końcem, pilnuje, by nie zjeść za dużo chleba na kolację, i stale czuje na sobie wzrok ojca, gdy sięga po kolejną kromkę. Nacisnął klawisz i dziewczynka-Allen ożyła. Patrzył, jak powoli kreśli na lodzie koła, najpierw na jednej nodze, potem na drugiej, tak że powstaje idealna ósemka.

Los Angeles dyszało w sierpniowym żarze. Golding wykonywał swoje obowiązki. Reynolds miał na niego oko, ale od powrotu Franka Romero obserwował go z mniejszą czujnością. Psychiatra był zbyt zajęty, by wydać ostateczną opinię, czy to Grossman był istotnie prześladowcą Ellen. Zbyt zajęty lub zbyt cwany. Golding miał wrażenie, że Reynolds kazał mu zmienić temat, jeśli Pete tylko do niego wróci.

Golding robił, co mu kazano. Razem z Royem Denisonem wręczył sądowy nakaz meksykańskiemu wyrostkowi imieniem Rico, mającemu fioła na punkcie Carmencity, gwiazdy oper mydlanych. Odbył parę bardzo długich rozmów z detektywem Jamesem Wolpertem z Wydziału Wybrzeża Pacyfiku. Po pracy kupował brukowce, szukając w nich artykułów o Ellen. Nagrywał na magnetowidzie poświęcone jej materiały z telewizyjnych serwisów informacyjnych. Skutecznie opierał się pokusie, by pojechać do niej do domu. Bemie Ross powiedział mu, że po wyemitowaniu materiału o prześladowcy łyżwiarki *Konkrety* założą darmową linię telefoniczną. Proszono o kontakt ludzi, którzy sądzili, że poznają dziewczynkę w niebieskiej sukience. Golding zadzwonił pod ten numer, by sprawdzić, w jaki sposób funkcjonuje, a następnie zatelefonował do studia, w którym kręcono *Konkrety*. Dowiedział się, że odebrali tysiące telefonów z całego kraju, ale nie udostępniają listy dzwoniących osób. Reporterzy *Konkretów* wyjaśniali wszystkie „obiecujące” doniesienia.

W NBC nadano długi program o ludziach nękających sławne postaci. Śmierć Grossmana wykorzystano w nim jako pretekst. Nie tylko gwiazdy padały ofiarami szalonych wielbicieli - dotyczyło to również menedżerów, kasjerek, kelnerów. W programie zrelacjonowano historię Roberta Fairleya i Lorny Błock. Pracowali w tej samej firmie w Krzemowej Dolinie. Fairley nękał kobietę tak uporczywie, że kierownictwo firmy musiało go w końcu wyrzucić. Wrócił z bronią i zabił siedem osób, w tym Lornę Błock. Dziennikarz o zaciętej twarzy przeprowadził z nim wywiad w więzieniu. Zadał pytanie, czy często miewał tego rodzaju związki. „W jedną czy w obydwie strony?”, zapytał Farley. Jednostronna fascynacja, bez wzajemności, była jego zdaniem mimo wszystko związkiem.

Tydzień po zabójstwie Grossmana Golding obudził się przed świtem, ogarnięty niepokojem. Czuł, że musi coś zrobić, osiągnąć jakiś przełom, oczyścić sobie myśli. Zastanawiał się, czy nie pojechać wieczorem na strzelnicę, kiedy jednak zobaczył swoją twarz w łazienkowym lustrze - ziemistą cerę i worki pod zaczerwienionymi oczami - zdał sobie sprawę, że tak naprawdę potrzebny mu jest wysiłek fizyczny. Zaniedbywał formę, napychał się byle jakim żarciem i nieregularnie sypiał. Zadzwoił do agencji i przekazał Frankowi Romero, że tego ranka nie przyjdzie. Włożył spodnie od dresu, znoszone adidas i wyciągniętą z dna szuflady czystą koszulkę. Wybiegł z domu, pobrzękując kluczykami do samochodu.

W porannym powietrzu czuć było zwodniczą wiejską świeżość. Golding pobiegł przez wzgórze Beverly Glen w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca, a następnie skręcił na zachód w kierunku Ocean Park.

Przejmująca bryza gnała grzywacze w stronę brzegu. Golding pobiegł na północ w stronę Malibu. Dziwiło go, że plaża jest niemal pusta. Minął samotną parę, trzymającą się za ręce, i Chińczyka w szarym garniturze, który rzucał kawałki chleba wielkim mewom. Mniej więcej sto metrów dalej dzieciaki w kombinezonach i z deskami surfingowymi wyczekiwały na odpowiednie fale. Za nimi, na horyzoncie, widać było dokazujące i nurkujące foki.

Czterdzieści minut później Golding był kompletnie wykończony. Potlał się z niego, gdy wchodził na taras Angelino's - taniej restauracyjki, wciśniętej między autostradę a plażę. Dopiero co ją otwarto. Golding zamówił dużaporcję soku pomarańczowego i odchylił się na wytłaczane oparcie plastikowego krzesła. Zastanawiał się, czy serce mu kiedykolwiek zwolni. Kelner zawrócił z pustą tacą pod pachą.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale chłodziarka do napojów nawaliła. Właśnie ją naprawiają, ale pomyślałem, że może zechce pan zamówić coś innego.

Golding osłonił dłonią oczy przed słońcem i powiedział, że mu się nie spieszy.

- Proszę, gazeta, jeśli ma pan ochotę.

Kelner uśmiechnął się, wyraźnie okazując Pete'owi sympatię. Wskazał byle jak złożony numer „Los Angeles Times” na siedzeniu naprzeciwko.

Na tarasie zaczynało robić się gorąco. Golding rozejrzał się w poszukiwaniu parasoli, ale jeszcze ich nie rozstawiono. Zmrużył oczy i utkwiał wzrok w falach przyboju. Starał się wypatrzeć między ostrymi błyskami słońca czarne kropki baraszkujących fok. Gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że oczekiwanie na świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy trochę potrwa, sięgnął po gazetę.

Pierwsze strony zajmowała dyskusja nad ustawą wodną. Sekretarz spraw wewnętrznych rządu federalnego starał się zmusić Kalifornijczyków do zgody na pobieranie z rzeki Kolorado tylko pięciu miliardów i czterystu milionów metrów sześciennych wody zamiast dotychczasowych sześciu miliardów i czterystu milionów. Golding zajrzał na strony poświęcone sportowi, by sprawdzić wyniki meczów koszykówki, po czym wrócił do początku gazety. Szukał prognozy pogody, gdy zauważył ten artykuł. Pół kolumny w środku numeru, pod nagłówkiem „Intruz w ogrodzie Ellen Cusak”.

- Proszę pana?

Nie wierząc własnym oczom, Golding przeczytał tytuł dwukrotnie.

- Proszę pana?

Podniósł wzrok. Pochylał się nad nim kelner.

- Agregat nieodwołalnie wysiadł, właśnie nam to powiedziano. Może być sok z kartonu?

- Oczywiście. To nieistotne.

Golding zagłębił się z powrotem w artykule. Na parę minut stracił kontakt z otoczeniem. Treść była inna, niż przypuszczał. Intruzem w ogrodzie Ellen okazały się znalezione w lipcu zwłoki. W artykule wyjaśniano, że policja Los Angeles nie posunęła się do przodu z identyfikacją ciała i że postanowiono skorzystać ze specjalistycznej pomocy w sporządzeniu trójwymiarowej podobizny twarzy kobiety. Szkice policyjnego rysownika nie dały żadnych nadających się do wykorzystania tropów, poproszono więc doktor Marcie Galio o wykonanie popiersia na podstawie czaszki ofiary.

Marcia Galio i jej współpracownik dr Colin Slater nie kryją trudności w uzyskaniu pożądaných rezultatów. „Prawdę mówiąc, jest to narzędzie ostatniej szansy”, stwierdziła dr Galio, która jednak może poszczycić się siedemdziesięcioma procentami sukcesów przy poprzednich rekonstrukcjach. Pracownia tej pary mieści się na wydziale antropologii Uniwersytetu Południowej Kalifornii w Monterrey Park. Rzeźbiarz kryminolog i specjalistka w dziedzinie antropologii fizycznej tworzą razem rekonstrukcje rysów twarzy, wykorzystując budowę czaszki. Częściowa mumifikacja zwłok znacznie ułatwia pracę doktor Galio. „Mamy dość ściśle informacje, dotyczące rasy, płci, wieku i wagi, co jest dla nas bardzo pomocne”, stwierdziła dr Galio.

*Obfitość danych nie pomogła jednak zbytnio prowadzącemu sprawę detektywowi Larry'emu Hagmeierowi. Pobrane ze zwłok odciski palców nie znalazły się w żadnej kartotece, natomiast ubranie - kobiecie włożono kompletny strój, bez wątplenia po śmierci - dało tylko bardzo ogólne wskazówki. Policja nadal nie potrafi też wyjaśnić, dlaczego zwłoki były ubrane ciepło, jak dla ochrony przed zimmem. Czy ofiara została zamordowana poza granicami stanu? Może w górach? Czy też właśnie tam wyruszyła, gdy napotkała mordercę? Detektyw Hagmeier rozważał wszystkie te ewentualności, ale na razie nie sformułował żadnych hipotez dających szansę na sukces śledztwa.*

Golding przeczytał ten fragment dwukrotnie. Poczuł się tak, jakby w głowie zapaliło mu się światło. Wstał i natychmiast ruszył biegiem do samochodu.

- Hej!

Kelner wyszedł z restauracji z sakiem, ale Golding już wsiadał do wozu.

Pędził ulicami, podskakując na ograniczających prędkość garbach na skrzyżowaniach, ryzykując pokonywanie ich na żółtych światłach. „Ubrana

jak dla ochrony przed zimmem”. To zdanie cały czas krążyło mu po głowie. Kobieta była naprawdę ubrana dla ochrony przed zimmem... tyle że nie miało to nic wspólnego z górami. Absolutnie nic.

Po powrocie do domu Golding wyciągnął grubą teczkę materiałów, które zebrał na temat Ellen. Zaczął przerzucać artykuły, by odnaleźć te, w których najdokładniej opisywano odkrycie zwłok na terenie jej posiadłości. W paru miejscach wspomniano o ciepłej odzieży, jednak najwyraźniej nikt nie powiązał tego z osobą Ellen. Już na samym początku dochodzenia ktoś stwierdził, że ciało zostało zakopane, zanim łyżwiarka i Doug Gorman się wprowadzili. Od tej pory nikt, nawet w najbardziej fantastycznych spekulacjach, nie starał się powiązać zwłok z tą parą. Może jednak taki związek istniał.

Golding porównał daty, notując na kawałku papieru prowizoryczną chronologię. Fundamenty domu postawiono w październiku dziewięćdziesiątego szóstego roku. Ostateczną decyzję o kupnie parceli podjęto późną jesienią rok wcześniej. Przeszukanie bazy danych Nexus pozwoliło Goldingowi stwierdzić, że w dziewięćdziesiątym szóstym roku opublikowano co najmniej trzy artykuły o planowanej budowie. W jednym z nich, w magazynie „Design”, zaprezentowano szkic przedstawiający, jak miał wyglądać ostateczny rezultat. Golding rozpostarł kartki na podłodze. Miał przed sobą dom marzeń Douga i Ellen Gormanów, namalowany artystycznymi pociągnięciami pędzla.

Zagłębił się znowu w artykułach o znalezieniu zwłok. Rozkładał je obok na podłodze, aż cała była pokryta warstwą gazet. Ktokolwiek pogrzebał ciało, mógł wiedzieć, co zamierzano tam zbudować. Było to absolutnie możliwe.

Ciało kobiety ubrano jak dla ochrony przed zimmem. Morderca ugodził ją nożem trzydzieści dwa razy - tak wynikało ze sprawozdań - a następnie ubrał w grubą bieliznę, grube skarpety, wysokie buty... wszystko, co potrzeba. Nie miało to jednak nic wspólnego z wyjazdem w góry, do narciarskiego kurortu. Zabójca ubrał kobietę tak, jakby wybierała się na lodowisko w Los Angeles. Ofiara miała na sobie zimowy strój przy letniej pogodzie - tak jak kobieta na taśmie wideo. Płatek śniegu w słonecznym ogrodzie. Golding usiadł na podłodze, starając się zrozumieć do reszty, przeniknąć, co kryło się tuż pod powierzchnią faktów. Przyszła mu do głowy kolejna myśl. Grzebał wśród dokumentów, aż natrafił na omówienie wyników sekcji. „Przyczepy mięśniowe dobrze rozwinięte, zwłaszcza na nogach. Policja podejrzewa, że denatka mogła w przeszłości zajmować się intensywnie sportem”.

Sportsmenka? Tak, ale nie zwyczajna, nie kobieta występująca na bieżni czy boisku.

Golding włączył od nowa telewizor i magnetowid. Odtworzył nagranie od początku, ledwie mogąc usiedzieć spokojnie na widok sekwencji na ekranie. Oprócz podniecenia czuł narastającą falę niepokoju i lęku.

Kobieta pochyliła się po dziecko. Płatek śniegu na koszulce. Potem lodowisko... Golding cofnął taśmę, aż na ekranie pokazały się drzwi na patio. Zastopował obraz w chwili, gdy w ich gładkim szkle ukazało się półprzezroczyste odbicie.

Był gotów się założyć, że kobieta w koszulce umiała jeździć na łyżwach.

## 28

### Piątek, 20 sierpnia

**N**o i proszę, drogie panie - powiedział Lenny Mayot, unosząc szklanekę z piwem Sapporo. - Przeżyliśmy kolejny tydzień i ostaliśmy się w jednym kawałku, miasto też przetrwało. I nikt nie wytoczył nam sprawy o naruszenie etyki zawodowej!

- Trzy trafienia na trzy możliwe! - stwierdziła Sally Nicholson i stuknęła się kieliszkiem najpierw z Lennym, a następnie z Ellen. - Nie zapomnijcie jednak, że piątek się jeszcze nie skończył. Może nie powinniśmy chwalić dnia przed zachodem słońca?

Lenny uniósł lewą dłoń jak do przysięgi.

- Wyłączyłem komórkę. Rozłączyłem automatyczną sekretarkę. Do końca tygodnia zamierzam wyłącznie szaleć. Dawajcie no tę kobitkę przy kości...

- Ach, więc to po to mnie zaproszono - oburzyła się Sal.

- Och, Sal! - Mayot uśmiechnął się i upił łyk piwa. - Tylko posłuchajcie: ma trójkę dzieci, a chce wyglądać jak... jak...

- Jak łyżwiarka - podpowiedziała Sal, rzucając Ellen spojrzenie z ukosa. - Tak właśnie chciałabym wyglądać. Jesteś w obrzydliwie dobrej formie, Ellen. Żądam, żebyś wyjawiała mi swój sekret.

- Fatalnie - westchnął Mayot, kiwając z przyganapalcem. - Będziesz musiała poczekać na nagranie. Wszystkiego się z niego dowiesz.

- Kasetą z ćwiczeniami? - ucieszyła się Sally. - Wspaniały pomysł. Ellen zawsze była fotogeniczna.

Łyżwiarka uśmiechnęła się, słysząc komplement, ale nie przejęła się nim. Sally Nicholson była starą przyjaciółką Lenny'ego. Zajmowała się w HBO współpracą z afiliowanymi stacjami. Żwawa trzydziestoparolatka miała upięte w kok brązowe włosy i nieodłączny uśmiech na karminowych wargach. Obiad z przedstawicielką kierownictwa telewizji oznaczałby

w zwykłych warunkach rozmowę o interesach, ale Ellen spotykała Sally nie po raz pierwszy. Darzyły się sympatią a poza tym Lenny przysiągł, że zaprasza je wyłącznie dla przyjemności. Na dowód zamówił stół w Yamashiro, japońskiej restauracji w Beverly Hills, do której wybierał się tylko w wolnym czasie. Miejsce słynęło ze wspaniałego widoku na miasto, od śródmieścia aż po ocean. Ze swojego krzesła Ellen widziała procesję samolotów, podchodzących w równych odstępach do lądowania na lotnisku międzynarodowym LAX. Mimowolnie przypomniała sobie pierwszy lot na Zachodnie Wybrzeże. Ojciec przyglądał się z niedowierzaniem krętemu cudowi Wielkiego Kanionu, a ona nie potrafiła uwierzyć, że Los Angeles jest tak wielkie - zdawało się ciągnąć bez końca. Przypomniała sobie, jak ojciec pochylił się ku niej, gdy samolot podchodził do lądowania, i powiedział: „Od tej chwili mówimy po angielsku, Jeleno”. Dotrzymał tego postanowienia i nie odzywał się do niej w ogóle - przynajmniej przez pierwszych kilka lat - gdy używała ojczystej mowy. Zastanawiała się, ile tysięcy czy milionów ludzi przyrzekało sobie to samo, docierając do tej szczególnej ziemi obiecanej.

- Znowu trenujesz, prawda? - zapytała Sal.

Ellen obejrzała się; dopiero po chwili zorientowała się, że pytanie skierowane jest do niej.

- Nie... właściwie nie. Jeżdżę na łyżwach, bo na jesieni czeka mnie tournée, ale nie wracam do zawodów. Po pierwsze, jestem za stara.

- Och, jaka szkoda - powiedziała Sally. - Już myślałam, że jesteś gotowa powrócić do sportu.

- Nigdy nie mów nigdy - rzekł Lenny. - Elaine Zayak się udało. Na razie Ellen ma jednak mnóstwo spraw na głowie. Muszę ci powiedzieć, Sal, że sytuacja wygląda optymistycznie. Wreszcie mamy wolną drogę.

Ellen przyszło do głowy, że Sally została wtajemniczona w jej niedawne kłopoty, a Lenny zaprosił ją na obiad w charakterze stuprocentowo pewnego wsparcia. Nie miała jednak nic przeciwko temu. Chociaż bez przerwy zgłaszali się nowi chętni do nagrań na wideo, a także zaczynały się próby oderwać myśli od przejść z ostatnich tygodni. Zeszłego wieczoru wróciła z Lake Arrowhead, gdzie zatrzymała się dłużej, niż planowała. Po powrocie odebrała zaproszenie Lenny'ego, nagrane na automatycznej sekretarce. Wysłuchiwała również wiadomości od Pete'a Goldinga - chciał ją zaprosić do kina. Była tym zaskoczona, chociaż w gruncie rzeczy zadowolona. Nie grano już co prawda *Apartamentu*, ale postanowiła zadzwonić do Pete'a i namówić go na jakiś inny film. Nie miała pojęcia, co czeka ich dalej - czy ich związek ma jakieś szanse. Przypominała sobie jednak, że jest znowu wolną kobietą, a poza tym podobało się jej w Goldingu mnóstwo rzeczy.

Podano jedzenie: zestaw miniaturowych, aromatycznych dań w czarnych lakierowanych miseczkach. Lenny i Sally pomruczeli chwilę z ukontentowania, po czym wszyscy troje zaczęli nabierać pałeczkami tego, co stało najbliżej. W połowie posiłku Lenny uparł się, by zamówić sake. Pilnował, by każde z nich miało stale pełną czarękę. Ryżowa wódka przypadła do gustu zwłaszcza Sally.

- Po tym, co przeszedłeś, na pewno czułeś się, jakby ktoś na górze cię nie lubił - powiedziała, gdy wyczerpali inne tematy.

- Ach, ta prasa - jęknął Mayot i potrząsnął głową.

- Jak sobie poradziłaś, na miłość boską? Na twoim miejscu wyjechałabym z miasta, związała, gdzie pieprz rośnie.

- Sally, za nic byś tego nie zrobiła - odparł Mayot. - Bałabyś się, że ominie cię jakaś premiera.

- Och, oby tylko. Ale mówiąc poważnie, musiałaś przejść piekło.

Ellen próbowała udawać, że pytanie nie wytrąciło jej z równowagi. Czuliła, że Lenny przygląda się uważnie, jak ona zareaguje, bo chce wiedzieć, czy ta sprawa ją wykończyła. Napiła się sake.

- Cóż, właśnie spędziłam pięć dni w Lake Arrowhead.

- Tak, ale Sally chodziło o to, co było wcześniej. Kiedy wszystko się dokładnie poplątało.

- Zastanawiałam się, czy nie wyjechać - wzruszyła ramionami Ellen.

- Prawdę mówiąc, o mało tego nie zrobiłam. Pomyślałam sobie jednak: dlaczego miałabym się poddać? Dlaczego mam dać się wypędzić tym ludziom? - Odstawiła szklaneczkę. - To miasto jest moim domem.

Dostrzegła, że Mayot uśmiecha się z wzrokiem utkwionym w talerzu.

- Bardzo dobrze - stwierdziła Sally. - Doskonała postawa.

- Ellen ma wolę walki - zapewnił Mayot. - Nikt nie zostaje mistrzem świata, jeśli się łamie, gdy zaczyna być ciężko.

- Oczywiście - stwierdziła Sally, lekko przeciągając samogłoski, jakby sake uderzyła jej do głowy. - Chodziło mi jednak o to, co wypisywali o dziecku. Przecież to było ohydne.

- Szalone - powiedział Mayot. - Szalone i ohydne. Wiesz, Sal, od czasu tamtego programu do *Konkretów* zadzwoniło około trzystu osób, twierdzących, że widziało tę dziewczynkę.

- Trzystu? - spytała Ellen. - To znaczy, że wiedzą kim ona jest?

Mayot zaśmiał się i pokręcił głową.

- Trzystu różnych ludzi z trzystu różnych miejsc.

- Rany, to przerażające.

- Och, raczej nie. Z drugiej strony Lodowaty... o, ten facet jest rzeczywiście przerażający. - Mayot uniośł palec, rozochocony. - Muszę szczerze przyznać, że ciarki mnie przechodzą, gdy o nim myślę.

- Widziałeś go?

- Jeszcze tego brakowało. Wystarczy, że rozmawiałem z nim przez telefon. Niczego więcej nie było mi trzeba. Zapamiętaj moje słowa: wariatów lepiej zostawić zawodowcom.

Ellen dotknęła ramienia Mayota.

- Lenny, a może któryś z tych trzystu ludzi miał rację? Może rzeczywiście ktoś ją widział?

- Jasne, Ellen - odparł Mayot kwaśno i wzruszył ramionami. - Ale kogo to obchodzi? Przecież to tylko jakiś dzieciak, prawda?

Sally przyglądała się uważnie Ellen. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Tak, oczywiście. Spytałam tylko... - Ellen popatrzyła na swoje dłonie - .. z ciekawości.

- Naturalnie. - Sally uśmiechnęła się taktownie. - Sama jestem piekielnie ciekawska. Ale powiedzcie, jak sobie poradziliście? Słyszałam, że musieliście wynajmować ochroniarzy i tak dalej.

- Nie ochroniarzy - odparł Lenny. - Specjalistów. Najlepszych. Słyszałaś kiedyś o Peterze Goldingu?

- Peter Golding? - Czy Sally rozszerzyły się ze zdumienia. - Chwileczkę, czy to nie ten facet ze sprawy Maddy Olsen?

- Ten sam.

- Który zastrzelił faceta na jej ganku?

- Pete Pistolet każdego skasuje, nigdy nie spudłował i nigdy nie spudłuje - wyrecytował z zadowoleniem Lenny.

- Och, daj spokój - powiedziała Ellen. - Nie rozumiem, jak możesz z czegoś takiego żartować.

- Mówię tylko... - Mayot urwał, by przełknąć jedzenie. - Mówię tylko, że jeśli chodzi o wariatów, o wyjątkowo niebezpiecznych psycholi, nie zajdzie się daleko, mówiąc „proszę” i „dziękuję”. To nie skutkuje. Są szurnięci... i uzbrojeni.

- I co?

- Ano to, że czasami dochodzi do sytuacji: on albo ty. - Poklepał Ellen po ramieniu. - Zrozum to dobrze: on albo ty.

- Jezu, Lenny, nie sugerujesz chyba, że Golding zastrzelił także Grossmana? - Sally zniżyła głos do szeptu.

- Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, Sal. - Mayot wzruszył ramionami. - Mogę ci tylko powiedzieć, że policja przesłuchiwała go prawie przez całą noc. A brukowce... ale to zupełnie inna sprawa. Jeśli o mnie chodzi...

Przerwał mu sygnał telefonu komórkowego. Zrobił przeproszącą minę i wyciągnął aparat z kieszeni.

- Lenny, wydawało mi się, że mówiłeś...

- Przepraszam, Sal. Myślałem, że go wyłączyłem, naprawdę. Przepraszam, zaraz to załatwię... Halo? Jack! Co u ciebie? - Mayot zakrył ręką słuchawkę. - To... to klient. Odbiorę na zewnątrz. Za sekundę wracam.

Wstał i ruszył w stronę wyjścia. Kobiety przyglądały się, jak odchodzi. Przez parę chwil jadły w milczeniu.

- Wynajęcie Pete'a Goldinga było pomysłem Lenny'ego, prawda? - zapytała wreszcie Sally.

- Niczego wtedy jeszcze o nim nie wiedziałam - przytaknęła Ellen. - Wydawał się kompletnie...

- Mówiąc szczerze, jestem zdumiona. Lenny ma oczywiście rację: ci ludzie rzeczywiście są niebezpieczni. Przynajmniej mogą być. Mimo to... - Sally wzięła krewetkę i umoczyła ją w czerwonym sosie. - Przyznam się, że parę razy spotkałam Maddy Olsen.

- Naprawdę?

- Ściśle rzecz biorąc, to przyjaciółka przyjaciółki. Znasz Kimberly Ross? Byłyśmy sąsiadkami. Ona zna Maddy od lat. Razem były w liceum.

Ellen nie spodobała się mina Sally; nagle bardzo spoważniała.

- I co ci powiedziała?

Sally podsunęła krewetkę do umalowanych ust, popatrzyła na nią przez chwilę, po czym opuściła na talerz.

- Cóż, Maddy bez wątplenia potrzebowała pomocy. Ten McGinley był naprawdę zdrowo rąbnięty. Podwiózł ją raz do domu, kiedy jeszcze pracowała w recepcji wydawnictwa na Florydzie. Tylko ten raz byli razem... no wiesz, sam na sam. On jednak wbił sobie do głowy, że są dla siebie stworzeni. Wydzwaniał do niej, pisał, codziennie przysyłał kwiaty. A to był tylko początek. - Ellen zacisnęła dłoń. Poczowała, że nagle zrobiło się jej zimno. - Zmieniła pracę, ale dowiedziała się, dokąd się przeniosła. Przyjeżdżał tam codziennie po godzinach i rozповідаł, że jest jej narzeczonym. Wyobrażasz sobie? Kiedy umawiała się z koleżankami w barze, on też się pojawiał, podchodził i się przedstawiał. Zdarzyło się to trzy razy, zanim wpadła na to, że dostroił się do jej telefonu komórkowego.

- Można kupić takie aparaty... skanery. Mówiono mi o tym - powiedziała cicho Ellen.

Sally wrzuciła krewetkę do ust i otarła je serwetką.

- Właśnie. Maddy przeprowadziła się na drugi koniec miasta i zmieniła numer telefonu. Facet namierzył ją po niecałym tygodniu. Chciał ją odwiedzić stary przyjaciel. Na progu natknął się na McGinleya i usłyszał: „Zabiję cię, jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mojej żony”. Facet naprawdę wyobrażał sobie, że są małżeństwem. - Ellen straciła ochotę, by słuchać dalej, ale Sally tak upajała się swoją opowieścią, że nic nie zauważyła. - Zdobyła nakaz, zabraniający mu się do niej zbliżać. Złamał go po trzech

dniach. Zgarnęli go za obrazę sądu. Nie był karany, więc go wypuścili. Wiesz, co powiedział sędzia? Że oboje, czyli Maddy i ten facet, powinni zasięgnąć porady psychologa, by rozwiązać swoje problemy. Ich problemy! Dałabyś wiarę?

- Myślałam... myślałam, że McGinley trafił do więzienia.

- Dopiero później, gdy przyjechał za Maddy do Kalifornii. Zastał pewnego mężczyznę pod jej domem i tak go urządził, że tamten wylądował w szpitalu. McGinley dostał półtora roku. Odsiedział sześć miesięcy. Maddy wynajęła Goldinga, gdy dowiedziała się, że wychodzi na wolność.

- Wiedziała, że wróci.

- Znow się przeprowadzała - ciągnęła Sally. - Potrzebowała pomocy, żeby się ukryć. Chciała też, żeby McGinley znow powędrował za kratki, jeśli się do niej zbliży. Golding zajął się wszystkim: zorganizował zabezpieczenia, skontaktował się z policją. Zaproponował nawet Maddy, że nauczy ją obsługiwać się bronią. Traktował całą sprawę bardzo poważnie.

- Chyba za to mu właśnie płaciła?

- Pewnie. Ale na tym nie koniec. Zaczęła...

Podeszła kelnerka, żeby pozbierać puste naczynia. Sally popatrzyła na nią z uśmiechem; najwyraźniej nie chciała, by ją podsłuchiowano.

- Co zaczęła?

- Zaczęła wydzwaniać do niej przez cały czas, sprawdzać, co się z nią dzieje. Mówił, że nie potrafi zasnąć, jeśli nie jest pewien, że u niej wszystko w porządku. Pewnej nocy przyłapała go, jak kręcił się pod jej domem.

Ellen zrobiło się niedobrze. Przypomniała sobie, jakiego lęku i uczucia pogwałcenia prywatności doznawała na myśl, że w ogrodzie kryje się ktoś, kto ją podgląda w intymnych chwilach.

- Obrzydliwe, prawda? - spytała Sally, po swojemu interpretując jej minę. - Powiedziała więc szefowi agencji, że nie życzy sobie, by Golding prowadził dalej sprawę. W ogóle zrezygnowała z ich pomocy. Dociera do ciebie, co mówię?

- Słucham? - Ellen skupiła wzrok na Sally, która czekała na jej reakcję. - To było... zanim McGinley pokazał się pod jej domem?

- Właśnie. Prasa nigdy się o tym nie dowiedziała. Maddy nie chciała o tym mówić. Golding nie pracował już jednak dla niej tego dnia, kiedy doszło do strzelaniny. Po prostu kręcił się tam nieproszony...

- Boże.

- No właśnie. A to też jeszcze nie koniec. Chciał się z nią spotykać 1 później. Wiesz, co powiedziała Maddy? Uważa, że Golding jest równie zły, jak McGinley. W jej odczuciu obydwaj ją nękali. - Sally wyprostowała się, bo Lenny szedł w ich kierunku przez salę, chowając telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Znasz powiedzenie: ciągnie swój do swego?

dodała, zanim Mayot znalazł się na tyle blisko, by ją usłyszeć. - Moim zdaniem Pete Golding to straszny facet. Jeśli uczepli się twojego małego palca, będzie chciał całą rękę, i już nie popuści.

## 29

Ellen zrobiła sobie gorącą kąpiel i wyciągnęła się w wannie. Oddychała głęboko, sycąc się powoli rozluźniającym napięte mięśnie ciepłem. Po obiedzie w Yamashiro wzięła łyżwy i pojechała na lodowisko Pickwick z walkmanem i stertą kaset. Miała zamiar wypróbować parę pomysłów choreograficznych do jednego z programów Sama Ritta. Przede wszystkim jednak chciała przestać myśleć o słowach Sally Nicholson.

Zaniepokoiła ją opowieść o Maddy Olsen. Nic nie powiedziała, ale była zła na Lenny'ego Mayota, że powierzył opiekę nad nią komuś tak niebezpiecznemu i pokreconemu jak Pete. Jednocześnie zdenerwowała ją Sally, która opowiedziała jej historię Goldinga, jakby rzeczywiście był jej - Ellen - przyjacielem.

Ślizgała się przez parę godzin, starając się skupić na muzyce; obmyślała pasujące do niej figury i ewolucje. Jeździła aż do całkowitego wyczerpania, ale ciągle miała przed oczami obraz Sally Nicholson, jak nachyla się nad stolikiem i mówi, że Pete Golding nie różni się niczym od tropionych przez siebie psychopatów.

Maria była na dole w kuchni. Do łazienki dobiegały strzępy śpiewanej przez nią kubańskiej ballady o miłości i gardeniach. Głos służącej niósł się po całym domu; cichł raptownie, gdy Maria schylała się, by coś podnieść, po czym rozbrzmiewał na nowo, za każdym razem z innego miejsca. Ellen osunęła się głębiej w wodę. Myślała o Maddy Olsen: jak musiała się czuć, gdy nękał ją Arthur McGinley, jak zareagowała, gdy Pete Golding zastrzelił go na schodach jej domu. Maddy Olsen była uroczą brunetką o delikatnych rysach, zadartym nosku i zadzierzonym charakterze. Tak przynajmniej prezentowała się w telewizji. Ellen była ciekawa, co Maddy powiedziała Goldingowi, gdy przytąpała go na kręceniu się wokół jej domu. Zastanawiała się, co tam właściwie robił. Czy próbował ją szpiegować? Czy też wyczuł - lub po prostu się domyślił - że McGinley zamierza ją zabić? „Mówił, że nie zaśnie, jeśli nie jest pewien, że u niej wszystko w porządku” - powiedziała Sally. Może właśnie o to chodziło.

Golding jednak zadzwonił do Ellen tylko raz. Od tamtej pory się nie odezwał. Przypomniała sobie, że chciała do niego zatelefonować, i zadrżała na tę myśl.

Splukała prysznicem szampon z włosów. Zaszczekał doberman sąsiadów. Psi jazgot ustał, ale po chwili zabrzmiał znowu, tym razem bliżej. Ellen poczuła dreszcz paniki. Odgarnęła włosy na kark i wycisnęła z nich wodę, cały czas nasłuchując. Maria przestała śpiewać.

Ellen wyszła z wanny i owinęła się szlafrokiem. Na pewno nie ma żadnych powodów do obaw. Zirytowała się, że zareagowała tak paranoicznie. Stanęła blisko okna i usłyszała męski głos. To chyba sąsiad krzyczał na psa. Zwierzę zaskowotało i ucichło.

Ellen zeszła na półpiętro z ręcznikiem w rękę, gdy rozległ się krzyk Marii.

- Maria?!

Zbiegła po schodach. Maria stała w drzwiach kuchni, kryjąc twarz w dłoniach.

- Przepraszam, proszę pani. Zobaczyłam... - wskazała ręką za siebie. - Ktoś był pod domem.

Ellen zjrzała do kuchni. Podłogę pokrywały kawałki szkła, przewrócona waza leżała w środku rozpluwającej się kałuży zupy.

- Pan Bennett? To był Bennett, ten, co mieszka obok nas?

Maria potrząsnęła głową i wskazała kuchenne okno.

- Podniosłam głowę i... tam była twarz. Mężczyzny. Nie pana Bennetta. - Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, po czym Maria wróciła do kuchni po nóż. - Mam zadzwonić po policję?

Myśl o umundurowanych funkcjonariuszach kręcących się po domu nie była zbyt atrakcyjna. Ellen przemknął przez głowę Golding. Pomyślała, że może to właśnie Pete czaił się na zewnątrz. W przypływie wściekłości szarpnęła za klamkę drzwi wejściowych.

- Proszę pani! - wykrzyknęła rozgorączkowana Maria.

- Nie, do cholery! Mam tego dosyć!

Zapaliły się światła alarmowe. Obydwie wyjrzały na zewnątrz. Ellen wytężyła słuch. Wokół panowała cisza. Łyżwiarka miała wrażenie, że ktośkolwiek zakradł się pod dom, stoi nadal tuż poza zasięgiem lamp - obserwuje dom, wstrzymując oddech, zeszytniały z podniecenia. Gdyby jednak jeszcze tu był, na pewno szczekałby pies.

Po chwili dostrzegła komunikat od intruza. Na progu leżała brązowa koperta. Widniał na niej napis grubymi czarnymi literami: JELENA.

Wewnątrz była czarno-biała fotografia o wymiarach dwadzieścia na piętnaście centymetrów. Zrobiono ją aparatem, z jakim Ellen nigdy nie miała do czynienia. U góry zdjęcia znajdował się kod cyfrowy. Obraz przedstawiał kilka biegnących poziomo, rozmytych, prążkowanych pasm. Nieostrość



fotografii skojarzyła się Ellen z rentgenogramami. Do zdjęcia przypięto kartkę wydartą z książki telefonicznej. Na czarno zakreślono niewielką reklamę: „Emerson Neale - kompleksowe poradnictwo w dziedzinie planowania rodziny oraz usługi diagnostyczne - pełna poufność”. Firma mieściła się w Santa Monica, zaledwie kilka kilometrów od domu Ellen.

Odpięła kartkę i znalazła pod nią coś jeszcze: stroniczkę cienkiego papieru z wypisaną na zwykłej maszynie wiadomością, zaczynającą się od słów: „Nikt nie jest tak ślepy jak ten, kto NIE CHCE widzieć”.

Stojąc pod jaskrawą lampą w kuchni, Ellen przeczytała treść kartki, trzymając ją w drżących rękach. Maria zmiotła resztki szkła w kącie.

- Mam zadzwonić po policję, proszę pani? - zapytała. Ellen podniosła na nią nieprzytomne spojrzenie. - Proszę pani?

- Co?

- Mam zadzwonić na policję?

Ellen popatrzyła na kartkę i potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała. - Nie dzwoń do nikogo.

## 30

### Poniedziałek, 23 sierpnia

Białe meble na patio i szklane drzwi - szklane drzwi, zmieniające się w powierzchnię zamrażanego jeziora. Twarz kobiety uwięzionej pod lodem. Otwarte usta, przypominające poszarpaną czarną dziurę.

Golding obudził się, skąpany w pocie. Namacał cyfrowy budzik. Zobaczył, że jest piąta nad ranem. Spał najwyżej trzy godziny. Przewrócił się na drugi bok i naciągnął kołdrę, starając się zasłonić przed porannym światłem. Na nic się to jednak nie zdało. Nie mógł pozbyć się obrazu kobiecej głowy. Nie potrafił przestać zastanawiać się, czy twarz nabierająca kształtu pod wprawnymi dłońmi doktor Marcii Galio wyglądała tak samo jak ta na kasecie wideo. Zastanawiał się, czy Ellen widziała kiedykolwiek tę kobietę.

Stojąc pod prysznicem, zdał sobie sprawę, co powinien zrobić.

Cały poniedziałkowy poranek Golding spędził zgarbiony nad biurkiem, wydzwaniając do rozmaitych ludzi. Zaprzyjaźniony z nim były policjant, a obecnie prywatny detektyw w niewielkiej firmie w Santa Monica powiedział, że Lany Hagmeier przyjaźnił się z kapitanem Neilem Blackwoodem,

zanim ten ostatni awansował do komendy wydziału Van Nuys. Blackwood i Reynolds od dawna grywali razem w golfa; Golding przypomniał sobie, że spotkał parę razy tego starszego mężczyznę w gabinecie szefa. Po południu zadzwonił do Blackwooda, przekazał mu najlepsze pozdrowienia od Reynoldsa i oznajmił, że chciałby porozmawiać z detektywem Hagmeierem.

- Chcę się dowiedzieć paru rzeczy na temat zwłok, które wykopano w ogrodzie Ellen Cusak - wyjaśniał. Po chwili milczenia dodał: - Myślę, że wpadłem na pewien trop w tej sprawie.

- Hagmeierowi pewnie się to przyda. - Blackwood sprawiał wrażenie zajętego. Pete słyszał szelest papierów na biurku. Kapitan powiedział wreszcie, że ostatnio nie rozmawiał z Hagmeierem, ale że do niego zadzwonił. - Jak tam Tom? - zapytał w końcu. - Jest gdzieś pod ręką?

Golding popatrzył przez korytarz w stronę gabinetu szefa agencji. Przez uchylone drzwi widać było tył głowy potakującego Roya Denisona.

- Niestety nie - powiedział. - Pewnie pojechał na spotkanie z klientem.

Blackwood westchnął w słuchawkę.

- Przekaze mu pan... Pete, zgadza się?

- Tak, Pete Golding.

- .. że odpowiada mi następny czwartek?

- Oczywiście, powiem mu.

Godzinę później Golding zadzwonił do Hagmeiera. Detektyw wywarł na nim wrażenie zestresowanego. Jego początkowy chłód ustąpił jednak, gdy Pete wspomniał nazwisko Blackwooda.

- Przepraszam, detektywie, ale Neil Blackwood zapewniał, że do pana zadzwoni - tłumaczył się Golding. Dobrze wiedział, że kapitan nie uznał tego telefonu za priorytet.

- Cały Neil. - Hagmeier zachichotał i już bez zachęty opowiedział, jak pewnego razu Blackwood nie przyjechał na konferencję, na którą został zaproszony jako gość honorowy, bo udało mu się zakwalifikować do amatorskiego turnieju golfa okręgu Orange.

- Szło mu doskonale, wcisnął się do finałowej dwudziestki, ale w końcu zupełnie zapomniał o przemówieniu, które miał wygłosić. - Golding roześmiał się wraz z nim. - Nie widziałem Neila od... Jezu, to już kupa czasu. Jak mu tam idzie?

- Gdzie?

- WVanNuys.

Hagmeier najwyraźniej myślał, że Golding jest zaprzyjaźniony z Blackwoodem. Pete nie chciał go wyprowadzać z błędu, ale wolał nie przesadzać. Zmienił temat: wspominał o nie zidentyfikowanych zwłokach znalezionych w ogrodzie Ellen Cusak. Hagmeier natychmiast stał się oględny w słowach.

- Ach, tak? Dlaczego się pan nimi interesuje?
- Pracujemy od pewnego czasu dla pani Cusak. Myślę, że mam parę informacji, które mogłyby się panu przydać.
- Jakich informacji?
- Możliwy trop.
- A pan? - Nie wyglądało, by zrobiło to wrażenie na Hagmeierze. - Co pan chciałby z tego mieć?
- Chciałbym zyskać jaśniejszy obraz sytuacji i dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie. Poza tym naprawdę interesuje mnie rekonstrukcja, którą wykonuje dla pana doktor Galio.

Przez chwilę Golding miał wrażenie, że powiedział coś niewłaściwego.

- No dobrze - odrzekł wreszcie Hagmeier. - Jeżeli Neil się zgodził, to nie ma sprawy. Porozmawiam z panem, ale nie zabiorę akt do jakiegoś baru.
- Proszę powiedzieć, gdzie mam przyjechać. - Golding pochylił się jeszcze niżej nad telefonem. - Mogę się z panem spotkać wszędzie w mieście.
- Kończę pracę o ósmej - odparł Hagmeier po chwili zastanowienia. - Może pan wtedy przyjedzie tutaj?
- Tutaj, to znaczy gdzie?
- Powiem panu coś: po namyśle zdecydowałem, że będzie najlepiej, jeżeli przyjedzie pan do mnie do domu. Będziemy mogli spokojnie przejrzeć akta.

Tuż po siódmej Golding wyjechał z parkingu w Century City i w świetle zachodzącego słońca skierował się na południe Aleją Gwiazd. Dotarł do bulwaru Pico i skręcił w lewo. Chociaż wszystko szło gładko, nie mógł pozbyć się ściskania w żołądku. Po pierwsze, poważnie przekraczał swoje uprawnienia, aranżując spotkanie z Hagmeierem. Blackwood mógł o tym wspomnieć Reynoldsowi, może już w następnym tygodniu. Gdyby szef agencji się dowiedział, wpadłby w szewską pasję. Uznałby, że Golding ma obsesję na punkcie Ellen Cusak i stara się prawem kaduka wcisnąć w jej życie. Pete martwił się także i tym, że cała sprawa zmierza w kierunku, którego pragnąłby Ellen oszczędzić.

Ulica Oakhurst okazała się spokojna i porośnięta drzewami. Przed bungalowami o stiukowych fasadach rozciągały się opadające ku jezdni trawniki. Hagmeier otworzył drzwi domu pod numerem dwieście trzydzieści siedem w chwili, gdy Golding zatrzymał się przy krawężniku. Policjant był wysokim, wysportowanym mężczyzną z grzywą siwych włosów.

- Naprawdę jestem wdzięczny, że zgodził się pan ze mną spotkać - powiedział Pete, pokonując podjazd.

- Nie ma o czym mówić. Neil zadzwonił tuż po naszej rozmowie - odparł Hagmeier. Golding skinął głową, starając się nie okazać po sobie żadnej reakcji na tę informację. Detektyw mówił dalej: - A zatem wszystko gra. Nie zdawałem sobie sprawy, że pracuje pan dla Toma Reynoldsa. Neil zawsze twierdził, że Reynolds to doskonały partner do golfa. - Przeszli do kuchni, gdzie na stole Golding dostrzegł otwarte akta grubości co najmniej ośmiu centymetrów. - Często pan gra? - zapytał Hagmeier.

- Prawdę mówiąc, przez robotę nie mam na to czasu.

- Słyszałem - odparł Hagmeier. Otworzył lodówkę i wyjął dwie puszki budweisera. Golding zauważył jaskrawo oświetlone, niemal puste półki. Widać było, że Hagmeier prowadzi samotne gospodarstwo. - Domyślam się jednak, że to niezła robotka. Zważywszy na to, ilu w tym mieście świrów, ta branża ma przyszłość.

- Moim zdaniem Tom nie może narzekać.

Hagmeier podał mu puszkę. Wypili po łyku.

Był pan wcześniej policjantem? - zapytał.

- Od początku pracowałem jako prywatny detektyw. Dostałem licencję w osiemdziesiątym drugim.

Hagmeier pokiwał głową, chociaż go to najwyraźniej nie obeszło. Golding był ciekaw, czy policjant wie o jego udziale w sprawie Maddy Olsen; nie uwierzyłby, że o tym nie słyszał. Popatrzył na akta dochodzenia. Miał nadzieję znaleźć w nich coś nowego, na przykład fotografie rekonstrukcji Marcii Galio.

- No więc... jak idzie? - spytał, wskazując plik papierów.

- Prawdę mówiąc, dochodzenie... no, można powiedzieć, że straciło rozpęd - wzruszył ramionami Hagmeier.

Usiedli przy stole. Hagmeier zaczął wertować dokumenty i relacjonować przebieg śledztwa. Udało się pobrać odciski palców ze zwłok. Rozesłano je do wszystkich baz danych w kraju. Dwukrotnie przepytano sąsiadów. Odnaleziono i przesłuchano czternastu z siedemnastu ludzi, pracujących przy budowie domu. Idąc tropem ciepłej odzieży, rozmawiano z pakowaczami mięsa, reprezentantami firm handlujących mrożonkami, specjalistami od potraw morskich, handlarzami ryb - wszystkimi, którzy korzystali ze sprzętu chłodniczego.

- Sprawdzaliśmy nawet biblioteki - dodał Hagmeier. - Wie pan, że w niektórych przechowują negatywy filmów i odbitki w niskich temperaturach? Pomyśleliśmy więc... Ale nic z tego. Zostaliśmy z pustymi rękami.

Upił duży łyk piwa.

- Czytałem, że doktor Galio pracuje dla pana nad rekonstrukcją na podstawie czaszki - powiedział Golding.

- Zgadza się. Tylko dlatego, że sami już nie wiedzieliśmy, co jeszcze wykombinować - skrzywił się Hagmeier. - Rozesłaliśmy szkic, ale bez większych rezultatów. - Wyciągnął fotokopię z akt. Golding powiesił identyczną na

ścianie w sypialni. Twarz z rysunku nie wyglądała zbyt realistycznie. - Doktor Galio sama się do nas zgłosiła. Wygląda na bystrą, więc...

- Na jakim jest etapie?

- No cóż, na razie pracuje nad podziałem czaszki na określone pola i sprawdzeniem średniej grubości pokrywających ich tkanek miękkich, więc rekonstrukcja jeszcze nie przypomina oryginału. - Golding postarał się ukryć rozczarowanie. Liczył, że prace nad rekonstrukcją posunęły się już dalej. Hagmeier wertował dalej sterty papieru. - Tak czy siak, przydałyby mi się jakieś nowe tropy... to znaczy jakiegokolwiek przydatne informacje. - Urwał i popatrzył ostro na Goldinga. - Zanim się jednak tym zajmujemy, chcę wiedzieć dokładnie, o co panu chodzi.

- Cóż - odchrząknął Golding. - Jak powiedziałem przez telefon, pragnę poznać nieco więcej szczegółów....

- Oczywiście, ale dlaczego?

- Czuję, że te zwłoki i sprawa, nad którą pracuję, mogą mieć ze sobą związek.

- Sprawa pani Cusak? - Hagmeier poskrobał się po podbródku.

- Tak.

- Myślałem, że już się zakończyła. Słyszałem, że facet zginął.

- Nie jestem tego pewien. - Golding spróbował wytrzymać twarde spojrzenie Hagmeiera, ale nie zdołał. Odwrócił wzrok. Za nic nie chciałby wdać się w dyskusję o kasecie wideo, o możliwości, że pojawiająca się na niej kobieta była tą, którą zagrzebano w ogrodzie. Nie chciał, by wyszło na światło dzienne cokolwiek, co pozwoliłoby połączyć zamordowaną kobietę z Ellen. Domyślał się, że jedynym sposobem na zapewnienie sobie pomocy Hagmeiera będzie podrzucenie mu od razu przynęty, postanowił więc jej użyć: - Byłem ciekaw, czy rozważyliście możliwość, że ta nie zidentyfikowana kobieta została ubrana tak, jakby szła na lodowisko. - Hagmeier upił kolejny łyk piwa. - Kiedy ludzie idą na lodowisko, wkładają ciepłe ubranie - ciągnął Golding. - Zwłaszcza jeśli chcą wyjść na tafle.

Hagmeier wzruszył ramionami.

- Niezły pomysł - powiedział obojętnie. Wyraz jego twarzy świadczył, że nic takiego nie przyszło mu do głowy. - Jak powiedziałem, myśleliśmy o wszystkich zimnych miejscach, w których się pracuje, ale lodowisko... to coś raczej egzotycznego.

- Z informacji w gazetach wynika, że zdaniem koronera ta kobieta mogła być sportsmenką. Zgadza się?

- Mogła kiedyś uprawiać sport - przytaknął Hagmeier. - Proszę nie zapominać, że dobiegała trzydziestki.

- Może więc była łyżwiarka?

- Jak Ellen Cusak? O to panu chodzi?

- Tak.

- To jest ten związek między naszą nieboszczką a pańską sprawą? - uśmiechnął się Hagmeier. Golding wzruszył ramionami. Detektyw upił jeszcze łyk piwa. - No cóż, jak powiedziałem, ta kobieta była za stara, żeby uprawiać łyżwiarstwo figurowe. Wie pan, jak wyglądają te dzieciaki. Tara Lipiński ledwie wyrosła z pieluch.

- Oczywiście, ale ta kobieta mogła być łyżwiarka w przeszłości - odrzekł Golding. - Może była trenerką.

- Trenerką?

- Tłumaczyłoby to, dlaczego włożyła ciepłe ubranie. Trener stoi na lodzie, więc marznie. Pomyślałem, że to przydatna koncepcja. Kobieta była ubrana tak, że mogła wyjść na lodowisko. Albo na niejechała, albo z niego wracała. Lodowisko jest prawdopodobnie w Los Angeles albo gdzieś w pobliżu, na przykład w Lake Arrowhead. To tylko dwie godziny jazdy stąd. Ostatecznie ile lodowisk wchodzi w rachubę? Dziesięć? Najwyżej. Nie zaszkodziłoby podzwonić, popytać, czy jakaś trenerką lub instruktorka nie przestała przychodzić do pracy trzy lata temu.

- Nie najgorsza myśl. - Hagmeier wyduł dolną wargę i przyjrzał się uważnie Goldingowi. - Oczywiście byłby to dziwny zbieg okoliczności, że została pogrzebana na posesji łyżwiarki.

- Sam się nad tym zastanawiałem - odparł Golding. - Nie zgadza się jednak chronologia, prawda? Cusak i Gorman wprowadzili się dopiero we wrześniu dziewięćdziesiątego siódmego, a z tego, co mi wiadomo, ciało zostało zakopane najpóźniej w dziewięćdziesiątym szóstym.

- Chyba jednak warto wziąć to pod rozwagę. - Pete zmilczał, niepewny, czy ma ochotę, by Hagmeier drażył tę myśl. - Przypomniałem sobie, że w prasie pisano o nowym domu na długo, zanim go zbudowano - dodał policjant. - Ktoś mógł wiedzieć, że Ellen Cusak tam zamieszka. - Zanim Golding zdołał odpowiedzieć, Hagmeier wstał i wyszedł z kuchni. Po chwili wrócił z drugą teczką. - Wycinki - powiedział i rzucił teczkę na stół. Wyciągnął artykuł z magazynu „Design”, zawierający szkic domu. - Pochodzi z oryginalnego projektu architekta.

Golding zauważył rozmazany znak ołówka na środku ogrodu.

- Co to? - spytał.

- Zapewne miejsce, gdzie znajdowało się ciało - odparł Hagmeier, zerkając na rysunek. - To chyba robota Kronina, mojego partnera. Zawsze zaznacza różne rzeczy.

- Tak, ale pozycja się nie zgadza. Przecież ciało znaleziono za altanką przy basenie, prawda?

- To położenie basenu się nie zgadza - potrząsnął głową Hagmeier. - Przesunięto go.

Wyciągnął kolejne rysunki: podzielone na kwadraty szkice miejsca zbrodni, zorientowane według stron świata i opatrzone podziałką. Basen i altankę wrysowano na nich w miejscu odpowiadającym rzeczywistości.

Golding dopiero teraz się zorientował, że basen na pierwotnym szkicu był położony bliżej południowego krańca posesji. Rosło tam kilka wielkich eukaliptusów. Ellen i Gorman zapewne uznali, że będą za bardzo ocieniać basen, więc przesunęli zbiornik bliżej domu.

Zastanówmy się przez chwilę - zaproponował Hagmeier, prostując się na krześle. - Twierdzimy, że ktoś, jakiś postronny człowiek, zobaczył te szkice i postanowił pogrzebać trenerkę łyżwiarstwa figurowego w ogrodzie Ellen Cusak. Wiem, co powiedziałyby na to mój partner. - Uśmiechnął się. - Uznałyby to za największą bzdurę, jaką kiedykolwiek słyszała.

Obydwaj się roześmieli. Golding poczuł ulgę, że policjant potraktował lekceważąco tę hipotezę.

- Co jeszcze mogę dodać? - rzekł Golding. Hagmeier sięgnął do lodówki po dwie następne puszki piwa. - Jestem równie zdezorientowany, jak pan.

- Nie wie pan nawet połowy - odparł policjant, siadając z powrotem. - Nie puściliśmy do prasy paru rzeczy, które były... no, dziwne.

- Na przykład?

- Cóż... - Hagmeier utkwiał wzrok w puszcze. - Wie pan, że musimy to i owo zachować dla siebie, żeby odsiać szajbusów, którzy dzwonią do nas i przyznają się do morderstwa. Pytamy ich o ślady zadzierzgnięcia, położenie ran, pozycję ciała, takie rzeczy.

- Oczywiście. A w tym przypadku? Prasa informowała przecież, jaka była pozycja zwłok, prawda? Pisano, że waszym zdaniem kobietę pogrzebano na siedząco.

- Pewnie tak... chociaż ja wcale tak nie twierdziłem ani nie twierdzę. - Hagmeier wyciągnął kilka zdjęć z miejsca znalezienia ciała. Golding rozpoznał tylną ścianę altanki. Częściowo zmumifikowane zwłoki były odchyłone o jakieś trzydzieści stopni od pionu. Tkwiły w rozgrzebanej ziemi z podgiętymi nieco nogami i dłońmi wspartymi na kolanach. W niczym nie przypominało to pozycji siedzącej. - Nie, moim zdaniem po prostu wrzuciono ją do dołu - ciągnął policjant. - Jeśli wykopie się dół odpowiednich rozmiarów, ciało pozostanie wyprostowane, ale to wszystko. Może zresztą w grę wchodziło również stężenie pośmiertne? Zabija się człowieka... w naszym przypadku facet zasztylował kobietę. Przez kilka godzin ciało jest wiotkie i daje się dowolnie układać. Facet myje ciało. Ubiera, wsadza do samochodu. Może jeździ z nią kilka godzin i szuka miejsca, gdzie by się jej pozbyć. Do tego czasu zwłoki zaczynają sztywnieć. Po dwunastu godzinach od chwili, gdy ją zabił, są już twarde jak decha.

- Myśli pan, że zeszywniały w pozycji siedzącej?

- A może w ten sposób ułożył ją w bagażniku, co dało podobny skutek.

- No to o czym nie wspominaliście? - zapytał Golding, wciąż patrząc na zdjęcia.

- O okularach.

- O czym? - Golding uniósł zdziwiony głowę.

- Nasza pani została pochowana w okularach. Serratos, zastępca kornera, jest tego pewien. Ślady resztkowe na oprawkach sugerują, że były na jej nosie, gdy ciało ulegało mumifikacji. - Golding potrząsnął głową. - I bądź tu, człowieku, mądry - westchnął Hagmeier. - Zastanówmy się: jeśli woził ją ze sobą i chciał, żeby wyglądała normalnie, może włożył jej okulary, żeby... Do diabła, sam nie wiem. - Upił łyk piwa i popatrzył na fotografie. - Zabrzmi to głupio, ale właśnie przez okulary przyszło nam do głowy, że była bibliotekarką.

- Bibliotekarką? Może.

- Nie ujawniliśmy jeszcze jednego - powiedział Hagmeier, zamykając teczkę. - Miała blizny po porodzie.

- Słucham? - zmarszczył brwi Golding.

- Miednica nosiła ślady rozejścia się kości. Nasza nieboszczka urodziła kiedyś dziecko.

## 31

**Środa, 25 sierpnia**

**K**linika Emerson Neale mieściła się w nowoczesnym, niskim budynku, nie pasującym do reszty słonecznej ulicy w rezydencjonalnej dzielnicy. Stała w pewnej odległości od skrzyżowania, częściowo zasłonięta kolczastymi drzewami o jedwabistej korze, jak gdyby wstydziła się własnej komercyjności. Spoglądając na swoje odbicie w szybach z przydymianego szkła, Ellen poczuła się, jakby wróciła do przygnębiających lat terapii. Doświadczenia z tego okresu stanęły jej przed oczami jako poszarpane, koszmarnie przebliski: wstępna diagnoza, badania, leki; później zimne, szare oczy chirurga, podającego środek znieczulający. Gdy przechodziła przez ciężkie, podwójne drzwi, zauważyła, że drży.

Śliczna rejestratorka azjatyckiego pochodzenia poprosiła Ellen, by usiadła i poczekała. Doktor Leane powinien być wolny za parę minut. Unikając

spojrzeń wyczekujących cierpliwie pacjentek, Ellen chwyciła coś do czytania. Okazało się, że trafiła jej w ręce wydrukowana na lśniącym papierze broszura reklamowa kliniki. Na stronie pod tytułem „Badania zdolności do prokreacji, oferowane przez EN” znajdowała się cała lista usług, począwszy od zestawów do pobierania materiału w warunkach domowych po „gwarancje nienaruszalności próbek”. Ellen zafascynował dobór słów. Niektóre badania wiązały się z dość deprymującymi wymogami: „tkanki matki / domniemanego ojca / płodu” czy „tkanki matki / domniemanego ojca / płyn owodniowy”. Ellen zastanawiała się, jak nakłaniano „domniemanego ojca” do zgłoszenia się do kliniki. Może nie było to konieczne; może wystarczył skradziony włos. Klinika była również gotowa zapewnić usługi „uznanych” ekspertów, gotowych zeznawać w obronie klientów przed sądem. W przypisie stwierdzano, że badania w klinice są „wykonywane przez doświadczonych laborantów z wykorzystaniem najnowocześniejszych metod ustalania ojcostwa, gwarantujących pewność rzędu 99,9%”. Innymi słowy: nie mów, że cię nie ostrzegaliśmy, jeśli coś schrzaniemy.

Ellen zapłaciła z góry klinice czterysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów za porównanie fotografii rozmytych prążków DNA, którą dostała pocztą z materiałem genetycznym z komórek, wyskrobanych ze śluzówki jej policzka przez doktora Toda Leane'a we wtorek rano. Teraz przyjechała dowiedzieć się prawdy.

Powtarzała sobie, że postępuje jak wariatka. Że przejawia taki sam brak logiki, jaki odkryła w niezdarnej wystukanej na maszynie kartce, dołączonej do radiogramu DNA. Treść kartki brzmiała jak dziwaczny horoskop: „Twoja potrzeba osiągnęła punkt krytyczny. Natalia też ma potrzeby - takie same jak twoje, o ile nie większe. Ponieważ trwają wątpliwości, należy rozproszyć je dowodami. Wątpliwości wątpliwościami, a dowód - dowodem. Zobacz sama, ale popatrz także głębiej. Patrz sercem”.

Ellen długo stała z kartką papieru w drżących dłoniach. Najbardziej przerażające z tego wszystkiego było, że nie czuła się zaskoczona. Ani przez chwilę. Jakby zawsze wiedziała, że ją to spotka. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie wierzyła w to, co Lenny powiedział o Grossmanie. Nieważne, jak bardzo Grossman był obrzydliwy - pozostawał po prostu poza granicami jej życia, podczas gdy drugi intruz rzeczywiście w nim zagościł. Wniknął do jej życia i do jej głowy. Zadzwoniła do kliniki, czując się jak w transie. W tym samym stanie przeżyła jakimś cudem trzy następne dni, czekając, aż nadejdzie chwila rozstrzygnięcia - moment, gdy wreszcie pozna prawdę. „Trwają wątpliwości”. W gruncie rzeczy jednak przez te trzy dni Ellen odczuwała pewność. Była do końca, absolutnie przekonana, że stało się coś okropnego, coś złego. Stojąc w łazience i przygotowując się do zmierzenia z kolejnym koszmarnym dniem, wybuchła płaczem jak człowiek, który

przeszedł poważny zabieg chirurgiczny z poczuciem, że dokonał się na nim gwałt nie do naprawienia.

We wtorek rano Ellen stwierdziła, że nie radzi sobie, nawet zażywając prozac. Upiła się, potem próbowała zasnąć. Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrowała tego przedpołudnia, był dzwonek telefonu. Z kliniki.

Drzwi gabinetu wreszcie się otworzyły.

Leane stanął przed Ellen z niepewnym uśmiechem na opalonej twarzy.

- Pani Cusak?

Natychmiast przyszło jej do głowy, że lekarz wie, kim ona jest... że widział jej twarz w telewizji lub gazetach. Tak czy inaczej, nie mogła nic na to poradzić. Ruszyła za nim do gabinetu, pachnącego środkami antyseptycznymi i różami. Przez okno widać było bujną roślinność. Dostrzegła płytki chodnika wśród gęstej trawy i gałęzie strzelistego fikusa. Łomotało jej serce.

Lekarz usiadł za biurkiem i poczekał, aż Ellen zajmie miejsce. Uśmiechnął się ponownie. Zaczął mówić o profilu działalności kliniki Emerson Neale, o przestrzeganiu wymogów wrażliwości i dyskrecji. Ellen starała się zrozumieć sens jego słów. Wreszcie dotarło do niej, że lekarz chce, by mu zaufała. Zesztywniała, gdy Leane wziął do ręki przysłane pocztą zdjęcie DNA.

- Prawdopodobnie poddała się pani temu zabiegowi gdzie indziej - powiedział. - Zastanawiałem się, czy jakaś inna klinika robiła już dla pani to porównanie? - Pokręciła głową. Gdy zrozumiał, że nic nie powie, odłożył zdjęcie i mówił dalej: - Wykorzystano dość pospolity próbnik do wyróżnienia miejsc, dobrze służących do celów identyfikacyjnych, ale poza tym nie zrobiono nic, by ustalić, o kogo chodziło. Domyślam się, że mówimy o dziecku. Pani dziecku? - Ellen odwróciła wzrok. Z trudem dostrzegła dyplomy i fotografie na białoniebieskiej ścianie. Czuła się, jakby spadała. Przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. Przez brzęczenie w uszach słyszała głos lekarza: - To oczywiście nie moja sprawa, ale byłem ciekaw, ile czasu minęło, zanim zapragnęła się pani upewnić, kim są jego... czy też jej... prawdziwi rodzice. Czy dowiedziała się pani czegoś nowego? Czegoś o porodzie czy opiece nad dzieckiem w późniejszym okresie?

Ellen usłyszała własne zaprzeczenie.

- A zatem...? - Leane rozłożył ręce. Widząc jej zdenerwowanie, zmarszczył brwi i zmienił podejście. - Pragnąłbym pani opowiedzieć o czymś, co może... może okazać się dla pani pomocne. Z tego rodzaju przejściami, z odrzuceniem dziecka zwykle wiąże się zupełnie naturalne poczucie winy. Wątpliwości nie oznaczają jeszcze, że jest pani potworem. Trzy lata temu pewna kobieta...

Ellen uniosła palec.

- Azatem... - Nie wiedziała, jak ująć myśli w słowa. Starła się znaleźć dla nich wyraz, wydawało się to jednak niemożliwe. - A zatem nie ma wątpliwości - powiedziała wreszcie. - Żadnych wątpliwości. To moja córka.

- Cóż - wzruszył ramionami Leane. - Zważywszy na płeć dziecka, jak już powiedziałem...

- Ale jest moja - powiedziała kategorycznie Ellen.

- Tak. Dla celów praktycznych, na potrzeby tej szczególnej sytuacji, możemy stwierdzić, że nie ma wątpliwości. Najmniejszych wątpliwości. Próbkę DNA pobrano od pani dziecka.

Nie wiedziała, kiedy wyszła z gabinetu ani jak wydostała się na ulicę. Kłębiące się emocje powodowały, że w ogóle nie słyszała odgłosów ruchu ulicznego. Ruszyła szybko chodnikiem, z zaciśniętymi pięściami i pochyloną głową. Gdy wyszła na jezdnię na skrzyżowaniu, otarł się o nią pędzący samochód. Znieruchomiała. Zdała sobie sprawę z absolutnym spokojem, że o mało nie zginęła. Cofnęła się na chodnik, dygocząc konwulsyjnie. Jakaś starsza kobieta ujęła ją za ramię i zapytała, czy nic jej nie jest. Popatrzyła w jej zatroskane niebieskie oczy.

- Sama nie wiem - odpowiedziała.

## 32

**D**etektyw Hagmeier wyjechał dzisiaj z miasta. Chce pan zostawić mu wiadomość?

Golding domyślił się, że mówi z partnerem Hagmeiera, Mattem Kroninem, postanowił się jednak nie przedstawiać.

- Nie, dziękuję. Będzie jutro?

- Powinien. Kto mówi?

- Nazywam się Golding... Eee... zadzwonię jeszcze.

- I-n-g na końcu?

Nic nie świadczyło, żeby Kronin wiedział, z kim rozmawia. Golding zastanawiał się, czy Hagmeier powiedział koledze o ich spotkaniu. Może chciał, by myślano, że to on wpadł na pomysł, że zamordowana kobieta była łyżwiarka, a może po prostu uznał, że nie ma o czym wspominać.

- Zgadza się. Detektyw ma mój numer. Dziękuję.

Pete odłożył słuchawkę. Hagmeier obiecał, że zadzwoni, jeśli wypytywanie na lodowiskach przyniesie jakieś wyniki, minęły jednak trzy dni,

a policjant się nie odzywał. Golding był ciekaw, czy natrafiono na jakąś zaginioną osobę, której opis odpowiadał pogrzebanej kobiecie. Pragnął się tego dowiedzieć przed prasą *Konkretami*, a przede wszystkim przed Ellen. Chciał japierszy ostrzec i być przy niej, gdy będzie go najbardziej potrzebowała.

Ostatnich parę dni wlokło się bez końca. Temperatura w południe sięgała trzydziestu pięciu stopni, a miasto przykrywał brudny, chemiczny woal, od którego mętniało bezchmurne niebo. W gazetach donoszono o pożarach lasów w górach Santa Monica i ograniczeniach w korzystaniu z wody w dolinie San Fernando. We wtorek Reynolds wyjechał do Palm Springs na konferencję, poświęconą neutralizowaniu gróźb. Tego samego ranka zadzwoniła pani Sayers, jedna z nowych klientek. Histerycznym głosem opowiedziała, że były mąż pojawił się pod domem i zabił jej psa. Gdy Golding tam pojechał, zwierzę wciąż leżało rozjechane na podjeździe, wśród zwojów różowych, zmiażdżonych jelit. We wtorek wieczorem Pete wracał powoli do domu zatłoczoną autostradą, rozmyślając o Ellen, ślizgającej się po zimnym lodzie, pięknej i dalekiej. W nocy zastanawiał się nad kobietą w ogrodzie - kobietą która mogła być łyżwiarka i urodziła dziecko. Obejrzał jeszcze kilka razy nagranie z małą dziewczynką i zdał sobie sprawę, że nie chce mieć racji. Nie chciał, by okazało się, że ugodzona trzydzieści dwa razy nożem kobieta miała coś wspólnego z Ellen Cusak. Wpatrując się w odbicie twarzy w szybie drzwi na patio, wmawiał sobie, że mimo wszystko może się mylić.

Późnym sobotnim wieczorem pojechał do supermarketu Vons uzupełnić zapasy żywności i kawy. W głębi sklepu natrafił na kasetę wideo pod tytułem *Mistrzowie jazdy na lodzie*. W jej skład wchodził również program, dzięki któremu Ellen Cusak zdobyła tytuł mistrzyni świata. Kasetę sprzedawano po okazyjnej cenie pięciu dolarów i dziewięćdziesięciu dziewięciu centów. Zawiózł ją do domu, przepuścił w przyspieszonym tempie napisy czołowe i pierwsze występy. Wreszcie pojawiła się Ellen, stojąca nieruchomo na lodzie. Kamera wykonała powolny najazd na jej idealne, gładkie rysy, wyrażające niezmierne skupienie, a jednocześnie roztargnienie, jak gdyby myślała o czymś innym. Twarz dziewiętnastoletniej Ellen Cusak tuż przed tańcem, który zapewnił jej miejsce w historii.

Podkładem był motyw z *Rapsodii na temat Paganiniego* Rachmaninowa. Występ stanowił połączenie nadludzkiej energii i nadzwyczajnego wdzięku. Ellen wykonywała podwójne i potrójne skoki, jakby bez odrobiny wysiłku. Jej piruety były nie tylko szybkie i precyzyjne, ale także zmysłowe. W takt wolniejszych pasaży ślizgała się z gracją baleriny. Gdy na koniec wybuchł wokół niej aplauz, podniosła wzrok i po raz pierwszy się uśmiechnęła. Golding obejrzał ten występ wiele razy. Przyglądał się Ellen,

a potem obserwującemu ją tłumowi ludzi. Przypomniawszy sobie, co jeden z szalonych wielbicieli napisał w liście: że ujrzenie jej na lodzie było jak wybuch supernowej w jego głowie. Pete zastanawiał się, czy ten facet, Bob, znajdował się na trybunie tego wieczoru, gdy zdobyła mistrzostwo świata. Był ciekaw, gdzie jest teraz.

Tej nocy śnił o Ellen i o Maddy Olsen: Ellen na ganku domu Maddy, ogród Ellen, roztaczający się wokół tarasu Maddy, ciało Arthura McGinleya w płytkim grobie za altaną koło basenu. Był tam też Reynolds: kuczał obok ciała, podczas gdy technicy kryminalistyczni robili zdjęcia. Szef agencji wstał, zmierzzył Goldinga spojrzeniem pełnym niesmaku i powiedział policjantom, żeby go zabrali. Miano go zamknąć w szpitalu stanowym Atascadero razem z innymi psychopatami i trzymać do końca życia w izolacji od miłości i kłopotów.

Obudził się w ciemności przedświt i długo leżał nieruchomo, wciąż mając przed oczami twarz Arthura McGinleya. Wspomnienie było niemal równie przygnębiające, jak koszmar. McGinley stał pod drzwiami z dubeltówką u boku. Gdy Golding krzyknął na niego, odwrócił się w jego stronę. Golding nie potrafił zapomnieć jego oczu: pozbawionego nadziei, pustego spojrzenia człowieka, który przyjechał nie po to, żeby zabić, lecz by umrzeć. Były to oczy mężczyzny, którego obsesyjna miłość popchnęła w miejsce, skąd nie było już powrotu, gdzie śmierć była jedynym pocieszeniem. „Odłóż broń i cofnij się” - głos Goldinga odbił się echem na pustej ulicy. McGinley mrugnął, zrobił krok w lewo, uniósł maga-19 i wypalił. Golding poczuł, że pistolet podskakuje mu w rękę. Zobaczył, że McGinley skręca się i pada. Maddy stanęła w drzwiach i zaczęła krzyczeć. Krzyczała bez końca. Wiedział, że ten dźwięk będzie mu towarzyszył do końca życia.

W środę rano spóźnił się do pracy. Reynolds nie wrócił jeszcze z konferencji, Romero był jednak w biurze, wściekły, że musi odbierać więcej niż zwykle telefonów. Reynolds pokazał się wreszcie o trzeciej po południu, po czym wymknął się znowu na rundkę golfa z kapitanem Blackwoodem. Goldinga dręczyła myśl, ile czasu minie, zanim Blackwood poruszy temat nie rozwiązanej sprawy Hagmeiera i zainteresowania nią Pete'a. Czuł, że szef agencji nie wykaże zbytniego zrozumienia, kiedy się o tym dowie.

Po bezowocnym telefonie do biura Hagmeiera Golding pojechał do biblioteki na Blay Street, gdzie miał dostęp do bazy danych Nexus. Nic by mu nie przeszkadzało, gdyby policja zlekceważyła przypuszczenie, że zamordowana kobieta jeździła na łyżwach, sam czuł jednak, że musi to zrobić. Odnalazł wszystkie artykuły, począwszy od roku dziewięćdziesiątego piątego, w których figurowały słowa „łyżwiarstwo” lub „łyżwiarka”, po czym polecił komputerowi szukać określeń „zaginiona” lub „poszukiwana” w odstępach nie więcej niż dwudziestu słów. Po przeszukaniu nadal miał do dyspozycji setki artykułów, ale po godzinie dalszego grzebania zostały tylko

trzy, w których istotnie chodziło o zaginione osoby. Jednym z nich był dwudziestoletni chłopak z Buffalo w stanie Nowy Jork, który zdobył medal w amatorskich zawodach wjeździe szybkiej. Do tego dochodziły dwie nastolatki, których hobby było łyżwiarstwo - jedna z Ohio, druga z Seattle. Obydwie były zbyt młode, by pasować do opisu Hagmeiera.

Golding miał się już wylogować z systemu, gdy przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Powinien znaleźć artykuły poświęcone Ellen Cusak, w których pojawiały się słowa „poszukiwana” lub „zaginiona”. Zważywszy na kierunek śledztwa, możliwe było, że policja nie dopatrywała się tego związku. Goldingowi przyszło też do głowy, że w gruncie rzeczy nie sprawdzono przeszłości Ellen. Co jednak powinien zrobić, gdyby rzeczywiście ktoś zniknął z jej otoczenia w dziewięćdziesiątym szóstym? Powiedzieć Hagmeierowi? Dać znać Ellen? Po co miałby ją zawiadamiać, skoro i tak o tym wiedziała?

Określił parametry przeszukiwania. Jego rezultatem był pojedynczy artykuł z dziewięćdziesiątego trzeciego roku, opublikowany w kwietniowym numerze „International Figure Skating”. Było to obszerne, niemal kwieciste przedstawienie młodych amerykańskich talentów. Skupiano się w nim na mistrzostwach kraju, na których Ellen zajęła sromotną czternastą pozycję - najgorszą w swojej karierze. W artykule zachwycano się ekscytującą młodą łyżwiarką, poświęcono jednak elegijny akapit byłej mistrzyni.

Mimo nadziei na powrót do formy występy Ellen Cusak nadal rozczarowują. łyżwiarka, która może bardziej niż którakolwiek inna dała tańcom na lodzie grację i artystyczną doskonałość, daremnie stara się teraz, by jej programy były solidne technicznie i przekonujące. Ci, którzy pamiętają hipnotyzujące występy Cusak sprzed zaledwie kilku lat, zadają sobie zapewne pytanie, czego w nich zabrakło, co zmieniło się w tak krótkim czasie. Odpowiedź brzmi: bardzo wiele zmieniło się w życiu panny Cusak. Dokonała się jej przemiana z dziecka w kobietę w każdym sensie tego słowa. Musimy jednak mieć nadzieję, że jeszcze odzyska wewnętrzną siłę, pewność siebie i świadomość swoich celów, które uczyniły z niej niegdyś najwspanialszą mistrzynią. Z pewnością wierzą w to tysiące wiernych miłośników, tłoczących się na trybunach na każdym jej występie i wyczekujących na to utęsknione odrodzenie.

Golding zapatrzył się w ekran. Widział już ten artykuł. Miał go pośród innych w domu, jednak do tej pory nie zadał sobie trudu, by przeczytać go dokładnie. Doznał przemożnego uczucia, że coś przegapił, że coś ważnego majaczy pośród mgławicy pytań bez odpowiedzi. Wrócił do początku artykułu. Napisał go ktoś nazwiskiem Charles Sanderson. Golding starał się

wczuć w tok rozumowania Sandersona. Przed jego oczami pojawili się fani, „tłoczący się na trybunach na każdym jej występie”.

Zrozumiał, co mu umykało.

W godzinie szczytu ruch na Bundy był tak intensywny, że dojechanie do domu Ellen zabrało Goldingowi dwadzieścia pięć minut. Próbował dozwonić się do niej z samochodu, ale nikt nie odbierał. Słońce zniżyło się już nad oceanem, gdy przeszedł przez jezdnię i nacisnął dzwonek przy bramie. Nad jego głową automatycznie zapaliło się światło alarmowe, interkom jednak się nie odezwał. Nikogo nie było w domu. Goldingowi przyszło do głowy, że może Ellen znów wyjechała. Może zrobiła sobie wakacje, świętując udane zakończenie zadania agencji Alpha Global. Wielu ludzi tak by właśnie postąpiło, czując, że wreszcie jest po wszystkim, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Pete obszedł posesję od zachodniej strony, starając się zajrzeć do ogrodu przez gęstą zaporę świerków. Stał na palcach i dostrzegł niebieską plamę, zapewne basen. To mu jednak nie wystarczyło. Musiał zobaczyć ogród; musiał znaleźć się w ogrodzie.

Nie przekonały go koncepcje Hagmeiera dotyczące ułożenia ciała, chociaż nie potrafił powiedzieć dokładnie, dlaczego. Dzięki doświadczeniu w śledztwach w sprawie morderstwa detektyw na pewno wiedział o wiele więcej od niego o stężeniu pośmiertnym i problemach z pozbyciem się ciała. Dla Hagmeiera plac budowy oznaczał tylko, że było to dogodne miejsce: przekopana ziemia, którą miano obsiać murawą. Morderca skorzystał po prostu z nadarżającej się okazji szybkiego pochówku. Skoro jednak mu się spieszyło, skąd te rytualne elementy: ułożenie ciała w określonej pozycji i zwrócenie go w określoną stronę, włożenie okularów? Hagmeier zlekceważył te szczegóły jako nieistotne, prawdopodobnie dlatego, że rytuał sugerował urojenia lub obłąd u mordercy. Podobnie jak policjanci na całym świecie, detektyw miał już na pewno dość oglądania, jak zabójcy wymykają się sprawiedliwości, ponieważ specjaliści uznali ich za nieświadomych znaczenia swoich czynów. W tym przypadku Hagmeier się mylił; Golding właśnie to zrozumiał. Morderca włożył na ofiarę ubranie nie w celu ukrycia ran. Ubrał ciało w kompletny zimowy strój. Zanim przysypał ją ziemią dodał okulary. Gdyby chodziło tylko o pozbycie się jej rzeczy osobistych, wystarczyłoby zebrać je w plastikowy worek i zostawić śmieciarzowi. Morderca zaspokajał określoną potrzebę, wykonywał obowiązek - wszystko wskazywało, że wybór miejsca pogrzebu nie był przypadkowy. Golding musiał tylko obejrzeć je raz jeszcze, by się co do tego upewnić.

Przeszedł połowę dystansu wzdłuż ogrodzenia, gdy zauważył kępki obumierających drzewek. Przez bezlistne gałęzie wypatrzył tylną ścianę

altanki nad basenem i dachówki na domu Ellen. Środkiem szpaleru świerków biegła siatka. Przykucnąwszy, Golding dostrzegł, że ktoś wyrwał ją od dołu z ziemi i podciągnął na wysokość co najmniej pół metra - dość, by precyzyjnie się pod spodem. Pete przeklął własną głupotę. Poświęcił zbyt wiele uwagi najnowocześniejszym zabezpieczeniom, jakie sprawił sobie Doug Gorman - chociażby otwieranej pilotem bramie i drzwiom od garażu. Tak bardzo mu zależało, by zdyskwalifikować je jako skuteczne środki ochrony, że nawet nie przyszło mu do głowy obejść posesję dookoła. Intruz dostał się na jej teren w prostszy sposób. Podtruł czymś drzewka w miejscu najmniej widocznym z domu, po czym zrobił dziurę pod ogrodzeniem. Przejście tamtędy było o niebo łatwiejsze niż otwarcie elektronicznie sterowanej bramy. Tyle trudu mógł zadać sobie tylko ktoś, kto zamierzał odwiedzać to samo miejsce wiele razy.

Golding przecisnął się pod ogrodzeniem. Z ogrodu pogięta siatka była niemal niewidoczna. Okrążył altankę przy basenie, zatrzymał się i popatrzył na dom. Zaczynało się już ściemniać, ale w środku nie zapalono światła. Z tyłu za Goldingiem policyjny brezent zakrywał miejsce, w którym znaleziono zmumifikowane ciało.

Nie miał ze sobą artykułu z „Designa”, ale pamiętał doskonale szkic architekta. Dom narysowano z odległej perspektywy; punkt widzenia znajdował się kilka metrów w lewo od prostej wytyczonej przez jego środek. Na pierwszym planie był basen; widok ograniczały rosnące przy nim eukaliptusy. Golding stał w tej chwili zbyt blisko, by uzyskać taką samą perspektywę. Cofnął się kilka kroków, potem jeszcze parę; spróbował popatrzyć na basen i altankę pod takim kątem, jak było je widać na szkicu. Wreszcie zorientował się, gdzie planowano ich wybudowanie w czasie, gdy morderca chował swoją ofiarę: byłyby za ciałem, a nie przed nim.

W gęstniejącej ciemności podszedł do dołu, nachylił się i jednym szarpnięciem ściągnął z niego brezent. Dół był w dokładnie takim samym stanie jak po poszukiwaniach Hagmeiera i jego ekipy. Wyglądał jak dwa głębokie stopnie wryte w piaszczystej glebie. Położenie grobu wytyczono zgodnie z oczekiwaniami Goldinga: nieprzypadkowo, bez pośpiechu, z idealną precyzją i fanatycznym rozmysłem. Pewnie dlatego, że obydwoje - morderca i ofiara - byli wielbicielami Ellen. Myśl ta nagle poraziła Goldinga. Czy tę parę jednoczyła obsesja na punkcie tej samej osoby? Do kogo innego Ellen mogła się zwrócić, gdy Doug Gorman stanął jej na przeszkodzie? Kto inny urodziłby dla niej dziecko, złamał wszystkie zasady, których naruszenia żądała? Kto inny zrobiłby to wszystko i dochowywał później tajemnicy? Kto, oprócz jej najbardziej oddanych wielbicieli?

W tej samej chwili zapaliły się światła alarmowe. Golding zamarł i zmrużył oczy, starając się dostrzec coś mimo oślepiającego blasku.



- Ellen? To ty? - Zauważył, że ktoś przygląda mu się przez przeszklo-  
ne drzwi. Po chwili postać znikła. - Ellen?

Usłyszał, że otwierają się drzwi w kuchni. Jeśli to nie Ellen, napytał  
sobie poważnych kłopotów. Każdy inny najprawdopodobniej wezwałby po-  
licję. Przyszło mu do głowy, że powinien uciec.

- Golding? Co tu robisz, do diabła?

Ellen podeszła do niego przez trawnik. Miała na sobie ciemnoniebie-  
ską kurtkę i džinsy.

- Ellen, musisz mnie wysłuchać. Wiem...

- Jesteś tutaj bezprawnie. Wdarłeś się na teren prywatny.

- Ellen, posłuchaj, musisz mi powiedzieć... - Dostrzegł rewolwer w jej  
dłoni - małą czarną trzydziestkąósemkę. Nie potrafił uwierzyć własnym  
oczom. - Jezu, wydawało mi się, że mówiłaś...

- To Douga. Chcę, żebyś natychmiast sobie stąd poszedł. Natychmiast.

- Ellen, posłuchaj mnie. Wiem, co się stało. - Wskazał dół w ziemi. -  
Wiem, o co tu chodziło.

- O czym ty mówisz, do diabła? - Wskoczył do dołu, zanim zdążyła  
go powstrzymać. - Co ty wyprawiasz, na miłość boską? - Ellen prawie  
krzyczała.

- Ta kobieta została pogrzebana na siedząco... właśnie tutaj. - Uloko-  
wał się w pozycji, w której znaleziono zwłoki, i położył dłonie na kola-  
nach. - Miała widok tylko na tylną ścianę altanki przy basenie, bo przenie-  
śliście ją w inne miejsce... pamiętasz?

- Nie interesuje mnie to.

- Gdybyście trzymali się pierwotnego planu, patrzyłaby na dom, praw-  
da? - Wskazał go ręką. - Zaglądałaby prosto do twojej sypialni.

Ellen zawahała się i obejrzała przez ramię na wielkie, panoramiczne  
okno.

- Zwariowałaś - odparła z wahaniem. - Wiem, o co ci chodzi. Wiem,  
co jest grane. Chcesz...

- Była ubrana w zimowy strój, Ellen. Morderca włożył go jej po śmierci.  
Włożył jej nawet okulary. - Ellen potrząsnęła głową, jakby nie chciała słu-  
chać go dalej. - Tak właśnie ubierała się na lodowisko, rozumiesz? W ta-  
kim stroju przyglądała się tobie. Mówimy o jednej z twoich wielbicielek.  
O kimś, kto zrobiłby dla ciebie wszystko.

- Zwariowałaś. Jesteś tak samo szalony jak...

- Co się stało, Ellen? Facet zrobił się zazdrosny? A może ona? Co się  
popsuło? Nie chciała oddać dziecka?

- To obłąd!

Oczy Ellen wypełniły się łzami, ale Golding nie potrafił się już zatrzy-  
mać. Chciał, żeby wiedziała, że ją rozumie, że jest po jej stronie.

- Zabił ją, a potem zapragnął jej to wynagrodzić. Dlatego właśnie za-  
kopał ją w miejscu, w którym najbardziej chciałaby przebywać... w miej-  
scu, skąd mogła obserwować cię w dzień i w nocy. Dlaczego tego wtedy  
nie skończyłaś, Ellen? Bałaś się, że nigdy nie dostaniesz dziecka?

Łyżwiarka wymierzyła w niego pistolet.

- Idź stąd albo wezwę policję. Zrobię to, Pete, przysięgam.

- Staram się tylko ci pomóc, Ellen.

- Nie chcę twojej pomocy.

Rewolwer drżał w jej dłoni. Golding powoli wygrzebał się z dołu.

- To Bob? - zapytał.

- Idź sobie!

Golding nie potrafił się jednak powstrzymać.

- Jezu, Ellen, nie rozumiesz? Ten człowiek to morderca, fanatyk. Nie  
możesz go do niczego przekonać. Nie możesz się z nim targować. Ani wte-  
dy, ani teraz. Możesz tylko...

- Zabić go? O to chodzi? I ty możesz to dla mnie załatwić?

- Nie o tym...

- I wtedy powinnam być ci wdzięczna, zgadza się? Odwrotnie niż Mad-  
dy Olsen? Taki masz plan, Pete?

Golding wyprostował się. Na chwilę przed oczami stanęła mu twarz  
Maddy, zgroza i odraza w jej spojrzeniu, wywołana widokiem leżącego u jej  
stóp martwego McGinleya.

- Nie wiesz, o czym mówisz, do cholery!

- Wszyscy wiedzą, Pete. Wszyscy wiedzą że kręciłeś się koło jej domu  
nawet po tym, gdy cię wywaliła. Chryste, byłeś gorszy od McGinleya.

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Gorszy od...? - Musiał przełknąć ślinę. - Tak mówią ludzie? Cóż...

- Wymierzył w nią palec, drżąc z gniewu. - Cóż, Ellen, dla twojej informa-  
cji: byliśmy kochankami. Kochankami. Właśnie. Przynajmniej mnie się tak  
wydawało. Parę razy się pieprzyliśmy, a ja wbiłem sobie do głowy, że to  
coś znaczy. Potem się mną znudziła i pokazała mi drzwi. A ja nie potrafi-  
łem tego znieść, bo mi się to wydawało okrutne, cholernie okrutne, bo... bo  
wciąż ją kochałem. - Opuścił rękę i zamilkł na chwilę, by się opanować. -  
Może i byłem głupcem, ale, do cholery, na pewno nie czyni to ze mnie  
psychopaty - dodał.

Odszedł parę kroków od dołu, potknął się, odwrócił i ruszył w stronę  
podjazdu.

Część czwarta

# Nieskończoność

**Czwartek, 26 sierpnia**

**D**oktor Richard Thomsen odłożył słuchawkę i przez chwilę rozglądał się po swoim gabinecie. Sycił oczy widokiem wyściełanych mebli, szafek na dokumenty, abstrakcyjnych obrazów i rozwieszonych na ścianach certyfikatów, udowadniających, jak daleko zaszedł od ukończenia akademii medycznej. Ni z tego, ni z owego przyszło mu do głowy pytanie, jak budynek zniosłby trzęsienie ziemi. Cóż, prawdopodobnie pokój i jego zawartość wylądowałyby na środku Newport Centre Drive. Przed oczami pojawiła mu się wizja pędzonych wiatrem wzdłuż ulicy akt klientek - tak realistyczna, że musiał potrząsnąć głową, by się od niej uwolnić. Wstał i podszedł do okna. W oddali brunatna linia za wzgórzami znaczyła obecność niewidocznej stąd autostrady do San Diego. Thomsen odgarnął sztywne włosy znad pobrużdżonego czoła, starając się zdusić narastającą panikę. Wmawiał sobie, że zawsze wiedział, iż taka chwila nadejdzie... ale i tak nie był na coś takiego przygotowany. Poobserwował wojskowy samolot transportowy podchodzący do lądowania w bazie El Toro, po czym wrócił za biurko i nacisnął klawisz interkomu.

- Janet? Przekaż doktorowi Kelnerowi, że chcę go natychmiast wiedzieć.

Piętnaście minut później Henry Kelner wszedł do gabinetu. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, chociaż lekko zirytowanego. Miał pięćdziesiąt lat, opaloną twarz i ważył zaledwie kilogram więcej niż po ukończeniu akademii medycznej.

- Mam być na sali operacyjnej o jedenastej - powiedział z ledwie wyczuwalną pretensją. Spojrzeniu jego szarych oczu nie umknęła zaczerwieniona

twarz Thomsena i kręgi potu pod jego pachami. - O co chodzi? Nie mogłeś z tym poczekać do obiadu?

- Właśnie miałem telefon od jednej z naszych dawnych klientek - odparł Thomsen, zapraszając go gestem, żeby usiadł.

- Tak?

- Od Ellen Cusak.

Kelner pokiwał głową, najwyraźniej jednak niewiele to dla niego znaczyło. Jego pamięć funkcjonowała w cyklu lat podatkowych; poza nimi przeszłość była dla niego tylko serią punktów na krzywej wzrostu zarobków.

- Przyjęto ją do nas... - Thomsen zajął się leżącą na biurku otwartej teczki - ..jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Kelner zmrużył oczy, przypominając sobie ten okres.

- To było, zanim...?

- Tak, właśnie wtedy. Tuż przed naszym małym problemem. - Thomsen umilkł. Doktor Kelner poprawił się w fotelu. - Ellen Cusak zamierza przyjechać, żeby się z nami zobaczyć. Będzie tu za godzinę.

- Po co? Czego chce?

- Wbiła sobie do głowy dziwny pomysł. A może powinienem powiedzieć, że ktoś jej go podsunął.

- Jaki znowu pomysł? - warknął Keller, nie potrafiąc dłużej ukrywać wzburzenia.

- Wydaje się jej, że ma dziecko.

Po jeździe autostradą bulwar MacArthura wydawał się dziwnie pusty. Golding starał się zachować jak największą odległość od sportowego mercedesa, rozplywającego się i niknącego w mgiełce żaru. Po opuszczeniu domu Ellen zeszłego wieczoru pojechał do domu, przeklinając swoją głupotę. Zrobił to, czego najbardziej pragnął uniknąć: zraził ją do siebie. Całą noc próbował pozbyć się tej natrętnej myśli i zmusić do snu, ale o czwartej nad ranem zrezygnował z daremnych starań. Zaparzył sobie kawy w ekspresie przy szarym świetle brzasku i wypił jej tyle, aż zaczęły mu drżeć ręce. Pojechał wreszcie pod dom Ellen i zajął pozycję obserwacyjną. Przyglądając się, jak słońce rozświetla coraz bardziej jej ukryty ogród, zrozumiał, że wkroczył w nową i niebezpieczną fazę. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi nic na to poradzić. Podobnie jak w przypadku Maddy Olsen, zdoła jej pomóc tylko wtedy, jeśli będzie przebywał w pobliżu.

Golding zmieniał nieustannie pas ruchu, pilnując, by utrzymywać się parę samochodów za mercedesem. Mknęli w stronę Corona Del Rey. Strzałka szybkościomierza oscylowała między stu dwudziestoma a stu trzydziestoma kilometrami na godzinę. Dokądkolwiek jechała Ellen, bardzo się spieszyła.

- Ale to w niczym nie przypomina sprawy UCI - powiedział krążący po gabinecie Kelner. - Tamten facet... jak mu było?

- Asch. Doktor Asch.

- Asch rzeczywiście zdołał wykraść materiał i sprzedał go osobom postronnym. Na miłość boską, zwiął do Meksyku.

- Możliwe, ale jeśli chodzi o interesy, to żadna różnica - odparł Thomsen. - W grę wchodzi przecież coś takiego, jak obowiązek nadzoru. Nie twierdzą, że powinniśmy złożyć broń, Henry. Mówię tylko, że jeśli nie załatwimy tego jak należy, to po nas.

- Dlaczego po upływie tak długiego czasu ta Cusak chce robić kłopoty? - Kelner przymknął na chwilę oczy. - O co jej chodzi?

- Prawdopodobnie o pieniądze.

Kelner zgadzał się z nim. Problem stawał się dla niego łatwiejszy do ogarnięcia, jeśli dawało się go wyrazić w dolarach.

- Innymi słowy, może dobić z nami targu - stwierdził.

Golding przyglądał się, jak Ellen wjeżdża na parking. Pojechał jeszcze kawałek Newport Center Drive, skręcił dwukrotnie w prawo i zjechał od drugiej strony drogi dojazdowej, w którą skręciła Ellen. Mercedes stał ukosem, zajmując dwa miejsca na parkingu. Pete pokonał oddzielający parking od chodnika niski murek dokładnie w chwili, gdy Ellen zniknęła we frontowym wejściu budynku. Zmusił się do odliczenia do dwudziestu, zanim ruszył jej śladem.

W wyłożonym marmurem holu panował ziąb jak w chłodni. Golding wszedł ostrożnie do środka, po czym ruszył w stronę wind. Jedna z nich jechała w górę.

- Przepraszam... - Golding odwrócił się i zobaczył uśmiechniętego nastolatka w uniformie. - Mogę w czymś pomóc?

Pete obejrzał się z powrotem na drzwi windy. Zatrzymała się na ósmym piętrze.

- Proszę pana?

Chłopak wciąż się uśmiechał, ale nietrudno było dostrzec, że wymięte ubranie i dwudniowa szczecina na twarzy Goldinga budziły w nim niepokój.

- Szukam siedziby firmy Bernstein-Beekman - powiedział Pete pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

- Bernstein-Beekman? Co to, kancelaria prawna?

- Zgadza się - odparł Golding. - Zajmują się głównie rozwodami, sporami o prawa opiekuńcze.

Chłopak odwrócił się i zaczął studiować spis firm w budynku, wywieziony na pleksiglasowej tablicy nad biurkiem recepcji. Golding również zabrał się do lektury, wyszukując nazwy wszystkich firm na ósmym piętrze.

- Przykro mi, proszę pana. Chyba pomylił pan budynek.
- Przysiągłbym, że podano mi właśnie ten adres. - Golding podszedł do recepcji, skrobiąc się po głowie. - Jak często aktualizujecie tę tablicę?

Nastolatek rzucił mu spojrzenie świadczące, że zaczyna coś podejrzawać. Golding spojrzął na pierwszą nazwę firmy z siedzibą na ósmym piętrze: „Zespół adwokacki Carlyle i Rowe”. Czy tego szukała Ellen? Prawnika? Przyszło mu do głowy, że może chciała wystąpić z pozwem przeciwko Alpha Global. Pewnie zamierzała zaskarżyć agencję, że zatrudniony w niej szajbnięty prywatny detektyw nie chce się od niej odczepić - i proszę bardzo, właśnie w tej chwili stał w holu. Pod nazwiskiem Carlyle'a Golding dostrzegł jednak następną nazwę: „Klinika Harper Trust (rejestracja)”.

Odniosł wrażenie, jakby w głowie zapaliło mu się światełko.

- Obawiam się, że w niczym nie mogę panu pomóc. Proszę pana? Golding wycofał się.
- Nic się nie stało - powiedział. - Chyba to moja pomyłka. - Po chwili zatrzymał się i przyłożył dłoń do czoła. - Nie, chwileczkę. Na ósmym piętrze. Ósmym. Tak właśnie mi facet powiedział.

Chłopak wszedł za biurko i wyciągnął obszarpany rejestr.

- Przykro mi, proszę pana. Na ósmym piętrze mieszczą się tylko dwie firmy - Podniósł wzrok. - Żadna z nich nie nazywa się tak, jak pan mówił.

Golding wyszedł z powrotem na topniejący w upale asfalt. Podniósł wzrok ku oknom ósmego piętra, starając się domyśleć, za którymi mieści się klinika, a za którymi - kancelaria prawnicza. Usiłował zrozumieć, po co, u diabła, Ellen wybrała się tam, gdzie niegdyś ją leczono.

- Wprowadź ją - powiedział Thomsen, pochylając się nad interkomem. Rzucił Kelnerowi znaczące spojrzenie i wygładził krawat. Kelner z głupią miną siedział rozwalony na kanapie. Drzwi się otworzyły i weszła Ellen Cusak. Wyglądała, jakby przed chwilą płakała.

- Wspaniale znów cię widzieć, Ellen - powiedział Thomsen, wyciągając dłoń.

## 34

Tego popołudnia w biurze Golding podłączył się do Internetu. Odnalezienie tego, czego szukał, zajęło mu pięć minut. Klinika Harper Trust miała własną witrynę w Internecie - pięć stron, zawierających informacje

o wykonywanych w niej zabiegach i o personelu. Golding zaczął przeglądać strony.

„Kłopoty z poczęciem dziecka dotyczą dziesięciu do piętnastu procent par, pragnących mieć dzieci. Mogą one mieć przyczyny fizyczne lub psychologiczne. Te ostatnie nie są rzadkie, mogą wiązać się z emocjami i obawami, o których te pary często nie chcą wspominać rodzinie, przyjacielom i lekarzom”.

Pod „przewodnictwem” doktora Richarda Thomsena ośrodek zapewniał - jak twierdził - najnowocześniejszą terapię z udziałem ginekologów, urologów, endokrynologów, psychiatrów, psychologów i innych specjalistów, „wzywanych w razie potrzeby na konsultacje w trakcie dwustopniowego programu diagnostyki i terapii”. Etap diagnostyczny polegał na przeprowadzeniu wskazanych badań z zestawu, obejmującego sonografię, biopsje, prześwietlenia rentgenowskie, analizę nasienia, badania przeciwciał i interakcji spermy oraz wymazu z szyjki po stosunku, jak również obszerną ocenę psychologiczną. Cały proces mógł trwać nawet kilka miesięcy - dopiero później następowała terapia.

Golding wydał komputerowi polecenie drukowania. Zmrużył oczy, wpatrując się w popołudniowe słońce. Był ciekaw, jak wypadła ocena psychologiczna Ellen Cusak. Zastanawiał się, czy doktor Thomsen i jego koledzy doszli do tego samego wniosku co agencje adopcyjne, a mimo to zaoferowali swoje usługi. Zmienił stronę na monitorze i odczytał listę proponowanych metod leczenia. U kobiet obejmowała ona mikrochirurgię, chirurgię laserową zastosowanie hormonów i leków oraz metody, o jakich Golding nigdy nie słyszał: Program Lecznicy GIFT - na czymkolwiek polegał, śród-cytoplazmatyczne wstrzykiwanie plemników oraz inkubację embrionów. Pete był ciekaw, z których metod skorzystała Ellen. Próbował sobie wyobrazić, jak się czuła podczas miesięcy badań, testów, przyjmowania leków, może zabiegów chirurgicznych; z jakim utęsknieniem wyczekiwała na pozytywny rezultat. Zastanawiał się, co oznaczało dla nieśmiałej dziewczyny, nie mającej nawet dwudziestu lat, ustawiczne poddawanie się badaniom i oględzinom obcych ludzi - sądząc po liście personelu, bez wyjątku mężczyzn. Jak przebiegła długa droga, zakończona najwyraźniej niepowodzeniem.

Życiorys zawodowy doktora Thomsena był godny podziwu - tak przynajmniej się prezentował. Szef kliniki ukończył w siedemdziesiątym siódmym roku Szkołę Medyczną imienia Jeffersona w Filadelfii, po czym odbył staż badawczy z położnictwa i ginekologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Był członkiem założycielem Towarzystwa Chirurgii Ginekologicznej oraz „wiodącym badaczem” w licznych próbach klinicznych metod doprowadzania do zapłodnienia, prowadzonych za aprobatą FDA. Thomsen

założył klinikę Harper Trust w osiemdziesiątym dziewiątym roku. Jego kolega, doktor Henry Kelner, miał podobne kwalifikacje. Ze stron w Internecie wynikało jasno i wyraźnie: klinika Harper Trust była przodującą placówką w dziedzinie leczenia bezpłodności. Nie wspomniano tylko o kosztach. Golding nie orientował się, ile może kosztować kuracja jednej pary, był jednak gotów założyć się, że co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Oznaczało to zamożną klientelę - co było bardzo prawdopodobne, zważywszy na adres w okręgu Orange. Ludzi, którzy ściągali na siebie uwagę, choć zapewne w tym przypadku starali się jej uniknąć. Z drugiej strony była to jednak tylko klinika leczenia bezpłodności, a nie oddział detoksykacji czy klub AA. Jak trudno było się tam dostać, jeśli naprawdę się tego chciało? Golding odchylił się na oparcie fotela i pomyślał o nerwowym nastolatku, którego spotkał w holu. Był ciekaw, jak dobrze jest chroniona siedziba kliniki.

## 35

### Piątek, 27 sierpnia

**G**olding? Nic ci nie jest?  
Andrea Craig obesła biurko recepcyjne.

- Pewnie, że nic - odparł Pete. - Dlaczego miałoby mi coś być?

Idąc za jej wzrokiem, spojrzał na swoje wymięte spodnie i sfatygowane buty. Zdał sobie sprawę, że ostatnimi czasy nie wywiera najlepszego wrażenia. Nie spuszczać z niego oka, Andrea nacisnęła klawisz interkomu. Rozległ się opryskliwy głos Reynoldsa; wyglądało na to, że właśnie był czymś pochłonięty.

- Przyszedł pan Golding.

- Wpuść go od razu.

Golding popatrzył na zegar nad biurkiem recepcjonistki. Wpół do jedenastej. Późno, ale bez przesady. Ta praca polegała na czymś innym niż na punktualności.

Andrea wciąż przyglądała mu się zza barykady biurka.

- Pan Reynolds powiedział...

- Że mam wejść od razu. Słyszałem.

Wkroczył do podzielonej przegródkami sali, w której Denison i Ross, bez marynarek i w rozluźnionych krawatach, tkwili nad telefonami. Mijając swoje biurko, Golding zauważył na monitorze komputera samoprzylepną karteczkę. Nabazgrano na niej: „Hagmeier, 9.20”. Pete popatrzył przez

korytarz w stronę gabinetu Reynoldsa. Przez na wpół uchylone drzwi widać było szefa agencji, jak przerzuca papiery na wielkim biurku; pewnie chciał wyglądać na zapracowanego w chwili wejścia podwładnego.

Golding podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Hagmeier. Słucham?

- 'Lany? Cześć, tu Pete Golding. Dzwoniłeś do mnie.

- Nie, to ty dzwoniłeś. Odebrałem twoje wiadomości. W ciągu ostatnich paru dni było tu trochę roboty, więc cię nie łąpałem. No, co masz dla mnie? Jakiś soczysty kasek na temat trenerki łyżwiarstwa?

- Nie... - Golding usiłował się rozeźmiać. - Chciałem się tylko dowiedzieć, co słychać. Miałeś szczęście przy sprawdzaniu lodowisk?

- Och, oczywiście rzuciliśmy się na trop, na który tak błyskotliwie wpadłeś. Niestety, nic z tego. Było parę możliwości, ale nie wypaliły.

Golding pokiwał głową, starając się zdecydować, czy to dobra wiadomość, czy odwrotnie.

- Dajesz sobie z tym spokój? - zapytał.

- Jeszcze nie. Kiedy tylko doktor Galio upora się z robotą, zaczniemy obchodzić z rekonstrukcją wszystkie lodowiska i kluby łyżwiarskie w całym stanie. Zobaczymy, czy ktoś rozpozna naszą panią. Jeżeli zdołamy, pokazemy ją też w prasie i telewizji.

Golding usłyszał za plecami chrząknięcie Reynoldsa. Odwrócił się i zobaczył, że szef patrzy na niego z kwaśną miną. Pete odwrócił się znowu.

- Właśnie, głowa - powiedział, zniżając głos. - Jak postępuje rekonstrukcja?

- Powinna być gotowa jeszcze przed południem. Galio mówiła z zachwytem o rezultatach.

- Naprawdę?

- Tak, a zwykle jest w tych sprawach raczej powściągliwa. A zatem...

- Czytałem, że ma imponujące osiągnięcia. Około siedemdziesięciu procent sukcesów, prawda?

- Nic o tym nie wiem, ale zważywszy na to, jak przebiega śledztwo, z wdzięcznością przyjmujemy wszystko, co może pomóc.

Golding wyobraził sobie, co będzie dalej: twarz na ekranach telewizorów, na plakatach, w prasie. Telefony od ludzi. Pewna identyfikacja w ciągu kilku dni. Powiązanie ofiary z Ellen - ustalenie, że była jej przyjaciółką lub wielbicieleką, że widywano je razem. Pete czuł jednocześnie niecierpliwość i dławiący lęk.

- Pete? - rozległo się zza jego pleców.

Odwrócił się. W drzwiach biura, trzymając się pod boki, stał Reynolds.

- Galio pracuje na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, prawda?

- Tak, w katedrze antropologii.

- Myślisz, że miałaby coś przeciwko, żebym popatrzył na jej robotę?  
- Marcia? Na pewno nie. - Hagmeier zakrył chyba słuchawkę dłonią, bo przez chwilę słychać było, jak rozmawia z kimś stłumionym głosem. Po chwili policjant zwrócił się znów do niego: - Daj mi znać, jeśli uznasz, że wygląda znajomo... to znaczy podobizna. Zadzwoń do mnie, jeżeli coś ci zaświta, dobrze?

- Jasne, Lany.

Odłożył słuchawkę. Reynolds skinął krótko głową na znak, że jego zdaniem był już na to najwyższy czas. Zawrócił do swojego gabinetu, najwyraźniej oczekując, że Golding pójdzie za nim.

Katedra antropologii na Uniwersytecie Południowej Kalifornii mieściła się w siedmiopiętrowym budynku z czerwonej cegły w centrum miasteczka akademickiego, obok zbrązowiałego trawnika, służącego jako improwizowane boisko piłkarskie. Tablica naprzeciw windy głosiła, że Pracownia Identyfikacji mieści się na czwartym piętrze, wspólnie z Działem Morfologii. Golding zastał doktor Marcie Galio z kanapką w ręku przy jednym ze stołów roboczych. Przed nią leżały rzędkiem zdjęcia z sekcji. Była szczupła, miała około czterdziestu lat i długie, jasne włosy, przetykane siwizną. Pete przedstawił się i powiedział, że Lany Hagmeier zasugerował mu, żeby tu wpaść.

- Jest pan fotografem? - zapytała doktor Galio, nie przestając żuć.

- Fotografem?

- Czekamy na fotografa z laboratorium kryminalistyki - odparła. - Miał tu być godzinę temu.

- Przykro mi, ale to nie ja.

Marcia Galio wytarła palce w papierową serwetkę.

- Pewnie ma inną sesję zdjęciową - uznała, patrząc na zwłoki na fotografiach. - Czego chce się pan dowiedzieć?

Golding powiedział, że jest prywatnym detektywem i współpracuje z Hagmeierem przy „sprawdzeniu tropów”. Doktor Galio wstała.

- Widział pan już coś podobnego?

- Widziałem kilka lat temu parę rekonstrukcji w telewizji, na kanale A&E, i to wszystko.

- Wiele się od tego czasu zmieniło - odparła. - Niech pan idzie za mną.

Przeprowadziła go przez obszerną jasną salę, podzieloną ławami i wysokimi metalowymi regałami na oddzielne stanowiska. Ten podział zdawał się wzmagać panujący tu hałas. Z boku sali stał komputer z dużym, osiemnastocalowym monitorem. Doktor Galio nacisnęła klawisz i nagle pojawił się na nim pozornie trójwymiarowy obraz czaszki w odcieniach bieli i szarości.

Zwłokom „NN - kobiety, nr 273” brakowało kilku zębów trzonowych po prawej stronie.

- Skanujemy czaszkę laserowo i wprowadzamy dane do komputera. Następnie dokonujemy rekonstrukcji, posługując się znanymi wartościami średnimi grubości tkanek miękkich. Korzystamy przy tym z różnych cech anatomicznych, zwanych punktami topograficznymi. - Doktor Galio punktowała wypowiedź naciskaniem na klawisze; czaszka na ekranie pokrywała się kolejnymi partiami ciała. - Taka metoda ma dodatkową zaletę: możemy zmieniać parametry, uwzględniając wszelkie dodatkowe dane, jakimi dysponujemy na temat ofiary; wiek, wagę, rozmiar ubrania i tak dalej. Nazywamy to dystorsją objętościową. Cały czas uaktualniamy bazę danych, dotyczących punktów topograficznych.

- A więc w tej chwili mamy przed sobą przeciętną twarz, powstałą na podstawie parametrów czaszki, tak?

Nie brzmiało to zbyt obiecująco.

- To punkt wyjścia. W tym przypadku jednak wiele się dowiedzieliśmy o zamordowanej kobiecie, więc odpowiednio dostosowaliśmy grubość i kształt tkanek.

Golding zaczął się zastanawiać, kiedy ujrzy ostateczny rezultat. Obawiał się, że będzie to wyglądało jak cybertwarz z gry wideo. Zauważył po prawej figurę przypominającą popiersie przykryte białym płótnem. Doktor Galio wyjaśniła, że jej zespół przystąpił do stworzenia modelu głowy z pomocą profesora Ridleya Taylora z Akademii Sztuki i Wzornictwa.

- Rid to spec, jeśli chodzi o fakturę skóry, włosy i pigmentację. Sprawia, że model naprawdę ożywa.

Pojawił się sądowy fotograf, Leo Nash.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, odstawiając na bok wielkie metalowe pudło. - A więc to jest ta głowa?

- Tak. - Doktor Galio odwróciła się od ekranu. - Właśnie tłumaczyłam...

- Świetnie. No to jedziemy.

Nie czekając na pozwolenie, Nash zdjął płótno. Oczom Goldinga ukazała się głowa kobiety. Była tak realistyczna, że wzdrygnął się, niemal czując jej obecność. Faliste, rudobrazowe włosy opadały do miejsca, gdzie u żywej kobiety byłyby barki. Miała brązowe oczy - nieco zbyt blisko osadzone, by można ją uznać za piękność - i lekko spłaszczoną nasadę nosa, jakby został kiedyś złamany. Wpatrywała się przed siebie z natężeniem krótkowidza. Była to twarz kobiety, której odbicie Golding dojrzał w drzwiach na patio. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Przypomniał sobie jej blade ramiona, przedstawiający płatek śniegu wzór na koszulce, śpiewny głos: „Pokaż mamusi, co potrafisz”.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Po chwili ożył flesz aparatu Nasha; fotograf okrążył głowę z jednej strony, następnie przeszedł na drugą.

- Oczywiście kolor oczu to tylko domysł - dodała doktor Galio. - Musielibyśmy zrobić analizę jej DNA, by wiedzieć, jaki był naprawdę.
- Chwileczkę - powiedział Golding. - O czymś zapomniałście.
- O czym?
- Powinna mieć okulary.

Golding ledwie zdążył przekroczyć próg biura, gdy Andrea poinformowała, że Reynolds chce go natychmiast widzieć. Wiedział, że czekają go poważne kłopoty, ale nie potrafił się tym przejąć. Miał tylko nadzieję, że Ellen nie złożyła na niego skargi.

Gdy Golding wszedł do gabinetu, Reynolds podniósł na chwilę wzrok znad papierów i zaraz wrócił do pracy.

- Przepraszam - powiedział Pete. - Wypadło mi coś... co musiałem od razu załatwić.

Reynolds tylko skinął głową, wciąż przeglądając dokumenty.

- Wyglądasz, jakbyś nie spał całą noc, Pete - powiedział, nie podnosząc wzroku.

- To przez ten upał - odparł Golding. - Nie mogę spać w tym gorącu.

- Istotnie. Upał. Tak... - Wyglądało na to, że Reynolds chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Odłożył wreszcie energicznym ruchem pióro i odchylił się w fotelu. - Pojechałeś w ubiegłym tygodniu zobaczyć się z panią Sayers?

Minęła chwila, zanim Golding zorientował się, o czym szef mówi. Wreszcie przypomniał sobie martwego psa.

- Oczywiście.
- Wygląda na to, że jej mąż złamał zakaz odwiedzin, o który się postaraliśmy.
- Pani Sayers sądzi, że to on przejechał psa, nie wie jednak na pewno. To mógł być każdy.
- Twierdzi, że nie okazałeś współczucia ani chęci pomocy.

Golding skrzyżował ramiona na piersi. Nie potrafił uwierzyć, żeby Reynolds tak się tym zdenerwował, że chciał go natychmiast widzieć.

- Przedstawiłem jej po prostu fakty. Nie możemy ściagać jej męża, jeśli nie udowodnimy, że tam był. Chyba że odzyskamy jego samochód, sprawdzimy, czy na oponach jest krew psa, i oddamy ją do analizy laboratoryjnej. Osobiście uważam, że pani Sayers popada w lekką paranoję.

- Cóż... - Reynolds uśmiechnął się chłodno. - Powinniśmy chyba pozostawić Frankowi stawianie takich diagnoz, prawda? Zresztą, czy pani Sayers

jest paranoiczką czy nie, pozostaje naszą klientką. Dlatego właśnie chcę, żebyś dzisiaj po południu pojechał do niej jeszcze raz i porozmawiał z nią o każdym szczególe: o zabezpieczeniach, o wszystkim.

Golding poczekał chwilę na dalszy ciąg, ale Reynolds zamilkł.

- To wszystko?
- Nie, nie wszystko. Rozmawiałem przedwczoraj z Neilem Blackwoodem. Uważałem, że toja zasugerowałem, żebyś do niego zadzwonił.

No tak: podstęp się wreszcie wydał. Golding wlepił wzrok w swoje stopy.

- W takim razie odniósł błędne wrażenie.
- Powiedział mi też, że interesują cię nie zidentyfikowane zwłoki, które znaleziono na terenie posiadłości pani Cusak.

Golding podniósł wzrok i przez chwilę patrzył Reynoldsowi w oczy.

- Tak, mam w tej sprawie parę teorii. Myślałem, że mogę pomóc.
- Blackwood powiedział, że twoim zdaniem ofiara była w jakiś sposób związana z panią Cusak.
- Nigdy tego nie twierdziłem.
- W takim razie skąd to zainteresowanie?
- Ponieważ... ponieważ moim zdaniem to ciekawe.
- Nie dla nas, Pete. Nie dla nas. Klienci nie płacą nam za rozkopywanie ich podwórek.

- To żart?

- Nie, Pete. To nie żart. - Reynolds pobladł, na policzku zadrgał mu mięsień. Poprawił się w fotelu i oparł łokcie na biurku. - Pete, czy spotykasz się... to znaczy, czy śledziłeś panią Cusak?

Goldingowi nagle zaschło w ustach. Zaprzeczył machinalnie. Rozejrzał się po gabinecie, popatrzył na gablotę wypełnioną szarfami, odznakami i pozłacanymi kajdankami, na oprawione dyplomy, równe stosy dokumentów, protokoły konferencji i seminariów. Była to cienka powłoka ładu, rozciągnięta nad chaosem i rozpaczą.

Reynolds powiedział tymczasem matowym głosem:

- Mimo to słyszałem różne rzeczy, Pete. Rozumiesz, o co mi chodzi?
- To moja sprawa, co robię w wolnym czasie - warknął Golding.
- Uświadomił sobie, że przeholował. Polemika z szefem za chwilę zmieni się w kłótnię. Reynolds wpatrywał się w niego zimnym wzrokiem.
- Nie, Pete, mylisz się. Nasi klienci to nasz interes.
- Ellen Cusak nie jest już przecież naszą klientką, prawda? Sam pan tego dopilnował.

- Znow się mylisz, Pete - potrząsnął głową Reynolds. - To ona się o to postarała. Klientka z nas zrezygnowała. Tak samo jak Madeleine Olsen. - Reynolds nabierał rozpędu. - Widzisz, na tym właśnie polega twój problem, Pete. Nie wyczuwasz różnicy. Nie wiesz, na czym stoisz. - Szturchnął



powietrze palcem. - Prawdę mówiąc, nie znasz się ni cholery na swojej robocie.

Przez chwilę w gabinecie panowała całkowita cisza. Przerwał ją Golding.

- No to co? Zwalnia mnie pan?

Reynolds odsunął się od biurka.

- Skoro już o tym mówimy, to tak. Do diabła, zwalniam cię. Dokładnie tak.

## 36

Nawet mimo zamkniętych drzwi sypialni słyszała krzątającą się po domu z odkurzaczem Marię. Zegar wskazywał pięć po jedenastej, ale Ellen nie potrafiła zmusić się do wstania. Oznaczało to konieczność wzięcia prysznic, ubrania się i uporania ze śniadaniem. Maria na pewno próbowałaby namówić ją do jedzenia, co skończyłoby się kolejną sprzeczką. Ellen nie miała nic w ustach od wizyty w klinice - po prostu dlatego, że nie była głodna.

Spotkanie przebiegło zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Zastanawiała się później, na co właściwie liczyła. Lekarze byli pełni współczucia i zrozumienia. Mówili do niej tak powoli i wyraźnie, jakby miała zaburzenia psychiczne. Doktor Thomsen opowiadał, jacy są dumni ze swojej działalności, jak wyjątkowo rygorystyczny jest wewnętrzny regulamin, uniemożliwiający to, co sugerowała. Kiedy pokazała mu papiery, oświadczył, że nawet jeśli wyniki testów są prawdziwe, mogły pochodzić z kilku źródeł. Brakowało dostatecznych informacji, by dało się sformułować opinię. Thomsen zgodził się przemyśleć tę sprawę i odezwać do Ellen. Opuszczała budynek z przemożnym uczuciem, że spławiono ją zamiast pomóc.

Tego samego wieczoru Sam Ritt zadzwonił, by zmienić termin treningu. Zatelefonowała też Laura Mead i zaczęła opowiadać o jakimś facie, którego ściągnęła na proszony obiad. Lenny chciał się tylko dowiedzieć, co u niej słychać. Ellen za każdym razem pozwalała włączyć się automatycznej sekretarce. Nie miała nikomu nic do powiedzenia.

Maria podeszła do podnóża schodów i zmieniła końcówkę w odkurzaczu. Gardłowy pomruk zamienił się w wysokie wycie, gdy zabrała się do czyszczenia wyściełanych dywanem stopni.

Wpatrując się w sufit, Ellen uświadomiła sobie, że wszystko wokół się zmieniło. Zmieniła się nawet atmosfera w domu. Czuła się, jakby znowu zamieszkał w nim Doug. Wiedziała, że główna sypialnia jest pusta, ale miała

wrażenie, że jest jak dawniej. Czuła, że postępuje niewłaściwie, zajmując jedną z mniejszych sypialni dla gości. Nie wiadomo dlaczego, opanowała ją lęk.

Wypiła szklankę wody w łazience i spróbowała opanować oddech. Weszła na wagę. Przez dwa dni straciła kilogram; ważyła niewiele ponad czterdzieści cztery kilo. Podeszła do szafki z lekami i unikając spojrzenia w lustro, wyjęła prozac.

Wyszła na półpiętro. Maria sprzątnęła już połowę schodów. Nisko schylona, energicznie przesuwiała odkurzacza. Ellen przypatrywała się jej przez chwilę, zastanawiała się, czy służąca zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście.

Ruszyła korytarzem. Chociaż nikt nie korzystał z głównej sypialni, Maria utrzymywała w niej ład i czystość. Łóżko było świeżo pościelone, na mahoniowej komódce stała waza z kwiatami. Ellen usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na ogród. Przysadzista altanka nad basenem przycupnęła wśród drzew. Ruchome cienie liści wzmogły lęk Ellen. To wina Goldinga i jego opowieści o pogrzebanej obserwatorce. Obłąd. Golding był wariatem. Grzebał w ziemi, chciał... Bóg jeden wie, czego chciał. Ellen przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy ściągnął płachtę i wskoczył do dołu. Mimo wysiłków, by o wszystkim zapomnieć, wyobrażała sobie pogrzebane w pionowej pozycji ciało, wpatrujące się w okno sypialni przez ubrudzone ziemią okulary.

Na półpiętrze Maria zgasła odkurzacza. Zdawało się jej, że dzwoni telefon, ale panowała cisza. Po chwili dobiegł ją znizony głos Ellen. Uchyliła drzwi jej pokoju. W środku nie było nikogo. Po chwili znowu usłyszała głos - dobiegał z głównej sypialni. Wyglądało na to, że Ellen się z kimś sprzecza, ale stara się mówić spokojnie. Maria po cichu podeszła bliżej, starając się zrozumieć słowa. Martwiła się o Ellen - bała się, że dzieje się z nią coś złego.

- Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mam pojechać - usłyszała głos pani. - Tak. Tak, będę, tylko... Nie, będę sama. Tak, obiecuję.

Maria była pewna, że szykuje się coś złego. Wyteżyła słuch, ale tym razem bez skutku. Ostrożnie uchyliła drzwi.

Ellen siedziała na łóżku ze słuchawką w rękę. Dygotała. Wyglądała, jakby postradała rozum.

- Czy wszystko... czy coś się stało?

Ellen popatrzyła na nią bez słowa, po czym odłożyła słuchawkę.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. - Wszystko w jak najlepszym porządku. - Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na pusty basen. - Jadę na przyjęcie urodzinowe.

Golding zaparkował na rogu Newport Center Drive. Zmusił się, by wysiedzieć spokojnie chociaż przez minutę z dłońmi na kierownicy. Czuł, że ogarnia go złość i podniecenie, że traci panowanie nad sobą. Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Jackie i słowa, które wypowiedziała przed pożegnaniem: „Kiedyś zrobisz komuś krzywdę”. Ale przecież nie zamierzał nikogo zranić. Miał wprawdzie ochotę urazić uczucia Reynoldsa, powiedzieć mu, co naprawdę myśli, ale wycofał się przed konfrontacją. Siedział teraz nieruchomo w samochodzie, obmyślając, jak pomóc Ellen. Był pewny, że klinika daje mu jedyną szansę posunięcia sprawy naprzód. Musiał wiedzieć, co się w niej wydarzyło, zorientować się, dlaczego Ellen się tam zgłosiła, i zdecydować, jak bardzo mylił się w jej ocenie - ponieważ tak właśnie było. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, w jak wielkim był błędzie.

Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

- Centrum Leczenia Bezpłodności Harper Trust.

- Dzień dobry. Detektyw Raymond Lubett przy telefonie. Mógłbym mówić z Melanie Jackson?

Wyciągnął z kieszeni fałszywą odznakę Lubetta. Zdjęcie na jej odwrocie w niczym go nie przypominało. Emaliowana plakietka z mosiądzu była zauważalnie mniejsza od oryginału. Każdy policjant na świecie natychmiast dostrzegłby różnicę.

- Halo?

- Pani Jackson?

- Przy telefonie.

- Mówi detektyw Raymond Lubett z Wydziału Policji Los Angeles. Jest pani kierowniczką administracji, prawda?

- Zgadza się, proszę pana.

- Czy mogłaby mi pani poświęcić kilka minut?

- Mówi pan, że jest z policji Los Angeles?

- Tak jest, proszę pani. Chodzi o rutynowe dochodzenie. Jestem właśnie w okolicy i pomyślałem, że wpadnę. Zabiorę pani tylko kilka minut.

- Chce pan przyjść tutaj?

Golding zmrużył oczy i popatrzył na elewację z pasów białego betonu i szarego szkła.

- Tak się złożyło, że jestem niedaleko. Oszczędziłbym sobie trochę czasu.

- No cóż... a o co dokładnie panu chodzi?

- Sprawy bezpieczeństwa. Jak powiedziałem, to potrwa tylko parę minut.

- Bezpieczeństwa? Tak, to w pewnym sensie należy do moich obowiązków... Ale jeśli chodzi o coś poważnego, powinien pan porozmawiać z doktorem Thomsenem.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Mogę wyjaśnić to pani osobiście?

- Chyba nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić - odparła Melanie Jackson po chwili wahania.

Wjeżdżając windą na ósme piętro, Golding nie mógł ustać spokojnie. Odwrócił się i popatrzył na swoje odbicie w słabo oświetlonym lustrze. Miał potargane włosy i wyglądał, jakby od kilku dni nie spał. Poczuł tak silny zawrót głowy, aż musiał przymknąć oczy.

Melanie Jackson była czarnoskóra i miała około trzydziestu lat. Krótkie włosy spletała w warkoczyki. Okno jej wąskiego gabinetu wychodziło na parking. Pokój był zapchany szarymi szafkami na akta i wątlami roślinami doniczkowymi. Odświeżacz powietrza w kącie rozsiewał mydlaną, sztuczną woń róż.

- Powiedziałam doktorowi Thomsenowi o pana przyjeździe - stwierdziła pani Jackson, wskazując Goldingowi krzesło z prostym oparciem. - Jest jeszcze w sali operacyjnej, ale powinien wrócić lada chwila.

Golding pokiwał głową, jakby właśnie to chciał usłyszeć. Zauważył na biurku niewielką fotografię w ramce, przedstawiającą trzy- lub czteroletniego chłopczyka w koszulce w czerwoną kratę i żółtej muszce. Poza futrzanym trzmielcem-maskotką, umieszczonym na trzypoziomowej tacy na korespondencję, był to jedyny osobisty akcent w gabinecie.

- Bardzo miło z pani strony, ale nie sądzę, żebym musiał zawracać mu głowę. Jak powiedziałem, chodzi o rutynowe dochodzenie.

Pani Jackson rozejrzała się niepewnie. Golding wyczuł, że ma ochotę poprosić go o okazanie jakiegoś dokumentu potwierdzającego tożsamość, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

- Może chce się pan czegoś napić? - zapytała. - Wody? Kawy?

- Nie, dziękuję. Od jak dawna pani tu pracuje?

- Byłam wcześniej sekretarką doktora Kelnera - odparła, siadając z powrotem za biurkiem. - Tę posadę objęłam półtora roku temu. Razem pracuję tutaj... już chyba siedem lat. - Wzruszyła ramionami, jakby przepraszając za brak ambicji.

- A więc zaczęła pani tu pracować w dziewięćdziesiątym drugim roku?

- Tak, oczywiście. - Złożyła dłonie przed sobą na biurku. - W czym mogę panu pomóc?

Golding obrzucił ją surowym spojrzeniem, mając nadzieję, że wypada przekonująco w roli służbistego policjanta.

- Pani Jackson, zdaje sobie pani sprawę, że istnieją grupy fanatyków, przeciwne takim instytucjom jak ta, w której się znajdujemy?

- Klinikom leczenia bezpłodności?

- Ośrodkom leczenia bezpłodności, klinikom aborcyjnym... wszystkim instytucjom interweniującym w to, co te grupy uznają za boski porządek rzeczy. - Pani Jackson pokiwała głową najwyraźniej odczuwając niepokój. - Cóż, staramy się śledzić działalność tych ugrupowań. Niedawno otrzymaliśmy informację, że jedno z nich planuje akcję na terenie południowej Kalifornii. Uznaliśmy, że warto ostrzec wszystkie możliwe cele i dokonać dokładnego sprawdzenia systemów bezpieczeństwa.

- Och... Tak, rozumiem.

Golding otworzył notes.

- Powinienem zacząć od pytania, czy kiedykolwiek mieliście problemy związane z bezpieczeństwem kliniki. Włamania, inne tego rodzaju incydenty. ..

Pani Jackson zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała.

- Nie, nie sądzę. Przynajmniej niczego sobie nie przypominam.

- Jest pani pewna? Nic nigdy nie zginęło? Musicie mieć tu mnóstwo cennego sprzętu, a do tego dochodzi poufna dokumentacja, no i embriony, prawda?

- Oczywiście, ale wartościowa aparatura jest przeważnie za duża do wyniesienia. Poza tym nie mam pojęcia, gdzie złodzieje mogliby ją sprzedać. Przecież to nie kolorowe telewizory.

- Ale macie fachową ochronę?

- W nocy zawsze ktoś pilnuje budynku.

- Posłużę się przykładem. Założmy, że chciałbym się włamać do pomieszczeń, w których przechowujecie materiały. Powiedzmy, że jestem jednym z tych religijnych fanatyków i chcę odłączyć zasilanie, żeby zabić zarodki. Jeśli zdołam poradzić sobie ze strażnikiem, to co może mnie jeszcze powstrzymać?

Pani Jackson przechyliła głowę na bok i zastanowiła się głęboko.

- Cóż, po pierwsze, musiałyby pan mieć kartę magnetyczną, żeby wejść do laboratorium, tam, gdzie trzymamy żywe materiały. Jedyni ludzie, którzy mają karty, to grupa laborantów... jest ich w tej chwili trzech... no i oczywiście doktor Thomsen i doktor Kelner. Nawet mnie nie wolno samej wejść do laboratorium, bo mogłabym coś popsuć - uśmiechnęła się. - Tak tu właśnie jest. Można wchodzić tylko tam, dokąd ma się zezwolenie, i nigdzie więcej. Częściowo z powodu naszych pacjentów. Spodziewają się dyskrekcji.

Golding popatrzył na czystą stronę notesu. Przed przyjazdem tutaj był całkowicie pewien, że zna już wszystkie odpowiedzi, że wie, co się zdarzyło. Tymczasem albo Melanie Jackson umiała pierwszorzędnie kłamać, albo się fatalnie pomylił. Zastanowił się, czy jest możliwe, żeby Thomsen i jego partner ukryli prawdę przed kierowniczką administracji. A może nawet sami jej nie znali? Musiał pogrzebać nieco głębiej.

- Rozumiem - powiedział. - Cóż... to chyba wszystko. Nic się nie stanie, jeśli rozejrzę się po laboratorium?

Pani Jackson popatrzyła na niego z powątpiewaniem na twarzy.

- Hmm... Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby zdecydował o tym doktor Thomsen.

Golding wstał.

- Szybko się uwinę, proszę pani.

Laboratorium mieściło się tam, gdzie dwie sale operacyjne - na dziewiątym piętrze. Golding i pani Jackson musieli włożyć rękawiczki i maseczki, zanim zwalsty laborant w okularach o czarnych oprawkach i ze zwichrzoną, siwą czupryną otworzył przed nimi elektronicznie zamykane drzwi. Sala była o wiele mniejsza niż pracownia doktor Galio na uniwersytecie, wydawała się jednak równie nowoczesnie wyposażona. Z boku stał rząd stalowych szafek, zaopatrzonych w cyfrowe czujniki temperatury i wilgotności. Na stołach tłoczyły się wielkie białe mikroskopy, wirówki i inne, na oko drogie aparaty. Pracowało przy nich dwóch pozostałych laborantów.

- George Margolis - przedstawiła mężczyznę Melanie Jackson. - George, to detektyw Lubett z policji Los Angeles.

- Dzień dobry - Margolis popatrzył na wyciągniętą dłoń Goldinga. - Och, tego tutaj nie robimy. No, co zmalowałaś, Melanie? - powiedział ze śmiechem.

- Nic... na razie - odparła pani Jackson. - Detektywa Lubetta interesuje, jak wyglądają nasze zabezpieczenia. Chciał wiedzieć, czy nie grożą nam religijni fanatycy.

- Chyba nie... z wyjątkiem Wendy Taylor. Jest baptystką Południa.

Golding rozejrzał się po sali i spróbował sobie wyobrazić, jak można by się do niej włamać. Przez okna lub przewody wentylacyjne? Wydawało się to nierealne. Okna się nie otwierały, a szyby były wąskie i przykryte drobną stalową siatką. Nikt nie mógł liczyć, że dostanie się do środka i opuści laboratorium niepostrzeżenie. Pete odwrócił się do Margolisa. Zdecydował się podejść do interesującego go tematu od innej strony.

- Żeby pracować tu jako laborant, musi pan mieć odpowiednie kwalifikacje, prawda?

- Oczywiście. Nie można przyjść tu po prostu z ulicy.  
A gdyby pan sfałszował dokumenty, które je poświadczają?

- Wcześniej czy później ktoś by to wykrył - wzruszył ramionami Margolis.

- Czy kiedykolwiek się to zdarzyło?

- Tutaj? - Margolis zmarszczył brwi. - Nie ma szans. Mamy bardzo doświadczony zespół. To normalni ludzie, większość z nich pracuje tu ładnych parę lat. Nie sądzę, żebyśmy mieli jakichkolwiek religijnych fanatyków. Golding zapisał w notesie: „Lata?”.

- Ładnych parę lat? To znaczy?

- Och, chyba nie przyjęliśmy żadnego nowego laboranta od... dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Melanie Jackson miała zdziwioną minę. Pewnie zastanawiała się, do kąd zmierzają te pytania. Zresztą Golding sam uznał, że donikąd. Pomysł, że chodziło o kogoś zatrudnionego w klinice, zdawał się nie przystawać do faktów.

- Cóż, dziękuję - powiedział, zbierając się do wyjścia. - Byliście państwo naprawdę pomocni.

Dotarli do drzwi.

- Aha, jeszcze jedno - rzekł Golding. - Zabrzmi to pewnie dziwacznie, ale czy ktoś z waszych pracowników jest miłośnikiem łyżwiarstwa figurowego? Fanem którejś z łyżwiarek: Michelle Kwan, Tary Lipiński, coś w tym rodzaju?

Margolis i pani Jackson pokręcili głowami.

- Nie przypominam sobie - powiedziała kobieta. - Pewnie wielu ludzi ogląda łyżwiarstwo w telewizji, ale czy ktoś od nas jest jego wielkim miłośnikiem? Nie, nie sądzę.

- Chyba że Stacey Rudnick - rzekł Margolis.

Na chwilę zapanowało milczenie.

- Stacey jak?

- Stacey Rudnick. Kilka lat temu pracowała tu jako higienistka, czyli po prostu sprzątała. - Margolis obejrzał się na panią Jackson, jakby spodziewał się reprimendy. - Co prawda tutaj oznacza to coś więcej niż zwykłe odkurzenie. Na niektórych stanowiskach wymagana jest całkowita sterylność. Tak czy inaczej, Stacey była wielką miłośniczką Ellen Cusak. - Golding miał wrażenie, jakby serce nagle przestało mu bić. - Dlaczego pan pyta? Interesuje to pana?

Tym razem pani Jackson wyglądała na zupełnie zdezorientowaną.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Sugeruje pan, że... - Zapiszczał pager w jej kieszeni. Wyciągnęła go i popatrzyła na wyświetlony numer. - Przepraszam, ale muszę uciekać - powiedziała. - George, odprowadzi pan

detektywa Lubetta, kiedy... - rzuciła Goldingowi niepewne spojrzenie. - No, kiedy skończycie. Dobrze?

Pete popatrzył za odchodzącą Murzynką. Pomyślał, że doktor Thomsen zjawi się pewnie lada chwila.

- Co się stało z tą kobietą... ze Stacey Rudnick?

- Wyrzucono ją - odparł Margolis. - A właściwie poproszono, żeby sama się zwolniła z pracy. Praktycznie na jedno wychodzi.

- Kiedy to było?

- Och, bo ja wiem... pięć, sześć lat temu. Nie mam pojęcia, czy była religijną fanatyczką, ale uważano ją za dziwaczkę. Nie dało się tego ukryć.

- Dlaczego właściwie została zwolniona?

- Nie wiem dokładnie. Przez kilka ostatnich miesięcy właściwie przestała wykonywać swoje obowiązki. Kręciła się po klinice z głupim uśmiechem, jakby się czegoś naćpała... i pewnie tak właśnie było. Było mi jej żal. Była w ciąży, kiedy ją wywalili.

Golding sięgnął do kieszeni po zrobione przez Leo Nasha zdjęcie rekonstrukcji głowy dokonanej przez doktor Galio.

- To ona?

Margolis popatrzył na fotografię. Odbicie błysku flesza w szklanych gałkach, imitujących oczy, uniemożliwiało przyjrzenie się źrenicom. Nadało to twarzy dziwny wygląd, jakby androidalny.

- Jezu, nie wygląda najlepiej - powiedział Margolis. - Widzę, że zapuściła włosy. Dawniej nosiła je krótkie, jakby postrzępione.

- Ale to ona? To Stacey Rudnick?

- Chyba tak - odparł z wahaniem Margolis. - Ale dziwnie wygląda. Kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Dziś rano. To rekonstrukcja.

- Rekonstrukcja?

- Ciało tej kobiety znaleziono sześć tygodni temu w ogrodzie Ellen Cusak. Twarz zrekonstruowano na podstawie czaszki.

Margolis przełknął ślinę i zwrócił fotografię Goldingowi.

- No proszę. Wie pan, Ellen Cusak kiedyś się tu zgłaszała.

Najwyraźniej od razu pożałował ostatnich słów. Wyjawianie tożsamości klientów na pewno było sprzeczne z regulaminem kliniki.

- Nic się nie stało - odparł Golding. - Wiem, że pani Cusak była tutaj leczona. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim, prawda? Kiedy Stacey Rudnick tu jeszcze pracowała?

Margolis zmarszczył brwi. Pot wystąpił mu na czoło.

- Zgadza się. Teraz sobie przypominam, że Stacey uważała to za największe wydarzenie w swoim życiu. Ciągłe przynosiła kwiaty.

- Kwiaty?

- Tak. Wie pan, zostawiała je tam, gdzie miała być Ellen Cusak. Najróżniejsze bukiety. Jak powiedziałem, Stacey była... no, dziwna.

- Jak długo to trwało, zanim ją wyrzuciono?

Margolis pomacał szczęką.

- Chyba niedługo... Może kilka miesięcy.

- I wtedy była już w ciąży.

- Słucham?

- Powiedział pan, że była w ciąży.

- Tak, zgadza się. Tak przynajmniej twierdziła.

- Nie wierzyliście jej?

- W końcu uwierzyliśmy. No, zaczął rosnąć jej brzuch. Ale wcześniej nie... - Margolis westchnął. - Po prostu wydawało się nam, że ona nie ma nikogo. Na dodatek stale zmyślała. Nigdy nie było wiadomo, czy można jej wierzyć. Mówię panu, połowę czasu była na innej planecie.

- Twierdzi pan, że nikt nie miał pojęcia, kto jest ojcem? - spytał Golding. - Nigdy tego nie powiedziała?

- Cóż, mówiła, że ojcem jest człowiek z naszej kliniki, laborant. Wybierali się razem tu i tam. Problem w tym, że wszyscy uważaliśmy go... byliśmy przekonani, że to homoseksualista. Tak czy inaczej, ten facet był w wielkiej przyjaźni z Henrym Kelnerem.

- Henry Kelner? Proszę mi przypomnieć, kto to.

- Numer dwa w klinice, chirurg. Cóż... - Margolis wzruszył ramionami. - Też jest homoseksualistą. Nie tai się z tym, a przynajmniej przestał to ukrywać.

Golding nie mógł się w tym połapać.

- Stacey Rudnick chodziła z nim? Z doktorem Kelnerem?

- Nie, z jego przyjacielem. Nazywał się Hewish. Śmieszne nazwisko, prawda? - Golding je zapisał. - W szkole koleżanki nazywały go „You-Wish” - Zachciewajka. Pamiętam, że Stacey mi o tym mówiła. Raczej nie cieszył się sympatią. Wołaliśmy go Hughie. - Pete przestał notować. Słyszał już to imię. - Naprawdę miał na imię Robert - dodał Margolis. - Robert Samuel Hewish.

- Bob - powiedział Golding, czując, że włosy na karku stają mu dęba.

- Chciał, żeby ludzie tak do niego mówili. Oczywiście, nigdy tego nie robili. Skoro już zaczęliśmy o nim mówić, przypomniałem sobie, że on też fascynował się łyżwiarstwem figurowym. Kupował wszystkie pisma z tej dziedziny. Chyba to był jeden z powodów, dla których myśleliśmy, że jest...

Golding przestał słuchać laboranta. W głowie kłębiły mu się myśli. Podejrzewał, że jedno z nich tu pracowało, że właśnie dzięki tej osobie możliwa była kradzież embriona. Nie przyszło mu do głowy, że obydwójce mogli być zatrudnieni w klinice. Hewish i Rudnick na pewno zetknęli się

wcześniej, może na trybunie lodowiska, może na spotkaniu klubu fanów. To pewnie Hewish dzięki swojej dość wysokiej pozycji znalazł Stacey pracę w klinice. Tak czy inaczej, gdy pojawiła się w niej Ellen Cusak - pragnąca dziecka, ale nie mogąca go urodzić - musiało to się im wydać czymś więcej niż tylko przypadkiem: zrządzeniem losu. Na pewno doszli do wniosku, że ich przeznaczeniem jest odegrać doniosłą rolę w jej życiu - w nagrodę za swoje oddanie i miłość. Hewish jednak w którymś momencie zdecydował, że nie zamierza dzielić się nagrodą.

- Proszę pana?

Golding zorientował się, że Margolis przygląda się mu ze zmarszczonymi brwiami.

- Proszę mi opowiedzieć o Hewishu.

- Och, był cichy i ciężko pracował. Trzymał się na uboczu. Prawdę mówiąc, nawet go lubiłem. Nie zdołał skończyć akademii medycznej w Illinois i pracował jako sanitariusz. Powinien być lekarzem, naprawdę interesowało go, co tutaj robimy. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce.

- Co się z nim stało?

- Zwolnił się. Mniej więcej w tym samym czasie co Stacey, może parę miesięcy wcześniej.

Golding popatrzył z napięciem na laboranta.

- Domyśla się pan, dlaczego? - Margolis się zawahał. - To może być bardzo ważne - dodał Golding.

- Słyszałem... słyszałem, że schrzanił robotę.

- Mógłby pan powiedzieć coś konkretniej szego?

- Zdarzyły się jakieś problemy zjedna z kultur embrionów. Tak, o to chodziło. Moim zdaniem Hughie był po prostu zanedo ciekawski. Jak powiedziałem, naprawdę pasjonował się nauką. Może chciał przyjrzeć się bliżej temu, co robimy... sam nie wiem. Może po prostu eksperymentował z techniką i coś spieprzył. Tak czy owak, straciliśmy trochę materiału pobranego od jednej z klientek.

- Materiału?

- Zdolnych do rozwoju embrionów. Część kultury... reszta embrionów... ocalała. Niby nic wielkiego, ale Richard, to znaczy doktor Thomson, potraktował to bardzo poważnie. Przepytował wszystkich. Nie wiem, co ustalono, ale wiem, że Hewish zaraz potem przestał tu pracować.

- Wie pan, co się z nim stało?

Margolis pokręcił głową.

Doktor Kelner dotarł pędem pod drzwi laboratorium, holując za sobą Melanie Jackson.

- Do diabła, powinna mu była pani powiedzieć, żeby zaczekał - powiedział.

- Przepraszam, panie doktorze. Powiedział, że chodzi o rutynowe dochodzenie.

- Rutynowe? Bzdura! - Kelner wsunął kartę magnetyczną w szczelinę czytnika i otworzył zewnętrzne drzwi śluzy. - Proszę natychmiast zadzwonić na policję i dowiedzieć się, czy taki człowiek u nich pracuje. No, już!

Lekarz otworzył szarpnięciem drugie drzwi. Dwóch laborantów podniosło głowy; zdumiał ich widok współzałożyciela kliniki bez maseczki. Detektyw Raymond Lubett już jednak wyszedł.

## 38

W zbliżeniu lodowisko tortu jest śnieżnobiałe. Dziewczynka z rozwianymi przez lodowaty wiatr włosami wygląda, jakby zaraz miała zakreślić równy łuk. Po zapaleniu świeczek na polewie pojawiają się cienie; w tańczącym kręgu ognia twarz dziewczynki będzie się mienić lśniąco odbiciami. Wpatrujący się w tort mężczyzna niechętnie przypomina sobie inną twarz oświetloną płomieniami, oczy błyszczące za okularami - a potem te same oczy bez życia, plamki krwi na brudnobiałych twardówkach. Małe, czarne kropki jak okruszki kawy, które bezskutecznie starał się zdrapać paznokciem.

Mruga kilkakrotnie i wstaje. Zastanawia się, czy miał rację, prosząc w cukierni o taki właśnie tort. Nie chce, by dawne sprawy go rozpraszały. Chce być skoncentrowany i zrównoważony; taki, o jakim ona mogłaby marzyć.

Cukiernik nie miał ochoty przyjąć zamówienia. Kartkował katalog, zwilżając przy tym palec śliną. Pokazywał wszystkie torty, jakie robił: można było zamówić boisko do baseballu lub futbolu, nawet do koszykówki, ale nie lodowisko. Ożywił się, gdy zdał sobie sprawę, że może liczyć na dodatkowy zarobek. Stary facet w idiotycznej kucharskiej czapce. Proponował, by figurka kreśliła na lodzie imię, jak samoloty wypisujące napisy na niebie, ale Hewish się nie zgodził. Zażądał ósemki.

„Dziewczynka ma osiem latek?”.

„Pięć”.

Musiał wytłumaczyć, że ósemka ma różne znaczenia - między innymi nieskończoność, jeśli położy się ją na boku. Nieskończoność. Był to również kształt embriona po pierwszym podziale komórkowym - pierwszy krok

w procesie przekształcania się zarodka w człowieka. Tego jednak Hewish nie powiedział.

Dotyka jednej z prostych białych świeczek, upewniając się, że jest porządnie wetknięta. Twarzyczka wyłania się zza drobnych płomyków. Nat tłucze w drzwi, domaga się mamy. Słyszając jej wołanie, mężczyzna obraca się raptownie; drzwi na podwórko są otwarte, a w środku nikogo nie ma. Nie ma Nat. To tylko wspomnienie nocy sprzed trzech lat.

Jest sam w domu. Nat wróci dopiero o piątej.

Powiedział Stacey, żeby poczekała, ale ona nie usłuchała. Zapaliła je znacznie przed czasem.

„Możemy je zdmuchnąć, mówiła. Później zapalimy znowu. Nie będzie żadnej różnicy”.

„Ale knoty będą czarne”.

No i zapaliła świeczki.

Stacey nigdy nie umiała czekać. W szpitalu powiedziano mu, że to cecha autystycznych dzieci. Nie umiały czekać. Nie było sensu tłumaczyć; należało odwrócić ich uwagę, zająć je czymś innym. Stacey nie była jednak autystyczna. Podobnie jak on miała zaburzenia maniako-depresyjne, chorobę afektywną dwubiegunową. Myśląc o niej teraz, z zaskoczeniem odczuwa żal tak silny, że oczy wzbierają mu łzami. Chwyta nóż i opiera palec o ostrze, żeby się uspokoić. Jest chwiejny emocjonalnie - ulega gwałtownym zmianom nastroju. W normalnych warunkach coś by na to wziął: xanax, valium, litarex, depakote, prozac, zoloft, paxil, luvox, wellbutrin. Najchętniej bierze selektywne inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny, ale nawala mu od nich libido, dlatego od miesiąca leci na pustym zbiorniku. Wznosi się i opada, wykorzystuje pęd, by utrzymać się w powietrzu. Przechodzi korytarzem do swojego pokoju i otwiera kłódkę kluczem. Znalazłszy się w środku, zamyka się na łańcuchy. Bierze trzy miligramy xanaksu. Kładzie się w ciemnościach.

Pokój jest oblepiony zdjęciami. W jednym z najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa siedzi samotnie w swoim pokoju przy zgaszonym świetle, czekając, aż parowe lokomotywy z tapety wyjadą wreszcie z mroku. Miał trzy lata, gdy jego ojca wciągnęło pod pociąg na stacji przeładunkowej w Louisville i przecięło na pół. Siedząc w ciemnym pokoju, starał się przypomnieć sobie twarz ojca, podczas gdy pociągi wyjeżdżały ze ścian.

Tuż nad nim, zakrywając miejsce po wyrwanej lampie, uśmiecha się z miłością Jelena. Pokój jest wyścielony fotografiami, jak macica pokrywa się nową wyściółką przed pojawieniem się drogiego gościa.

Dom jest zarobaczony. Mniej więcej co miesiąc Hewish opyla kuchnię i pozostałe pokoje. Wynosi meble na podwórko i myje je detergentem. Nigdy jednak nie rusza tego pokoju. Czasami zakleja jedno zdjęcie drugim, ale żadnego nie zdejmuje. Sufit to niebo, ściany - piekło. Na drzwiach

warstwa przyklejonych lub przypiętych lśniących stron z luksusowych czasopism i drogich podręczników medycznych ma ponad centymetr grubości. Są to zdjęcia deformacji, wrzodów i ran. Pod papierem robactwu nic nie grozi. Po paru minutach zaczyna rozbrzmiewać cichy szmer, przypominający odgłos deszczu na dachu z papy.

- Endometrium - mówi półgłosem Hewish. - Endometrium.

Zwykle nazwa wyściółki macicy wywarłaby na niego kojący wpływ, lecz nie dzisiaj. Mimo dawki xanaksu, wystarczającej do uziemienia normalnego człowieka na dwadzieścia cztery godziny, w głowie Hewisha kłębią się strzępy zapamiętanych głosów.

„Ale knoty będą czarne”.

„I co z tego?”.

„Nat to zobaczy!”.

„Nie będzie jej to przeszkadzało. Na miłość boską, ma tylko trzy lata”.

„Jeśli ja to widzę, to i ona zobaczy!”.

Stacey zdusiła palcami płomyki.

„Chryste, pomyślałby kto, że to twój cholerny dzieciak!”.

Więc wyprowadził ją z błędu.

Próbuje zamknąć usta, ale mimowolnie otwierają się z powrotem. Ręce mu drgają, kurczą się mięśnie.

Wyprowadził ją z błędu. Powiedział, o co naprawdę chodzi.

„Kurwa, nie wierzę ci!”, krzyknęła.

Skaleczył się, odbierając jej nóż. To ona zaczęła pierwsza. Pierwsza go chwyciła. Wrzeszczała. Krew pojawiła się na jej ustach, gdy przygryzła wargę. Był w stanie myśleć wyłącznie o tym, by jąciszyć, by przerwać ten koszmarny hałas. Nat też krzyczała, zamknięta przed planowaną dla niej niespodzianką. Waliła w drzwi i wołała, że chce do mamy.

Próbuje odwrócić głowę w stronę źródła dźwięku, ale znajduje się we władzy xanaksu. Czuje się przytłoczony, jakby ciążyła mu grawitacja gigantycznej planety. Robaki szmerzą jak deszcz na suchych liściach.

Przypomina sobie wystraszone spojrzenie Stacey, ruch, jakim uniosła ręce przed siebie. Uderzył ponownie, ostrze w czymś uwięzło. Zadał kolejny cios - ześliznęło się po kości. Upadła na stół, starając się przytrzymać blatu. Poruszała ustami, jakby próbowała coś powiedzieć. Wbijał nóż raz po raz, spychając ją w tył, wznosząc i opuszczając ramię szarpanymi, opętańczymi ruchami. Próbowwała złapać za ostrze, nawet jej się to udało, ale wyrwał nóż spomiędzy zaciśniętych palców i dalej wybijał go w jej piersi - w dół i w górę, w górę i w dół.

W ciszy ściany zdają się zbliżać do niego.

W końcu słyszał tylko swój spazmatyczny oddech. Zmusił się do zniechęcenia, wytężył słuch. Za drzwiami płakała Nat. Tort zsunął się ze

stołu. Resztki miniaturowego lodowiska pokryły się czerwonymi rozbryzgami. Duży kawałek polewy utkwiał w pozlepianych włosach Stacey. Jej oczy wydawały się większe bez okularów. Wpatrywały się bez zmużenia w rany na piersi, jakby Stacey nie potrafiła pogodzić się z tym, co jej zrobił.

Ellen wcisnęła trzydziestkęósemkę do schowka na rękawiczki, zanim wóz dotarł do końca podjazdu. Wzorzysta sukienka lepiła się jej do pleców między łopatkami. Czuła się wydrażona, lekka jak łupina, ale również skoncentrowana i przytomna - bardziej niż kiedykolwiek od dłuższego czasu. Czekając, aż brama się odsunie, otworzyła schowek i jeszcze raz spojrzała na rewolwer. Chciała się upewnić, że to ona zabrała broń, i wsiała do samochodu. Zamierzała przełożyć rewolwer do torebki, licząc, że mężczyzna go nie zauważy, a potem będzie za późno. A jeśli ją przeszuka? Wyjechała na ulicę, potrząsając głową. Dlaczego miałyby to zrobić? Kochał ją. Szalał na jej punkcie. Właśnie - był szalony. Zrobi wszystko, o co go poprosi.

Powiedział, że mama źle się czuje. Dał jej tabletkę w szklance ciepłego mleka. Słyszała już dawniej krzyki matki, więc nie było to nic, w co nie potrafiłaby uwierzyć. Zasnęła w kuchni przy stole. Ułożył ją w łóżeczku i wrócił do salonu. Był to najtrudniejszy moment: stał, rozglądał się wokół i powoli docierało do niego, co zrobił. Nogi Stacey były rozrzucone jak u marionetki z przeciętymi sznurkami. Niebieska sukienka podwinęła się wokół ud. Odłamał się jeden z obcasów. Podniósł okulary spod telewizora. Były ubrudzone tłuszczem, bo przez całe popołudnie gotowała. Stale ich dotykała i poprawiała, więc można było odgadnąć, co robiła, jeśli tylko się spojrzało na szkła. Nie było na nich jednak krwi. Stał długo z okularami w rękę, niezdolny do myślenia. Wreszcie przeszedł przez pokój i włożył je Stacey z powrotem. Starał się nie patrzeć jej w oczy, ale dostrzegł plamki krwi na martwych białkówkach.

Zaczął sprzątać, przez cały czas mówiąc do niej. Pytał, dlaczego to zrobiła, dlaczego go do tego zmusiła. Odpowiedziała mu. Jej usta nie poruszały się, ale i tak mu odpowiedziała - mówiła, że jest egoistyczną świnia, głupim sukinsynem. Napuścił wody do wanny, dolał mnóstwo jej ulubionego płynu do kąpieli. Zdjął z niej sztywniejące ubranie, ułożył ją w wannie i zostawił pośród różowej piany, by dokończyć sprzątanie pokoju.

Zabrało mu to siedem godzin. Zwinął dywan i wcisnął go do worka na śmieci. Zmył properem ściany i meble.

Kiedy skończył, wrócił do łazienki. Zapytał Stacey, czy woda jej nie wystygła. Nie odezwała się już do niego, tylko na niego patrzyła. Wyciągnął zatyczkę i bardzo ostrożnie wyjął ją z wanny. Czyste ciało wyglądało jeszcze straszniej. Rany przypominały małe czerwone usta. Nie potrafił powstrzymać się przed ich dotykiem. Włożył jej szlafrok i przeniósł Stacey do salonu. Usadził ją przed telewizorem. Po kąpieli lubiła się tam wylegiwać. Włączył odbiornik. Obraz odbił się w soczewkach jej okularów. Jakiś film dokumentalny o zwierzętach. Włożył kasetę do magnetowidu. Usiadł u stóp Stacey i ujął jej zimną rękę. Jelena tańczyła dla nich jak zawsze, a Stacey płakała, bo łyżwiarka była absolutnie idealna.

Ellen miała być tam na szóstą. W Burbank. Kiedy wjeżdżała na drogę numer sto trzydzieści cztery, zaczęło do niej docierać, co właściwie robi. Przyglądała się ludziom w samochodach, zdumiona, że wszystko wydaje się całkowicie normalne. W przypływie paniki wyciągnęła rękę do telefonu i wybrała numer Douga. On pierwszy powinien się dowiedzieć - to przecież także jego dziecko. Po chwili zdała sobie sprawę, że to, co chciała powiedzieć, zabrzmiałoby obłądnie. Doug pomyślałby pewnie, że znalazła się w takim samym stanie jak w najgorszym okresie rozpadu małżeństwa. Odłożyła telefon i zacisnęła ręce na kierownicy. Musiała posuwać się krok po kroku; pierwszy był najtrudniejszy. Gdyby kogokolwiek wezwała, zepsułaby wszystko, a potem wyrzucała to sobie do końca życia. Golding chciałby się wdrzeć się do domu nieznanego. Lenny zadzwoniłby po prostu na policję. Widziała dość telewizyjnych relacji, by wiedzieć, jak kończyły się takie obłączenia: ujęciami ciał wywożonych na noszach, a następnie wnętrza domu, zamienionego w arsenał lub świątynię. Bob powiedział, że się nie zawaha, zabije Natalię, a potem siebie. A Ellen mu wierzyła.

Natalia płakała, kiedy powiedział jej, że mamusia musiała wrócić do szpitala. Wy tłumaczył jej, że będą musieli przenieść się do innego domu, by być bliżej niej. Wyprowadzili się następnego dnia i przez następne półtora roku nigdzie nie zagrzali miejsca. Bał się panicznie, że ciało zostanie odkryte, że policja go odszuka. Dzień po dniu nic się jednak nie działo. Dostał pracę: ustawiał towary na półkach w supermarkecie. Potem zatrudnił się jako nocny strażnik w magazynie w Commerce City. Wszędzie, dokąd się przeprowadzał, wyszukiwał opiekunki dla Nat. Mówił ludziom, że jest rozwiedziony. Kiedy kobiety robiły się zbyt wścibskie, wyprowadzał się. W osiedlu domów na kółkach w Belvedere Gardens jego sąsiadką była pani Lopez. Zajmowała się Nat w czasie jego pracy. Pani Lopez miała trójkę

własnych dzieci i była zadowolona, że może sobie trochę dorobić. Nie zadawała żadnych pytań, a kiedy był zbyt zdołowany, zalany lub napięty, Nat zostawała u niej.

Gdy Nat miała cztery lata, opowiedział jej o prawdziwej mamusi. Powiedział, jak spotkał Ellen po jej przyjeździe z Kijowa do Los Angeles i jak się w sobie zakochali. Nat miała zagadkową minę. Pomyślał, że mu nie wierzy. Pokazał jej trochę starych zdjęć. Powiedział, że ma takie same oczy jak mamusia. Wpatrywała się w niego przez chwilę bez słowa, aż wreszcie stwierdziła, że o wszystkim wiedziała.

„Wiedziałaś?”

Pokiwała nieśmiało głową.

„Mamusia Stacey mi powiedziała”.

„Wiesz, że to tajemnica, prawda?”

„Tak”.

„To nasza tajemnica. Nasz wyjątkowy sekret. Wiemy o tym tylko my troje”.

Ellen zjechała z autostrady przy Alameda Avenue i skręciła na północ w Hollywood Way. Dłonie pociły się jej na kierownicy. Powtarzała imię dziecka, by zachować koncentrację.

Mężczyzna otwiera oczy. Ktoś jest w domu. Sięga po przełącznik detonatora i siada na łóżku. Światło sączy się do środka przez szczeliny między deskami na oknach. Ktoś chodzi po kuchni. Mężczyzna patrzy na zegarek. Jest wpół do szóstej. Wstaje, nasłuchuje. Cicho otwiera drzwi i rusza korytarzem.

Na środku kuchni stoi Nat. Pani Chave odprowadza ją ze szkoły, ale nigdy nie zostaje nawet na chwilę.

- Podoba ci się tort? - pyta Hewish.

- To mój? - odpowiada dziewczynka, wskazując go ręką.

- Podoba ci się? - Nat kiwa głową, ale nie patrzy na Hewisha. - O co chodzi, kochanie?

- Czy mama przyjedzie?

- Tak, małutka. - Nat przygryza kostki lewej dłoni. - Będzie tu lada chwila - mówi Hewish.

- No to... - Nat unosi na niego zielone oczy - ...chowamy się?



**N**a parkingu Golding ruszył biegiem, chociaż nie wiedział jeszcze, dokąd ma jechać, dokąd powinien tak się spieszyć. Zbyt wiele zważyło się na niego od razu. Wszystko wydawało się spaczone i zwyrodniałe. Na świecie była tylko jedna osoba, która odczuwała to samo co on. Stawały mu przed oczami listy - ciasne czarne pismo, przypominające smugi deszczu. „Zbyt szybko przychodzi następna chwila i następna, a po wszystkich następnych, prawie teraz, ale niezupełnie - koniec”. Strona po stronie, strona po stronie. Widział w wyobraźni obserwujące dom zwłoki, czarną, zmumifikowaną głowę > wyglądającą z suchego grobu. Słyszał w myślach głos z taśmy: „Zrozum, widzę cię, Jeleno”. Zaprzagnął nagle pozbyć się tego wszystkiego, zwiymiotować jak zepsute mięso. Nade wszystko chciał obudzić się z koszmaru i stwierdzić, że to pomyłka, że Bob nigdy nie istniał; że Robert Samuel Hewish był tylko zwyczajnym facetem, prowadzącym gdzieś tam zwyczajne życie.

Goldingowi otworzyły się oczy, gdy zobaczył, że Ellen wraca po sześciu latach do kliniki Harper Trust. Czytał w gazetach o kradzieżach embrionów. Wiedział więc, że ktoś mógł skraść jej nie narodzone dziecko, a jakaś zastępcza matka donosić je bez jej wiedzy. Zrekonstruował, jak mogło do tego dojść. Serce nie chciało jednak uwierzyć, że może to być prawda, dopóki pracownik kliniki nie powiedział mu, że Robert Hewish, autor listów z podpisem „Bob”, pracował w Harper Trust w okresie, gdy leczyła się tam Ellen. Wtedy zrozumiał. I wiedział już, że tylko jedna możliwość pasuje do wszystkich faktów: Ellen Cusak była niewinna.

A przecież do tej pory jej nie wierzył. Wierzył w to, co wypisywała prasa, za co przeklinali ją wrogowie, w ohydne sugestie, że porzuciła własne dziecko, że okupiła sukces odstręczającą ofiarą, że pod fasadą niewinności i szczerości kryły się mroczne sekrety. Wierzył - a raczej pragnął, by te podejrzenia okazały się prawdą. Chciał, by była nieczysta i skażona, by mimo talentu i wdzięku była taką samą istotą ludzką jak on: po części ofiarą, a po części prześladowcą, na swój sposób równie niepełną i niegodną zbawienia, jak on sam. Rzutował na nią własne przegrane dzieciństwo, wierzył, że ojciec ją dręczył, raz czy dwa wyobraził sobie nawet - chociaż robiło mu się niedobrze od samej myśli - że ojcem dziecka był Stiepan Kusak. Wierzył nawet, że była zamieszana w morderstwo. Pragnął, by okazała się okaleczona psychicznie, pokręcona i nie nadająca się do życia wśród ludzi, ponieważ tylko w ten sposób mógł uznać, że na nią zasługuje... a ona na niego. Pewnego dnia mógłby przekroczyć most między nimi.

Ale Ellen mówiła prawdę. Nie ukrywała mrocznych sekretów, nie kłamała. To, że nie chciał jej uwierzyć, dowodziło tylko, że jest nic nie wart.

Jeśli istniał jakiś pomost czy związek, to raczej między nim a Bobem. Mieli przynajmniej ten sam cel. Reszta była złudzeniem.

Podniósł telefon i wybrał numer Ellen. Wiedział, że musi powiedzieć jej, co się wydarzyło i czego się dowiedział. Tylko tyle i aż tyle.

Odebrała Maria.

- Przepraszam, pani Cusak nie ma teraz w domu.

Goldingowi przyszło do głowy, że Maria dostała polecenie, by tak załatwiać jego telefony. Nie byłoby w tym nic dziwnego.

- Przekaż jej, że dowiedziałem się czegoś bardzo ważnego, co ma związek z kliniką Harper Trust. Z Bobem. Zrozumiałas?

- Tak, tak. Z Bobem. Czy to pan Golding?

- Tak. Właśnie...

- Z Alpha Security? - W głosie Marii słychać było lęk.

- Zgadza się. Pośluchaj, Mario, czy Ellen jest w domu? Muszę z nią porozmawiać. To pilna sprawa.

- Przykro mi, proszę pana. Wyszła.

- Wiesz, kiedy wróci?

- Nie. Wyjechała *mucho deprisa*. Nie wiem... Sama nie wiem.

Najwidoczniej służąca chciała coś powiedzieć, ale nie była pewna, czy powinna.

- Mario, czy Ellen powiedziała, dokąd jedzie?

- Nie. Powiedziała tylko, że jedzie na przyjęcie urodzinowe. Przekażę jej wiadomość od pana, kiedy tylko wróci.

Golding rozłączył się i przez kilka chwil siedział w milczeniu. Zastanawiał się, czy służąca mówiła prawdę, czy Ellen nie siedziała obok Marii i nie chciała z nim rozmawiać. Jeśli nawet naprawdę wyjechała, i tak nie powinien oczekiwać, że do niego zadzwoni. Nie chciała mieć z nim więcej nic wspólnego. Poczuli, że coś łaskocze go w grzbiet dłoni. Po skórze pełzały mu drobniutki czarne muszki. Chodziły po gorsie i mankietach koszuli, obsiadły też przednią szybę. Zmrużył oczy, podniósł wzrok i zauważył, że słońce schowało się za opończę chmur. Przyszło mu do głowy, że cokolwiek zrobi, i tak nie wróci do życia Ellen. Ona i Doug mieli dziecko, którego zawsze pragnęła. Może odzyska je dzięki policji i sądom, może nie. Może obecność dziecka sprawi, że zejdzie się znowu z Dougiem. Cokolwiek się stanie, nie będzie miał nic do powiedzenia, żadnej roli do odegrania.

Uruchomił silnik i wyjechał na Newport Center Drive. Popołudniowy ruch był niewielki. Wkrótce dotarł do autostrady czterysta pięć i skierował się na północ. Starął się ograniczać prędkość, jednak stale łapał się na tym, że jedzie sto dwadzieścia kilometrów na godzinę i więcej. Rozmyślał o Ellen. Rozumiał ją teraz o tyle lepiej; precyzyjnie wczuwał się w jej stan. Jeszcze

niedawno widział tylko otoczkę sukcesu, ambicję i determinację, której dowodziły jej osiągnięcia. A przecież w jej życiu były także głębsze prądy. Wyobraził ją sobie przez chwilę, jak wiruje na lodzie. Uświadomił sobie, że całe jej życie wypełniała walka o zapełnienie próżni, o zakotwiczenie się na stałe - dzięki miłości ojca, oddaniu męża, założeniu domu i dopiero w dalszej kolejności dzięki podziwowi zwariowanej na punkcie łyżew publiczności. A przede wszystkim zależało jej na rodzinie i dzieciach. Mógł się tylko domyślać, dlaczego ta potrzeba była u Ellen tak silna. Może stanowiła skutek ucieczki z ojczyzny, a może motywy sięgały jeszcze dalej w przeszłość. Myśl, że nigdy się tego nie dowie, że może już nigdy nie zamieni z nią słowa, była nie do zniesienia.

Na Signal Hill zajechał na stację benzynową i kupił puszkę gazowanego napoju. Czuł się wymięty i doszczętnie wyczerpany. Rozluźnił krawat i oparł się o dystrybutor. Mimo nisko wiszących chmur było jeszcze goręcej niż przedtem. Swędziało go całe ciało. Wypił napój i zatankował benzynę, chociaż zbiornik był jeszcze do połowy pełny. Miał uczucie, że znalazł się na rozdrożu. Naprzeciw niego jakiś Murzyn parkował starego białego cadillaca. Przez tylną szybę widać było wyświechtaną maskotkę - psa Snoopy'ego, leniwie kołyszającego łbem. Golding przypomniał sobie panią Sayers i jej rozjechanego psa. Był ciekaw, czy ona wciąż się spodziewa, że tego dnia ktoś z agencji do niej przyjedzie. Wyobraził sobie, że zrobi to sam Reynolds, demonstrując skruchę i przepraszając. Wydało mu się to bardzo zabawne, tak bardzo, że roześmiał się na głos. Murzyn popatrzył na niego spode łba. Pewnie doszedł do wniosku, że to kolejny wariat na ulicach Los Angeles.

Golding wsiadł z powrotem do samochodu, odsunął dach i włączył klimatyzację na maksimum. Przykręcił ją dopiero, gdy pot na jego ciele ostygł. Sięgnął po telefon. Może uda mu się przekonać Hagmeiera, aby odstąpił od oskarżenia o podszywanie się pod policjanta, jeśli dzięki temu uniknie drukowania setek egzemplarzy zdjęcia zrekonstruowanej przez doktor Galio głowy. Wciąż roztrzęsiony Golding zaczął grzebać w portfelu w poszukiwaniu numeru detektywa. Było dopiero wpół do piątej. Gdyby Hagmeier wziął się ostro do roboty, zdołałby może aresztować Hewisha przed końcem dnia pracy w studiu Alameda. Byłoby to o wiele bezpieczniejsze. Nie wiadomo, jaki arsenał trzyma Hewish w domu.

Golding przerwał w połowie wybierania numeru. Doszedł do wniosku, że to nie najlepszy pomysł. Wyłączył telefon. Hagmeier nie aresztowałby Hewisha, a jeśli nawet, to wkrótce musiałby go wypuścić. Potrzebne były jakieś dowody, a skąd je wziąć? Ciało Stacey Rudnick leżało w ziemi co najmniej trzy lata. Znaczyło to, że morderca miał trzy lata na pozbycie się narzędzia zbrodni, trzy lata na zniszczenie zakrwawionych ubrań. Trzy lata

na wyczyszczenie bagażnika samochodu lub sprzedanie go; albo i to, i to. Nie potrzebowałby nawet alibi, bo pewnie nigdy nie uda się ustalić, kiedy dokładnie miała miejsce zbrodnia. Policja miałaby może więcej szczęścia z udowodnieniem mu morderstwa Grossmana, gdyby miała ochotę otworzyć na nowo dochodzenie. Nie było jednak żadnych świadków także tej zbrodni. Gdyby pracownikom laboratorium kryminalistycznego nie udało się szybko czegoś znaleźć, Robert Hewish po kilku godzinach byłby wolny - a potem mogło dojść do wszystkiego. Gdyby stracił pracę, dom czy nawet dziecko, rzuciłby całą winę na Ellen, która nie doceniła jego poświęcenia, tego, co dla niej zrobił. Która zniszczyła jego życie. Tak samo jak Arthur McGinley mógłby dojść do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób naprawienia tej niesprawiedliwości i wyrównania rachunków.

Strażnik przy barierce popatrzył na niego krzywo, jakby jego przyjazd zwiastował kłopoty.

- Joe Walsh? Czekasz na pana?

- Nie. Proszę mi po prostu powiedzieć, że tu jestem, dobrze? To pilne.

Wartownik wziął do ręki słuchawkę i zaczął mówić. Parę wielkich ciężarówek-platform przejechało po terenie studia, zagłuszając jego słowa.

- Widzi pan tę alejkę? - zapytał strażnik, wskazując na prawo, ale Golding już dawno ruszył z miejsca.

Joe Walsh rozmawiał przez telefon, gdy Golding wszedł do biura. Było tam duszno, wyczuwało się tę samą woń mężczyźni w mundurach. Przenośny wentylator wspomagał pojedynczy agregat klimatyzacyjny, wmontowany w zewnętrzną ścianę.

- Nie powinno ich być w tej części studia - mówił Walsh. - Trzeba było im powiedzieć, że... Tak, oczywiście. Zaraz się tym zajmę.

Odłożył słuchawkę i odepchnął się od biurka wielkimi, piegowatymi rękami.

- Cześć, Pete. Co pana tu znów sprowadza?

- Witam. Pracuję u was facet nazwiskiem...

- Kiepsko pan wygląda, jeśli mam być szczerzy. Nie wytrzyma pan upałów? - Walsh wstał i podszedł do fontanny z wodą. - W tych cholernych hangarach jest gorąco jak w piecu. Stale obiecują że nas przeniosą, ale...

Nalał sobie kubek wody i wypił ją paroma haustami.

- Czy pracuje tu niejaki Robert Hewish?

Walsh prychnął i otarł dłonią usta.

- Hughie? Oczywiście. Rozmawiał pan z nim.
- Nie powiedział mi pan, jak ma na nazwisko.
- No cóż... Hewish. I co z tego?
- Chcę z nim porozmawiać.
- Aha. O czym?
- O Ellen Cusak.

Walsh uniósł brwi na dowód zaskoczenia.

- Wciąż pan dla niej pracuje? Myślałem, że... Chce się pan napić?
- Nie, dziękuję. Powiedzmy, że wyjaśniam parę szczegółów.

Walsh jeszcze raz napełnił kubek i powoli wrócił do biurka. Golding czuł narastający gniew. Wiedział, że facet każe mu czekać tylko dlatego, że sprawia mu to przyjemność.

- Parę szczegółów, tak? Ale co to ma wspólnego z moim Hughiem? Przecież poradziłeś sobie z problemem. Ten... jak mu tam, Grossman, nie jest już groźny.

- Nie ja sobie z nim poradziłem. Prawdę mówiąc, sądzę, że zrobił to pana człowiek.

Walsh przyjrzał się badawczo Goldingowi.

- Co to znaczy, Pete?
- To Hewish znalazł Grossmana w wozie, prawda?
- Wie pan, że tak.
- To właśnie przez Hewisha Grossman wyleciał z planu. Namówił pana, żeby doniósł pan o Grossmanie do związku. Ellen Cusak nie złożyła skargi. O niczym nie wiedziała.

- Skarzyła się też ta charakteryzatorka, Carol Hershey.

- Ale nie zrobiła tego oficjalnie. Sam mi pan powiedział. Mówiła, że nie ma na to czasu.

Walsh wyjął z kieszeni złożoną chusteczkę i otarł sobie szyję. Wzruszył ramionami.

- O co panu chodzi? Mój człowiek potraktował Jeffa Grossmana trochę twardo. W czym problem? Ma pan wyrzuty sumienia czy coś w tym rodzaju?

Golding wyprostował się. Może to wina upału, a może Walsh po prostu tak dobrze się czuje w roli gliniarza, który był wszędzie i wszystko widział, że nie może znieść kogoś, kto wydaje się większym twardzielem od niego.

- Zadał sobie pan kiedyś trud, żeby sprawdzić tego człowieka?
- Pracuje u nas od prawie dwóch lat. To jeden z moich najlepszych ludzi.
- Już pan to mówił. Sprawdził pan jego referencje? Historię jego zatrudnienia?
- Przyszedł do nas z Fuli Circle Security. Osobiście rozmawiałem z szefem tej agencji.

- Fuli Circle Security?
- Tak, to porządna firma.
- To główniana firma. Biorą każdego i płacą najgorzej w całej branży.
- No więc daliśmy facetowi szansę. Co w tym złego?

Golding zastanawiał się, co robił Hewish, że szefbroni go z takim zapalem. Czy to samo co z doktorem Henrym Kelnerem, chirurgiem z kliniki Harper Trust? Czy Walsh też był homoseksualistą? Wydawało się to mało prawdopodobne. Może Hewish po prostu potrafił przekonywać ludzi do siebie i zręcznie nimi manipulował. Jasne, że tak było. Sam Pete widział, jak manipuluje Ellen Cusak. W przypadku Walsh'a wystarczyło wysłuchiwać z nabożną miną jego opowieści o wyczynach na służbie.

- Wspominał kiedyś, że był laborantem? - zapytał Golding.
- Co?
- Mówił coś o klinice Harper Trust? Pewnie nie. Może dlatego, że go stamtąd wyrzucono. Dowiedzieli się, że ich okradł.

Walsh oderwał chusteczkę od twarzy, odegrał całą ceremonię ze składaniem jej w kancik, wrócił za biurko i usiadł.

- Wiesz, Pete, ludzie czasem wylatują z pracy - powiedział, gdy już dzielił ich blat. - Nie zawsze to ich wina. Zdarza się. Tobie też może się to przytrafić. Moim zdaniem każdy zasługuje na drugą szansę. Uważam, że jeśli facet jest gotów ugiać kark, ciężko pracować i przestrzegać zasad, to mu się to należy. Podejrzewam jednak, że ty w to nie wierzysz, prawda? Pete Pistolet. Najpierw strzela, potem zadaje pytania. Jeff Grossman był żalonym, nic nie wartym śmieciem, ale ukradł bieliznę twojej klientki, więc musiał zginąć, prawda? Powiem ci coś. Wolę mieć w swoim zespole Boba Hewisha niż takiego kata jak ty.

Golding wysilił się na uśmiech. Chciał wytłumaczyć Walshowi, że się myli, wepchnąć mu prawdę do gardła. Zrobił dwa kroki do przodu i położył dłoń na biurku.

- Powiedz mi tylko, gdzie go mogę znaleźć - rzekł głosem zduszonym od gniewu.

Walsh popatrzył na niego i przełknął ślinę.

- Nie ma go tutaj. Ma urodziny córki. Wydaje dla niej przyjęcie. - Golding poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. - Wziął wolne popołudnie - dodał Walsh.

- Gdzie... gdzie mieszka?

Walsh zaśmiał się nerwowo.

- Oszalał pan? Tego rodzaju informacje są... - Golding wyciągnął ręce przez biurko i chwycił Walsh'a za przód koszuli. - Jezu! Jezu, Ha! do mnie... Golding poderwał ochroniarza z ziemi i przycisnął do ściany.

- Zamknij się, do cholery!!! Dawaj adres, i to już! Natychmiast!

- Oszalałeś! Odbiło ci, kurwa! Trzeba by cię...  
- Chcesz się przekonać, czy zwariowałem? Tak?! - Golding wyciągnął berettę z wewnętrznej kieszeni i podetknął ją Walshowi pod nos. - Jestem Pete Pistolet, pamiętasz? Najpierw strzelam, potem zadaję pytania. Masz jednak szczęśliwy dzień, bo na razie pytam. Mów, gdzie mieszka ten sukinsyn!

Walsh wskazał drżącym palcem kołonoatnik.

Golding sięgnął po notes i otworzył go na literze H. Nazwisko Hewisha widniało na pierwszej stronie.

## 40

Hewish przechodzi przez dom na podwórko, wciąż trzymając dziennik w rękach. Nisko wiszące w parnym powietrzu chmury przypominają smog. Mimo xanaksu Hewish czuje się nabuzowany. Nie może się uspokoić, nie może odzyskać równowagi. Czekał na tę chwilę tak długo, zawsze wyobrażając ją sobie jako kulminację, ale ku swojemu zdumieniu teraz czuje przede wszystkim, że to koniec. Widzi przez płot połamane meble na patio u sąsiadów i przez jedną przytłaczającą, dręczącą chwilę ma ochotę uciec. Myśl o zostawieniu wszystkiego za sobą - rutyny dnia, swojego pokoju, swoich rzeczy, związku - jest zbyt przygnębiająca i przerażająca, żeby potrafił ją do końca sformułować. Potrzebuje czasu. Pragnie, żeby wydarzenia zwolniły bieg, żeby się zatrzymały. Przypomina sobie nagle, że to wszystko dzieje się teraz, że powinien się przygotować, i to już. Schowają się. Zrobią mamusi Ellen wielką niespodziankę.

Ellen skręciła w prawo w Oak Street i stanęła przy krawężniku. Ręce jej drżały. Wpatrywała się w plan miasta - siatka krzyżujących się pod kątem prostym czarnych linii i miniaturowe nazwy ulic: Cordova, Avon, Lima, California, Ontario. Głos w jej głowie nakazał: „Zawróć”. Słyszała go już tysiące razy - to był głos strachu. Umiała go nie słuchać.

Nie wiadomo dlaczego, przypomina sobie mistrzostwa kraju przed dziesięcioma laty. Lodowisko Blue Jay Ice Castle w Lake Arrowhead. Stacey i on, z trudem przeciskający się przez zwarty tłum. Stacey rozprawiająca bez tchu o zawodniczkach, rywalizacji, nowych programach. Powiedziała

mu, że Natalia Bobek używa perfum Anais Anad's i że ona sama też teraz je kupuje. Stacey przyglądająca się zawodom, całkowicie nimi pochłonięta. Zaciskała dłoń na jego udzie za każdym razem, gdy komuś udało się podwójny akxel czy potrójny lutz. Przypomina sobie przede wszystkim Jelenę. Niebieska tunika. Piękna, idealna twarz, uniesiona ku światłom lodowiska. Nieznośne napięcie oczekiwania na początek muzyki - *Rapsodii węgierskiej* f-moll Brahmsa. I taniec, który odmienił wszystko, który zniszczył wszystko.

Rozmawiali o tym przez całą noc, Stacey on, siedząc w kuchni. Dyskutowali, co pojawienie się Cusak oznacza dla innych gwiazd. Potrzeba było trochę czasu, ale o czwartej nad ranem Stacey przyznała, że Jelena jest najpiękniejszą istotą jaką kiedykolwiek widziała. Mimo to coś się między nimi zmieniło. Stali się drażliwi. Zabrał samochód i zniknął na kilka dni. W drodze napisał pierwszy list do Jeleny, podpisując go „Bob”.

Gdy dostał pracę w klinice Harper Trust, kupili forda furgonetkę i wyposażyli go jak wóz kempingowy. W weekendy jechali setki kilometrów, by zobaczyć występy Jeleny w zawodach. W Lake Arrowhead, gdzie pojechali, by oglądać jej treningi, Stacey udało się podejść i dostać autograf. Pokłócili się potem zajadle, do kogo należy. Już wtedy Jelena powoli ich niszczyła. Jej magia ich otoczyła i uczyniła więźniami, chociaż jeszcze tego nie wiedzieli. Dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy zabrała im wszystko, nic nie zostawiając.

Kiedy usłyszał od Rogera Gerrarda, że Cusak i jej mąż będą się leczyć w klinice, był pewien, że to Gorman ma problemy. Stacey od początku była przekonana, że chodzi o Ellen. Miała rację. Owulacja u Cusak przebiegała prawidłowo, ale jajo nie zagnieździło się w słuźowce macicy. Doktor Thomsen zalecił sztuczne zapłodnienie i implantację embriona. Szansa na sukces wynosiła dwanaście procent. Hewish ukradł grafik cyklu endometrialnego Cusak i powiesił na ścianie sypialni. Pierwsza próba implantacji zakończyła się niepowodzeniem, przy drugiej po trzech dniach nastąpiło poronienie. Do tego czasu Stacey zrozumiała, co trzeba zrobić: chciała urodzić dziecko Cusak za nią.

Początkowo był temu przeciwny. Kłócili się bez końca. Stacey napisała list do Cusak, proponując siebie jako zastępczą matkę. Zniszczył list, powiedział, że ją zabije, jeśli będzie próbowała skontaktować się z Jeleną. Sam napisał do Jeleny, śledził ją obserwowal. Zobaczył ludzi, którzy ją otaczali. Zrozumiał, że pragnienie dziecka jest z jej strony wyrazem rozpaczliwej walki, by mieć coś prawdziwego. Tłumaczył jej w listach, że nie jest sama, że kochają tak, jak ona kochałaby jego, gdyby tylko miała na to szansę.

Jelena nigdy nie odpowiadała na listy. Nie musiała.

Ellen jechała powoli ulicą Ontario, odliczając białe numery, wymalowane na krawężniku. Zaparkowała wreszcie w cieniu wielkiej jodły. Uliczka była cicha, obsadzona drzewami. Parę domów dalej działał zraszacz. Ellen zaczerpnęła głęboko tchu i tak długo ustawiała wsteczne lustro, aż zobaczyła w nim dom pod numerem trzysta czterdzieści osiem. Wyglądał nie na miejscu pośród schludnych bungalowów, zamieszkiwanych przez przedstawicieli klasy średniej. Był tandetny jak kartonowe pudło, o zaniedbanych, obitych listwami ścianach. Okna zasłaniały szare plastikowe markizy. Jedno było zabite deskami; pewnie ktoś zbił szybę. Poprzerastana pnączami i krostawcem gruba siatka wydawała się pełnić funkcję zapory przed całym światem. Teraz, kiedy dojechała do celu, Ellen nie była pewna, co powinna dalej począć. Nie sądziła, żeby mogła zagrozić komukolwiek pistoletem. Wiedziała na pewno, że nie potrafiłaby pociągnąć za spust. Otworzyła schowek na rękawiczki i popatrzyła na trzydziestkęósemkę. Siedziała bardzo długo, aż wreszcie włożyła rewolwer do torebki.

Gdy mieszkali jeszcze w piętrowym domu w San Gabriel, Stacey oprowadzała Nat po domu w poszukiwaniu tatusia. Była to jedna z ich zabaw. Dwuipółletnia dziewczynka była zaskakująco dojrzała - bystra i cicha. Chodziła po pokojach, trzymając Stacey za rękę. Przyglądała się, jak mamusia otwiera szafki i nagle pociąga za zasłony, podczas gdy on krył się w szafie czy pod łóżkiem, czując pulsującą w głowie krew. Stacey znała wszystkie jego kryjówki i zaglądała do nich po kolei. Czasami w milczeniu wskazywała je palcem, żeby Nat mogła sama sprawdzić. Czas włókł się w nieskończoność, zanim go znajdowały. Buciki Nat pojawiały się jednak wreszcie obok łóżka; słyszał, jak dziewczynka oddycha przez otwarte usta. Później, kiedy nie było już Stacey, długo się w to nie bawili.

W domu jest cicho.

Leżąc w zatęchłej ciemności i zaglądając przez szczelinę między deskami w podłodze korytarza, Hewish doznaje przytłaczającego uczucia, że to szaleństwo. Wszystko toczy się zbyt szybko. Zaczyna płakać. Gorące łzy spływają po twarzy. Musi wbić paznokcie w dłonie, żeby się opanować. Nie tak powinno to wyglądać. Wyciska łzy spod powiek, mruga i patrzy na gołą żarówkę w korytarzu. Nie jest nawet odpowiednio ubrany. Powinien być w piaskowym garniturze, który leży wciąż w foliowej torbie z pralni na łóżku w jego pokoju. Wyobraża sobie rozłożony na pościeli garnitur i jednocześnie zdaje sobie sprawę, że nie zamknał drzwi. Przez chwilę ma wrażenie, że spada. Przekrzywia głowę, żeby popatrzeć na stalową zasuwę pod klamką, ale nie może jej stąd dojrzeć. Widzi tylko górną część drzwi. Wyglądają na zamknięte. Po chwili wyczuwa jednak bryłę kłódki w kieszeni.

Myśli zaczynają się kłębić i rwać; przestaje rozumować logicznie. Ellen nie wolno zobaczyć tego pokoju. Pośród zamętu ta jedna pewność płonie jasno jak neon. Nie wolno jej tam wejść. Nie teraz. Tak szybko nie zdołała - by zrozumieć tej strony jego osobowości. Przysuwa zegarek do szpary: pięta trzydzieści. Jelena niedługo przyjedzie, może tu być w każdej chwili. Mimo ryzyka, że spieprzy wszystko, Hewish nie może jednak tu zostać. Ellen wejdzie przez frontowe drzwi i pierwszym pomieszczeniem, na które się natknie, będzie jego pokój. Wie o tym. Czołga się jak najszybciej na tyły domu; odpycha się kolanami i łokciami, płosząc robactwo, gdy słyszy dzwonek.

Ellen zadzwoniła ponownie i cofnęła się. Okno po prawej było zabite na głucho deskami. Przez drugie, zasłonięte do połowy firanką, dostrzegła pojedyncze łóżko. Na poduszce leżał mupet-zabawka. Pokój dziecienny. Ulicą przejechał samochód. Ellen odwróciła się i popatrzyła, jak się oddala. Po chwili zastukała do drzwi. Klamka poruszyła się pod jej dłonią - były otwarte. Tak jak w jej koszmarach.

Korytarz wypełnia się dziennym światłem. Hewish przyciska trzydziestkęósemkę do falującej w urywanym oddechu piersi. Najpierw z płóciennego plecaka wyciągnął czterdziestkępiątkę, ale się rozmyślił i wziął trzydziestkęósemkę. Wszystko idzie nie tak. Wszystko się psuje. Nie chce jej przerazić. Upuszcza broń i przez chwilę nie jest w stanie myśleć. Patrzy na przewody dochodzące do jego pokoju. Przełącznik jest na górze, przyklejony do nogi łóżka, ale może przeciąć kable. Może zamknąć stąd obwód, doprowadzić prąd do detonatora i wszystko rozwiązać. Czy tego chce? Sam nie wie. Wie jedno: że nie zrobi tego, zanim z nią nie porozmawia, zanim nie spojrzy w jej piękną twarz i nie powie jej prawdy. Przyciska oko do szpary między deskami, starając się dojrzeć ją w chwili, gdy wejdzie do środka. Po suficie porusza się cień.

- Halo?

Jej głos. Jakby musnęła go jedwabnym szalem. Napina kark, czując, jak pod skórą prężą się mu potężne mięśnie. Stara się ją zobaczyć.

Korytarz prowadzący w głąb domu. Dziwna woń - mieszanina środka dezynfekującego i oliwy do maszyn. Goła żarówka na giętkim kablu. Żadnego dywanu, żadnych obrazów na ścianach. Drzwi po prawej, prowadzące do pokoju z zabitym oknem. Otwarte do połowy drzwi po lewej: pokój dziecka.

Ellen odgarnęła z wahaniem włosy ze spoconego czoła.

- Halo?

Doszła do zamkniętych drzwi i przez chwilę nasłuchiwała. Pod klamką był uchwyt, ale bez kłódki. Znowu zastukała. Usłyszała szmer za plecami. Odwróciła się, sięgnęła do torebki po rewolwer i zacisnęła palce na zimnym metalu. Upewniła się, że bezpiecznik jest odblokowany, i wymierzyła broń w otwarte drzwi pokoju dziecinnego.

- Jest tam ktoś?

Znowu zapanowała cisza. Ellen weszła do pokoju i zobaczyła plakaty na ścianach. I siebie na plakatach osiemnastoletnią podczas skoków. Mupet okazał się pokrowcem na pidżamę. Wsunęła dłoń do środka i wyciągnęła bawełnianą bluzeczkę ze stretchu.

- Nat? - powiedziała cicho.

Wtuliła twarz w materiał. Pod przeciwną ścianą obok zagłówek łóżka stała szafa. W tej samej chwili rozległo się szuranie. Ellen poczuła nagłą pewność, że ktoś jest w domu. Wyrzała na korytarz i wyęczyła słuch. Coś się poruszyło. Skoncentrowana wyłącznie na jednym zmyśle dosłyszała czyjś oddech - bardzo cichy, ale wyraźny. Zamarła w bezruchu, starając się ustalić kierunek. Czuła łomotanie serca w całym ciele, aż po końce zwilgotniałych włosów.

- Jest tam ktoś?

Obejrzała się na szafę. Trzymając przed sobą broń, podeszła i sięgnęła po gałkę w drzwiach.

Walsh dał Halowi Leveyowi znak, żeby się zamknął.

- Właśnie tak jak mówię: napaść z użyciem śmiertelności narzędzia. Podstawił mi pistolet pod nos... - Jedną ręką trzymał słuchawkę, drugą masował gardło. - Nazywa się Pete Golding.

Levey gorliwie kiwał głową, napawając się dramatyzmem chwili. Policjant spisywał skargę, w opinii Walsha zbyt wolno.

- Znajdziecie go przy ulicy Ontario trzysta czterdzieści osiem w Burbank - wypalił. Lepiej jedźcie tam jak najszybciej. Myślę, że ten zasraniec zrobi komuś krzywdę.

Ubrania małej dziewczynki. Sukienki. Zgrabne spodenki z lycry, gładkie i wzorzyste. Bluzeczki. Wszystkie lekko przybrudzone. Na spodzie szafy sandały i pantofelki.

Ellen wyszła z pokoju dziecinnego i ruszyła korytarzem w głąb domu.

Salon. Dwa fotele i kanapa. Stolik do kawy. Na stole tort. Poczła się, jakby ktoś zacisnął pięść na jej sercu. Celowała rewolwerem to tu, to tam -

zachowywała się irracjonalnie, ze strachu traciła zdolność logicznego myślenia. Salon wyglądał, jakby nikt z niego nie korzystał. Brakowało czasopism, roślin, zabawek. Pachniało za to środkiem dezynfekującym. Ellen przyjrzała się tortowi. Zobaczyła miniaturową łyżwiarkę, ósemkę na polowie, pięć świeczek, nóż. Hałas z kuchni sprawił, że się wyprostowała. Wystawiła przed siebie pistolet i podeszła do drzwi.

Kuchnia była pusta. Stała przy zlewie i wyrzała przez małe okno na podwórko. Była pewna, że ktoś lub coś się zanim przesunęło. Może kot lub ptak. Obróciła się dookoła, wymachując pistoletem. Zaczynała tracić panowanie nad sobą. Pot zalewał twarz, nogi dygotały. Otworzyła drzwi i wyszła na podwórko. Zwój węża. Listwa oderwana spod kuchennego okna. Przykucnęła i zajrzała w mrok pod domem. Zobaczyła robactwo i pistolety. Głos w jej głowie podpowiedział: „Odejdź!”.

Zawróciła do domu, wmawiając sobie, że jest pusty, że Bob postanowił uciec. Frontowe drzwi były otwarte. Nie przypominała sobie, by je zamykała, ale nie była tego pewna. Długo nasłuchiwała, ale nie słyszała niczego: ani oddechu, ani odgłosów ruchu. Była sama. Opuściła rewolwer i rozluźniła mięśnie.

Został tylko jeden pokój, do którego nie zajrzała.

Golding skręcił ostro tuż przed jadącymi z przeciwnej strony samochodami. Wóz podskoczył na garbie przy wjeździe na ulicę Ontario. Pete wychylił się przez okno, odczytując numery domów; potrącił kosz na śmieci, który potoczył się z brząkami po chodniku. Wreszcie dostrzegł mercedesa Ellen, zaparkowanego na podjeździe. Jego samochód zarzucił przy hamowaniu; wyskoczył z niego, ledwo się zatrzymał. Z berettą przyciśniętą do uda przebiegł chyłkiem przez trawnik, nie odrywając wzroku od okien.

Nagle stanął jak wryty.

Jakaś kobieta wpatrywała się w niego rozszerzonymi ze strachu oczami; niesione do ust ciastko zatrzymało się w pół drogi. Pete zauważył na drzwiach cyfry o pretensjonalnym kroju: 443. Zorientował się, że samochód nie należał do Ellen, był nawet innego koloru. Skręcił z Buena Vista za wcześniej.

Pokój o ścianach wyklejonych stronami z gazet. Wpadające z korytarza światło pozwala zauważyć odstające brzozy i naddarte rogi. Zatechła woń robactwa i papieru. Ściany tak gęsto oblepione, że Ellen przychodziła na myśl rybnie łuski. W miarę jak jej oczy przystosowują się do półmroku, dostrzega, co przedstawiają zdjęcia: obrażenia narządów płciowych i przetoki,

zniekształcone sromy i pochwy, cysty i syfilis, rany i nowotwory. Ellen patrzy na to ze zgrozą: pęknięte owoce, rozdarte strąki, gnijące mięso. I twarze, oczy - nieobecne, zadumane spojrzenia ofiar choroby. Ellen robi krok do przodu i wstrzymuje oddech. Deska ugina się pod jej stopą. Dwie sąsiednie deski ktoś oderwał, a potem położył na miejscu, ale nie przybił z powrotem. Ellen widzi przechodzące przez szczelinę przewody. Kable. To pewnie coś znaczy, ale wzrok Ellen przyciągają znowu zdjęcia. Na tle łóżka kobieta podnosi wyszywaną sukienkę, demonstrując, co stało się z jej ciałem. Zwyczajny strój, tak znajomy, tak banalny, podciągnięty nad twarde, wzdęty brzuch - olbrzymi, pokryty żyłami, napięty do granic możliwości. Zbyt przerażona, by myśleć czy choćby ruszyć się z miejsca, Ellen podnosi wzrok na sufit i widzi na nim uśmiechniętą siebie.

- Jeleno.

On.

Odwraca się powoli. Nie chce widzieć, nie chce słyszeć. Czuje łomotanie tętna w skroniach.

Stoi w drzwiach z dłońmi zwisającymi luźno po bokach. Tęgawy mężczyzna o sympatycznym wyglądzie, z krótkimi, ciemnymi włosami i głęboko osadzonymi oczami, którymi wpatruje się w nią nieruchomo.

- Jelena.

Wymierza lufę rewolweru w godło Warner Brothers na środku jego koszulki.

- Nie chciałem, żebyś to zobaczyła.

Mija chwila, zanim jego oczy przystosowują się do oświetlenia. Dostrzega broń. Wskazuje ją.

- Co to?

- A na co wygląda?

Kiwa głową, wysilając się na przelotny, niespokojny uśmiech.

- Jelena.

- Gdzie ona jest, ty chory sukinsynu? Gdzie moje dziecko?

- Twoje dziecko? Nie, Jeleno. Nie. - Głos ma delikatny i cierpliwy. Pokazuje jej otwarte dłonie. - Nasze dziecko. Twoje i moje, Jeleno. Tak musiało być, nie rozumiesz?

- Musiało? O czym ty mówisz? Mów, gdzie...

- Och, Jeleno, Je-leno! - Jego głos staje się proszący, podszyty zniecierpliwieniem. - Nie sądzisz, że zrobiłbym to wszystko dla niego... prawda? Dla Douga. - Potrząsa głową, aż kołyszą się mu ramiona. - Doug, Doug, Doug, Doug.... On nie był nigdy, Jeleno, nigdy...

Czuje, że uginają się pod nią nogi.

- Co... - Musi przełknąć z wysiłkiem, żeby móc mówić dalej. - O czym ty mówisz? Coś ty narobił?

- Mówię, że Doug... - Wstrząsa nim dreszcz, wykrzywia usta z niesmakiem. - Świństwo Douga powędrowało do śmieci.

- Świństwo?

- Tak jest, Jeleno. Myślałem, że wiesz. Nie dostałaś kartki ode mnie? Napisałem do ciebie, kiedy Stacey upewniła się, że jest w ciąży. Powiedziałem ci: jesteśmy jednością.

Ellen chwytą się za głowę. Nie jest w stanie jasno myśleć, nie potrafi zrozumieć jego słów.

Jego oczy chłonej zdnenerwowanie i strach.

- Dla Stacey była to najłatwiejsza rzecz na świecie - mówi ze śmiechem. - Rozdęło ją jak balon.

Wtedy to do niej dociera. Jak fizyczny cios: „świństwo”. Ma na myśli spermę Douga. Wyrzucił nasienie Douga i zastąpił je własnym. Jego nasienie. Jej jajo.

Odraza ściska jej żołądek.

- Widzisz? - mówi cicho. - Rozumiesz teraz? Jak możesz być zła po tym wszystkim, co nas połączyło?

Robi krok w jej stronę.

Ellen wystawia rewolwer przed siebie.

- Nie zmuszaj mnie do tego - wybucha.

Ton własnego głosu sprawia, że się opamiętuje. Waha się, patrzy na broń.

- Zrobię to - mówi, chociaż nie jest już pewna, czy jest do tego zdolna.

- Zabiję cię.

Dzieli ich półtora metra. Ellen zaciska obydwie dłonie na rewolwerze, żeby nie drżał.

Wtedy on odwraca się i wychodzi.

Ellen jest tak zaskoczona, że może tylko w milczeniu wpatrywać się w drzwi. Zanim wychodzi na korytarz, jego już tam nie ma.

Ruch po lewej stronie sprawia, że się odwraca, nie zdejmując palca ze spustu.

Mała dziewczynka stoi na środku sypialni z bluzą od pidżamy w rękach.

Pistolety są pod domem. Nie może uwierzyć, że zostawił trzydziestkę-ósemkę, bo bał się, że ją wystraszy. Chciała go zabić. Znowu widzi jej twarz w chwili, gdy mówi: „Zabiję cię”. Gniew przenika go jak rozpalony drut. Trzeba koniecznie iść po broń. Otwiera tylne drzwi, gdy słyszy jakiś głos. Nagłący, zdyszany. Zamiera. Mężczyzna. W jego domu. Cofa się od drzwi.

Golding natychmiast zobaczył Ellen i dziewczynkę. Ellen klęczała i z płaczem tuliła dziecko w ramionach.

Podniosła gwałtownie głowę, gdy stanął w drzwiach. Popatrzyła na niego, ale jakby go nie widziała.

- Gdzie on jest?

Na ulicy zawyła syrena. Ellen wyjrzała przez okno w chwili, gdy radiowóz wjeżdżał z łoskotem na krawężnik.

- Gdzie on jest, Ellen?

Obejrzała się z powrotem na Goldinga. Zaczęło docierać do niej, że tu jest. Wyciągnęła drżący palec.

- Za domem - pokazała kierunek. - Przed chwilą wyszedł.

Golding odwrócił się z beretką w rękę i zaraz zniknął. Nad słodko pachnącymi włosami dziecka Ellen zobaczyła kable w drugim pokoju. Tym razem zrozumiała.

- Pete.

Golding starał się nie zwracać uwagi na wycie syren. Kroczył korytarzem z wyciągniętą bronią. Dostrzegał wszystko: pokój, stół, tort.

- Pete?

Ellen. Za nim w korytarzu. Zaczął się odwracać.

- Pete, dom jest...

Nóż pograżył się w jego karku tak szybko i łatwo, jakby to była magiczna sztuczka. Hewish pojawił się nagle, niczym w zbliżeniu, ogarnięty szaleństwem. Wyrwał ostrze i zadał następny cios, tym razem w bark i głęboko w płuco, stękając z wysiłku. Golding próbował krzyknąć, z jego ust trysnęła krew. Nacisnął spust, ale pocisk utkwiał w podłodze. Hewish szarpnął nóż: długie ostrze uwięzło pod obojczykiem. Szarpnął znowu i Golding runął na niego całym ciężarem. Szamotali się i ślizgali we krwi. Pete starał się odwrócić, ale Hewish napierał na niego, usiłując wyciągnąć nóż. Pistolet Goldinga wystrzelił, w powietrzu pojawił się dym, posypały się drzazgi. Nagle był wolny. Hewish zatoczył się w tył. Golding wypalił ponownie w chwili, gdy Ellen ruszyła korytarzem, strzelając raz po raz. Strzelała, dopóki iglica nie uderzyła w pustą komorę.

W korytarzu było gęsto od dymu.

Z ulicy dobiegało wycie syren i trzeszczenie policyjnych radiostacji.

Ktoś obok usiłował zaczerpnąć tchu. Ellen popatrzyła na miotanego konwulsjami Pete'a, z którego barku ciągle sterczał nóż. Upuściła pistolet, chwyciła go za kłapy zakrwawionej marynarki i zaczęła ciągnąć w stronę wyjścia.

Część piąta

## Prawdziwi przyjaciele



**Poniedziałek, 26 października**

**E**ksplozja przy ulicy Ontario Street trzysta czterdzieści osiem zniszczyła cztery zewnętrzne ściany budynku i pozostawiła po sobie półtora-metrowy lej. Wszystkie sąsiednie domy zostały poważnie uszkodzone, zarówno w wyniku samego wybuchu, jak i ognia, który pojawił się zaraz potem. Pełniący służbę patrolową policjant zmarł wskutek odniesionych obrażeń. Zanim straży pożarnej udało się opanować ogień, z domu pod numerem trzysta czterdzieści osiem nie zostało nic. Następnego ranka ekipy kryminalistyczne przystąpiły do szperania w zgłiszczach.

Stan Pete'a Goldinga ustabilizował się w dziewięć godzin po przyjęciu go na oddział urazowy Uniwersyteckiego Centrum Medycznego Okręgu Los Angeles. Nóż ominął tętnice podobojczykową i szyjną ale rozciął oskrzele, przebił płuco i uszkodził nerw rdzeniowy w stopniu grożącym trwałym paraliżem.

Kiedy wwożono go na salę operacyjną potem, kiedy jaopuszczał, Golding widział wszystko jak za mgłą, oszołomiony środkami przeciwbólowymi i znieczulającymi. Po pierwszym zabiegu miał gości, ale jeszcze nie był ich w stanie rozpoznać. Jednym z odwiedzających był Frank Romero, drugim Tom Reynolds. Pete przypominał sobie potem, że widział też Jackie, chociaż równie dobrze mógł to być sen, bo zdawało mu się też, że pojawiła się Maddy Olsen, co było niemożliwe.

Bez przerwy przychodzili policjanci. Pierwszy był detektyw Lemer z Burbank, który chciał zebrać informacje o wydarzeniach poprzedzających wypadek, łącznie z domniemaną napaścią na Joego Walsha. Następnie przybył

detektyw Wolpert z Wydziału Wybrzeża Pacyfiku; ten zadawał mnóstwo pytań, dotyczących sprawy Jeffa Grossmana. Wreszcie zjawili się Larry Hagmeier i Matt Kronin. O mało nie zadręczyli Pete'a pytaniami na śmierć. Nie zawsze potrafił sobie przypomnieć, co miało miejsce naprawdę, a co zdarzyło się tylko w jego wyobraźni. Czasami wszystko mu się mieszało i miał przed oczami tylko obraz nachylonej nad nim Ellen, która ciągnie go za kłapy marynarki i każe mu wstawać. Gdy tracił świadomość, łyżwiarka miała twarz glinianej figury ze szklanymi oczami, która stała na stole w pracowni doktor Galio. Budził się wtedy z panicznym lękiem, że Ellen zginęła w Brentwood i tojej zwęglone, pokurczone ciało znaleziono w zgliszczach.

Ocknął się po jednym z takich snów i zobaczył, że Ellen siedzi obok jego łóżka. Kiedy się do niego uśmiechnęła, pomyślał, że nadal śni. Dotknęła jego ramienia i wtedy zdał sobie sprawę, że to rzeczywistość. Okazało się, że odwiedzała go już wcześniej, ale za każdym razem był nieprzytomny. Dopiero od niej dowiedział się dokładnie, co się wydarzyło. Opowiedziała, jak wywlokła go przed dom, a jeden z funkcjonariuszy zobaczył ich i przybiegł na pomoc. Zaledwie zdołali go zaciągnąć za wóz patrolowy, nastąpił wybuch.

Policja w Burbank wydawała się usatysfakcjonowana relacją Ellen z poprzednich minut. Straż pożarna rozwiązała resztę wątpliwości co do przyczyny eksplozji. Stwierdzono, że pod domem znajdowała się duża ilość chałupniczo spreparowanych materiałów wybuchowych. Robert Hewish marzył o spędzeniu reszty życia z Ellen i Nat, ale jednocześnie planował wyjście awaryjne: wysłanie wszystkich do wieczności za pomocą stukilowej bomby, sporządzonej z nawozów sztucznych. Nie zdołał dotrzeć do detonatora w sypialni, ale wczołgał się pod dom i ręcznie zwarł przewody - tak przynajmniej sądziła policja. Tłumaczyło to, dlaczego jego znalezione po wybuchu szczątki były porozrzucane w tak wielkim promieniu. Na pewną identyfikację zwłok potrzeba było czasu, ale wstępne badanie fragmentów miednicy świadczyło, że zwłoki należą do mężczyzny, odpowiadającego wiekiem i budową ciała Hewishowi.

Słuchając opowieści Ellen, Golding stwierdził, że dokonała się w niej zmiana. Wciąż była pełną rezerwy kobietą z opisu Douga Gormana, wciąż zamykała się w sobie, ale nie było już w niej mroku, tak nieodpartego dla Goldinga. Jaśniała teraz nowym blaskiem. Świadomość, że jest matką - bez względu na to, jaki koszmar do tego doprowadził - zrobiła z niej inną kobietę. Hewish w osobliwy sposób sprawił, że zyskała nową osobowość.

Natalia - dziewczynka znaleziona w domu Hewisha - trafiła pod kurtelę sądu w Burbank i na razie przebywała w sierocińcu. Ellen powiedziała, że odwiedza ją codziennie i że doskonale się rozumieją. Nat wychowano w przekonaniu, że właśnie ona, Ellen, jest jej prawdziwą matką i na

pewno w końcu wróci po swoją córeczkę. Dziewczynka pamiętała bardzo dobrze mamę Stacey, ale tylko jako jedną z wielu osób opiekujących się nią na życzenie Hewisha. Oglądana przez magiczną szybkę telewizora Ellen była dla niej stałym punktem w chaosie świata. Koszmar z dwudziestego siódmego sierpnia był dla Nat jak ziszczenie się bajki.

Adwokat Ellen był przekonany, że potrzeba tylko czasu, żeby jego klientka zdobyła prawo do opieki nad dzieckiem - jeżeli tylko zostanie udowodnione, że jest jego biologiczną matką. Zważywszy na niezwykle warunki, w jakich dziewczynkę wychowywano, nie ws\*pominając już o śmierci ojca, sąd prawdopodobnie zażąda, by poddać Nat długotrwałej ocenie psychologicznej. Gdyby uznano, że dziecko wymaga szczególnego traktowania, mogło ale nie musiało - się zdarzyć, że Ellen zostanie uznana przez sąd za niezbyt odpowiednią matkę i opiekunkę.

Posiedzenie sądu wyznaczono wstępnie na początek grudnia, ale adwokat Ellen zdołał przesunąć je na październik, powołując się na ryzyko, że sprawa trafi do prasy. Władze miejskie nie wyraziły sprzeciwu. Golding zapytał, jak Doug Gorman przyjął wiadomość, że Ellen ma dziecko. Odparła, że nie ma najmniejszego zamiaru go o tym zawiadamić.

Gdy Ellen wróciła następnego dnia, Golding zdobył się na to, by usiąść. Odzywał się nieco więcej, chociaż i tak przeważnie słuchoł. łyżwiarka wyznała, że nie miała wątpliwości co do Hewisha, ale bała się o dziecko. Myślała, że jeśli ktokolwiek spróbuje wyrzucić na niego presję albo mu zagrozić, po prostu zabije Nat. Miała nadzieję, że Lenny od początku się nie mylił i że człowiek, który posuwa się do tak szaleńczych kroków dla urzeczywistnienia swoich fantazji, to czubek, nie umiejący postępować racjonalnie. Że w obliczu bezpośredniej konfrontacji ugnie się i zacznie robić to, o co go Ellen poprosi. Gdyby się to nie udało, pozostawały jeszcze pieniądze. Była gotowa oddać mu wszystko w zamian za dziecko.

Ellen odwiedziła Goldinga po raz trzeci dzień przed posiedzeniem sądu. Obcięła krótko włosy i była bardzo zdenerwowana. Pete nie brał tego ranka leków przeciwbólowych, bo podczas rozmowy z nią chciał się lepiej skoncentrować. Powiedziała, że sprzedała już dom w Brentwood. Mimo pośpiechu zdołała uzyskać lepszą cenę, niż się spodziewała. Zamierzała zamieszkać z Nat w górach najszybciej, jak to będzie możliwe. Detektyw Hagmeier starał się ze wszystkich sił, żeby dziecko nie stało się obiektem zainteresowania prasy, podsuwając w zamian smaczne kąski na temat morderstw Stacey Rudnick i Jeffa Grossmana. Ellen martwiła się, że gdy tylko dziennikarze dowiedzą się o posiedzeniu sądu dotyczącym praw opiekuńczych, wszystko wyjdzie na jaw, a łowcy sensacji będą mieli uctowanie. Nie chciała, by Nat była w Los Angeles, gdy to nastąpi. Słyszając to, Golding zdał sobie sprawę, że przyjechała go pożegnać.

Ellen podziękowała mu za uratowanie życia. Była wdzięczna, że dotarł na miejsce, chociaż tak brzydko z nim postąpiła. Była to trudna chwila, obciążona niemiłymi wspomnieniami. Ellen ujęła dłoń Pete'a i powiedziała, że wszystko rozumie. Jej słowa miały uzdrawiającą moc. Minęło wiele czasu, zanim Golding znowu ją zobaczył.

Tom Reynolds poprosił, żeby Pete pokazał się w biurze, kiedy tylko zdrowie mu na to pozwoli. Wspólnie postanowili puścić w niepamięć ich ostatnie spotkanie. Chociaż sprawa Ellen Cusak przysporzyła sławy agencji, było oczywiste, że Reynolds i Golding stracili do siebie zaufanie. Po paru tygodniach omijania tematu obydwaj przyznali wreszcie, że najlepiej będzie, jeśli Golding opuści firmę. Reynolds stwierdził, że zrobi wszystko, by mu pomóc; obstawał przy wypłaceniu mu trzymiesięcznego wynagrodzenia, bo chciał, by rozstanie przebiegło na przyjacielskiej stopie.

Pete był więc wolny i miał czas, by zastanowić się nad przyszłością. Podczas codziennych zajęć - musiał jeździć do szpitala na fizjoterapię i do miejscowej sali gimnastycznej, by odzyskać formę - łapał się na tym, że nie potrafił całkowicie zapomnieć o Ellen ani o Robercie Hewishu. Systematycznie powracał do nich myślami.

Pewnego spokojnego, niedzielnego popołudnia zjął wreszcie zdjęcia Ellen ze ściany swojego salonu i ułożył je w pudle razem ze starymi wycinankami z gazet i magazynami żyźwiarskimi. Nie potrafił zdobyć się na to, by je wyrzucić, nie chciał jednak przyłapać się, że znów do nich zagląda. Wmawiał sobie, że były częścią złudzenia, w które o mało nie uwierzył.

Pod koniec listopada zadzwonił Larry Hagmeier, by dowiedzieć się, co słychać u Goldinga. Detektyw doniósł mu, że sprawa Hewisha została zamknięta. Zapytał, czy Pete chce zobaczyć raport. Stwierdził, że jego zdaniem Golding sobie na to zasłużył. Pete przejrzał akta w kuchni Hagmeiera: gruby tom zeznań, policyjnych raportów i kryminalistycznych ekspertyz. Rozmawiali do późna w nocy. Hagmeier opowiedział, że dochodzenie zmusiło go do wypraw w tak odległe strony jak Kentucky i Illinois.

Jak ustalono, Robert Hewish urodził się w Louisville latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Jego ojciec był zatrudniony na stacji rozładunkowej; uległ wypadkowi przy pracy, gdy syn miał zaledwie trzy lata.

Hewish mówił później psychiatrom, że matka od czasu do czasu dorabiała prostytutką, okazało się to jednak niemożliwe do zweryfikowania. Umarła w siedemdziesiątym siódmym roku wskutek przedawkowania barbituranów, a jej syn został oddany do domu dziecka pod wezwaniem świętego Franciszka w okręgu Jefferson.

Do tego czasu Hewish zdążył czterokrotnie zmienić szkołę średnią w Louisville. Miał marne oceny, a w wystawianych mu opiniach powtarzały się wzmianki o destrukcyjnych zachowaniach. W roku siedemdziesiątym ósmym, wkrótce po śmierci matki, aresztowano go za grożenie nożem czternastolatce, podczas gdy jego kolega ją gwałcił. Sprawa została oddalona wskutek braku dowodów. Dopiero w rok później, gdy Hewish trafił do publicznego college'u, zaczęła się ujawniać lepsza strona jego osobowości. Nauczyciel biologii stwierdził, że gdyby Hewish wykazywał więcej dyscypliny i zorganizowania, zdołałby zapewne dostać się na akademię medyczną. Rok później Hewish przeniósł się do college'u przy Uniwersytecie imienia Quincy'ego, który ukończył z nie najgorszą średnią ocen trzy i osiemdziesiąt dziewięć setnych. Jesienią osiemdziesiątego czwartego roku zapisał się na wydział medyczny Uniwersytetu Południowego Illinois w Carbondale.

W szkole medycznej sprawy przybrały gorszy obrót. Hewish opuszczał się w nauce - być może dlatego, że jednocześnie pracował na niepełnym etacie jako sanitariusz. Jeden z kolegów podejrzewał go o oszukiwanie na egzaminach. Gdy Hewish oblał obowiązkowy kurs położnictwa i ginekologii na trzecim roku, zebrał się samorząd studencki, by się zastanowić, co z nim począć. Pewien stażysta poinformował komitet, że Hewish opisał badanie starszego pacjenta, którego nawet nie widział na oczy. Luki w dokumentacji chorych sugerowały, że Hewish istotnie tak postępuje; w rezultacie skreślono go z listy studentów na trzy miesiące przed ukończeniem studiów. Zatrudnił się wtedy na pełnym etacie jako sanitariusz w pogotowiu ratunkowym okręgu Adams, stracił jednak tę pracę po pół roku, gdy rozbił karetkę i znaleziono u niego zabronione substancje psychoaktywne.

W listopadzie osiemdziesiątego ósmego pojawił się w Los Angeles, w szpitalu pod wezwaniem Królowej Aniołów na Hill Street. Przez kilka miesięcy był tam salowym. Pewnego dnia policjanci z Wydziału Centrum dostali wezwanie do mieszkania mężczyzny nazwiskiem Joseph Leahy, laboranta z pracowni cytologicznej szpitala. Pod budynkiem natknęli się na wychodzącego Hewisha i zauważyli krew na jego koszuli. Okazało się, że Leahy został okrutnie pobity, do tego stopnia, że wymagał chirurgicznej rekonstrukcji twarzy. Hewisha aresztowano. Sąsiedzi zeznali, że słyszeli dobiegające z mieszkania krzyki i jęki, ale Leahy twierdził później, że został napadnięty przez jakiegoś nieznajomego po drodze do domu. Funkcjonariusze, którzy odpowiedzieli na wezwanie, byli przekonani, że sprawcą był Hewish, lecz Leahy konsekwentnie odmawiał złożenia wniosku o ściganie. Podczas rewizji u Hewisha znaleziono kapsułki litareksu - związku litu, stosowanego do zapobiegania nawrotom psychozy maniako-depresyjnej. Dopytywany o lek Hewish stwierdził, że cierpi na „chorobę afektywną dwubiegunową” - najwyraźniej wolał ten termin niż określenie „psychoza”. Twierdził również,

że Leahy czynił mu propozycje natury seksualnej, chociaż zaprzeczał, że sprokowało go to do przemocy.

Rok później zaczęło się nękanie kobiet. Pierwszą ofiarą Hewisha była trzydziestopięcioletnia Claire Macaffrey, pracowniczka administracji Matrix Center w Santa Monica, gdzie dostał pracę w charakterze pomocnika laboranta. Ze skarg kobiety wynikało, że Hewish zaczął śledzić ją w drodze do domu i wyczekiwał pod nim w samochodzie. Siedmioletniemu synowi Claire Macaffrey zdawało się któregoś dnia, że dostrzegł go na podwórku. W pracy Hewish obserwował kobietę bez przerwy. Do skargi na policję Claire Maccaffrey dołączyła anonim, wysłany jej zdaniem przez Hewisha. Golding natychmiast rozpoznał styl Boba. List głosił, że Claire jest zbyt dobra dla męża i dzieci; że jej nie doceniają i nie zdają sobie sprawy, jakimi są szczęściarzami, mając „anioła pod swoim dachem”.

Kobieta nie zgłosiła się od razu na policję; poszła najpierw do swojego pracodawcy, doktora Ralphi Simmonsa. Lekarz pokazał list Hewishowi i zagroził mu sprawą w sądzie, jeżeli nadal będzie nękać panią Macaffrey. Tydzień później Hewish napadł na nią na parkingu firmy. Kobiecie nic się nie stało, ale Simmons wyrzucił napastnika z pracy. Gdy Hewish ponownie pokazał się pod jej domem, Claire Macaffrey wystąpiła o zabraniający mu tego nakaz sądowy. Hewish go złamał i został zatrzymany za obrazę sądu. Po zasięgnięciu opinii lekarzy sędzia przewodniczący wydał wyrok sześciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu - pod warunkiem że Hewish podda się leczeniu w zakładzie psychiatrycznym. Terapię podjął doktor Nathan Young z Uniwersyteckiego Ośrodka Medycznego Okręgu Los Angeles.

Hagmeier przedstawił Goldingowi najważniejsze dane ze specjalistycznego raportu. Podczas psychoanalizy Hewish rozwodził się na temat zagadnień medycznych, zwłaszcza położniczych i ginekologicznych. Young był pod wrażeniem rozległości wiedzy swojego pacjenta. Było oczywiste, że Hewish studiował te dziedziny z obsesyjnym zapamiętaniem. Psychiatra podejrzewał, że w tej fascynacji tkwi element mizoginii - zwłaszcza gdy Hewish zaczął się zwierzać z pogardy dla matki. Opowiadał o swoich najwcześniejszych wspomnieniach - jak przesiadywał samotnie w ciemnym pokoju w wieku trzech lat, starając się przypomnieć sobie twarz ojca, która w końcu wyłaniała się z ciemności. Stwierdził, że dzięki takim wysiłkom woli i wyobraźni potrafił wymazać z pola widzenia matkę, kręcącą się po domu albo leżącą w pijackim śnie na kanapie. Gdy Young pytał go, czy kiedykolwiek ukazuje się mu ojciec lub słyszy jego głos, Hewish uchylał się od odpowiedzi. Podczas rozmów nie wspomniano o łyżwiarstwie ani o Jelenie Kusak.

Doktor Young ostatecznie rozpoznał u Hewisha psychozę schizoafektywną. Po raz pierwszy stwierdzono, że mogą u niego występować urojenia.

Psychiatra zalecił Hewishowi prozac, ale ostatecznie nie wdrożono leczenia.

W ciągu następnych dwóch lat Hewish poznał Stacey Rudnick, chociaż Hagmeier nie miał pojęcia, kiedy ani gdzie dokładnie do tego doszło. Dziewczyna przepracowała większość tego czasu jako pakowaczka w Commerce City. Koleżanki z pracy zapamiętały ją jako spokojną dziewczynę i zapalną miłośniczkę łyżwiarstwa. Wspominały jej zachwyty, gdy dostała bilety na mistrzostwa kraju w Lake Arrowhead. W tym właśnie roku Jelena Kusak skupiła na sobie uwagę świata, zdobywając srebrny medal. Koleżanki były zaskoczone, gdy Stacey wróciła z zawodów zmęczona i ponura - podobno pokłóciła się ze swoim chłopakiem, prawdopodobnie Hewishem. Żadna nie przypominała sobie, o co. Wycinek z prasy, dołączony do akt Hagmeiera, zawierał dokładniejsze informacje o przeszłości Stacey Rudnick. Okazało się, że w dzieciństwie przez półtora roku znajdowała się pod opieką kuratora, ponieważ była maltretowana przez rodziców. W artykule twierdzono również, że Stacey była patologiczną kłamczynią.

Rudnick była nadal z Hewishem, gdy w dziewięćdziesiątym pierwszym dostał pracę w klinice Harper Trust, posługując się sfałszowanym życiorysem. Z dochodzenia policji wynikało, że w tym okresie Hewish zaczął już gromadzić broń - między innymi dwa pistolety i strzelbę myśliwską.

Golding wyruszył do Milwaukee samochodem trzy dni po zapoznaniu się z raportem. Miał nadzieję, że długa jazda pomoże mu dojść do siebie. Jackie dała znać, że matka czuje się już lepiej. Chciała odwiedzić syna w szpitalu, ale równocześnie obawiała się, że wytrąci go tym z równowagi. Pete zwierzył się siostrze, że porzuca agencję. Pytała, co zamierza robić dalej. Stwierdził, że nie ma pojęcia. Jackie powiedziała, że wiele by dla niej znaczyło, gdyby na jakiś czas zatrzymał się u niej. Zgodził się, mówiąc sobie, że właśnie tego potrzebuje.

Hagmeier pozwolił mu skopiować fragmenty raportu. Odczytywał je raz po raz po drodze, w motelowych pokojach i restauracjach przy autostradzie. Chciał zyskać jak najpełniejszy obraz Hewisha. Pragnął ujrzeć w jaskrawych barwach każdy przejaw jego szaleństwa. Zastanawiał się, czy nie przesłać kopii raportu Ellen, jednak ostatecznie z tego zrezygnował.

Po raz ostatni czytał raport w jadłodajni sieci Sizzler trzydzieści pięć kilometrów od domu matki - tym razem po to, by uniknąć myśli o czekającym go spotkaniu i o tym, co powie matce po długich latach milczenia.

### Los Angeles, 2 grudnia 1999

Padało przez cały dzień, ale wieczorem przez swoje odbicie w kuchennym oknie Pete Golding zdołał dostrzec przerwę wśród chmur nad kanionem Topanga. Stwierdził, że pogoda powinna się następnego dnia poprawić. Na niebie było nawet widać gwiazdy – tylko dwie, leżące tak blisko siebie, że przypominały światła samochodu na ciemnej drodze. Pete potarł dwudniową szeczinę i zabełtał zawartość szklanki. Zamierzał się wcześniej położyć i chciał do tego czasu pozostać trzeźwy. O wpół do jedenastej stał jednak nadal przy oknie, wpatrując się w lód topniejący w czwartej szklance bourbona. Ranne wstawanie następnego dnia stało się perspektywą równie ponurą, jak jeden z niżów zapowiadanych w wieczornych wiadomościach.

Pete musiał wstać wcześniej, bowiem czekała go rozmowa kwalifikacyjna przed przyjęciem do pracy. Zorganizował ją Tom Reynolds. Zarekomendował Pete'a prywatnej firmie z siedzibą w Santa Monica, zajmującej się ochroną osobistą i ogólnym doradztwem w sprawach bezpieczeństwa. Firma szukała sposobności poprawienia swojego image'u; jej szefom spodobał się pomysł, by zatrudnić kogoś tak popularnego jak Pete Golding. Po tygodniu czy dwóch namysłu zdecydował się wreszcie przyjąć ich zaproszenie i pojechać na rozmowę. Prawdę mówiąc, nie miał lepszych pomysłów. Był trochę za stary, by zaczynać wszystko od nowa. Gdyby mu się powiodło, może zdołałby sprzedać dom w Van Nuys i przenieść się bliżej oceanu. Zastanawiał się nad tym, sącząc alkohol. Marzył o bieganiu co rano po plaży i obserwowaniu morskiego ptactwa.

Jackie byłaby oczywiście rozczarowana, gdyby przyjął tę robotę. Zakładała, że po wykurowaniu ran Pete całkowicie porzuci pracę w ochronie

w końcu o mało nie zginął. Chciała, żeby przeprowadził się z powrotem do Wisconsin. Powziawszy decyzję, że nie wróci do Los Angeles, stale przekonywała go do startu od nowa na Środkowym Zachodzie. Zapewne lepiej od niego oceniła przebieg spotkania w rodzinnym gronie, a może naprawdę sądziła, że stare rany mogą się zablźnić.

Nie rozmawiali wiele o przeszłości podczas jego wizyty. Nie wspominali nawet o ojcu – z wyjątkiem jednego razu w kuchni, kiedy matka sądziła, że Pete tego nie usłyszy. Było jasne, że jeśli o nią chodzi, uważa cały epizod za zamknięty, a przynajmniej zbyt bolesny, by otwierać go na nowo. I bardzo dobrze. Dzięki temu mogli zasiadać razem do stołu i zachowywać się, jakby wszystko przebiegało normalnie. Mogli prezentować się jak rodzina, jako że byli nią w istocie – ze względu na Jackie, być może nawet dla dobra ich obojga. Nie zmieniało to jednak przeszłości ani nie sprawiło, by się z nią pogodzili. Pewne rany nie mogły się nigdy zablźnić, pewne uczucia nie miały szans ulec zmianie. Pete zdał sobie wreszcie z tego sprawę.

Dopił drinka. Wytrząsał lód do zlewu, gdy zadzwonił telefon. Przeszedł do salonu i podniósł słuchawkę.

- Pete?

Dzwonił Lenny Mayot. Pete nie widział go od czasu, gdy agent przyjechał pewnego popołudnia do szpitala powiedzieć mu, jakim jest bohaterem.

- Tak, Lenny? Co u ciebie słychać?

- A co u ciebie? Jak ramię?

Pete opowiedział mu ze szczegółami o terapii, rehabilitacji i powrocie do zdrowia. Lenny powtórzył, że uważa go za bohatera. Stwierdził, że gdyby kiedykolwiek mógł dla niego coś zrobić, wyświadczyć mu przysługę czy udzielić rady... Potem zaczął dowcipkować o ostatnim badaniu prostaty. Mimo to Pete wyczuł, że agent ma jakiś problem.

- Mów, o co chodzi, Lenny.

- Chciałem porozmawiać z tobą o Hewishu – odparł Mayot, nagle poważniejąc.

Pete przymknął oczy. Wciąż nie potrafił myśleć o Hewishu, nie przypominając sobie na nowo momentu w domu szaleńca, gdy nóż pograżył się w jego karku. Miał nadzieję, że lektura raportu pomoże mu pogrzebać przeszłość, ale w końcu zrozumiał, że te wspomnienia zawsze będą mu towarzyszyły, podobnie jak szkaradne blizny na szyi i barku.

- O czym tu mówić? – zapytał.

- Cóż, starałem się coś wycisnąć z policji, ale sam wiesz, jacy oni są.

- O czym?

- O tym, co się stało z Hewishem. Wyczytałem, że odszukali kawałki jego ciała, a właściwie kawałki ciała człowieka, którego uznali za niego.

- Tak?

- Facet nie żyje, prawda? Na pewno nie ma żadnych wątpliwości? Kiedy dzwoniłem na policję, ten gość... Hagmeier, tak?

- Zgadza się, Larry Hagmeier.

- Powiedział mi, że śledztwo trwa nadal i nie może ze mną rozmawiać o jego szczegółach.

- Hewish zginął pod swoim domem, Lenny. Rozmawiałem parę dni temu z Lanym Hagmeierem. Koroner poskładał parę kawałków dolnej szczęki i zdołał ustalić, że pasuje do kartoteki stomatologa. To był Hewish.

- Dlaczego więc...

- Hagmeier pewnie czeka na raport od koronera, zanim uzna to oficjalnie. Policja da znać prasie, kiedy będzie gotowa, by się wypowiedzieć. Chodzi tylko o to: o procedurę. Mówię ci, Hewish nie żyje.

- Dzięki Bogu - odparł Mayot z autentyczną ulgą w głosie. - Nie twierdę, że naprawdę miałem jakieś wątpliwości, ale Ellen...

- Co z nią?

- Nie potrafi się od tego uwolnić. Opowiada różne głupoty: że facet mógł zdetonować bombę przy użyciu zdalnego sterowania, że ciało pod domem mogło należeć do kogoś innego. Rozumiesz, wymysły rodem z horrorów. W ten weekend byłem w jej domku w górach. Dostała list. Jeden z tych listów od świrów.

Pete zmarszczył brwi. Wyobraził sobie, jak Ellen otwiera kopertę, wyjmie list i dochodzi do wniosku, że jeszcze nie jest wolna.

- Myślałem, że robisz odsiew przesyłek - powiedział.

- Pewnie, że je segregujemy. Oglądamy czujnie wszystko, co przychodzi do mojego biura. Ale ten list został nadany na stary adres w Brentwood. Ellen umówiła się z pocztą, że wszystko, co do niej przychodzi, zostanie przesłane do mojego biura. To świństwo wyglądało poza tym jak pismo urzędowe. W brązowej kopercie, z nadrukiem „Osobiste i poufne”. Myślałem, że to list od jej księgowego. Tak czy inaczej, w kopercie było zdjęcie Ellen na łyżwach i koszmarne fotka Hewisha. Przypominasz sobie jego fotografie, które drukowano w gazetach tuż po wybuchu?

- Oczywiście.

- To jedna z nich. Ktokolwiek wysłał ten list, napisał pod zdjęciami: „Jesteśmy jednością”. Jesteśmy jednością. A dalej kupa obscenicznych bredni, jak to ją dopadnie. Ellen o mało nie wyskoczyła ze skóry.

- Nic dziwnego. - Pete potarł powieki. - Cóż, ktokolwiek to wysłał, na pewno nie był to Hewish - dodał.

Lenny wydał przeciągłe westchnienie.

- Może powinieneś do niej zadzwonić? - zapytał. Pete popatrzył na plakat na ścianie i w milczeniu pokiwał głową. Bo mnie nie chce słuchać ciągnął Mayot. - Powtarzałem jej, że Hewish nie żyje. Mówiłem, że dopóki jest sławna, będą uganiali się za nią chorzy popaprańcy, ale Hewish nie zrobi już żadnej krzywdy ani jej, ani Nat. Tłumaczyłem to na okrągło, ale widziałem, że mnie nie słucha. Gdybyś z nią porozmawiał, powtórzył, czego dowiedziałeś się od Hagmeiera, może by to do niej dotarło.

- Hmm... - Pete wzruszył ramionami. - Posłuchaj, Lenny, nie mam nic przeciwko... to znaczy, jeśli sądzisz, że to pomoże... ale chyba nawet nie mam jej numeru telefonu...

- Co? - Mayot o mało się nie zakrztusił.

- Powiedziałem...

- Słyszałem, co powiedziałaś, ale nie potrafię w to uwierzyć. Myślałem, że skoro przyjechała do szpitala, żeby cię odwiedzić... Przecież uratowałaś jej życie, na rany Chrystusa!

- A ona mnie - odparł Pete.

- Bóg mi świadkiem, nie wytrzymam z tą wariatką, Pete! - Lenny prawie krzyczał. - Ona chyba nie ma pojęcia, kto jest jej przyjacielem. - Rozległ się szelest papierów; pewnie Lenny wertował swój notes z telefonami. - No dobra, słuchaj - powiedział. - ..Pete? Jesteś tam?

- Jestem, jestem.

- Masz czym pisać?

Tuż po pierwszej w nocy Pete Golding wrócił do kuchni. O śnie nie było mowy. Nagrał na automatyczną sekretarkę Ellen wiadomość, że ma dobre nowiny o Hewishu. Liczył, że wkrótce do niego oddzwoni i umówią się, by pogadać.

Zastanawiał się, gdzie ona mieszka. Wiedział, że od czasu do czasu jeździła nad jezioro Arrowhead. Pisano o tym w prasie. Oznaczało to prawie trzy godziny jazdy w góry. Może zostanie u niej na weekend? Może będzie miał okazję zobaczyć, jak uczy Nat jazdy na łyżwach? Mogliby porozmawiać o Robercie Hewishu, o prześladowaniach z jego strony, o Dogu, Lennym i całym jej życiu... Wiedział o niej więcej niż ktokolwiek. Może będzie miała ochotę się z nim spotkać.

Wstał i podszedł do okna. Słyszał w duszy nagrany przez Ellen komunikat: „Oddzwonię do ciebie”.

Popatrzył na swoje odbicie w szybie.

Na jego twarzy błąkał się uśmiech.

## Podziękowania

Pragnę podziękować następującym osobom za pomoc przy zbieraniu faktów w trakcie pisania tej powieści:

Detektywowi Paulowi A. Wrightowi z Grupy Neutralizowania Gróźb (TMU - Threat Management Unit) Wydziału Policji Los Angeles, porucznikowi (w stanie spoczynku) Johnowi C. Lane'owi Juniorowi, założycielowi TMU i przełożonemu grupy Omega, oraz doktorowi Parkowi Dietzowi z Threat Assessment Group, Inc. - za podzielenie się unikalną wiedzą i doświadczeniami na temat osób nękających znakomitości oraz ich ofiar; doktorowi Pedro M. Ortiz-Colomowi, patologowi z biura koronera okręgu Los Angeles - za wprowadzenie w kryminologiczne niuanse; agentom sportowym Mandnowi Demoffowi i Julii Chasman z firmy Addis Wechsler - za uwagi na temat pracy nad karierą gwiazd; Ericowi Youngowi, kierownikowi Wydziału Postprodukcyjnego Walt Disney Pictures and Television, jego koleżance Mary Redmond i reżyserowi Aleksowi Abramowiczowi - za szczegółowe wyjaśnienie technicznych i logistycznych aspektów kręcenia filmów reklamowych; wreszcie doktor Helenie Scott i doktorowi Rupertowi Negusowi - za pomoc przy opracowywaniu medycznych elementów fabuły.